

PAUL GARRISON

ROBERT
LUDLUM

ODYSEJA JANSONA

Robert Ludlum, Paul Garrison

Odyseja Jansona



Dla AMBER EDWARDS

Bob najwyżej cenił piękno, ciężką pracę, miłość i talent.

Uważał, że jesteś wyjątkowa pod każdym względem.

PROLOG

Odsiecz

Trzy lata temu 41° 13' N, 111°57' W Ogden, Utah

- Ogden to świetne miasto, jeżeli ktoś lubi wycieczki, rowery górskie i narty. -
Doug Case położył dłonie na sfatygowanych podłokietnikach kupionego z drugiej ręki wózka inwalidzkiego, udając, że to kijki narciarskie.

- Tym się właśnie tutaj zajmuję, jeśli chcesz wiedzieć. Jak mnie wytropiłeś?
Usunąłem swoje dane z komputerów Departamentu do spraw Weteranów.

- Kiedy wszystko się wali, ludzie wracają do domu - odparł Paul Janson.

- Do domu to musi cię ktoś przyjąć. To nie dla mnie. Nie potrzebuję łaski.

- I jak widzę, los nie był dla ciebie szczególnie łaskawy. Dom Case'a stanowiła wylotowa część nieczynnego tunelu kolejowego z widokiem na zaśmieconą, pustą działkę, spalony bar KFC i ośnieżone zbocza Wasatch Mountains. Siedział na wózku zgarbiony, z brudnym, wystrzępionym plecakiem na kolanach i twarzą pokrytą tygodniowym zarostem. Co kilka minut obojętnym wzrokiem popatrywał w kierunku czwórki nastoletnich mięśniaków z jakiegoś ulicznego gangu, obserwujących ich z hondy zaparkowanej obok ruin KFC.

Janson przysiadł na przewróconym wózku sklepowym. Miał na sobie wełniane spodnie, sweter i luźną, czarną kurtkę narciarską, na nogach lekkie wojskowe półbuty.

- Zabij mnie i skończ z tym - powiedział Case. - Nie mam ochoty na jakieś gierki.

- Nie przyszedłem cię zabić.

- Po prostu zrób to! Nie martw się, nie będę się bronić. - Poprawił leżący na kolanach plecak. - Zakładasz, że nadal pracuję dla Wydziału Operacji Konsularnych.

- Nikt nie odchodzi z OPKON-u.

- Zawarłem układ. Pracuję na własny rachunek, jako korporacyjny doradca do spraw ochrony i zabezpieczeń. Od czasu do czasu z OPKON-u dzwonią do mnie. Od czasu do czasu oddzwaniam.

- Fakt, nigdy nie paliłeś za sobą wszystkich mostów - przyznał Case. - Pracujesz sam?

- Mam się do kogo zwrócić, jeśli potrzebuję snajpera.

- Dobry jest?

- Najlepszy, jakiego spotkałem.

- Skąd go wziąłeś? - zapytał Case ciekaw, jakiegoż to specja udalo się tamtemu zwerbować.

- Z banku talentów - wymijająco odparł Janson.

- Dlaczego odszedłeś z Operacji?

- Obudziłem się pewnego ranka i przypomniałem sobie wszystkich tych ludzi, których zabiłem bez słusnych powodów.

Case roześmiał się.

- Na miłość boską, Paul! Departament Stanu nie może pozwolić, by tajni agenci decydowali, kogo zabić. Jeśli musisz kogoś ukatrupić, żeby wykonać zlecenie, robisz to. Dlatego nazywa się to usankcjonowanymi zabójstwami podczas akcji w terenie. - Usankcjonowanymi seryjnymi zabójstwami. Tak byłoby bliżej prawdy. Leżę sobie w łóżku i liczę je. Te powinienem był popełnić. Tych nie powinienem.

- I jaki jest bilans? Tych, co powinienś i nie powinienś?

- Czterdzieści sześć.

- Niech mnie diabli! Zaliczyłem ciut więcej.

- Czterdzieści sześć potwierdzonych - poprawił się Janson. - Widzę, że twój testosteron się nie przeterminował - uśmiechnął się Case.

Obrzucił rozmówcę taksującym spojrzeniem. Sukinsyn nic się nie postarzał. Nadal wyglądał na trzydzieści kilka lat, może czterdzieści kilka, pięćdziesiąt. Trudno powiedzieć, widząc jego krótko ostrzyżone włosy neutralnej, stalowoszarej barwy. Nadal też wyglądał na kogoś, na kogo nie należy spoglądać dwa razy. Chyba że

samemu jest się zawodowcem i to naprawdę, naprawdę dobrym, i wówczas, spoglądając nań drugi raz, należałoby zwrócić uwagę na jego okryte kurtką ramiona i czujne oczy. Tyle że wtedy może już być za późno.

- Mamy towarzystwo - mruknął Janson.

Młodociani gangsterzy niespiesznie zmierzali w ich kierunku.

- Zajmę się nimi - stwierdził Case. - Ty zamów sobie lunch. - Pod jedno z kół wózka wetknięty był pęk równo poskładanych torebek po burgerach Sonic. Doug Case pozwolił młodzikom zbliżyć się na kilka metrów i dopiero wtedy przemówił: - Panowie, proponuję jedną darmową lekcję survivalu. Jeśli chcecie przeżyć, nigdy nie podejmujcie walki z góry skazanej na przegraną. Zróbcie w tył zwrot i idźcie stąd.

Trzej z grupy nastroszyli się groźnie, ale ich prowodyr, najmniejszy wzrostem, taksującym spojrzeniem obrzucił kalekę, potem Jansona i powiedział:

- Spadamy stąd. - Przecież facet siedzi na pieprzonym wózku inwalidzkim. Herszt zdzielił niesforemego kompana w ucho i pogonił całą trójkę w kierunku hondy.

- Hej, młody! - zawołał za nim Case. - Masz jaja, chłopie. Wstąp do wojska. Tam cię nauczą, jaki zrobić z nich pożytek. - Uśmiechnął się do swojego towarzysza.

- Czy nie raduje cię widok takiego prawdziwego talentu?

- Raduje - odparł tamten i głosem kogoś nawykłego do wydawania rozkazów zawołał:

- Chodź tu! - Chłopak podszedł do niego, zwinny, ostrożny jak bezpański pies. Janson podał mu wizytówkę.

- Wstąp do wojska. Zadzwoń do mnie, jak zostaniesz sierżantem specjalistą.

- A kto to taki?

- To szczebel w hierarchii. Od niego zaczyna się prawdziwą karierę.

Paul Janson milczał, dopóki honda nie oddaliła się z piskiem opon.

- Przypomniałem sobie jeszcze coś. Te wszystkie myślowe wybiegi, do których się uciekałem, by uwierzyć, że mam to już za sobą.

- Przydałaby się dawka amnezji. - Tego towaru nie ma na składzie. Case znów się roześmiał.

- Pamiętasz, jak to się przydarzyło jednemu agentowi? Zapomniał wszystko. Oprzytomniał i stwierdził, że leje jakichś ludzi. Nie pamiętał, jak i gdzie nauczył się walki wręcz. Jak on się, do cholery, nazywał...? Nie pamiętam. On zresztą też nie. Co innego ty; ty pamiętasz wszystko. Okay, Paul, skoro nie przyjechałeś mnie zabić, to co robisz w pieprzonym Ogden?

- Mówienie o przeszłości nie ma sensu, jeśli nie idzie za tym odkupienie.

- Chcesz to odkupić? A niby jak? Jak pijak na mityngu AA przeprasza ludzi za to, że był dla nich niedobry?

- Tego, co zrobiłem, nie mogę zmienić, ale mogę spłacić dług, pomagając swojemu następcy.

- Dlaczego po prostu nie kupisz odpustu od papieża? Sarkazm nie zadziałał. Janson okazał się głuchy na takie teksty.

- Uruchom swoją umiejętność obserwacji, której nas wyuczono, i popatrz na siebie; nie jest to piękny widok.

- Saul na drodze do Damaszku odnalazł swój moralny kompas i zmienił imię na Paweł. Ty jednak już jesteś Paulem. Co chcesz zmienić? Świat?

- Chcę zrobić co w mojej mocy, aby uratować wszystkich tych tajnych agentów rządowych, których życie zrujnowała służba w terenie. Gości takich jak ty i ja.

- Mnie do tego nie mieszaj.

- Nie da rady.

- Jak to?

- Jesteś pierwszy na liście moich projektów.

- Milion ludzi ma zezwolenie na dostęp do informacji ściśle tajnych. Jeśli jedna setna to tajni agenci, mógłbyś uratować dziesięć tysięcy osób. Dlaczego ja?

- Są tacy, którzy twierdzą, że byłeś najgorszy.

- Są tacy, którzy twierdzą, że byłem najlepszy - z gorzkim uśmiechem odparł Case.

- Faktem jest, że byliśmy najgorsi.

- Nie chcę, żeby mnie ratowano.

- Mieszkasz pod chmurką. Idzie zima. Jesteś uzależniony od percocetu, a lekarze zakręcili ci kurek. Kiedy wykorzystasz recepty na ten miesiąc, zaczniesz szukać opiatów na ulicy.

- Skrupulatny jak zawsze wywiad Paula Jansona?

- Do walentynek będziesz trupem.

- Wytrawny kunszt analityczny Jansona?

- Potrzebujesz ratunku.

- Nie proszę o niego. Wynoś się. Daj mi spokój.

- Mam furgonetkę z rampą. Blade, pokryte siwym zarostem policzki Douga Case'a zalał wściekły rumieniec.

- Masz furgonetkę z rampą? Masz furgonetkę z rampą? A w furgonetce kilku płatnych zbirów, żeby ci pomogli wepchnąć mnie po tej pieprzonej rampie?

Na twarzy Jansona zastygł niepewny uśmiech. Po raz pierwszy od początku wizyty w smętnym królestwie Douga Case'a wyglądał na zbitego z tropu. Człowiek noszący przydomek Maszyna nagle okazał się bezbronny. Inwalida tylko nasilił obstrzał.

- Zawalasz swój plan, koleś. Żadnych opryszków w furgonetce. Żadnego przygotowania. Żadnego wsparcia. Żadnego planu awaryjnego. Powinieneś być podejść do sprawy tak jak wtedy, gdy planowałeś akcje w OPKON-ie. Udręczona dusza brnie na oślep ku odkupieniu, tak? I ty mnie zamierzasz wyprostować?

- Więcej, niż wyprostować. Zamierzamy przywrócić cię światu żywych.

- Światu żywych? A więc na początek wyciągniesz mnie z percocetu? Potem oddasz psychiatrom, żeby wyreperowali mi głowę? A kiedy lekarze skończą ze mną, znajdziesz mi robotę, w której będę wykorzystywał swoje szczególne talenty? Idź do diabła.

- Wyleczą cię.

- Może nawet znajdziesz mi dziewczynę?

- Poskładają cię na tyle, że jeśli zechcesz, sam ją sobie znajdziesz.

- Jezu, Paul, jesteś tak samo pokręcony i walnięty jak ja. Czy w twojej mentalnej puszczy powstała myśl, kto zapłaci za te fantazje?

- Kiedy wykonywałem swoje ostatnie zadanie, ktoś wpłacił masę pieniędzy na moje zagraniczne konta, by wyglądało na to, że zdradziłem. Ten ktoś już nie żyje. Pieniądze nie stanowią problemu.

- Jeśli nawet wciągniesz jakiegoś biednego głupka do udziału w tej swojej mrzonce, potrzebne ci będzie coś więcej niż pieniądze. Będziesz potrzebował pomocy. Dużo pomocy. I ludzi. Do diabła, musisz mieć do tego całe przedsiębiorstwo.

Janson znów zrobił niepewną minę.

- Nie znam się na tym. Dość mam przedsiębiorstw. Dość mam instytucji. Nie ufam już więcej niż dwu ludziom naraz, jeśli przebywają ze mną w jednym pokoju.

- Biedny, udręczony Paul. Próbujesz wszystko naprawić, w pojedynkę ratując najgorszego drania, z jakim zetknął cię los? Jak zamierzasz nazwać tę firmę? Instytut Paula Jansona do spraw Wyciągania Popieprzonych Byłych Agentów Terenowych z Gówna po Uszy? Nie, lepiej prosto: Fundacja Feniks!

- Chodźmy, przyjacielu.

- Facet, do którego się zwracasz, nigdzie się nie wybiera. I nie jest twoim przyjacielem.

- Pewnie nie - zgodził się Janson. - Ale pracowaliśmy razem i to ja mógłbym teraz siedzieć na tym wózku, jesteśmy więc braćmi.

- Braćmi? Aureola uciska ci mózg? - Case pokręcił głową, podrapał się pod pachą i zakrył twarz brudnymi dłońmi. Po chwili opuścił lewą rękę i powiedział przez palce prawej:

- Nazywali cię Maszyna. Pamiętasz? Niektórych agentów terenowych nazywano zwierzętami. Innych maszynami. Maszyna zwykle pokonuje zwierzę. Ale nie zawsze.

Case wykonał niemal niedostrzegalny, płynny, przeciwiczony dziesięć tysięcy razy ruch. Jego lewa ręka wyskoczyła z plecaka z 9- milimetrowym Glockiem 34 trzymanym za zamek kciukiem i palcem wskazującym. Prawa dłoń zacisnęła się na rękojeści, jej palec wskazujący spoczął na osłonie spustu, a jednocześnie lewa dłoń odciągnęła zamek, wprowadzając nabój do komory. Z szybkością płynnego ognia przeładował pistolet.

Janson kopnięciem wytrącił mu go z ręki.

- Kurwa! Case masował nadgarstek w miejscu, gdzie zetknął się z butem Jansona. Powinien był pamiętać, co mówili instruktorzy walki wręcz z OPKON-u, przecież najlepsi na świecie: jest szybkość błyskawicy, nanoszybkość i szybkość Jansona. Tymczasem sprawca jego upokorzenia podniósł broń, nagle uśmiechnięty od ucha do ucha, pełen optymizmu i nadziei, całkowicie przekonany, że jest w stanie naprawić to, co zostało zniszczone.

- Widzę, że nie całkiem spierniczałeś.

- Skąd ci to przyszło do głowy?

Janson poklepał glocka.

- Wymieniłeś gówniane fabryczne przyrządy na celownik przeziernikowy.

Wyjął magazynek, wyrzucił nabój z komory i porwawszy plecak z kolan Case'a, z jego bocznej kieszeni wyciągnął dwa zapasowe magazynki, trzeci zaś zza gumki dresu Douga. Podał mu rozładowaną broń.

- Kiedy oddasz mi resztę?

- Na uroczystości wręczenia dyplomów.

CZEŚĆ PIERWSZA

Matka wszystkich złóż

Współcześnie 1°19' N, 7°43' E Zatoka Gwinejska, 260 mil na południe od Nigerii, 180 mil na zachód od Gabonu

Rozdział 1

- Reguła Vegas - oznajmiła Janet Hatfield, kapitan trzytysięcznika Amber Dawn. Jej pomocnicza jednostka obsługi technicznej czarną nocą przemierzała Zatokę Gwinejską, kiwając się i kołysząc na sztormowej fali. W ciszy zaciemnionej sterówki jej głos pobrzmiwał tonem spokojnego autorytetu. - Co zobaczyłeś na Amber Dawn, zostaje na Amber Dawn.

- Przysięgłem już przestrzegać Reguły Vegas, kiedy wypłynęliśmy z Nigerii.

- Nie żartuję, Terry. Jeśli w spółce dowiedzą się, że przemyciłam cię na pokład, dobiorą mi się do tyłka.

- A jest się do czego dobrać - odrzekł Terrence Flannigan, doktor medycyny, lekarz korporacyjny bez stałego miejsca zamieszkania, zmienny w uczuciach kobieciarz, światowej klasy kombinator. Uniósł prawą dłoń i posłał Janet Hatfield senny uśmiech.

- Okay, raz jeszcze przysięgam nie głądzić o Amber Dawn, o ropie naftowej w ogólności i eksploracji złóż głębinowych w szczególności, masz moje słowo honoru.

Kapitan, mocno zbudowana trzydziestopięcioletnia blondynka, odwróciła się i niespokojnie spojrzała na ekran radaru. Od kilku minut widniał na nim jakiś niewyraźny obiekt. Tajemniczy świetlisty punkcik, co rusz gasnący i pojawiający się na nowo. Zbyt ciemny jak na inny statek, ale też na tyle jasny, aby zmusić kapitan do zastanawiania się, co to, do licha, jest. Radar, nowy model furuno, był najzupełniej

godny zaufania. Ona jednak musiała dbać o bezpieczeństwo dwunastu ludzi: pięciu flipińskich marynarzy, sześciu Amerykanów, naukowców petrologów, i jednego pasażera na gapę. Trzynastu, gdyby doliczyła siebie, czego zresztą wołała nie robić.

Czy ten świecący punkt to tylko zakłócenia radiolokacyjne? Albo pusta beczka po ropie podskakująca na sztormowych falach, co pewien czas chowająca się w dolinach między nimi? A może coś większego, na przykład niezgłoszony, częściowo zatopiony kadłub jakiegoś statku, na który wołałaby nie wpaść z prędkością piętnastu węzłów?

Znów zaświecił, bliżej, jakby nie tylko dryfował, ale poruszał się w jej kierunku. Podstroiła radar, regulując zasięg i rozdzielczość. Poza nieznanym obiektem morze wyglądało na puste, jeśli nie liczyć kilku dużych tankowców oddalonych o bezpieczne dwadzieścia mil na zachód. Jedyne obiekty lądowe widoczne w górnej części ekranu stanowił szczyt Pico Clarence, wysokiej na dwa tysiące sto metrów wulkanicznej góry wznoszącej się w centrum Isle de Foree, ich punktu docelowego na dzisiejszą noc.

Spojrzała na inne przyrządy. Kompas i autopilot dawały normalny odczyt. Podobnie wskaźniki w szerokim panelu monitorującym pracę dieslowskich generatorów zasilających bliźniacze silniki elektryczne o mocy trzech tysięcy koni mechanicznych każdy. Popatrzyła uważnie w ciemne okna sterówki i sięgnęła po noktowizor. Pchnięciem ramienia otworzyła ciężkie, wodoszczelne drzwi i wyszła na krótki mostek. Ogarnął ją równikowy żar, powietrze było tak gęste od wilgoci, że można by je kroić nożem, generatory wyły ogłuszająco.

Podmuchy południowo-wschodniego monsunu od rufy spowijały nadbudówkę chmurą spalin z diesli. Fale, toczące się po morzu wzdłuż wybrzeża Afryki na przestrzeni trzech tysięcy mil, od okolic Kapsztadu, nabrały ogromnej mocy. Teraz unosiły wysoko rufę statku, zanurzając dziób aż po przedni pokład. W wilgotnym upale kapitan po chwili spływała potem.

Noktowizor za tysiąc osiemset dolarów sprawiła sobie na urodziny, żeby ułatwiać jej wypatrywanie boi nawigacyjnych i małych statków. Nie powiększała, ale skutecznie przebijała ciemność. Omiotła obiektywem morze przed dziobem. Wzmacniacz obrazu drugiej generacji barwił wszystko na zielono. Nie zauważyła

niczego, tylko grzywy fal niczym kłęby zielonożółtego szyfonu. Pewnie to tylko beczka. Janet czym prędzej skryła się w ciszy i chłodzie klimatyzowanej sterówki. Czerwonawa poświata przyrządów nawigacyjnych odbijała się w wyszczerzonych w zapraszającym uśmiechu zębach Flannigana.

- Nawet o tym nie myśl - rzuciła ostrzegawczo.

- Chciałem tylko wyrazić swoją wdzięczność.

- Za cztery godziny będziesz mógł wyrazić swoją wdzięczność panienom z salonów masażu w Porto Clarence. Wschodnioeuropejskie i chińskie tanie statki wycieczkowe zdążyły już odkryć stolicę Isle de Foree. Połączenie biedy, zabiegów miejscowego dyktatora rozpaczliwie poszukującego żywej gotówki i legendarnej urody wyspiarek, w których żyłach płynęła krew mieszkańców Afryki Zachodniej i Portugalczyków, sprawiło, że w dawnym pełnomorskim porcie epoki kolonialnej rozkwitła turystyka erotyczna.

Terry przechadzał się po sterówce.

- Pracowałem jako lekarz w tyłu spółkach naftowych, że umiem trzymać gębę na kłódkę. Ta podróż jest jednak otoczona niezwykle tajemnicą. Nigdy się z czymś takim nie zetknąłem.

- Przestań o tym głądzić. - Przez tydzień nic, tylko holowałaś hydrofony i działka powietrzne. Kiedy ostatnio twój statek pomocniczy udawał stację sejsmologiczną?

- W zeszłym miesiącu. - Janet Hatfield nieco za późno ugryzła się w język.

- Kapitańska klątwa - zaśmiał się Terry. - Zanadto kochasz swój statek, żeby utrzymać sekret. To nie pierwszy raz? Wolne żarty. Amber Dawn to jednostka pomocnicza obsługi technicznej, nie statek do poszukiwania złóż ropy. O co tu chodzi?

Dawn to jednostka pomocnicza obsługi technicznej, nie statek do poszukiwania złóż ropy. O co tu chodzi?

- Zapomnij, że to słyszałeś. Nie powinnam... to wszystko jest takie pokręcone. Ale co tam. Kiedy spółka zrobi mnie wiceprezesem do spraw floty pomocniczej, będę

zadawać pytania. Na razie dowodzę tym statkiem. A teraz zamknij się, ani słowa na ten temat. Jezu, powinnam zostawić cię w Nigerii.

- Już bym nie żył.

- Fakt - zgodziła się Janet. Nietrudno było zginąć w przesiąkniętej ropą naftową delcie Nigru. Lewackie bojówki porywały pracowników spółek naftowych prosto z platform wiertniczych, pijani żołnierze ostrzeliwali własne posterunki kontrolne, fanatycy różnej maści niszczyli co popadnie w imię Jezusa czy Mahometa. Ale doktor Terry jako pies na kobiety omal nie zginął w bardziej staromodnych okolicznościach: uganiał się za nim z maczetą zazdrosny mąż, ni mniej, ni więcej, tylko szef policji z koneksjami politycznymi, gotów porąbać na kawałki kłusownika, którego przyłapał na buszowaniu w jego ogródku.

- Powiedz, Janet, gdzie popełniliśmy błąd? - zapytał Terry z kolejnym, tym razem smutnym uśmiechem.

- Nasz związek rozpadł się z powodu różnicy wzajemnych oczekiwań.

Terry przyjaciel był więcej wart niż Terry kochanek. Jako życiowy partner zdradzał bez skrępowania, rozkochany w sobie do nieprzyzwoitości. Ale jako przyjaciel Terry Flannigan miał w sobie jakąś rzetelność, która kazała wierzyć, że własnym ciałem osłoni cię przed kulą. To dlatego Janet Hatfield bez wahania wzięła go na pokład, chroniąc przed szukającym zemsty facetem. Od dziesięciu dni ukrywała go przed załogą w swojej kajucie, „wietrząc” podczas swojej wachty.

Sterówka i przylegająca do niej kajuta Janet znajdowały się na szczycie czteropoziomowej nadbudówki w dziobowej części statku, w pewnym oddaleniu od pozostałych pomieszczeń. Poniżej mieściły się kajuty załogi, mesa i kambuz oraz świetlica, zamieniona przez naukowców w pokój komputerowy i centrum łączności. Petrolodzy ogłosili, że załozie wstęp tam jest zabroniony. Zakomunikowali kapitan, że nawet ona ma prosić o pozwolenie na wejście. Janet poinformowała ich, że nie zamierza tam wchodzić, chyba że wybuchnie pożar, a w takim przypadku na pewno najpierw nie zapuka.

- Wiesz, co aktualnie robią twoi petrolodzy?

Terry wyglądał przez tylny bulaj, wychodzący na blisko trzydziestometrowy, niski i płaski pokład towarowy, pusty tej nocy, jeśli nie liczyć sprzętu do holowania, dźwigu pokładowego i kabestanów.

- Odejdź od bulaja, zanim cię zauważą.
- Wyrzucają jakieś rzeczy za burtę.
- Ich sprawa.
- Jeden z nich łązi na czworakach z latarką... A, coś upuścił.
- Co wyrzucają? - mimowolnie zainteresowała się Janet.
- Komputery.

Pod pokładem, w pustym obecnie pokoju komputerowym, uszczęśliwieni petrolodzy, zrzuciwszy przepocone koszule, tańczyli taniec zwycięstwa. Przez dziesięć dni pracowali po dwadzieścia cztery godziny na dobę, uwięzieni na statku, gdzie posiadanie alkoholu czy narkotyków, a nawet butelki piwa oznaczało dożywotnie wykluczenie z naftowego biznesu. Teraz, po udanym przesłaniu terabajtów najgorętszych na Ziemi trójwymiarowych danych sejsmologicznych, czekała ich zasłużona hulanka w burdelach Porto Clarence.

Dane zostały uzyskane, model sejsmologiczny klienta dopracowany. Potwierdzono ponad wszelką wątpliwość, że to, co nafciarze nazywają polowaniem na słonie, zakończyło się sukcesem. Klient potwierdził odbiór głęboko zaszyfrowanego przekazu satelitarnego i polecił im wrzucić komputery do morza. Każdy laptop, komputer stacjonarny, nawet wartą pięćdziesiąt tysięcy dolarów stację roboczą do modelowania podpowierzchniowego. Trzeba było dwóch ludzi, żeby ją dźwignąć i wyrzucić za burtę. W ślad za nią poleciały także monitory, by nikt ciekawski nie wypytywał, do czego służyły, oraz hydrofony, działka powietrzne do prowadzenia badań sejsmicznych i ich zgodny ze specyfikacją wojskową przekaźnik satelitarny.

Za kilka godzin petrolodzy zamierzali świętować odkrycie „matki wszystkich złóż” - miliardów baryłek ropy naftowej i bilionów metrów sześciennych naturalnego

gazu. Isle de Foree z niegdyś utrzymującej się z rolnictwa wyspy, gdzie przez zaniedbane instalacje sączyła się wąska strużka ropy, miała się przeistoczyć w zachodnioafrykańską Arabię Saudyjską.

- Hej, Janet, ilu trzeba zdechłych dinozaurów, żeby powstało złożę ropy?

- Alg, nie dinozaurów.

Terry Flannigan zapatrzył się w ciemność przed dziobem statku. Ten wielki sekret mógł łączyć się tylko z ropą naftową. Morze tutaj było głębokie na kilka kilometrów, ale jeśli miało się przed oczami minione eony, ery i epoki, stawało się jasne, że dno stanowiło przedłużenie płytkiego szelfu afrykańskiego. Od niepa-miętnych czasów rzeka Niger zrzucała osady do Oceanu Atlantyckiego. Maż złożona z mułu, piasku, martwych roślin i zwierząt wypełniała oceaniczne rowy, szczeliny i rozpadliny, poprzez stok cokołu kontynentalnego, aż zaczęła się przelewać, coraz dalej w głąb morza, i tam zaległa. Pewna petrołożka powiedziała mu kiedyś, że warstwa sprasowanego osadu osiągnęła grubość piętnastu kilometrów.

- A co powstało z dinozaurów? Węgiel?

- Węgiel powstał z drzew - z roztargnieniem odpowiedziała Janet ze wzrokiem utkwionym w ekranie radaru. Włączyła światła cumowania. Potężne lampy rozjaśniły mrok w promieniu stu metrów.

- O, cholera!

- Co?

Z ciemności wyłonił się sześciometrowy ponton ze sztywnym dnem, napędzany przez dwa olbrzymie silniki zaburtowe Merkury, najeżony lufami karabinów szturmowych i ręcznymi wyrzutniami rakiet. Chwyła za ster, przechodząc na sterowanie ręczne. Ponton zmagął się ze wzburzonym Atlantykiem. Może zdoła go wyprzedzić. Ustawiała Amber Dawn tyłem do pontonu, zadała autopilotowi nowy kurs, silniki przestawiła na pełną moc i porwała zwisający z sufitu mikrofon radiostacji.

- Mayday, Mayday, Mayday. Tu Amber Dawn, Amber Dawn, Amber Dawn. Jeden stopień, dziewiętnaście minut szerokości północnej. Siedem stopni, czterdzieści trzy minuty długości wschodniej.

Kilkakrotnie powtórzyła swoją pozycję. Nikt jej nie pomoże, jeśli nie będzie mógł znaleźć statku.

- Piraci wdzierają się na pokład Amber Dawn. Jeden stopień, dziewiętnaście minut szerokości północnej. Siedem stopni, czterdzieści trzy minuty długości wschodniej.

Nigdy nie było pewności, że ktokolwiek cię słyszy. Ale znajdująca się na mostku, nadająca na częstotliwości 406 MHz satelitarna radiobojka EPIRB w wodoszczelnej obudowie miała bez przerwy sygnalizować pozycję statku, nawet po jego zatonięciu. Janet raz jeszcze wyszła ze sterówki, by ręcznie włączyć urządzenie.

Ponton znajdował się na tyle blisko, że widziała ośmiu ludzi w mundurach maskujących. Leśny kamuflaż na łodzi?

Musieli przy płynąć z Isle de Foree, pomyślała, to jedyny ląd pozostający w zasięgu pontonu. Ale żołnierze wojsk rządowych nie płynęliby takim małym pontonem desantowym. Rebelianci z Ruchu Wolnej Foree? Piraci czy rebelianci, czego chcieli? Na tym statku pomocniczym tylko załoga przedstawiała jakąś wartość. Można ją było uprowadzić jako zbiorowego zakładnika lub dla okupu. Nie powinni więc zabić jej ludzi. Przynajmniej na razie.

Ponton zajaśniał błyskami wystrzałów niczym bożonarodzeniowa choinka i w jednej chwili kule strzaskały wszystkie szyby sterówki. Janet Hatfield poczuła silne uderzenie w brzuch. Nogi odmówiły jej posłuszeństwa i poleciała do tyłu, prosto w ramiona Terry'ego. Nigdy nie przestajesz próbować, co? - chciała zapytać ze śmiechem, tyle że nie mogła mówić i nagle zaczęła się bać.

Sieć załadunkowa zawisła na hakach bosaków na niskiej krawędzi głównego pokładu Amber Dawn. Siedmiu powstańców z RWF z karabinkami w dłoniach wdrapało się na pokład. Byli szczupli, sprawni, prawdziwi wojownicy o surowych rysach twarzy i skórze barwy cafe au lait, jak większość mieszkańców Isle de Foree. Dowodził jednak nimi barczysty południowoafrykański najemnik, Hadrian Van Pelt.

Afrykaner trzymał w dłoni kopię listy pasażerów i załogi Amber Dawn.

Dwóch ludzi posłał do maszynowni, skąd po chwili dobiegł odgłos wystrzałów i generatory stanęły, poza jednym, który zasiliał oświetlenie. Ludzie Van Pelta odkręcili zawory denne i do kadłuba statku zaczęła wpływać woda.

Dwaj inni kopniakami otworzyli drzwi pokoju komputerowego. Dowódca szedł za nimi z listą załogi i pasażerów.

- Tam! Pod ścianę.

Petrolodzy, półnaczy i przerażeni, ustawili się pod ścianą, wymieniając spojrzenia pełne niedowierzania. Van Pelt policzył ich i krzyknął:

- Pięciu! Kogo brakuje?

Wzrok stojących pod ścianą powędrował ku szafie. Afrykaner ruchem głowy dał znak jednemu ze swoich ludzi, a ten krótką serią rozpruł drzwi szafy. Statek zakołysał się i z wnętrza wypadło ciało ukrytego tam naukowca. Van Pelt ponownie skinął głową i rebelianci rozstrzelali pozostałą piątkę.

Odgłos wystrzałów dobiegający z wyższego pokładu oznaczał zagładę filipińskiej załogi Amber Dawn. Jedenastu załatwionych, pozostała tylko kapitan. Najemnik wyciągnął pistolet i wspiął się po schodkach na mostek. Stalowe drzwi do sterówki nie dawały się otworzyć. Na jego znak jeden z żołnierzy srebrzystą taśmą przykleił do drzwi porcję C-4. Ukryli się w połowie schodów i zasłonili uszy. Wybuch z donośnym hukiem wyrwał drzwi i Van Pelt wpadł do sterówki.

Ku zaskoczeniu najemnika kapitan nie była sama. Leżała na podłodze, ładna blondynka w spodniach i bluzce przesiąkniętych krwią. Obok klęczał jakiś mężczyzna i pochylony nad ranną opatrywał ją pewnymi, oszczędnymi ruchami, jak pracujący na pobożowisku sanitariusz.

Afrykaner uniósł pistolet. - Jesteś lekarzem? Terry Flannigan wyczuwał śmierć pod dłońmi, a kiedy podniósł wzrok znad podziurawionej kulami piersi Janet i spojrzał na stojącego w drzwiach człowieka z bronią, patrzył śmierci w oczy.

- Jakiej specjalności lekarzem? - dopytywał się tamten. - Chirurgiem urazowym, dupku. A co ja tu robię?

- Pójdiesz ze mną.

- Nie mogę jej zostawić. Ona umiera. Najemnik podszedł bliżej i strzelił Janet Hatfield w głowę. - Już nie. Ładuj się do pontonu.

Rozdział 2

Paul Janson zszedł po stromych schodach do Sofia's Club Cache mieszczącego się w suterenie hotelu Edison. Kędzierzawa brunetka, która z olśniewającym uśmiechem, zarezerwowanym dla nowych klientów, przyjęła odeń piętnastodolarową opłatę za wstęp, widziała go takim, jakim chciał być widziany. Miała oto przed sobą biznesmena spoza Nowego Jorku, liczącego na to, że Vince Giordano i jego słynna dixielandowa kapela Nighthawks ożywią nieco samotny poniedziałkowy wieczór. Jego granatowy garnitur, przemyślnie skrojony tak, by skrywał atletyczną sylwetkę, wyglądał jak klasyczny, workowaty produkt Brooks Brothers, ani elegancki, ani kosztowny. Zadbął o to krawiec Jansona, rezygnując z guzików przy mankietach i obszytych butonierek. Zmarszczki na czole Paula nadawały mu wygląd mężczyzny cokolwiek po trzydziestce, a ledwo widoczna blizna mogła być pamiątką po uprawianych w college'u sportach.

Janson odebrał resztę, odpowiedział brunetce niezapadającym w pamięć uśmiechem i jak połowa wchodzących do klubu osób, zauważył:

- Aż się buda trzęsie. W głębi obszernego, niskiego pomieszczenia jedenasto-osobowy zespół wyfraczonych muzyków wygrywał z wigorem Shake That Thing.

Były tam saksofony, klarnety, trąbki, puzon, bandžo, fortepian i aluminiowy podwójny bas. Przy stolikach pożywiała się i popijała setka ludzi. Na parkiecie uwijał się w tańcu tuzin par. Wielu tancerzy wykazywało ponadprzeciętne umiejętności. Mężczyźni i kobiety po trzydziestce mieli na sobie garnitury i suknie jak z epoki jazzu nowoorleańskiego. Młodszy woleli T-shirty i workowate spodnie.

Jedna z tych młodszych, atrakcyjna kobieta o wyrazistych, regularnych rysach twarzy, wydatnych kościach policzkowych, pełnych ustach i nastroszonych, kasztanowych włosach „jak prosto z łóżka”, tańczyła popularnego w latach dwudziestych szybkiego one-stepa z intensywnością i precyzją laserowego plottera.

Janson powstrzymał pełen uznania uśmiech. Jessica Kincaid stawiała sobie niemałe wymagania: „Ostro do przodu, dopóki nie zacznie boleć, potem włączyć drugi bieg i to samo zrobić lepiej”.

Dziewczyna rzuciła Paulowi spojrzenie, w którym fascynacja mieszała się z zazdrością. Janson był niedościgłym mistrzem kamuflażu i to ją wściekało. Ciężko pracowała, by zasłużyć na opinię kameleona. Zmieniając ubiór, uczesanie, biżuterię i makijaż, umiała z dwudziestopięciolatki przeistoczyć się w trzydziestopięciolatkę i z aktoreczki z Brooklynu w poczciwą barmankę z obskurnego baru z szafą grającą lub w zapiętą na ostatni guzik pracownicę banku. Nigdy jednak nie nauczyła się wyglądać nijako, a gdy próbowała, Janson ze śmiechem zauważył, że słów „nijaka” i „interesująca” nie da się użyć w tym samym zdaniu.

Paul Janson po prostu był. Chyba że go nie było. Potrafiłby się ukryć w najbardziej widocznym miejscu. Gdyby zechciał, umiałby zwrócić na siebie uwagę. Bardziej jednak prawdopodobne, że wszedłby niezauważony - tak jak teraz - i tak samo wyszedł. Znał nawet sztukę z takim ustawieniem ramion, że wyglądał na osobę średniego wzrostu. Kincaid ponownie spojrzała w jego kierunku. Tym razem na chwilę pochwycił jej wzrok i skierował się ku schodom.

- Muszę iść - powiedziała swojemu instruktorowi tańca. - Obowiązki wzywają.

Taksówka Town Car wyglądała identycznie jak tysiąc innych czarnych firmowych taksówek w śródmieściu. Ale chłopak siedzący za kierownicą prowadził kiedyś w Iraku pojazdy opancerzone osłaniające konwoje cystern z paliwem i kiedy Jessica otworzyła drzwi, wewnątrz wozu nie zapaliło się światło.

- Dokąd jedziemy? - zapytała, spoglądając na niemal niewidoczną w mroku masywną sylwetkę Jansona.

- Pierwszy przystanek: Houston, Teksas. Kwatera główna American Synergy Corporation.

Niezły początek. Największa spółka naftowa w kraju. Po katastrofie w Zatoce Meksykańskiej, która nadwyreżyła pozycję BP, przechwyciła dzierżawy najbogatszych złóż.

- A potem?

- Przypuszczam, że do Afryki Zachodniej. Jeśli weźmiemy tę robotę. Jeżeli nie, do domu. A pewnie nie weźmiemy.

- Po co więc w ogóle jechać do Houston?

- Prezes ASC do spraw bezpieczeństwa globalnego jest moim starym przyjacielem.

W ciemności dziewczyna skinęła głową. Janson miał mnóstwo starych przyjaciół, i kiedy któryś z nich zadzwonił, spieszył mu na spotkanie. Podał jej grubą rącznik.

- Nie przezięb się.

Spocona po tańcu na wysokich obrotach trzęsła się z zimna w klimatyzowanym wnętrzu taksówki.

- Chcesz powiedzieć, że śmierdzą?

Mimo znajomości kilku języków i nieocenionego talentu do naśladowania najróżniejszych akcentów Kincaid nie do końca wyzbyła się pozostałości nosowej wymowy mieszkańców Kentucky, gdzie się wychowała. Ujawniało się to, zwłaszcza gdy przebywała sam na sam z Jansonem.

- Właśnie na takie okazje mamy w samolocie prysznic.

Trafili na zielone światło w kierunku Madison Avenue, którą dojechali aż do Major Deegan, a następnie skręcili w Hutchinson River Parkway. Późną nocą ruch na przedmieściach był niewielki. Czterdzieści minut po opuszczeniu hotelu Edison dotarli do portu lotniczego Westchester. Ominęli terminal pasażerski i podjechali do części lotniska ogrodzonej płotem z bramą otwieraną silnikiem elektrycznym. Z głośnika dobiegł ich głos ochroniarza pytającego o cel przyjazdu.

- Numer rejestracyjny samolotu osiem-dwa-dwa-Romeo-Echo - podyktował kierowca.

Brama rozsunęła się i wjechali na teren lotniska. Strażnik otworzył drugą bramę, otwierając im drogę ku płycie lotniska. Ogromną, ciemną przestrzeń rozjaśniały jedynie niebieskie, żółte i zielone światelka znaczące krawędzie dróg kołowania, pasów startowych i ich progów. Samochód zatrzymał się obok srebrnego

embraera legacy 650 z parą ogromnych silników odrzutowych Rolls-Royce'a AE 3007 zamontowanych w tylnej części kadłuba. Piloci odczytywali listy kontrolne. Janson i Kincaid weszli na pokład samolotu, wciągnęli składane schodki, umożliwiające szybkie wyjście bez potrzeby korzystania z lotniskowych schodni, i zamknęli drzwi.

Luksusowy odrzutowiec dalekiego zasięgu, przeznaczony pierwotnie do przewożenia czternastu pasażerów, dwojgu zapewniał maksymalny komfort. Firma Embraer przebudowała samolot zgodnie z wymaganiami Jansona. Przystosowano go do jednorazowego przerzucania dwóch, trzech agentów terenowych, tak by wypoczęci, nakarmieni, odpowiednio przygotowani i dysponujący kompletem informacji byli w stanie wykonać każde zadanie w dowolnym miejscu na świecie. Kuchenka, znajdująca się bezpośrednio za kabiną pilotów, została unowocześniona, toaletę zaś i tylną część kabiny pasażerskiej zmieniono w przebieralnię i kompletnie wyposażoną łazienkę. W przedniej części dawnej kabiny pasażerskiej urządzono pracownię i jadalnię, w środkowej zainstalowano składane łóżka na wypadek rejsów międzykontynentalnych.

Samolot osiągnął wysokość trzynastu tysięcy pięciuset metrów i pilot wywołał centrum kontroli obszarowej:

- Centrum Nowy Jork, embraer dwa-dwa-Romeo na wysokości przelotowej cztery-jeden-zero.

W tym właśnie momencie z łazienki wyszła Jessica owinięta we frotowy szlafrok. Janson siedział w swoim zielonym skórzanym fotelu, studiując akta opatrzone etykietą „ASC - American Synergy Company”. Na stoliku obok stał otwarty laptop i szklanka wody. Identyczna teczka z aktami i laptop czekały obok czerwonego fotela Kincaid, razem z wodą i opakowaniem cytrynowych tabletek elektrolitowych Camelbak Elixir.

Paul spojrział na nią znad druczianych okularów do czytania i stwierdził, że w zupełności spełnia jego niewinne wymagania starszego faceta.

- Gdybyśmy umieli butelkować zapach kobiety po kąpieli, byłibyśmy bogaci - powiedział.

- Znam takich, którzy uważają, że już jesteśmy bogaci. Dotknęła czytnika linii papilarnych, by otworzyć schowek na bagaż, otworzyła wewnętrzną skrytkę i wyjęła swój samopowtarzalny karabin snajperski Knight M110. Broń była doskonale

wyczyszczona i naoliwiona, ale Jessica i tak rozłożyła ją, układając części na składanym kuchennym stoliku. Przetarła i posmarowała każdą, sprawdziła stopień zużycia i złożyła karabin. Janson miał wrażenie, że patrzy na kota, który choć już czysty, wciąż jeszcze się myje, szykując do polowania.

Przed schowaniem karabinu Kincaid chętnie wyjęłaby kasetę z akcesoriami i podobnej kontroli poddała celowniki optyczne dzienny i nocny, dwójnóg i celownik laserowy, ale koło fotela leżała teczka z aktami czekającymi na przeczytanie.

- Mogę rozpakować jedną z twoich koszul?

- Oczywiście - odparł Janson, nie odrywając wzroku od dokumentów.

Jessica wyjęła z szuflady wbudowanej w ścianę komódki świeżo uprasowaną bladoniebieską koszulę Burberry, ostrożnie wyciągnęła z niej kartonowy usztywniacz z pralni i na powrót umieściła koszulę w szufladzie. Usiadła w fotelu i otworzyła dossier American Synergy Corporation. Przytrzymała kartonik u góry pierwszej strony i w miarę czytania przesuwiała go w dół, zasłaniając kolejne linijki tekstu. Gdyby tego nie robiła, bez przerwy wracałaby do przeczytanych fragmentów i czytała na nowo, w obawie, że gdzieś się pomyliła.

- Dysleksja - wyjaśniła, kiedy po raz pierwszy rozmawiała na ten temat z Jansonem.

- Niezbyt poważny przypadek. Po prostu dysleksja. Tam, w Red Creek, tak tego nie nazywali. Wszyscy uważali, że jestem nieco opóźniona w rozwoju. Ale nie martw się o mnie - dodała szybko. - Strzelałam lepiej niż chłopaki i umiałam naprawić każdy samochód na stacji benzynowej mojego taty.

Sztuczki z kartonikiem nauczyła się, brnąć w college'u przez rozmaite kursy, by wstąpić do FBI, co okazało się pierwszym krokiem w kierunku służby w OPKON-ie.

Przeczytała raport na temat ASC od deski do deski. Ilekroć musiała sprawdzić jakiś szczegół w laptopie, ustawiała kursor u dołu strony i przewijała tekst strzałką w dół, zasłaniając to, co już przeczytała. Kiedy jednak w pewnym momencie „b” zrobiło fikołka i zmieniło się w „p”, zrozumiała, że jest już zbyt zmęczona, by kontynuować pracę nad aktami.

Uznała, że nadeszła pora załadować promocyjny film w formacie Blu-ray zatytułowany American Synergy Corporation - Nowa energia na nowe jutro.

Paul rozłożył fotel i zasnął. Nacisnęła przycisk, który i jej fotel ustawił w pozycji poziomej, i leżąc, słuchała Kingsmana Helmsa, prezesa ASC Petroleum Division przemawiającego do udziałowców. Przystojny i wygadany, przypominał ewangelickich kaznodziejów z jej rodzinnych stron.

„Nie chodzi o to, aby lepiej opowiedzieć naszą historię. Musimy stworzyć lepszą historię. Długotrwały wzrost oznacza długie trwanie.

Ropa naftowa to niejedyne źródło energii, które nas interesuje. Także energia wiatrowa, słoneczna, jądrowa oraz uzyskiwana ze spalania biomasy i węgla jest w centrum naszej uwagi. Naszą misją jest dostarczanie, z gwarancją ciągłości dostaw, bezpiecznej, niezagrażającej środowisku, taniej energii - nie tylko dziś, ale przez najbliższe dwadzieścia lat. Wiele złych rzeczy wydarzyło się ostatnio”. Helms przerwał i spojrzał prosto w obiektyw kamery wzrokiem, który mówił, że wszyscy wiedzą, co ma na myśli: bajzel na Wall Street, wścibstwo rządu, wycieki ropy wywołane przez nieudolną konkurencję. „Amerykanie liczą na nas bardziej niż kiedykolwiek. ASC ich nie zawiedzie, bo w ASC nigdy nie zapominamy, że przywództwo - to nie dbałość o teraz, o dziś. Przywództwo to dbałość o przyszłość, o jutro”.

Naukowcy na usługach ASC dołączyli do filmu czytany przez lektora aneks: „Jeśli chodzi o takie źródła energii jak wiatr, światło słoneczne, biomasa, rozpad atomu i węgiel, korporacja przestała się interesować biomasą, którą w notatce do użytku wewnętrznego określono jako »wielki kawał zrobiony Kongresowi przez stany rolnicze«. W biomasę zainwestowano dość, by móc skupić się na nowych przedsięwzięciach z zakresu energetyki słonecznej i na producentach turbin wiatrowych, ostatnio zgromadzono też znaczną ilość akcji spółek węglowych z Appalachów”. Kincaid zjeżyła się wewnętrznie; to oznaczało koniec górnictwa, najlepsi opuszczą góry. Naukowcy zwrócili uwagę na największe wyzwanie stojące przed ASC: bezpośrednią rywalizację o dostęp do nowych złóż podmorskich ze strony China National Offshore Oil Corporation. „Mówiąc po prostu, choć ASC jest wielką, potężną globalną korporacją, Chiny ograniczają możliwości jej działania za granicą.

Aby przez najbliższe dwadzieścia lat pozostać na szczycie, ASC będzie musiała prowadzić swoje interesy w sposób jeszcze bardziej bezwzględny”.

O trzeciej rano embraer wylądował w porcie lotniczym Hobby w Houston. Pilot podkołował pod obsługujący prywatne loty terminal Million Air i o szóstej obudził szefostwo na przygotowane przez siebie śniadanie.

- Wiesz, Mike - powiedział Janson, wiążąc klubowy krawat w drobny powtarzalny deseń - czego się boję najbardziej? Że któregoś dnia rzucisz latanie i otworzysz restaurację.

- Samochód będzie za dwie minuty - oznajmiła Kincaid, wychodząc z przebieralni. Miała na sobie garsonkę, włosy gładko zaczesane do tyłu i związane odsłaniały uszy i wysokie czoło. Nadawało to jej wygląd menedżerki niższego szczebla. Tryskała energią.

Firmowy samochód Million Air zawiózł ich do hotelu Hilton Americas-Houston. Przeszli przez hol i wmieszali się w tłum biznesmenów, po hotelowym śniadaniu spieszących do przyległego Brown Convention Center. Po wyjściu z łącznika minęli jednak recepcję i niebawem znaleźli się na zewnątrz, rozglądając się za taksówką.

Centrala American Synergy Corporation mieściła się w okrągłym, trzydziestopiętrowym budynku odsuniętym nieco od Sam Houston Tollway. Wyglądał jak olbrzymi brązowy silos. W podjazd, wejście frontowe i hol wycelowane były kamery monitoringu. Strażnicy w holu obsługujący wykrywacz metali nosili broń u boku. Ci w recepcji ukrywali ją pod odzieżą.

- Paul Janson i Jessica Kincaid do Douglasa Case'a. Drukowane identyfikatory gości już na nich czekały. Windą dla VIP-ów wjechali na dwudzieste dziewiąte piętro, gdzie mieściły się biura zarządu. Z okien foyer widać było zalegający poniżej smog, zabarwiony przez słońce na pomarańczowo. Niemal niesłyszalne buczenie elektrycznego wózka z napędem pasowym przerwał radosny okrzyk:

- Paul!

Janson zatrzymał toczący się jeszcze sześciokołowy, wykonany na zamówienie pojazd i wyciągnął rękę.

- Cześć, Doug. Jak leci?

- Świetnie. Świetnie. Niesamowicie.

Uścisnęli sobie dłonie i przez dłuższą chwilę nawzajem badali wzrokiem swoje twarze. Dwaj dobrze ubrani biali faceci wchodzący w wiek średni, pomyślała Jessica. Doug Case wyglądał na równie twardego jak Paul. Gładko ogolony, ostrzyżony krótko, po wojskowemu, ale przez drogiego fryzjera, miał na sobie garnitur za cztery tysiące dolarów, świeżo wyprasowaną koszulę i połyskliwy żółty krawat.

- Dzięki za szybkie przybycie.

- Cała przyjemność po naszej stronie. To moja współpracowniczka, Jessica Kincaid.

Dłoń Douga Case'a miała giętką twardość laminowanego kevlaru. Wpił w nią badawcze, przenikliwe spojrzenie, a potem zapytał przez ramię Jansona:

- Co ona wie?

- O nas? - Janson znacząco spojrzał w głąb foyer.

Choć nikogo w nim nie było, to nadal pozostawało miejscem publicznym.

- Służyliśmy w siłach specjalnych. Ciebie postrzelili, mnie nie.

- A ty, Jessico? Gdzie byłaś?

- To nie twój interes - odparł za Jessicę Janson tonem zarówno przyjaznym, jak i wykluczającym dalszą dyskusję.

- Wiesz, Jessico, że mój dawny, a twój obecny współpracownik znany był kiedyś w kręgu tajnych agentów jako Maszyna?

- Twoje śledztwo kuleje - zaripostowała.

Biorąc przykład z Jansona, powiedziała to z uśmiechem.

- Maszyna miał opinię najlepszego z najlepszych. Słyszałaś o tym?

- Zostaw to, stary - wtrącił Paul. - Temat zakazany.

- Tak czy inaczej, wszyscyśmy się zmienili, prawda?

Ostatnio chwalebnych czynów dokonuję głównie na polu ochrony zagrożonych systemów SCADA - powiedział Doug i spojrzał zaczepnie na nieprzestającą się uśmiechać dziewczynę.

- Supervisory Control And Data Aquisition, system kontroli i nadzoru procesów przemysłowych, jest w coraz większym stopniu podatny na różne incydenty w obrębie zabezpieczeń sieciowych, od kiedy korporacje celem ograniczenia kosztów zaczęły rezygnować z własnych bezpiecznych sieci na rzecz sieci bazujących na internecie.

- Ale SCADA to nie jest powód, dla którego nas tutaj zaprosiłeś, Doug - stwierdził Janson.

- Tu masz rację. Chodźcie do mojego biura.

Szli za wózkiem Douga, mijając ciąg zamkniętych drzwi po obydwu stronach szerokiego korytarza.

- Jak się leciało? - zapytał przez ramię.

- Według rozkładu.

W sekretariacie biura Douga elegancka kobieta w średnim wieku, którą przedstawił jako Kate, dyrygowała parą pomocnic, uśmiechniętych sztucznie niczym panny z Junior League. Okna jego gabinetu wychodziły na południe.

- Jak nie ma smogu, widać stąd Zatokę Meksykańską.

- Ale w tej chwili - zauważył Janson - wolałbyś oglądać Zatokę Gwinejską.

- Skąd ten pomysł?

- W jakim stanie jest ASC?

- Wspaniałym. Stosujemy najwyższe standardy bezpieczeństwa. Nie chrzanimy roboty w terenie i jesteśmy najlepsi, jeśli chodzi o kontrolowanie kosztów. Dlatego wyciągamy większy zysk z baryłki ropy niż ktokolwiek. Do tego American Synergy nie straciła głowy, kiedy wszyscy inni dostawali świra na punkcie alternatywnych źródeł energii i robili suche odwierty.

- Wy też nie zrobiliście zbyt wielu mokrych. Złóża pozostające w dyspozycji ASC kurczą się. W tej chwili jedynym miejscem na świecie, gdzie moglibyście znaleźć nowe, jest Afryka Zachodnia. Cullen trafił w dziesiątkę niedaleko Wybrzeża

Kości Słoniowej i wy prawdopodobnie liczycie na to samo, zanim z okazji skorzystają Chińczycy. Tak więc wasze kłopoty mają źródło w Zatoce Gwinejskiej.

- Odrobiłeś lekcję, Paul. Jak zwykle. Ale nie do tego zadania. Ono nie ma nic wspólnego ze złożami ropy.

- Co stanowi wasz problem?

- Pewnie słyszałeś, że w zeszłym tygodniu straciliśmy serwisowy statek pomocniczy.

- Widziałem informację o zatonięciu w Zatoce Gwinejskiej jakiegoś statku pomocniczego z całą załogą. Nie wiedziałem, że należał do American Synergy. Był zarejestrowany na jakąś holenderską firmę.

- Ustaliliśmy, że zaatakowali go powstańcy z Ruchu Wolnej Foree.

- Dlaczego?

- Wymordowali załogę.

- Dlaczego?

- A kto to, do diabła, wie?

Problem w tym, że ci obłąkani mordercy porwali jednego z naszych ludzi. Musimy go uwolnić. I tu wkraczasz ty.

- Jeśli zabrali go do swojej bazy na Pico Clarence, nie będzie lekko.

- Przetrzywiają go właśnie na Pico Clarence. Gdzieś wysoko na zboczach góry, w głębi interioru.

- Wracając do moich pytań... Dlaczego Powstańcy RWF mordujący załogę waszego statku... To nie ma sensu. RWF wygrywa swoją wojnę. „Dożywotni prezydent” Iboga jest powszechnie znienawidzony.

- Zjadanie jąder i mózgow swoich politycznych konkurentów na ogół wkurza ludzi - zgodził się Case. - Nawet w Afryce.

- Iboga przegrywa - rzekł Janson. - Jeszcze trochę i zostanie obalony.

Dożywotni prezydent Iboga doprowadził do ruiny gospodarkę Isle de Foree. Swego czasu przy militarnym wsparciu Nigerii wyspa odłączyła się od Gwinei Równikowej. Iboga, lider opozycji w parlamencie Isle de Foree i były uczestnik wojen

w Angoli, przechwycił władzę w drodze zamachu stanu. Zmienił imię na Iboga, od nazwy pewnego halucynogenu występującego w lasach deszczowych, rozdał plantacje kawy i kakao swoim skorumpowanym przyjaciółom, a niewielkie, przestarzałe państwowe instalacje naftowe zupełnie go nie interesowały.

- Jak rozumiem, rebelianci kupują uzbrojenie od angolskich i południowoafrykańskich przemytników broni. Już oczyścili niebo wokół Pico Clarence z helikopterów Ibogi. Właśnie uwolnili swojego przywódcę z więzienia Black Sand, co dodatkowo czyni bezsensownym zabicie waszych ludzi. Ferdinand Poe jest nadzieją demokracji. Dlaczego jego bojownicy mieliby psuć wizerunek słusznego buntu, mordując niewinnych? Poe nie może sobie pozwolić na drażnienie opinii międzynarodowej, bo zależy mu na uznaniu jego nowego rządu.

- Dobre pytanie - przyznał Case. - Ale powtarzam: kto wie? Szał wojenny? Mylne informacje? Zemsta? To długa, krwawa wojna z mnóstwem brutalnych aktów po obu stronach.

- Czy zażądali okupu? - zapytała Jessica.

- Nie. Nasz człowiek jest lekarzem. Wygląda na to, że potrzebowali lekarza dla Ferdinanda Poego. Nietrudno sobie wyobrazić, co wyprawiali z nim strażnicy w Black Sand.

- Ale jeśli statek zatonął, załoga została wymordowana, a rebelianci nie żądają okupu, skąd wiesz, że RWF uprowadził jednego z waszych ludzi?

- Domyśliłem się.

- Domyśliłeś się? - Jessica spojrzała na swojego towarzysza wzrokiem, który mówił: A co to za palant? Janson nie miał już wątpliwości, że Jessica i Doug od początku znajomości poczuli do siebie nawzajem silną awersję, toteż odezwał się uspokajającym tonem:

- Przypuszczam, że kiedy ASC zainstalowała się w kilku strefach Zatoki Gwinejskiej objętych programem wspólnego rozwoju, Doug oderwał się na pewien czas od swoich wyczynów ze SCADA i nawiązał kontakt z afrykańskimi handlarzami bronią, żeby sprawdzić, co się dzieje w obozie powstańców. Mam rację, stary?

Case puścił oko do Jansona.

- Kolejny punkt dla Maszyny.

- Odwrócił się do dziewczyny i powiedział: - Faceci zaopatrujący RWF w artylerię doszli do wniosku, że mogą być zainteresowany tym, co się dzieje na Pico Clarence.

- Dlaczego więc nie wynająć przemysłowców broni i nie zlecić im odbicia doktora? Szef bezpieczeństwa ASC zaśmiał się i znów puścił oko do dawnego kolegi. - Oto słowo dzidzi.

- Co? - warknęła Kincaid.

- To są przemysłowcy broni. Oni przynoszą, nie wynoszą. Poza tym nie zrobią niczego, co mogłoby im zepsuć następną transakcję. A jeśli, jak uważa Paul, RWF wygrywa wojnę z Ibogą, przemysłowcy będą działali z dużą rozważą w nadziei, że wzmocnią swoją pozycję wobec handlarzy, sprzedając droższą broń zwycięskim przyjaciółom w nowym rządzie.

Zabrzącał telefon komórkowy. Case wyrwał aparat z uchwytu na pełnym przycisków i wskaźników podłokietniku.

- Mówiłem, żadnych telefonów. Dobrze, dziękuję. - Odłożył telefon i oznajmił: - Za chwilę poznacie Kingsmana Helmsa, prezesa Działu Wydobywania ASC.

- Widzieliśmy film - rzekła Jessica. Case skrzywił się.

- Wcielenie korporacyjnej arogancji - stwierdził i małpując sposób mówienia Helmsa, wyrecytował:

- Nie chodzi o to, żeby lepiej opowiedzieć naszą historię. Musimy stworzyć lepszą historię. A może taka historia: wielka ropa i węgiel od dwudziestu lat blokują produkcję naturalnego gazu ze złóż amerykańskich. Z jakiegoś powodu udziałowcy uważają, że słońce wschodzi i zachodzi dla tego sukinsyna.

- Wygląda na to, że jesteś skonfliktowany ze swoim pracodawcą - uśmiechnął się Janson.

- Helms jest pierwszym węzem w kłębowisku żmij Buddy.

- Kto to jest Budda? - zapytała Jessica.

- Tak nazywamy Starego.

- A Stary to dyrektor generalny American Synergy, Bruce Danforth?

- Zgadza się. Kingsman Helms jest jedną z sześciu osób: czterech mężczyzn i dwu kobiet, które wyprułyby flaki własnym matkom, gdyby im to pomogło zająć w American Synergy miejsce Buddy.

- Czy jesteś jednym z tych mężczyzn?

Case uśmiechnął się chłodno.

- Nie ta ścieżka kariery. Ja zajmuję się sprawami bezpieczeństwa, ochrony.

- Właśnie ochrona - odgryzła się Kincaid - ostrzegła cię przed chwilą, że nadchodzi Helms.

Masz konkurencję na oku.

- Szefowie ochrony, podobnie jak konsultanci do spraw bezpieczeństwa, są sługami, Jessico. To coś, co będziesz musiała zaakceptować, jeśli zostaniesz w naszym biznesie. My chronimy, nie rozkazujemy. Drzwi otworzyły się raptownie. Do gabinetu wszedł bez pukania trzydziestoosmioletni wysoki blondyn, Kingsman Helms.

- Jak rozumiem, Doug, wezwałeś marines. Przenikliwe spojrzenie niebieskich oczu Helmsa zatrzymało się na Jessice.

- Czołem, marines.

Teraz prezes wwiерcił wzrok w Paula.

- Kingsman Helms - przedstawił się, wyciągając rękę.

- A pan?

Ze skrywanym uśmiechem Kincaid przyglądała się, jak Janson wkracza w przestrzeń, ku której kierował się Helms, hamuje jego pęd, zmuszając do ściągnięcia cugli.

- Paul Janson. CatsPaw Associates.

- O jaką to kocią łapę miałoby chodzić? O „szybkie łapy kocie” Keatsa, które zabiły tłustego marudera? Czy o kocią łapę, którą mała papieża zwykła wyciągać kasztany z ognia? A może o naszą współczesną wścibską łapę?

- Zapewniamy pełną obsługę klienta.

Helms uśmiechnął się z uznaniem.

- To ładnie.

- Moja partnerka, Jessica Kincaid.

- Miło panią poznać, Jessico. - Prezes uśmiechnął się i już całkowicie rzeczowym tonem człowieka interesu zwrócił się do Jansona: - Dla kogo wy dwoje pracujecie?

- CatsPaw Associates jest niezależną firmą.

- Niezależną, więc małą.

- Klienci zaakceptowani przez nas liczą na naszą mobilność i elastyczność.

- Pytam - chłodno odrzekł Helms - czy mała firma jest w stanie uruchomić środki niezbędne do wykonania tego zadania. Ku zaskoczeniu Jansona do rozmowy wtrącił się Douglas Case, rzucając krótkie:

- Oduść sobie, Kingsman. To moja sprawa.

Prezes zignorował go.

- Nie mogę sobie wyobrazić powodu, dla którego mielibyśmy płacić dwóm osobom. Facetowi w średnim wieku oraz kobiecie - nikogo nie obrażając - za przeprowadzenie operacji o charakterze wojskowym koniecznej do uwolnienia naszego pracownika. Douglas Case zatoczył wózką półkole i zatrzymał się naprzeciw Helmsa. Nacisnął guzik na podłokietniku i hydrauliczny podnośnik uniósł jego fotel, a jednocześnie z podstawy wózka wysunęły się zakończone kółkami wysięgniki, przeciwdziałając skutkom podwyższenia środka ciężkości. Znalazłszy się oko w oko z prezesem, Case przemówił głosem ociekającym sarkazmem:

- Wyobraź sobie coś takiego: nasz lekarz jest więziony na odległej wyspie ogarniętej wojną domową. Przetrzywiają go żądni krwi rebelianci otoczeni przez znaną z okrucieństwa armię dyktatora. „Środki”, o których pleciesz, snując swoje fantazje cywila, doprowadzą do wybuchu trójstronnej wojny, a nasz lekarz zostanie zabity.

- Ja tylko... Case znów wpadł Helmsowi w słowo.

- Isle de Foree leży pieprzone dwieście pięćdziesiąt mil od stałego lądu, a żaden z ewentualnych punktów wyjściowych na afrykańskim wybrzeżu zupełnie nie nadaje się do akcji dla dużej grupy. Takie działanie nie ocali naszego człowieka. Szybkie, przeprowadzone cichaczem i małymi siłami - tak. Lekarz znalazł się w cholernych

opałach, a nie znam nikogo, kto bardziej by się nadawał do wyciągnięcia go z kłopotów niż Paul Janson. Stawiam na to swoje stanowisko.

- To brzmi jak ostateczna aprobata - powiedział Helms. - Wygląda na to, że dostałeś tę robotę, Paul. Ile to będzie nas kosztowało?

- Nic, dopóki nie sprowadzimy waszego człowieka. Pokryjemy nasze koszty. Douga potraktujemy jak członka rodziny. Pięć milionów dolarów.

- To mnóstwo pieniędzy.

- W rzeczy samej - odparł Janson.

- W porządku! Oto wasze wytyczne: za wszelką cenę uratować doktora; niczego nie szczędzić. ASC stoi murem za swoimi ludźmi. Jesteśmy rodziną.

- Jeszcze nie przyjęliśmy zlecenia - zastopował go Janson.

- Nie? Co was powstrzymuje?

- Musimy więcej wiedzieć o okolicznościach. Co on tam robił?

- Co robił? Wykonywał swoją pracę.

- Jak się nazywa? - spytała Kincaid.

Helms spojrzał na Case'a, ten zaś odpowiedział:

- Flannigan. Doktor Terrence Flannigan.

- Co doktor Flannigan robił na serwisowym statku pomocniczym? Na jednostkach obsługiwanych przez sześćoosobową załogę nie ma etatowego lekarza. A może go dokądś przewozili? Helms znów spojrzał na szefa bezpieczeństwa korporacji, jakby nie interesowały go szczegóły pracy etatowego lekarza. Na pytanie Jansona odpowiedział więc Case:

- Przypuszczamy, że wieźli go na jakąś platformę wiertniczą do rannego w wypadku.

- Dlaczego ofiary wypadku nie przerzucono helikopterem na brzeg? Zwykle tak się robi.

- Przyjrzyj się temu, Doug - rzucił Helms. - Ustal, dokąd płynął doktor Flannigan.

- Pokazał zęby w uśmiechu.

- A jeszcze lepiej, Paul, gdybyś go szybko uwolnił, żeby samemu go o to zapytać. Cieszę się, że cię poznałem. Ciebie też, Jessico.

Muszę iść. Naprawdę mam nadzieję, że weźmiecie tę robotę - powiedział i wyszedł.

- I co ty na to, Paul? - zapytał szef ochrony.

On, oczywiście, też chciał, żeby dawny kolega przyjął zlecenie. Janson nie przywiązywał do tego wielkiej wagi. Ludzie zawsze wolą pracować z kimś, kogo znają.

- Sprawdzimy, jak wygląda wykonalność tej operacji - oznajmił. - W ciągu dwunastu godzin dostaniesz odpowiedź.

Jessica pierwsza ruszyła do drzwi i przytrzymała je dla niego. Ale Doug Case zawołał:

- Paul, mógłbyś chwilę zaczekać?! Chciałbym z tobą porozmawiać sam na sam. Janson cofnął się do gabinetu i zamknął drzwi.

- O co chodzi?

- Naprawdę jestem wdzięczny za to, co robisz.

- Zrobię, co się da.

- Jeszcze raz: jestem twoim dłużnikiem.

- Już ci mówiłem: jeśli jesteś coś winny, oddaj swojemu następcy.

- Dzięki. Zrobię to. Teraz posłuchaj. Czy Helms zostanie naszym następnym dyrektorem generalnym, czy nie, nie ma znaczenia w sytuacji gdy chodzi o porwanie. Budda nie odejdzie jutro. Tak więc nie przejmuj się Kingsmanem Helmsem.

- Nie przejmuję się.

- To, co mu powiedziałem, to prawda. Nie przychodzi mi do głowy nikt inny, kto podołałby temu zadaniu bez przypadkowego wciągnięcia spółki w pieprzoną wojnę domową. Chcemy tylko, żeby nasz człowiek wrócił. I nie muszę ci mówić, że umocniłoby to moją pozycję.

- Czuję, że dam radę, wezmę tę robotę.

- Czy Jessica Kincaid jest tym snajperem, o którym mi mówiłeś? Tym najlepszym, jakiego spotkałeś?

- Nie twój interes.

- Pytam, bo mam nadzieję, dla dobra nas obu, że skoro już pracujesz z kobietą, to poznałeś ją na tyle, żeby naprawdę na niej polegać.

- Polegam na niej - Janson wykazywał wobec dawnego kumpla sporo cierpliwości.

- Jest świetna we wszystkim, do czego się weźmie.

- Maszynetka? - uśmiechnął się Case. Janson natychmiast się zreflektował. Jak już wspomniał Dougowi, szkolenie Kincaid do pracy w terenie, jej mistrzostwo w „sztuce uśmiercania” i przebieg służby nie powinny nikogo interesować. Nie widział jednak powodu, by ukrywać swój podziw dla dziewczyny.

- Jest perfekcjonistką z kolosalnym zapalem do nauki - taniec, szabla, narciarstwo zjazdowe, pływanie, boks. Bierze lekcje wymowy u pewnego aktora, by przy okazji nauczyć się symulować mową ciała. Uczy się języków, o których większość ludzi nawet nie słyszała, i jest o krok od uzyskania licencji pilota odrzutowców.

- Czyżbyśmy byli karzełkami zdominowanymi przez naszą protegowaną?

- Raczej pełnymi podziwu - poprawił Janson. - Jeszcze coś? Muszę już iść. Skierował się do drzwi i położył dłoń na klamce, kiedy Case powiedział:

- Pracowałem z kobietami. Są cholernie sprytne. O wiele sprytniejsze niż my.

- Mając na uwadze wszystkie dowody, zgadzam się.

- Ale nigdy nie pracowałem z kobietą w terenie. W każdym razie nie pod ogniem, kiedy ołów śmiga nad głową. Jak to jest? Janson zawahał się. Pytanie Douga - nawet jeśli pytał ogólnie, jak po prostu pracuje się z kobietami - zbiło go z tropu. Poczul się zaskoczony. Analizował własne życie na miarę swoich umiejętności, stosując stałe kryteria. Ale niezbędny do przetrwania zwyczaj klasyfikowania swoich myśli, emocji i pragnień tkwił w nim głęboko. Czy to możliwe, że do tej chwili nigdy w pełni nie przyznał, albo nie pozwolił sobie przyznać, jak ważną rolę odgrywa Jessica Kincaid w jego życiu jako protegowana, współpracowniczka w interesach i przyjaciółka?

- Masz słownik w tym komputerze?

Case przejechał w poprzek gabinetu, obniżył fotel do poziomu biurka, otworzył w komputerze stosowne okno i zawiesił potężne dłonie nad klawiaturą.

Janson uśmiechnął się, nagle rozjaśniło mu się w głowie.

- Pytasz, jak to jest? Sprawdź „towarzysz broni”.

Tamten wpisał staroświecki wojskowy termin, przewinął tekst w dół i odczytał na głos:

- „Ten, kto wspólnie z kimś walczy, jest przy nim obecny w doli i niedoli”?

- O to właśnie chodzi.

- Ale - rzekł Case - minusem pracy z kobietą jest moim zdaniem to, że gdy się wpadnie w opresję, kiedy zaczynają latać kule, naturalne jest, że stajesz się niespokojny, rozproszony, martwisz się o nią. Zwłaszcza jeśli jest twoją protegowaną. Oddani wychowankowie mają zwyczaj ginąć, pracując z nami. Traciłem ich. Ty też.

- Jessica jest drapieżnikiem, nie ofiarą.

W chwili gdy drzwi gabinetu zamknęły się za Jansonem, Doug Case sięgnął po telefon. Bill Pounds, eksranger, jeden z agentów terenowych ASC podległych szefowi bezpieczeństwa korporacji pilnował holu.

- Tak jest? - Idą. Melduj dokąd. Nie daj im się podejść.

- Nikt nie podejdzie niewidzialnego człowieka.

Rozdział 3

Bill Pounds szybkim krokiem podszedł do swojego metalicznie zielonego taurusa zaparkowanego w miejscu objętym zakazem postoju. Za kierownicą wozu siedział jego partner, Rob, dorabiający sobie na boku twardy detektyw policji houstonńskiej. Przyglądali się, jak pod wejście budynku podjeżdża czerwono-biała taksówka korporacji Fiesta. Wsiedli do niej biznesmen w średnim wieku i dziewczyna w eleganckiej garsonce.

Kierowca taksówki miał przykazane zostawić swoją komórkę włączoną. Pounds i Rob słyszeli więc, jak dziewczyna mówi: „Brown Convention Center”.

Rob ruszył Sam Houston Tollway i jechał w pewnej odległości za taksówką.

- U Browna odbywają się w tym tygodniu dwie konwencje: Krajowego Stowarzyszenia Czarnych Księgowych i Tekszańskich Pracowników Pomocy Drogowej, oni nie pasują ani do jednych, ani do drugich.

- Wyprzedzaj - polecił Pounds. - Zaczekam na nich w holu.

Jessica pochyliła się ku niemu i szepnęła:

- Co mówił?

- Później ci powiem.

Janson odchylił się na oparcie siedzenia taksówki i wyglądał przez okno. Houston robiło wrażenie gorącego i suchego, płaski, nowoczesny krajobraz, bez ludzi, za to z mnóstwem samochodów. Patrząc na to miasto, Janson przypomniał sobie Londyn, z jego zatłoczonymi chodnikami i wiekowymi kamienicami, bujną zieleń Regent Park i ten dzień, gdy OPKON wysłał Jessicę Kincaid, by go zabiła.

Już wtedy była dobra, należała do najlepszych agentów terenowych, ale nie miała jeszcze wykształconych odruchów, które on wyrobił w sobie przez lata pracy. Nadal była skłonna wierzyć przełożonym, całkowicie pewna siebie i straszliwie bezczelna. Kiedy ściągnął ją ze stanowiska strzeleckiego, zabrał wszystkie pukawki i jedną z nich przystawił jej do głowy, powiedziała:

- Nie dasz rady, Janson. Tym razem nie będzie żadnych spaślaków z ambasady. Zależy im na tyle, że przysłali najlepszych.

Tymi najlepszymi okazał się Sniper Lambda Team. Jessica Kincaid była zaś ich ekspertem od Jansona, jako że uczyniła go przedmiotem zadanego przez instruktorów OPKON-u referatu „Biogram szpiega”. Snajperzy Lambdy działali w pojedynkę - między innymi dlatego jeszcze żył - i każdy samodzielnie podejmował trud odnalezienia swojego celu, zamiast liczyć na obserwatorów. Zespół tworzyła piątka

rozlokowana na budynkach i drzewach. Gdyby wyszedł z parku, natknąłby się na czekających na obrzeżach „spacerowiczów” z glockami.

Ściągnął Jessicę z drzewa i zorientował się, że to kobieta, dopiero kiedy na niej leżał. Okazała się zdumiewająco silna i zwinna. Była wyśmienitym strzelcem o lotnym umyśle, a przy tym przebiegłym kłamcą. Tylko na sekundę spuścił ją z oka, a już zdzieliła go w głowę czymś, co znalazła pod ręką.

- Co? - spytała.

- Myślałem o naszej randce w ciemno w Londynie - odparł z uśmiechem na użytek kierowcy, który co rusz popatrywał w lusterko wsteczne. Zasłaniało go oparcie przedniego fotela, ale Janson domyślał się, że facet ciągle trzyma na kolanach komórkę odwróconą mikrofonem do góry.

Jesse odpowiedziała uśmiechem.

- Pamiętasz, jak leżeliśmy w trawie?

Dotknął skroni w miejscu, gdzie zdzieliła go stalowym prętem zbrojeniowym, omal nie przyprawiając o wstrząśnienie mózgu.

- O, tak!

Ich następne spotkanie miało miejsce w Amsterdamie. Zaskoczyła go nieprzygotowanego i patrząc w lufę jej broni, widział śmierć.

Pamiętał, że odpowiedział jej spokojnym spojrzeniem. To wspomnienie podtrzymywało go na duchu. Był z siebie dumny, ze sposobu, w jaki godził się z tym, co nieuniknione. Nie wątpił, że za chwilę umrze. Została stworzona do zabijania i nic nie zdołaloby jej powstrzymać.

Taksówka zwolniła, podjeżdżając pod wejście do centrum kongresowego.

Jessica przyglądała się, jak wyłuskuje dwa dwudziestodolarowe banknoty ze zwitka, który zawsze nosił przy sobie. Gotówka dla kierowcy. Żadnych paragonów, żadnych śladów, możliwość szybkiego wyjścia. Janson spostrzegł, że dziewczyna patrzy na pieniądze. Widok gotówki budził w niej wspomnienia. Miała szesnaście lat, kiedy uciekła z Red Creek w Kentucky. W dniu ukończenia szkoły średniej kupiła bilet autobusowy linii Greyhound, płacąc zwitkiem banknotów zwędzonym z kasy w podupadłej stacji benzynowej ojca. Ojca, który po śmierci matki wychowywał ją sam i nauczył polować, łowić ryby, reperować samochody i strzelać. Ojca, który nie

pozwalala jej wykonywać żadnych czynności stosownych dla dziewczyny, bo widok jej gotującej, sprzątajacej, zajmujacej się domem budziłby bolesne wspomnienie zmarłej żony.

- Wiesz co? Mogłabyś kiedyś tam pojechać i spłacić swój dług z nawiązką. -
Myślisz, że się nad tym nie zastanawiałam?

- Pewnego dnia zrobisz to.

- Jesteś pewien, Janson? A jaka może być odpłata za zdradę?

- Widziałem cię w trudniejszej sytuacji.

- Tylko wyglądała na trudniejszą.

- Znajdziesz jakieś wyjście.

- Tak. Pewnego dnia.

Bill Pounds widział, jak obserwowana para płaci za taksówkę, wchodzi do Brown Convention Center i łącznikiem kieruje się do Hiltona. Tam albo się zatrzymali, albo dotarli na umówione kolejne spotkanie, albo może po prostu chcieli zmienić taksówkę. Poszedł za nimi dobrze zasłonięty przez przewalający się w korytarzu tłum. Nagle śledzeni się zatrzymali. Toalety. Kobieta zniknęła w damskiej, facet szedł dalej. Pounds deptał mu po piętach. Po kilku sekundach facet się zatrzymał, dziesięć metrów za toaletami, zawrócił i ruszył z powrotem, jakby mimo wszystko postanowił się jednak wysikać.

Agent ASC nie zwolnił kroku, nie skręcił, spokojnie kroczył przed siebie z zamiarem przejścia obok, unikając kontaktu wzrokowego, jak jeden z wielu gości hotelowych spieszących korytarzem. Chwilę później facet wpadł na niego. Eksranger był silnym mężczyzną ważącym blisko sto kilogramów, ale poczuł się tak, jakby zderzył się ze ścianą z żużlobetonu.

- Powiedz Dougowi Case'owi, żeby skończył z tą dziecinadą.

W Poundsa wwierciło się spojrzenie niebieskoszarych oczu. Próbował jeszcze blefować.

- Co, proszę?

- Słyszałeś: powiedz Dougowi Case'owi, żeby w końcu dorósł.

- Czy ja pana znam?

Niespodziewanie kobieta znalazła się za plecami Poundsa i zawołała przyjaźnie, z wiejską przeciągając samogłoski:

- Hej, złotko, jak leci?!

Wzięła go za łokieć i wzdłuż nerwu, o którego istnieniu nie miał nawet pojęcia, popłynął niewyobrażalny ból, na pół sekundy odbierając mu zdolność widzenia. Oparł się ścianę, a oni niespiesznie odeszli w kierunku Hiltona.

Nie dałoby się wykonać tego zadania bez rajdu do obozu RWF na Pico Clarence i z powrotem.

W taksówce do portu lotniczego Hobby Paul Janson wymienił ostrożne wiadomości tekstowe z Nealem Krugerem, handlarzem bronią, któremu ufał bez zastrzeżeń, oraz z zastępcą komendanta policji południowoafrykańskiej, Trevorem Suzmanem. Jessica Kincaid wyszukała na swoim iPhone'ie potrzebne mapy i plany i przesłała je na komputer w samolocie. Następnie wysłała kilka pytań do Francuza, który organizował dla nich transport helikopterowy w Europie.

Kiedy embraer poderwał się z pasa startowego, mogli już korzystać z połączeń głosowych. Bezpieczne telefony satelitarne Inmarsat na pokładzie pracowały w wirtualnej, prywatnej sieci, wykorzystując protokoły bezpieczeństwa IP Tor. Kincaid wyświetliła swoje mapy i plany na monitorach Aquos 1080.

- Gotowe.

Janson miał już niezłe pojęcie o tym, jak chciałby się dostać do obozu - szybko, cichaczem, trzymając się za plecami przemytników broni - lecz aby przeżyć, on i Kincaid musieli rozważyć wszystkie możliwe warianty, od najbardziej oczywistych po mało prawdopodobne. Czasami w ten sposób znajduje się lepsze rozwiązanie. A kiedy pojawią się nowe okoliczności i trzeba zmienić taktykę, będziesz mógł kontynuować,

pod warunkiem że wcześniej nie zasypiałeś gruszek w popiele i rozważyłeś różne opcje.

- Helikoptery?

- Eurocopter EC sto trzydzieści pięć z dodatkowym zbiornikiem paliwa umożliwi nam ośmiusetkilometrowy lot tam i z powrotem - odpowiedziała Kincaid.

- To zgrabna, dwusilnikowa maszyna, łatwo dostępna w Europie i do znalezienia w Afryce Zachodniej. Może lądować w dżungli, choć nie bez trudności. U podnóża Pico Clarence widzę trzy miejsca nadające się do ewentualnego przyziemienia, ale mapy topograficzne są do bani, a nie ma zdjęć satelitarnych pokazujących teren pod pokrywą roślinności.

Janson studiował widoczne na ekranie monitora mapy topograficzne Pico Clarence. Wszystko, co było wiadomo o terenach przylegających do tej wulkanicznej góry, bazowało na wynikach badań rządowej ekspedycji portugalskiej z lat dwudziestych. Następnie pobieżnie przejrzał jeszcze ściągnięte przez Kincaid mapy wybrzeża Afryki.

- Posłużenie się helikopterem nastęrcza jeden problem: trzeba znaleźć bazę wyjściową. Osiemset kilometrów tam i z powrotem, zatem w jedną stronę czterysta. To ogranicza wybór punktu startowego do Nigerii, Kamerunu, Gwinei Równikowej i Gabonu. Kamerun, Gwinea Równikowa i Gabon czekają na wynik wojny domowej na Isle de Foree, toteż zdecydowanie nie wydadzą pozwolenia na rozpoczęcie akcji z ich terytorium. A to znaczy, że jeśli stamtąd wystartujemy, będziemy musieli wracać inną trasą. Nigeria jakby trzymała stronę dyktatora Ibogi, ale bardzo bym nie chciał sprawdzać, czy można ufać słowu Nigeryjczyków.

- Czyż nie jest Nigeryjką owa dama, którą poznałeś poniekąd tak gruntownie?

- Mieszka teraz w Londynie. Poza tym EC sto trzydzieści pięć nawet z dodatkowym zbiornikiem nie da nam zbytnej swobody manewru, jeśli chodzi o zasięg.

- Helikopter Super Puma ma zasięg dwa razy większy. To samo sikorsky S siedemdziesiąt sześć. Pełno ich na polach roponośnych. Twój kumpel Doug mógłby nam załatwić jeden.

- S siedemdziesiąt sześć umożliwiłby nam start z terytorium Ghany, Togo, Beninu i Konga, ale rządy tych państw też nie chcą ingerować w wewnętrzne sprawy wyspy, czekając, aż rozstrzygną się losy rewolucji. Puma to maszyna osiemnastoosobowa. Za duża dla nas.

- Inna możliwość to start EC sto trzydzieści pięć ze statku przepływającego nieopodal wyspy.

- To już lepiej. Tylko jak przekonamy tych z RWF, żeby nas nie zestrzelili, sądząc, że to helikopter Ibogi? Udało im się dokładnie oczyścić niebo nad Pico Clarence.

- Dajmy więc sobie spokój z helikopterem. Czy nie możemy komercyjną albo prywatną maszyną polecieć do Porto Clarence? A potem pojechać w głąb kraju do końca drogi. Na piechotę przez dżunglę, capnąć doktora i z powrotem do Porto Clarence.

- A jeżeli dożywotni prezydent zechce przesłuchać doktora, wypytać o obóz powstańców albo stan zdrowia Ferdinanda Poego?

- Korzystając z transportu lotniczego, mielibyśmy ten sam problem. Jeśli użyjemy spadochronów, i tak będziemy musieli wrócić na piechotę. Pozostaje łódź. Lądujemy na brzegu. Na piechotę w głąb wyspy. Tak samo z powrotem. Odpływamy.

- Zastanawiam się - powiedział Paul Janson - czy nie powinniśmy pójść śladem przemytników broni. Jakoś przecież dostają się na wyspę i się z niej wydostają, wchodzą do obozu i z niego wychodzą. Pewnie dają w łapę funkcjonariuszom straży przybrzeżnej i żołnierzom Ibogi.

- Ale twój kumpel Doug mówi, że nie wtrącają się w sprawy RWF.

- Rozmawiałem z Nealem Krugerem. To Szwajcar chyba? Twierdzi, że wie, gdzie dostać rakiety Starstreak jeszcze niewypakowane ze skrzynek.

Kincaid zrobiła wielkie oczy.

- Pycha.

- Moglibyśmy przehandlować je przemytnikom za pomoc w dostaniu się do obozu. RWF byłby szczęśliwy, gdyby miał okazję kupić ręczne wyrzutnie naprowadzanych laserowo rakiet ziemia-powietrze o dużej prędkości. Lądujemy w

łodzi przemytników, w pobliżu Pico Clarence oddzielamy się, zakradamy do obozu, potem szybko się wynosimy.

- A jeśli przemytnicy wpadną w tarapaty?

- Przygotujemy własną łódź, a na morzu zgarnie nas statek pomocniczy.

- Załatwiony przez Douga?

- Nie, klient płaci za niemieszanie go w tę sprawę.

- Inny problem: chłopcy z RWF pewnie się zdenerwują, kiedy damy dyla z doktorem. Czy przemytnicy broni zaryzykują wkurzenie swojego klienta?

- Będziemy musieli znaleźć jakiś sposób namówienia ich do podjęcia takiego ryzyka. Janson studiował mapę topograficzną, aż w pewnym momencie uświadomił sobie, że Jessica uparcie się w niego wpatruje.

- Co jest?

- Dlaczego Case kazał nas śledzić?

Wzruszył ramionami.

- Nawyki starego agenta. Próbuje trzymać rękę na pulsie.

- Dlaczego tak wypytywał o mnie?

- Z tego samego powodu. Stare odruchy. Zauważyłem, że mocno go znieubiłaś. Dlaczego?

- To drań.

- Spotkałaś kiedyś wysokiej klasy agenta terenowego, który byłby inny?

Wszyscy to nadambitni faceci o osobowości typu alfa, funkcjonujący na zasadzie „gaz do dechy”.

- Ja nie jestem draniem. Ani ty.

- Niektórzy z nas maskują się lepiej niż inni. Podobnie niektórzy lepiej niż inni ukrywają, jak to jest siedzieć na wózku inwalidzkim.

- Niesamowity jest ten wózek Douga. Widziałeś, jak wysunęły się podpory z kółkami, kiedy podniósł siedzenie?

- Doug to Doug. Włożył mnóstwo energii w zaprojektowanie tego wózka, a wtedy jeszcze przechodził rehabilitację. Powiedział: „Niech mnie diabli, jeśli będę

siedział, kiedy wszyscy stoją”. Podszedł do tego tak, jakby przeprowadzał operację w terenie.

- Czy fundacja wsparła go finansowo?

- Jasne. Doug chce, żeby każdy, kto nie może chodzić, miał taki wózek, ale przy cenie sto czterdzieści tysięcy za sztukę to musi trochę potrwać. Sam pomysł jest dość ekstrawagancki, ale tak czy inaczej nadal nad nim pracują. Co sądzisz o Kingsmanie Helmsie?

- Przystojny. Robi karierę. Współczuję temu, kto wejdzie mu w drogę... Paul?

- Tak?

- Czy Doug Case jest jednym z „uratowanych”?

- „Uratowanych”?

- Czy jest on jednym z dawnych agentów, którym udzieliłeś pomocy, przyznając swoje tajne „granty dla geniuszy”?

- Tajne granty dla geniuszy? Dobrze. - Janson uśmiechnął się zadowolony. - Faktycznie można to tak nazwać. Jessica wpatrywała się weń nieustępliwie, czekając na odpowiedź. Tymczasem Janson nie kwapił się jej udzielić. Zasady trzymały go przy życiu. Ich oboje. A pierwszą zasadą było: wiedzieć.

- Dlaczego pytasz?

- Ta wyprawa ratunkowa po lekarza ASC to nie jest łatwa robota.

- Nie powiedziałbym, że to bułka z masłem - przyznał Janson. - Ale też nie wygląda to tak strasznie jak w relacji Douga dla Helmsa. Po prostu wchodzimy i wychodzimy.

- Obóz rebeliantów skutecznie broniący się przed siłami Ibogi to gniazdo szerszeni.

- Robiliśmy trudniejsze rzeczy.

- Próbuję dojść, dlaczego chcesz przyjąć to zlecenie.

- Doktor zasługuje na pomoc.

- Jak wielu innych. Szczęściem dla niego ASC stać na nasze honorarium. Ale nie dlatego zamierzasz wziąć tę robotę. Czy więc dlatego, że Douglas Case i Kingsman Helms knują coś za naszymi plecami?

- Nic nie wiem o żadnym „knuciu”. Prawdopodobnie zwyczajnie coś ukrywają.

- Kłamią - rzekła twardo.

- Zdajesz sobie z tego sprawę i to cię intryguje. Kincaid znała Jansona na tyle dobrze, by dostrzec w jego oczach wilczy błysk łowcy, który na skraju swojego pola widzenia zobaczył jakiś ruch. Nie, poprawiła się w duchu. Nie wilczy, on nie jest zwierzęciem w puszczy. Raczej piratem: coś zobaczył i pod pływa bliżej, by sprawdzić, czy nie jest to coś, czego chce.

Janson jednak tylko pokręcił głową.

- Wcale nie wiem, czy kłamią.

Zgasił ów błysk w oczach, tak że nawet ona nie znała teraz jego myśli.

- Ale owszem, jestem zaintrygowany. Dla Stanów, Chin i każdego, kto szuka stabilnego źródła ropy naftowej, Zatoka Gwinejska w coraz większym stopniu wiąże się z nadzieją obejścia bałaganu na Bliskim Wschodzie. Stawka jest, potencjalnie, ogromna. Kincaid doskonale to rozumiała. Jasna sprawa. Natomiast nie rozumiała i doprowadzało ją do szału to, że nie potrafiła przejrzeć jego myśli. O co mu chodziło? Okazał się najbardziej skomplikowaną osobą, z jaką kiedykolwiek miała do czynienia. Już wiedziała, że jego pozorna prostolinijność wynikała ze stanowczości. Podobnie jak ona, myślał szybko i szybko podejmował decyzje.

Ale w przypadku Jansona, pomyślała, stanowczość maskowała złożoność jego osobowości.

- Tu chodzi o coś więcej - naciskała.

- Myślę, że kierowała tobą także troska o Douga Case'a. Prawda?

- Czy to prawda? - Uśmiechnął się kpiąco.

- To nasz stary przyjaciel.

- Twój stary przyjaciel - odpaliła, patrząc, jak Paul się wyłącza, popada w zamyślenie. Paul Janson zrozumiał, że aby pozostać przy zdrowych zmysłach, musi

co dzień przypominać sobie tę prawdę: zbrodnie, które popełnił, służąc krajowi, pozostawały zbrodniami; zabicie człowieka nawet najbardziej zasługującego na likwidację pozostawało morderstwem; skuteczny zabójca był seryjnym mordercą. Jeśli agent nie okazał się pozbawionym serca socjopata, za każde kolejne morderstwo płacił ogromną cenę.

Ale jak przed laty tłumaczył Dougowi, spojrzenie prawdzie w oczy potrafiło go ocalić tylko pod warunkiem odkupienia. Nie mógł zmienić przeszłości, ale mógł z całych sił, angażując najgłębsze pokłady swego jestestwa, dążyć do tego, by siebie zmienić na lepsze. Tak wyglądało jego marzenie, codziennie druzgotane przez szarą rzeczywistość, ludzkie błędy, moralne dylematy i paradoks okupywania przemocy przemocą.

- Tak - przyznał. - Doug jest jednym z „uratowanych”.

- Wiedziała! - zawołała triumfująco.

- Znów ten Feniks!

- On był pierwszy. Wtedy działałem jeszcze sam, poruszałem się po omacku. Case w jednym miał rację: Janson szybko odkrył, że sam nie da rady. Człowiek nienawidzący instytucji musiał zbudować jedną z nich.

Zatrudnił ekspertów, by pomogli mu stworzyć Fundację Feniks, której celem było wyszukiwanie, rehabilitacja i resocjalizacja dawnych tajnych agentów cierpiących na zaburzenia psychiczne i emocjonalne w następstwie odhumanizowanej służby. Zręczne zarządzanie funduszami zgromadzonymi na jego zagranicznych kontaktach, śmiałe posunięcia w chwilach bessy na rynkach walut i kilka zadziwiająco pomyślnych obrotów fortuny umożliwiło mu wypłacanie eksagentom grantów Fundacji Feniks, dzięki czemu można im było znaleźć zajęcie w środowisku akademickim, służbie publicznej czy instytucjach samorządowych. Przyjmując zlecenia, takie jak to ratowanie lekarza ASC, Janson zdobywał pieniądze na płace dla różnego rodzaju pomocników, wyspecjalizowanych agentów, czarodziejów komputera i hakerów.

Nikt nie znał całej prawdy. Jessica stanowiła wyjątek, wiedziała więcej niż inni. - Doug to także nasz największy sukces. W końcu jest szefem działu bezpieczeństwa największej spółki naftowej na świecie. W tak zwanym wolnym

czasie robi za starszego brata, ojca i wujka dla połowy pensjonariuszy ośrodka resocjalizacji, byłych członków ulicznych gangów, inwalidów na całe życie w wyniku ran odniesionych w strzelaninach. Na Gwiazdkę wszyscy dostają elektryczne superwózki.

- Czym on się zajmował? Od czego go uratowałeś?

- Nie musisz tego wiedzieć.

- Jasne, że nie muszę.

Tylko gdybym nagle stwierdziła, iż wiszę głową w dół uwiązana za kostki i czekając na swoją kolej, przyglądam się, jak cię torturują, chciałabym być przekonana, że pakując się w ten pasztet, wiedzieliśmy, co robimy.

- Zabawne, że wspomniałaś o torturach.

- Co jest zabawnego w torturach? - Doug Case był przeciwnikiem tortur. Zdecydowanym przeciwnikiem. Uważał, że wszyscy - obywatele, żołnierze, tajni agenci - biorą udział w wojnie przeciwko terrorowi. Dlatego, twierdził, nie powinniśmy niszczyć tego, co w nas najlepsze, naszej cywilizacji, naszych zasad moralnych, żeby po prostu ocalić samych siebie. Mówił, że niewinne ofiary, które zginęły, bo terroryści nie poddano torturom, by wydobyć od niego informacje, oddały życie w imię większego dobra.

- To znaczy?

- Naszej przyzwoitości.

- Chłopcy z OPKON-u musieli go kochać.

- Pamiętaj, że Wydział Operacji Konsularnych to nie było kółko dyskusyjne - sucho zauważył Janson.

- Mówił o tym dopiero po fakcie.

- Po jakim fakcie?

- Po tym, jak zastrzelił swojego partnera, żeby powstrzymać go od torturowania szpiega, którego ujęli w Malezji.

- Zastrzelił kolegę agenta?

- Dwie kule w głowę.

- Zastrzelił Amerykanina? Jezu, Paul. Nic dziwnego, że porusza się na wózku. Kto go tak urządził? - Oczy Kincaid zrobiły się wielkie i okrągłe.

- Ty?

- Odwet nie jest w moim stylu, Jesse. Przecież wiesz. Nie ma pomsty. Nie na tym świecie.

- Tak? - Przez chwilę przyglądała mu się badawczym wzrokiem.

- Więc kto to zrobił? - Sam się wpakował do wózka inwalidzkiego.

- Co, proszę?

- Doug skoczył z dachu naszej ambasady w Singapurze.

- Samobójstwo?

- Takie miał intencje. Ale ciało nie zawsze słucha umysłu. Wykonał zbyt wiele skoków ze spadochronem, by bezwładnie wbić się w grunt. Ciało pamiętało, jak lądować. To uratowało mu życie, choć nie kręgosłup.

- Rany... Ale mówiłeś, że został postrzelony.

- To zdarzyło się innym razem.

- Kiedy się nim zająłeś?

- Gdy zobaczyłem go żebrzącego na Washington Boulevard w Ogden w Utah.

- Jak go wytropiłeś? Dzięki danym ze szpitala dla weteranów?

- Dorastał w Ogden. Kiedy wszystko się wali, ludzie wracają do domu. Jessica Kincaid pokręciła głową.

- Chwilami czuję się winna.

- Dlaczego?

- Z powodu wszystkich tych dobrych rzeczy, które zrobiłeś, a ja nie.

- Jeden krzyżowiec w firmie to aż nadto - zaśmiał się Janson. - A poważnie, Jesse... Jesteś młoda, znajdujesz się w innym niż ja położeniu, wciąż się doskonalisz, uczysz się swojego rzemiosła. Idź, powiedz Mike'owi, że lecimy do Afryki. Jessica Kincaid przeszła na przód samolotu i otworzyła drzwi kokpitu. Trzyście tysięcy metrów poniżej długiego nosa embraera rozciągały się aż po widnokrąg pocięte

płatami pola uprawne, zielone w blasku słońca. Wzdłuż rzek i strumieni stały szpalery drzew. Położyła dłonie na ramionach Mike'a i Eda.

- Wiecie, chłopaki, gdzie jest Afryka?
- Coś mi się obilo o uszy - odparł Ed.
- Szef chce tam polecieć.
- W jakieś konkretne miejsce w tej Afryce? - zapytał Mike.
- Do Port Harcourt w Nigerii.

Z uwagą przyglądała się, jak Ed wprowadza do systemu kierowania lotem firmy Honeywell ostatni adres celu podróży. Oprogramowanie nowej generacji umożliwiło integrację satelitarnego systemu wspomagającego odbiornika GPS WAAS embraera, położenia samolotu i systemu wymiany danych z centrum kontroli lotów FANS, pozwalając na lot transoceaniczny zgodnie z właściwą procedurą kontroli. Zaczął wyznaczać kurs na mapie, by zminimalizować dystans i zużycie paliwa.

- Daj w prawo - rzekł do Mike'a, pokazując mu kurs.
- Zatankujemy w Caracas.
- Lepiej się trochę prześpij - odparł drugi pilot.
- Jak tylko przekażę listę pasażerów do urzędu celnego i straży granicznej.

Mike przez ramię posłał dziewczynie szeroki uśmiech.

- Miss Jessico, nie miałyby pani ochoty na pewien czas zająć miejsca w lewym fotelu? Przesiądę się, jak Ed się zdrzemnie.

- Jasne! - ucieszyła się.

Zawsze paliła się do pilotowania. Przysłuchiwała się, gdy Ed łączył się z Atlantyckim Ośrodkiem Kontroli Ruchu Powietrznego, przez którego przestrzeń powietrzną mieli lecieć. Musieli uzyskać pozwolenie na zmianę trasy lotu. Otrzymawszy zgodę na wejście na nowy kurs, położył maszynę na prawe skrzydło.

- Zaraz wracam - zapowiedziała Kincaid. - Zobaczę tylko, co u szefa.

Pospieszyła do głównej kabiny, podpierając się o burtę z powodu przechylenia samolotu. Janson siedział po lewej, wyższej teraz stronie kabiny, wyglądając przez okno, za którym nie widział nic prócz nieba. Chodzi o coś więcej niż o Douga Case'a,

pomyślała. O coś więcej niż o doktora. Maszyna wyczuwa, że coś jest nie tak. Przyszło jej do głowy, by go sprowokować, mówiąc: „Tu idzie o coś innego. O co?”. Ale nawet gdyby Paul był skłonny się z nią zgodzić, z przechylenia jego głowy odgadła, że nie umiałby tego ubrać w słowa. Jeszcze nie.

Rozdział 4

Obóz RWF ukryty był w jaskiniach, których nie brakowało w gęsto zalesionym, górzystym centrum wyspiarskiego kraju. Pod szerokolistnymi, wiecznie zielonymi drzewami siedziało na ziemi siedmiu przerażonych mężczyzn z rękami przywiązanymi do pni.

W miejscach, gdzie wybujałe pnącza zniszczyły listowie górnych partii drzew, promienie słońca przebijały się przez baldachim roślinności wiszący ponad dwadzieścia metrów nad ich głowami. Szum spływającego z góry bystrego strumienia głużył wszystkie dźwięki, co dodatkowo powiększało poczucie izolacji więźniów. Nie wiedzieli, co się wokół nich dzieje, a od tego zależał ich los. Nie słyszeli krzyków, rozbrzmiewających w jaskini mieszczącej szpital polowy.

- Co oni zrobili mojemu ojcu? - Douglas Poe rzucił to wypowiedziane wściekłym tonem pytanie pod adresem doktora Flannigana. Syn przywódcy RWF był wysokim, ciemnoskórym, dwudziestoletnim mężczyzną o żyłastych członkach, twardo zaciśniętych ustach i włosach splecionych w warkoczyki.

- Mniej więcej wszystko, co można zrobić człowiekowi, nie pozbawiając go życia - odparł lekarz. Ze wszystkich sił starał się, by wykrzesać z siebie odrobinę profesjonalnego obiektywizmu. Kiedy próbuje się poskładać pacjenta do kupy, nie warto rozmyślać nad naturą tych z jego bliźnich, którzy go uprzednio doprowadzili do tego stanu.

Flannigan ostrożnie spojrzał na syna swojego pacjenta. Chłopak wyglądał na całkowicie wytrąconego z równowagi widokiem udręczonego torturami ojca. Jeden fałszywy ruch, pomyślał lekarz, a skończy przywiązany do drzewa, jak tamci w oczekiwaniu na rozstrzelanie. Wzdrygnął się. Na zboczach Pico Clarence, a zwłaszcza w jaskini powietrze było zauważalnie zimniejsze niż na nizinach.

Chyba jedyną częścią ciała, której nieszczęśnikowi nie uszkodzono, pozostała twarz. Oczy miał zamknięte - Flannigan podał mu tyle morfiny z apteczki Amber Dawn, że to nie mogło dziwić. Jeśli nie patrzyło się na resztę ciała, widziało się twarz niegdyś pełnego wigoru sześćdziesięcioośmiolatka: siwiejące wąsy i brwi, masywną głowę z wciąż gęstymi, kręconymi włosami, ufarbowanymi na czarno, choć już z odrostami. Wielkie odstające uszy, wąski portugalski nos, mocno zarysowaną szczękę oraz podwójny podbródek i krągłe policzki człowieka, który chętnie zasiada do obficie zastawionego stołu. Flannigan uważał za mało prawdopodobne to, że Ferdinand Poe zrezygnował ze swoich przyjemności, by pokierować rewolucją. Równie trudno było uwierzyć, że pozostawał ich niewolnikiem.

- Jeśli on umrze, ty będziesz następny! - oznajmił Poe junior.

- Wal się! - krzyknął doktor. Nie miał nic do stracenia, mógł mówić, co chciał. Nie tkną go, chyba że stary kopnie w kalendarz. Wtedy wściekły synalek przestanie zważać na to, że kilka tuzinów rannych potrzebuje lekarza, tylko naciśnie spust. Podobnie zamierzał potraktować łotrów przywiązanych do drzew. Nie żeby doktor żałował tych sukinsynów. To oni wtargnęli na pokład Amber Dawn i rozstrzelali całą załogę. Cokolwiek zatem ich spotka, dostaną, na co zasłużyli.

Najdziwniejsze jednak, że Douglas, syn starego Poego, zarzucał własnym żołnierzom popełnienie tej zbrodni. Terry Flannigan nie miał pojęcia, co tu się, do diabła, dzieje. Wiedział tylko, że dowódca piratów, południowoafrykański psychol, ten, który własnoręcznie zamordował Janet, zniknął, nim reszta została aresztowana i przywiązana do drzew. Poe posłał setkę ludzi, by przeczesali dżunglę, znaleźli go i zabili. Doktor jednak widział, jak ten cholerny Afrykaner radził sobie w czasie długiego rejsu pontonem na wyspę i podczas niebezpiecznego, uciążliwego marszu przez bagna i lasy, tak że byłby zdziwiony, gdyby go dopadli.

Młody Poe ujął dłoń ojca i poczuł, że ten drgnął pod jego dotknięciem.

- Myślałem, że dałeś mu morfinę! - zawołał oskarżycielskim tonem.

- Mówiłem, żebyś go nie dotykał - odparł lekarz.

- Gdybym podał mu jeszcze choć odrobinę morfiny, popadłby w śpiączkę. W tej waszej jaskini nie ma sprzętu do monitorowania stanu pacjenta w śpiączce.

- Ale kiedy...?

Terrence Flannigan uciekł się do odpowiedzi znanej wszelkiej maści szamanom od czasów Hipokratesa i prawdopodobnie nadal będącej w użyciu.

- Potrzebuje czasu. Douglas Poe wyciągnął pistolet z kabury na biodrze, zakręcił się na pięcie i wypadł z jaskini. Nieszczęśnicy przywiązani do drzew odwracali głowy, patrząc, jak nadchodzi. Szarpali krępujące ich liny, któryś krzyknął głośno, inny jęczał. Ich sierżant w ostrożnych słowach zwrócił się do Poego:

- Douglas, towarzyszu, zrobiliśmy tylko to, co nam rozkazałeś.

- Nie kazałem wam ich zabijać.

- Ależ tak! Powiedziałeś, że musimy zabić załogę i zatopić statek.

- Nie.

- Douglas. Bracie. Towarzyszu. Na własne uszy słyszałem cię przez radio.

- Kłamstwo! Nigdy nie rozmawiałem z tobą przez radio.

- Słyszałem, jak mówiłeś do starszego sierżanta Van Pelta: „Zastrzelić ich. Zatopić statek”.

- Zniszczyliście wszystko, w co mój ojciec włożył tyle pracy. Wy wszyscy! - krzyknął Douglas. Chodził od drzewa do drzewa, wymachując pistoletem przed twarzami więźniów.

- Ojciec zamierzał zawrzeć umowę ze spółką naftową, by wyzwolić nasz naród i odbudować zrujnowany kraj. A wy co zrobiliście? Zabiliście pracowników spółki!

- Dałeś sierżantowi Van Peltowi listę załogi.

- Nie dałem.

- Mówił mi, że dałeś. Poe napiął kurek pistoletu, przyłożył lufę do skroni sierżanta i nacisnął spust. Potem, biegnąc od drzewa do drzewa, zastrzelił resztę.

Zajęło mu to trzydzieści sekund. Terry Flannigan obserwował to wszystko z wejścia do jaskini. Zrobiło mu się niedobrze, czuł się przerażony. Zastanawiał się, czy ma dość siły, by jak ten Van Pelt próbować ucieczki.

Isle de Foree miała czterdzieści osiem kilometrów długości i trzydzieści dwa szerokości. Ponad tysiąc pięćset kilometrów kwadratowych. Rebelianci zajęli górzyście centrum wyspy i całkowicie nad nim panowali, o czym zdawała się świadczyć liczba ulokowanych wysoko na drzewach karabinów maszynowych i wypalonych wraków

rządowych helikopterów. Dyktator kontrolował schodzące do Atlantyku niziny, które z perspektywy Pico Clarence wydawały się bardzo odległe. Między wybrzeżem a górą las gęstniał, przechodząc w podmokłą, rozgrzaną słońcem dżunglę. Kiedyś znajdowały się tam plantacje. Gdy teraz tamtędy przechodzili, te ziemie wyglądały na całkowicie wyludnione. Zapuszczając się do dżungli, powstańcy zachowywali daleko posuniętą ostrożność.

Czy powinien uciekać?

Czuł, że jest w kiepskiej formie. Od lat nie ćwiczył, za dużo pił. Nie miał wyszkolenia wojskowego, nie walczył w dżungli. Złapią go i zabiją, jeśli nie zdoła uzyskać nad nimi dużej przewagi już na starcie. Rzecz w tym, że jeśli stary umrze, i tak go zabiją. Postanowił zatem uciekać. Im zrobi to szybciej, tym lepiej.

Jakiś chłopiec pociągnął go za rękaw, jeden z dzieciaków zastępujących sanitariuszy. Jedyne, co się Flanniganowi podobało w RWF, to to, że Ruch nie werbował do wojska dzieci. Po obozie kręciły się sieroty, którym powstańcy udzielili bezpiecznego schronienia. Służyli jako chłopcy na posyłki, przynosili żywność i wodę.

- Obudził się.

- Co?

- Minister Ferdinand się obudził.

Nim Iboga przechwycił władzę, Ferdinand Poe był ministrem spraw zagranicznych. Dlatego nazywano go ministrem. Flannigan podbiegł do łóżka rannego. Polityk wpatrywał się w niego, zmagając się z wywołanym narkotykiem oszołomieniem, niczym marynarz przebijający wzrokiem zasłonę mgły. Miał silny głos, poniekąd pasujący do masywnej szczęki, podwójnego podbródka i krągłych policzków. Głos człowieka, który wierzy w siebie.

- Kim pan jest?

- Pańskim lekarzem - z zamierającym sercem odrzekł doktor. Już się nigdzie nie wybierał.

- Jak pan się czuje?

Rozdział 5

Informatorzy Jansona ustalili, że w środowisku przemytników broni zaopatrujących Ruch Wolnej Foree działała grupa ściśle ze sobą współpracujących Angolczyków i obywateli RPA. Doświadczenie i znajomość terenu wyjaśniała ich skuteczność w wielokrotnym przerywaniu blokady wyspy. Angolczycy nieprzerwanie brali udział w lokalnych konfliktach od epoki rywalizacji między supermocarstwami. Rebelianckimi diamentami i rządową ropą płacili za czołgi, helikoptery i odrzutowe myśliwce, a znali się na broni oraz na taktyce wojny podjazdowej jak nikt w Afryce. Z wyjątkiem może Afrykanerów, którzy ze swoim doświadczeniem w posługiwaniu się nowoczesnym uzbrojeniem cieszyli się największym wzięciem jako najemnicy.

Przerzutem broni zajmowało się dwóch młodych, nieznających strachu przemytników, Agostinho Kiluanji i Augustus Heinz. Jako zespół używali ksywki Podwójny As. Niewiele informacji krążyło na ich temat, choć nazwisko Kiluanji było prawdopodobnie pseudonimem utworzonym od imienia szesnastowiecznego bohaterskiego obrońcy państwa Kongo przed najazdem Portugalczyków. Janson znał ten typ ludzi: biedni, ale ambitni, ryzykujący dla pieniędzy, dzięki którym zostaną handlarzami bronią z prawdziwego zdarzenia. Pieniądze mogą działać cuda.

Zanim jednak embraer wylądował w Nigerii, Janson otrzymał przez telefon satelitarny wiadomość, że Podwójny As nie jest zainteresowany przewiezieniem pary tajnych agentów do obozu rebeliantów.

- Złóż im wyższą ofertę - rozkazał.

Jego negocjator w Luandzie wykonał polecenie i zawiadomił, że tamci nadal nie są zainteresowani.

- Boją się, że to prowokacja.

- Zaproponuj im rakiety Starstreak. Kiedy tym razem negocjator się odezwał, w jego głosie dało się wyczuć obawę.

- Coś nie tak? - zapytał Janson.

- Nie dali się wziąć na rakiety.

- I? - Powiedzieli, że jeśli jeszcze raz zapytam, to mnie zabiją.

- Ci faceci mi się podobają.

- Co?

- Nie są chciwi. Opuść Angolę pierwszym samolotem. Sam się tym zajmę.

Kruger z Zurychu zdradził nazwisko libańskiego handlarza bronią, doktora Hagopiana, który zaopatrywał Podwójnego Asa w broń, dostarczaną przez niego rebeliantom z RWF. Janson zdziwił się. Handel bronią zrobił się niebezpieczny. Sprzedawanie kontrabandy wojującym Afrykanom, choć zyskowne, okazywało się działalnością na krótką metę. Hagopian był tu kluczowym graczem od czasu, gdy na koszt Stanów Zjednoczonych zbroił Saddama Husajna przeciw Iranowi. Niewykluczone, że doktor Hagopian zakładał, że RWF zwycięży i stanie się suwerennym klientem, co stanowiłoby przesłankę do myślenia o stałych zyskach. A może potrzebował forsy. Janson przywołał obraz luksusowej posiadłości nad Morzem Śródziemnym i rezydencji w Paryżu oraz równie luksusowej żony.

Jak dotąd prowadził interesy z Hagopianem ku obojornemu zadowoleniu. Teraz polecił swoim uszom i oczom w Europie sprawdzić go, poszukać narzędzi wywarcia nań presji, jakiegoś nowego słabego punktu, o którym wcześniej nie wiadomo. Rzecz jasna Libańczyk utrzymywał bliskie kontakty z amerykańskim wywiadem, co pozwalało mu działać w sposób stosunkowo jawny i żadne legalne władze nie poszukiwały go z zamiarem aresztowania. Niemniej jednak handel bronią był śliskim, niestabilnym biznesem.

Niebawem nadeszła informacja, że istotnie Hagopian miał nowy słaby punkt, bardzo słaby. Z jego dwóch synów jeden pracował z ojcem; drugi, Iljicz, według informatorów „sprawiał kłopoty”.

- Sprawia kłopoty? - zdziwił się Janson. - W jaki sposób syn handlarza bronią może sprawiać kłopoty? Wstąpił do seminarium?

- Nie - odparł pozbawiony poczucia humoru Francuz. - Prowadza się ze złodziejami.

Janson wyciągnął z Francuza jeszcze kilka informacji, następnie wysondował paru innych europejskich wywiadowców. Na koniec zadzwonił do jednego z beneficjentów Fundacji Feniks i poprosił go o pomoc.

Wszyscy „absolwenci” Fundacji posiadali telefony z chipami kodującymi, tak że ich rozmowy z Jansonem były nie do namierzenia i podsłuchania. Nie wszyscy natomiast wiedzieli, że za fundacją stał Paul Janson, ale Micky Ripster, podobnie jak Doug Case, zaliczał się do starych przyjaciół.

- Dlaczego ja?

- Natychmiast potrzebuję kogoś do pracy w Londynie, a ty jesteś w Londynie.

- Cóż, nie brzmi to dla mnie zbyt pochlebnie, prawda? Geografia ważniejsza od talentu.

- Mam szczęście, że jesteś na miejscu. Nikt inny nie mógłby tego załatwić.

- Zapomniałeś, że zapłaciłeś mi za przejście na emeryturę.

- Płacę za twoją resocjalizację, nie za przejście na emeryturę. Ale nie martw się, chodzi o słuszną sprawę.

- A więc oczekujesz ode mnie, że pomogę ci zabijać w imię „słusznej sprawy”? Czy to nie było głównym powodem popadnięcia w tarapaty? Czy to robi jakąś różnicę, że zabija się w imię twoich spraw?

- Różnica jest taka, że teraz gramy według zasad Jansona.

- Jak one brzmią?

- Żadnych tortur. Żadnych cywilnych ofiar. Nie zabijamy nikogo, kto nie próbuje zabić nas.

- Żadnych tortur? - powtórzył z wahaniem Micky Ripster.

- Żadnych cywilnych ofiar. Nie zabijamy nikogo, kto nie próbuje zabić nas?

Niech cię nie wprowadzi w błąd ten zagłuszający rozmowę dźwięk, który słyszysz w telefonie. To nie chip kodujący. To tylko ja próbuję powstrzymać się od śmiechu.

- Jesteś mi coś winien - powiedział Janson zimnym głosem.

- Teraz odbieram dług.

W słuchawce na długą chwilę zapadła cisza.

- A więc, eee, co
- Janson daje, Janson odbiera?
- Co Feniks przyznaje, Feniks odzyskuje, by przekazać następnemu.

Ripster westchnął.

- Dobra, Paul. Kogo mam zabić?
- Nikogo.
- Myślałem...

- Nie chodzi o mokrą robotę. To zadanie dla cwaniaka, który umie manipulować ludźmi, a nie znam nikogo, kto byłby w tym lepszy od ciebie. Wywiad syryjski do dziś wierzy, że to izraelskie bomby zniszczyły magazyn plutonu w Dayr az-Zwar.

- No cóż - zaproponował skromnie Ripster - wierzą, w co chcą wierzyć.

Janson opowiedział o swoim pomysle.

- Czy ja będę coś z tego miał? Oprócz przyjemności zmierzenia się z, przyznaję, interesującym wyzwaniem?

- Satysfakcję płynącą z przekonania o słuszności swojego postępowania. I pięciokrotność twojej dziennej stawki.

- Hojny jesteś.

- Bynajmniej. Masz dzień na tę robotę, poczynając od tej chwili.

Iljiczowi Hagopianowi imię wybrała jego kochająca rosyjska matka. Tego popołudnia na wysłużonym, trzybiegowym rowerze marki Raleigh zaopatrzonym w wiklinowy koszyk jeździł w kółko po londyńskim Berkeley Square. Hagopian był młody, przystojny i jak przystało na zepsutego młodzieńca, z pogardą wydymał usta. Żółty kaszmirowy sweter zarzucił na ramiona, rękawy związał niedbale na piersi. Na parkowych ławkach siedziało ledwie kilka osób i ci, którzy zwrócili uwagę na jego uparte krążenie wokół placu, pomyśleli sobie, że pewnie pozuje do jakiegoś zdjęcia reklamowego albo przygotowuje się, czekając na przybycie fotografa.

Dzień był wprost wymarzony do robienia zdjęć reklamowych w scenerii Mayfair: intensywnie niebieskie, popołudniowe niebo, promienie słoneczne przefiltrowane przez korony olbrzymich platanów migocące na trawie i ścianach kamienic... Mogłoby to być popołudnie któregoś z dawno minionych dni epoki królowej Wiktorii, gdyby nie śródmiejski szum, warkot taksówek, furgonetek dostawczych i motocykli.

Na pobliskiej New Bond Street, w ekskluzywnym salonie jubilerskim Grafi Jewellers, ochroniarz i sprzedawca z bijącymi sercami otwierali drzwi. Jeśli to nie sam Mick Jagger wysiadł z czarnego bmw i kierował się właśnie w stronę ich sklepu z obwieszoną klejnotami blondynką uczepioną ramienia, był to ktoś do niego bardzo podobny. Otworzyli drzwi i wprowadzili do wewnątrz bajecznie bogatego gwiazdora i jego zbyt kownie wystrojoną dziewczynę. Z bliska skóra Jaggera robiła wrażenie dziwnie suchej i pomarszczonej, nawet jak na gwiazdora rocka będącego na topie od lat sześćdziesiątych. Ich uwagę przyciągnął jednak pistolet, który nagle pojawił się w okrytej rękawiczką dłoni rockmana. Blondynka także wyciągnęła broń. Jak zeznał potem sprzedawca, mógł to być mężczyzna w kobiecym przebraniu.

Ochroniarz, emerytowany podoficer Królewskiej Piechoty Morskiej, nie miał broni. Przez moment próbował odebrać im pistolety, ale - zeznawał sprzedawca - posłuchał głosu rozsądku, kiedy rzekomy Jagger oddał pojedynczy strzał w dywan. Potem wszystko potoczyło się bardzo szybko. Złodzieje napełnili aksamitne woreczki najlepszymi naszyjnikami, bransoletami, pierścionkami i zegarkami, ochroniarzowi i sprzedawcy kazali położyć się za ladą. Następnie pospiesznie wyszli i w jednej chwili znaleźli się w swoim bmw.

Czarny samochód ostro ruszył New Bond Street, skręcił w prawo w Burton i znów w prawo na Burton Place, w kierunku Berkeley Square. Złodzieje wyskoczyli z wozu, zostawiając lateksowe maski, broń i peruki na podłodze, wpadli na rowerzystę, który przed przejściem przez ulicę czekał na zielone światło, przeprosili go grzecznie i wsiedli do czekającej na nich czarnej londyńskiej taksówki. Ta włączyła się do ruchu i Berkeley Street oddaliła się w kierunku Piccadilly. Rowerzysta zdjął sweter z ramion i wrzucił go do koszyka.

Kiedy po wąskich uliczkach poniosło się echo syren policyjnych radiowozów, przeprowadził rower przez Berkeley Street i wszedł na plac.

Jadący za nim żółto-niebieski radiowóz objechał narożnik Burton Place i zatrzymał się obok porzuconego bmw. Rowerzysta, wbrew pozorom trzeźwo myślący młody człowiek - mimo iż swego czasu zgotował ojcu sporo rozczarowań - niewinnym wzrokiem spojrzął przez ramię na panujące na ulicy zamieszanie i prowadząc rower, poszedł dalej. Tymczasem Berkeley Street nadjechał z dużą szybkością samochód Brygady Lotnej, wielkie volvo z włączoną syreną. Wyskoczyli z niego z pistoletami w dłoniach funkcjonariusze szkoleni do chwywania sprawców napadów z bronią w rękę i zajrzeli do pustego bmw. Przechodnie wskazali w kierunku Piccadilly. Volvo Brygady Lotnej odjechało z rykiem silnika. Przeciąwszy wąski plac, Iljicz Hagopian dosiadał właśnie swojego releigha, kiedy dwaj mężczyźni, jeden w garniturze z tenisu, drugi w dżinsach i wiatrówce, wstali ze swoich ławek i chwycili go za ramiona.

- Nie drzyj się - rozkazał jeden z nich.

- Bo wezwiemy gliny.

- I pokażemy im, co masz w koszyku.

Niemal w tym samym momencie do krawężnika podjechała furgonetka. Znalazło się w niej miejsce także i dla roweru. Przykuty doń kajdankami młodzieniec musiał zaniechać myśli o wyskoczeniu z wozu na czerwonym świetle. Tymczasem mężczyźni wyjęli z koszyka aksamitne woreczki i przepakowali je do niewielkich wyściełanych kopert. Kiedy Iljicz zobaczył adres wydrukowany na przyklejonych do kopert etykietach, pomyślał, że stracił rozum.

Graff Jewellers New Bond Street

Londyn W1 (Uwaga: zgubione i znalezione)

Furgonetka zwolniła i się zatrzymała. Mężczyzna w garniturze wyskoczył, wepchnął koperty do skrzynki pocztowej i odszedł. Samochód ruszył dalej. Nieposiadający się ze zdumienia niedoszły złodziej biżuterii zauważył, że jadą trasą wyznaczoną przez znaki kierujące ku autostradzie M3 i lotnisku Heathrow. Znalazłszy się na lotnisku, ruszyli w stronę terminalu towarowego.

- Dokąd mnie zabieracie?

- Do domu, do mamy.

Embraer Paula Jansona pokonał tysiąc siedemset pięćdziesiąt kilometrów z Harcourt w Nigerii do Luandy w Angoli. Wylądowali na lotnisku portu lotniczego Quatro de Fevereiro z Mikiem i Kincaid w kabinie pilotów. Jessica zamiast Eda zajmowała fotel pierwszego oficera, dając baczenie na strzelające w niebo wysokie wieże wiertnicze. Pokołowali przez ciżbę olbrzymich transportowych boeingów 747 i samolotów pasażerskich wycarterowanych przez spółki naftowe.

Angolski agent doktora Hagopiana, działający pod przykrywką, jako tłumacz języka portugalskiego, spotkał się z Jansonem w terminalu i szybko przeprowadził go przez specjalny dział kontroli paszportowej. Pół Portugalczyk, pół Angolczyk z plemienia Fang był wysokim, przystojnym mężczyzną w średnim wieku o nienagannych manierach. W samochodzie wyraził zdumienie z powodu wielkiego szacunku, jakim Hagopian darzył Paula Jansona.

- Doktor powiedział, że mam traktować pana tak, jakby był pan nim samym. Muszę przyznać, że nigdy dotąd czegoś podobnego od niego nie usłyszałem.

- Proszę się nie martwić, długo tu nie zabawię.

W dwadzieścia minut dotarli do Cantinho dos Comandos, restauracji na starym mieście usytuowanej na parterze otynkowanego na różowo budynku, w którym mieściło się kasyno oficerskie żołnierzy armii angolskiej.

Sami przemytnicy się nie pojawili, przyjechał natomiast ich rzecznik w osobie młodzieńca w tandetnej, skórzanej kurtce. W innych okolicznościach Paul wzięłby go za kierownika klubu nocnego lub sprzedawcę samochodów. Robił wrażenie kogoś, komu bardzo zależy na zadowoleniu klienta i na początek oznajmił:

- Jestem pańskim dłużnikiem, mister. Bardzo ważny dostawca, który obsługuje klientów zarówno klasy pierwszej, jak i klasy ekonomicznej, poinformował mnie, że od dzisiaj będę latał pierwszą.

- Cała przyjemność po mojej stronie - uśmiechnął się Janson. - Wiesz, czego chcę. Daję słowo, że nie sprawimy kłopotu. Po prostu przerzućcie nas na wyspę i

pozwólcie odejść w spokoju. Nie zamierzamy wchodzić wam w drogę i nikt się nawet nie dowie, że nam pomogliście.

Młody człowiek rozłożył ręce w geście ewidentnie nieszczerzego zmartwienia.

- Gdybym tylko mógł wam pomóc, zrobiłbym to. Ale statek odpłynął.

- Kiedy?

- Wczoraj. W tej chwili zbliża się już do Isle de Foree.

- Dlaczego nie zaczekał?

- Tak zdecydował kapitan... - Młodzieniec umilkł.

Janson wymienił spojrzenia z agentem Hagopiana, który wyglądał na zażenowanego nawalanką kapitana czy może jego zdradą.

- Poza tym, przyjacielu - odezwał się przemytnik - zmieniła się sytuacja na wyspie. Iboga dostał drogą morską transport czołgów.

- Jakiego typu?

- Radzieckich T siedemdziesiąt dwa z wyposażeniem do forsowania przeszkód wodnych. Atak czołgów na twierdzę RWF nie ucieszyłby naszego doktora, pomyślał Janson. Nie było czasu do stracenia, jeśli zamierzali go stamtąd wyciągnąć.

- Od kogo dostali te T siedemdziesiąt dwa, od Nigeryjczyków? Agent Hagopiana skinął głową.

- Nigeryjski Zarząd Wywiadu Wojskowego też ma chęć na kawałek tego tortu.

- Nie chcielibyście znaleźć się na wyspie, skoro pojawiły się tam czołgi - zauważył przemytnik.

- A jednak chcę się tam znaleźć.

- Jak już wspomniałem, gdybym w jakikolwiek sposób mógł pomóc, przyjacielu.

- Tym razem przemytnik zwrócił się do agenta Hagopiana, jeszcze szerzej rozkładając ręce.

- Wystarczy poprosić. O cokolwiek. Ale statek odpłynął. - Spojrzał na Jansona i powtórzył:

- O cokolwiek.

- Świetnie. Zamierzam już teraz skorzystać z twojej propozycji - oznajmił Janson i w odpowiedzi usłyszał niepewne, ostrożne:

- Gdybym mógł...

- Możesz i zrobisz, co ci powiem. Wywołaj przez radio swojego kapitana i uprzedź go, że dogonimy jego statek. Dopóki się nie pojawimy, niech trzyma się pięćdziesiąt mil od brzegu.

- Utrzymując tę pozycję, statek pozostanie dość daleko poza granicą wód terytorialnych Isle de Foree i strefą przyległą.

- Nie wiem, jak długo może zwlekać. Są harmonogramy, umówione spotkania.

- Osiem godzin na pewno zaczeka.

Agent Hagopiana przytaknął słowom Jansona obojętnym skinieniem głowy. W samochodzie, w drodze powrotnej na lotnisko, Janson milczał i w końcu to agent przerwał milczenie:

- Czołgi?

- W jakim są stanie? - zapytał Janson.

- Na chodzie. Poza tym, jak powszechnie wiadomo, mieszkańcy Isle de Foree są świetnymi mechanikami. Paul skinął głową. Wyspiarze zawsze są dobrymi mechanikami.

- Kto je poprowadzi?

- Gwardia prezydencka składa się z weteranów wojen w Angoli. Są obeznani z rosyjskimi czołgami.

Janson zamyślił się. Nie, żeby zależało mu na walce z wojskiem dyktatora, ale jeśli natknie się na jego żołnierzy, musi być przygotowany.

- Mógłbym coś zaproponować? - zapytał agent.

- Proszę.

- Jest prawdopodobne, że doktor Hagopian zna na lotnisku jakąś poważną, godną zaufania osobę, która mogłaby mieć dostęp do pewnej ilości RPG dwadzieścia dwa.

- Wolalbym, żeby doktor Hagopian znał kogoś, kto ma dostęp do AT cztery.

AT-4, doskonały granatnik przeciwpancerny produkcji firmy Saab, potrafił zatrzymać radziecki czołg T-72. Sześć rakiet i wyrzutnie ważyłyby czterdzieści pięć kilogramów, czyli absolutne maksimum tego, co zdołaliby udźwignąć jako dodatek do reszty sprzętu.

- Bardzo wątpię, czy realne jest zdobycie AT cztery w ciągu ośmiu godzin.

- Na statku ich nie ma?

- Niestety nie. To nie arsenał, przewozi głównie legalny ładunek.

Głowice radzieckich RPG-26 miały możliwość przebijania pancerza, ale w Angoli nie brakowało rosyjskiego i starszego, radzieckiego uzbrojenia.

- Czy przemytnicy nie dysponują jakimiś granatnikami?

- Nie tym razem. Tym kursem zabrali tylko pistolety maszynowe, amunicję oraz leki przeciw malarii i infekcjom.

- Czy doktor Hagopian zna w Angoli kogoś, kto miałby dostęp do RPG dwadzieścia sześć? Agent wzruszył ramionami.

- Pewnie mógłby znaleźć jeden czy dwa.

- Z głowicami HEAT? - Janson miał na myśli głowice kumulacyjne, zdolne przebić pancerz czołgu.

- Tak. Ale jego wspólnik prawdopodobnie dorzuciłby jeszcze kilka RPG dwadzieścia dwa. Granatnik ten stanowił starszą wersję RPG-26, przestano go produkować jeszcze w czasach, gdy Jessica chodziła do szkoły podstawowej.

Paul zmarszczył brwi. Agent Hagopiana dorzucił szybko:

- W doskonałym stanie, niedawno wypakowane ze skrzynek i dokładnie sprawdzone.

- Co najmniej tego oczekiwałbym od godnego zaufania współpracownika doktora Hagopiana - oznajmił stanowczo. Dwadzieścia pięć minut później, znalazłszy się na lotnisku, Janson rozkazał załodze:

- Po załadunku natychmiast odlatujemy do Port-Gentil.

Był to port morski na wybrzeżu Gabonu, na północ od Konga i dość blisko Isle de Foree. Mike i Ed wprowadzili już dane o kursie do urządzeń nawiga-

cyjnych. Minęła godzina i do embraera podjechała ciężarówka z hałaśliwym agregatem chłodniczym na dachu, z której na pas w cieniu samolotu wyładowano sześć ociekających wilgocią skrzynek. Ed i Mike ruszyli wносить je na pokład.

- Nielicha dostawa homarów, szefie.

- Nie ma to jak angolskie owoce morza - odparł Janson.

Piloci wnieśli skrzynki do samolotu, zamknęli drzwi i embraer wystartował w kierunku Gabonu.

- Jak ci poszło? - zapytał Janson Jessicę.

- Dowiedziałam się, gdzie dostaniemy helikopter. A tobie?

- Dowiedziałem się, że dyktator dostał czołgi.

Rozdział 6

Sikorsky S-76 długo i ciężko pracował na terenach roponośnych.

Po opuszczeniu fabryki dwusilnikowa maszyna woziła dyrektorów Chevron Texaco na statki sejsmologiczne eksplorujące głębię morską u wybrzeży Angoli. Kiedy rozpoczęły się wiercenia, wymieniono komfortowe skórzane fotele na aluminiowe i S-76 rozwoził załogi pływających platform wiertniczych. Długie godziny w powietrzu i słona woda zrobiły swoje, podobnie jak ryzykowne lądowania na nachylonych i śliskich lądowiskach. Ostatecznie spółka zdegradowała helikopter do roli maszyny transportowej, potem zaś kierowana zdrowym rozsądkiem sprzedała go pewnej niezależnej firmie włoskiej. Po kilku latach intensywnej eksploatacji Włosi też go sprzedali, by pokryć długi wobec firmy leasingowej za zakupiony sprzęt. AngolLease używała helikoptera aż do bliskiego katastrofy fatalnego lądowania, kiedy to fragment amortyzatora z podwozia przebił podłogę kabiny. Po wypadku mechanizm wciągania podwozia został naprawiony jedynie prowizorycznie. AngolLease znalazła nabywcę S-76 w Port-Gentil, w Gabonie. Była nim firma usługowa LibreLift, własność dwóch pilotów: anorektycznego Francuza o spalonej słońcem twarzy i żółtych od nikotyny sumiastych wąsach oraz muskularnego Angolczyka, zawsze w maskującym wojskowym mundurze, dodatkowo pełniącego obowiązki mechanika.

Janson nie miał ochoty zdejmować osłon podzespołów, by przekonać się, w jak fatalnym stanie znajdują się wnętrza maszyny. Rzucił tylko okiem na poluzowane nity, zacieki oleju na belce ogonowej i spękany pleksiglas w oknach i uznał, że latał już helikopterami w znacznie gorszym stanie. Jessica Kincaid nie latała, toteż gdy tylko założyli słuchawki, zauważyła, że czuje wyciekające paliwo.

- To żaden problem - oznajmił pilot.

- Ten zapach wydobywa się z dodatkowych zbiorników paliwa w ładowni - wyjaśnił Janson.

Pilot-mechanik pospieszył jednak bronić swoich nowiutkich kompozytowych zbiorników z ogniwami paliwowymi, które LibreLift miała odziedziczyć po wykonaniu zadania razem z tratwami ratunkowymi.

- To nie zbiorniki dodatkowe - zapewnił Jessicę.

- Przeciek jest w głównym zbiorniku. Nie ma problemu. Spojrzała na Jansona.

- Mam czuć ulgę? Wskazał na tablicę rozdzielczą.

- Możesz być spokojna, dopóki nie zapali się lampka kontrolna jednego z tych czujników.

- Czujników czego?

- Jeśli czujnik wykryje odłamki z głównego łożyska przedostające się do miski olejowej, należy postępować zgodnie z zaleceniami podręcznika pilotażu, który mówi: „Ląduj, dopóki możesz”.

- Miło to usłyszeć.

Kincaid sprawdziła ich ponton o sztywnej podłodze, granatniki wyjęte ze skrzynek z homarami i swoją broń osobistą, a następnie zapięła pas i zamknęła oczy. S-76 dostał pozwolenie na start i wzniósł się, trzeszcząc wytartymi łożyskami turbiny. Mimo tych złowieszczych efektów dźwiękowych Janson i Kincaid wymienili spojrzenia pełne aprobaty. Nim helikopter wzniósł się na wysokość tysiąca trzystu metrów nad wody Atlantyku, by z szybkością dwustu kilometrów na godzinę przy akompaniamencie wycia i dudnienia pomknąć na zachód, obydwójce agenci zapadli w sen. Obudzili się jednocześnie po upływie godziny.

- Bateau de lesteur - Francuz wskazał w dół na niewielki, szary statek brodzący w ciemnym morzu.

Janson przyjrzał mu się przez lornetkę. Był to pokryty plamami rdzy, sześćdziesięciometrowej długości ekserswisowy statek pomocniczy przerobiony na frachtowiec operujący wzdłuż wybrzeża afrykańskiego. Miejsce na głównym pokładzie zajmowały używane samochody, palety z butelkowaną wodą i jakieś niekształtne przedmioty okryte niebieskimi, plastikowymi płachtami. W przodzie wznosiła się trzypokładowa sterówka, w tyle sterczał umocowany na stałe dźwig ładunkowy. Helikopter nie miał tu gdzie wylądować.

- Lina zjazdowa - stwierdził Janson, podając Kincaid lornetkę.

Dach sterówki, najwyższy punkt na statku, nadawał się do desantu techniką zjazdu po linie; helikopter mógłby nad nim bezpiecznie zawisnąć. Był jednak mały, a pośrodku obracał się ponadmetrowy, poziomy talerz radaru.

Janson wywołał kapitana na kanale VHF o krótkim zasięgu, którym Angolczycy chętnie się posługiwali, unikając nadawania na kanale powszechnie używanym w marynarce i łatwym do monitorowania. Kapitan mówił tylko po francusku, toteż Janson przekazał radio Jessice.

- Démonter la radar antenne, s'il vous plaît?

Talerz radaru przestał się obracać. Marynarze wdrapali się na dach i przystąpili do jego demontażu, a tymczasem oboje agenci umocowali hak ładunkowy do olinowania pontonu. Następnie obładowani sprzętem i bronią założyli rękawice do zjazdu po linie i zatrask na końcu szybkiej liny przypięli do pierścienia zamocowanego na podłodze helikoptera. Paul polecił pilotowi zawisnąć dwadzieścia metrów nad sterówką.

Maszyna z boku, ukosem, powoli zbliżyła się do statku. Stało się jasne, że Francuz jest wyjątkowym pilotem, z wyczuciem i delikatnością manewrował pedałami, jednocześnie zwiększając lub zmniejszając moc silnika. Inaczej jednak niż kapitan statku, którego pierwszym manewrował pedałami, jednocześnie zwiększając lub zmniejszając moc silnika. Inaczej jednak niż kapitan statku, którego pierwszym obowiązkiem jest zapewnienie bezpieczeństwa pasażerom, pilot helikoptera na pierwszym miejscu stawia załogę i maszynę, klienci nie są aż tak ważni. Francuz

zrobiłby wszystko, by uniknąć rozbicia swojego S-76, łącznie z nagłym odlotem, nawet gdyby Janson czy Kincaid nadal wisieli na linie.

Dziewczyna spuściła wolny koniec zwiniętej liny przez otwarte drzwi. Gruba, pleciona lina rozwinęła się, sięgając dachu sterówki, miotana podmuchem spod wirnika. Janson chwycił ją w okryte rękawicami dłonie, przycisnął do ciała tak, by biegła między udami i wokół prawej łydki. Twarz odwrócił w bok i zaczął zjeżdżać w dół, regulując szybkość opadania zaciskaniem dłoni. Wylądował na dachu sterówki.

Kincaid wypchnęła za drzwi ciężki ponton i opuściła za pomocą elektrycznej wciągarki. Janson pokierował ładunkiem tak, że spoczął na dachu obok niego, dał partnerce znak, by wciągnęła linę, a następnie przytrzymał dla niej linę zjazdową.

Opuściła się w ciągu trzech sekund i lekko wylądowała na dachu u jego boku. Dał znak pilotowi, że może odlecieć i wypuścił z dłoni koniec liny.

Zeszli po drabince na tylnej ścianie nadbudówki, weszli do sterówki i przywitani się z nieprzejawiającymi entuzjazmu gospodarzami.

Kapitan był tak zdenerwowany, że jego niewielka znajomość angielskiego ulotniła się całkowicie. Pierwszy oficer, Kongijczyk, w ogóle nie mówił po angielsku. Francuski Jansona był w tych okolicznościach niewystarczający. Kincaid przejęła więc inicjatywę i kapitan szybko się uspokoił.

- Pięknie - mruknął Paul. - Jak to zrobiłaś, że zaczął się uśmiechać?

- Podoba mu się mój francuski akcent. Myśli, że mieszkam w Paryżu. Zaprosił mnie na obiad, kiedy się tam spotkamy. Mamy jednak pewien problem. Akwen między nami a Isle de Foree patroluje amerykański kuter straży przybrzeżnej.

- Obserwowałem go na radarze - potwierdził Janson.

Na ekranie za plecami milczącego sternika widniał duży okręt, oddalony o dwadzieścia mil na północ. Nie zauważyli go z powodu mgiełki wznieconej przez podmuch wirnika helikoptera.

- Co nasza straż przybrzeżna robi sześć tysięcy mil od domu?

- Pewnie działają w ramach programu Partnerstwo dla Afryki, zakładającego utrzymywanie „stałej obecności”, jak to nazywają. Innymi słowy, chodzi o wywieszenie naszej flagi na terenach roponośnych.

- No tak, kapitan martwi się, że wejdą na pokład. Zwłaszcza jeśli dostrzegli nasz helikopter na ekranach swoich radarów. Chce, żebyśmy się schowali w jakiejś kryjówce w maszynowni.

- Zapytaj go, gdzie są przemytnicy broni.

- Już się ukryli.

Paul skinął głową kapitanowi i polecił Kincaid:

- Zapewnij go, że my też nie mamy ochoty wyjaśniać straży przybrzeżnej przyczyn naszej tu obecności. Powiedz, że ukryjemy się, jeśli dowódca kutra uzna nasz statek za wart bliższego zbadania. A teraz trzeba zamaskować ponton.

Na rozkaz kapitana marynarze znieśli ponton na główny pokład i przykryli niebieską płachtą. Cel na radarze zbliżał się. W odległości ośmiu mil kuter pojawił się na horyzoncie w postaci jasnej plamki. Przy pięciu milach urósł do wysokiej, wąskiej, przypominającej nóż sylwetki. Nieco później z jego pokładu wystartował helikopter, zatoczył koło nad ich statkiem i odleciał z powrotem.

Niebawem kuter wywołał ich przez radio, przedstawił się jako jednostka amerykańskiej straży przybrzeżnej, Dallas, powołał się na swoje uprawnienia wynikające ze stacjonowania w bazie sił uczestniczących w programie Partnerstwa dla Afryki. Kapitan odpowiedział na pytania dotyczące nazwy statku, frachtu, portu wypłynięcia i portu docelowego.

Janson słyszał odgłos gadaniny na mostku kutra. Brzmiało to tak, jakby wokół radia zebrała się duża grupa ludzi. Kapitan mruknął coś do Kincaid, ta zaś przetłumaczyła:

- Mówi, że to pewnie tylko ćwiczenia. Nakazano im nawiązywać kontakty z miejscowymi jednostkami. Z Dallas nadeszła informacja, że zamierzają wejść na pokład i żądają zatrzymania statku.

- Merde! - zaklął kapitan.

- Jasne, że merde - zgodził się Janson. - No dobrze, obejrzyjmy tę kryjówkę.

Założyli plecaki. Kongijski pierwszy oficer poprowadził ich w dół przez cztery kondygnacje schodów. Na najniższym poziomie otworzył ciężkie drzwi, za którymi z ogłuszającym rykiem pracowały dwa szesnastocylindrowe silniki Diesla każdy o mocy trzech tysięcy koni, napędzające prądnice. Przeszli przez maszynownię i tylnym wejściem dostali się do cichszego, słabo oświetlonego pomieszczenia między pokładami. W połowie drogi do rufy oficer zastukał w pomalowaną na szaro gródź, odczekał trzydzieści sekund i zastukał ponownie. Gródź wyglądała na umocowaną na stałe stalową płytę, ale w pewnym momencie zaczęła się odsuwać ze zgrzytem metalu trącego o metal. Janson poczuł ulgę, widząc, że przemytnicy znajdują się na swojej robocie.

W krąg światła weszło dwóch mężczyzn, czarny Angolczyk i Mulat z RPA.

- Co się dzieje? - zapytał ten drugi, nosowo wymawiając angielskie głoski. Jego oczy rozszerzyły się na widok Kincaid, która cofnęła się i wyciągnęła pistolet, by osłonić swojego towarzysza.

- Znajdzie się miejsce dla jeszcze dwojga? - zapytał Paul. - To wy jesteście tymi cholernymi amerykańskimi najemnikami?

- Jesteśmy cholernymi amerykańskimi najemnikami - potwierdził Janson.

- Natomiast wy to nasi cholernie wysoko opłaceni przewodnicy, Agostinho Kiluanji i Augustus Heinz. A cholerna straż przybrzeżna szykuje się do wejścia na pokład. Może więc kontynuowalibyśmy tę konwersację w ukryciu?

- Jest jakaś szansa na to, że ta dupeczka zabierze stąd swoją artylerię? - zapytał Mulat.

- Jak tylko znajdziemy się w środku. - Paul minął przemytników i wszedł do cylindrycznego pomieszczenia o ścianach z błyszczącej nierdzewnej stali, średnicy niespełna dwu metrów i długości około dziesięciu metrów. Zorientował się, że pierwotnie był to zbiornik przeznaczony do transportowania błotnego urobku świrdrów platform wiertniczych.

- W porządku! - zawołał do Kincaid. Poza nimi było tu tylko dwóch mężczyzn bez broni i stos sprzętu. Jessica i przemytnicy weszli do środka. Wejście zasunęło się ze szczękiem, który echem poniósł się po zbiorniku. Stalowy cylinder oświetlała pojedyncza lampa.

Przerobiony na frachtowiec statek pomocniczy zatrzymał się na krótko w odległości dziesięciu mil od wybrzeża, by opuścić za burtę wyładowany ponton przemytników broni, a następnie mniejszy ponton Jansona i Kincaid. Statek pospiesznie odpłynął w kierunku Porto Clarence, a pontony, połączone długą liną, co miało zapobiec rozdzieleniu się w ciemnościach, uruchomiły silniki i ruszyły ku niewidocznemu brzegowi. Płynęli, kierując się wskazaniem kieszonkowych GPS-ów, ale bez świateł wyznaczających tor wodny. Janson i Kincaid musieli polegać na doświadczeniu przemytników płynących na przedzie, by znaleźć drogę przez błotniste ujście płytkiej rzeki.

Brzeg był ciemny, bez żadnych świateł, wyglądał na niezaludniony, czego należało się spodziewać, gdyż dziewięćdziesiąt procent populacji wyspy mieszkało w Porto Clarence. Silniki zaburtowe przy umiarkowanej prędkości okazały się stosunkowo ciche i ich warkot powinna zwiewać w stronę morza bryza spływająca z górzystego interioru, nie dość jednak ciche, by dało się słyszeć fale przyboju bijące o plażę. Jedynym ostrzeżeniem przed bliskością brzegu była malejąca głębokość wody. Kincaid sterowała, a Janson wybierał linę, dopóki prowadzący ponton nie znalazł się ledwie kilka metrów przed nimi, tak że widzieli sylwetki mężczyzn sterujących ku rzece.

Nagle usłyszeli odgłos przyboju. Przez chwilę wzburzona woda ciskała gumową łódką na wszystkie strony, potem równie nagle się uspokoiła. Szum fal zaczął dobiegać z obydwu stron. Znaleźli się w lejkowatym ujściu rzeki. Przemytnicy zmniejszyli obroty silnika, zarazem go wyciszając. Kincaid poszła za ich przykładem i cicho klnąc pod nosem, przekładała silnik to na lewo, to znów na prawo, starając się płynąć śladem pierwszego pontonu. Chwilę później znaleźli się pod drzewami. Wiatr ucichł, ciepłe powietrze zrobiło się jeszcze cieplejsze, oblepiało skórę niczym mydło. Pojawiły się moskity. Bzycząc wściekle, krążyły wokół ich twarzy i karków wysmarowanych środkiem przeciw owadom.

Między drzewami dostrzegli blade światelka. Lampy naftowe, domyślił się Janson, widząc ich żółtawy blask. Jeśli nawet właściciele tych lamp usłyszeli pomruk

pracujących na niskich obrotach silników, nie podeszli bliżej, by naocznie przekonać się, co jest źródłem owych dźwięków. Jego pieczołowicie chroniony GPS wskazywał, że wpłynęli na półtora kilometra w głąb łądu. Pierwszy ponton zatrzymał się, jego silnik ucichł. Kincaid natychmiast zamknęła przepustnicę swojego. W ciszy słychać było brzęczenie owadów, potem rozległ się odgłos tarcia gumy o żwir; pontony przybiły do brzegu.

Szybko wciągnęli je do wnętrza czegoś na kształt jaskini, kryjówki wyciętej przez przemytników pod zwisającymi do wody korzeniami namorzynów. Paul raczej wyczuł, niż zobaczył czekających tam mężczyzn i przez okropny ułamek sekundy myślał, że zostali odkryci. Usłyszał jednak wypowiedziane szeptem słowa powitania i nieznajomi przystąpili do rozładowywania pontonu przemytników.

Janson klepnął swoją towarzyszkę w ramię. Stała na jego złączonych dłoniach, potem na ramionach i podciągnęła się między korzenie namorzynów. Po minucie wpatrywania się w mrok trąciła partnera w ramię, a on podał jej po kolei obydwie plecaki i sam wciągnął się za nią. Kiluanji, Heinz i ich pomocnicy skończyli pakować plecaki i ruszyli ścieżką prowadzącą od rzeki w głąb łądu. Agenci podążyli za nimi. Sprawdził czas. Jeszcze trzy godziny ciemności.

Początkowo ścieżka biegła groblą przez mokradła, po obydwu jej stronach stała woda. Jednak niecałe dwa kilometry dalej teren zaczął się łagodnie podnosić, mokradła mieli więc za sobą. Doszli do drogi gruntowej, rozejrzeli się uważnie i przecięli ją szybko. Niebawem dotarli do następnej, tym razem o asfaltowej nawierzchni. Ją także przecięli; teren wciąż się podnosił. Świt nadszedł nagle, ujawniając równe rzędy zielonych krzewów, poprzegradzanych drewnianymi szopami. Znajomy aromat podpowiedział im, że dotarli do gruntów uprawnych, z których żyli miejscowi plantatorzy kawy.

Kierowali się w głąb łądu, omijając nędzne chaty, przyspieszając kroku, w miarę jak światłość dnia pozbawiała ich osłony. Przy biegnącej nasypem betonowej drodze przemytnicy zarządzili postój. Nasłuchiwali nadjeżdżających pojazdów. Heinz cofnął się do Jansona.

- Teraz powinniście iść dalej. Będziecie wspinać się szybciej niż my z naszym towarem.

Agent oszacował spojrzeniem teren przed nimi. Wyglądało na to, że wznosi się coraz bardziej stromo, pas plantacji nieopodal się kończył. Skinął na Kincaid, która szybko wyjęła z plecaka trzydzieści tysięcy euro w paczkach po sto banknotów i podała pieniądze Mulatowi. To było więcej, niż Kiluanji i Heinz mieli zarobić na dostawie pistoletów i lekarstw.

Janson wyciągnął rękę.

- Dziękuję.

- To dziwne.

- Co?

- Żadnych patroli, ani śladu gwardii prezydenckiej, nie ma nawet gości, których przekupiliśmy. Nie widziałem żywej duszy.

- Co to oznacza?

- Są zajęci gdzie indziej. Szykują ofensywę.

- Z czołgami?

- Wiem tylko, że jak najszybciej chcę dotrzeć do celu i natychmiast wracać. Wy powinniście zrobić to samo.

- Inaczej mówiąc, trzeba zwiększyć tempo - powiedziała Kincaid. Wspięli się na nasyp, przecięli betonową szosę i dalej puścili się biegiem.

Powyżej pasa ziemi uprawnej w wilgotnym upale pleniła się gęsta dżungla. Plecak Kincaid ważył trzydzieści pięć kilogramów, Jansona - czterdzieści pięć. Ociekając potem, na przemian półtora kilometra biegli, półtora kilometra szli. Szlak robił się coraz bardziej stromy. Przez pierwszą godzinę pokonali dystans ponad pięciu i pół kilometra, przez drugą - trzech kilometrów, bo zamiast biec, musieli się już wspinać. Nagrodą był nieznaczny spadek temperatury i wilgotności powietrza, gdyż dżungla przeszła w wysokopienny las deszczowy. Tu, pod wysokim baldachimem liści, zatrzymali się na postój. Znajdowali się poza zasięgiem oddziałów dyktatora, które na tej wysokości zostały powstrzymane przez RWF. Był to wąski pasek ziemi

niczyjej. Wyżej rozciągało się pilnie strzeżone terytorium Ruchu, ciągnące się aż do obozu na Pico Clarence.

Aby ruszyć dalej, powinni poczekać na zapadnięcie ciemności, kiedy to dzięki sprzętowi noktowizyjnemu zyskają pewną przewagę: będą widzieli, nie będą widzianymi. Ale jeśli dyktator rozpoczyna ofensywę, czy mieli czas na czekanie? Jak dotąd wszystko szło jak w zegarku, wszystko im się udawało. Jednak za szczęście się płaci i teraz przyszła na to pora. Należało zaryzykować.

Osiemset metrów dalej idąca przodem Kincaid nagle zastygła w bezruchu. Nie musiała dawać partnerowi żadnych znaków, ani nawet sykać mu ostrzegawczo do ucha przez radiotelefon. Język jej ciała mówił wszystko - ukryci wartownicy, zasadzka - i Janson natychmiast znieruchomiał.

Rozdział 7

Jessica Kincaid zastygła w bezruchu w cieniu drzew.

Paul nie wiedział, co zobaczyła. Nie wiedział też, czy znajduje się w polu widzenia wartownika, w które ona wkroczyła. Nie poruszając głową, zbadał otoczenie spojrzeniem przymrużonych oczu i uznał, że jest częściowo zasłonięty przez blisko metrowej średnicy pień wielkiego drzewa żelaznego.

Stał bez ruchu tak długo, że pojedynczy promień słońca, który przebił się przez baldachim listowia, zdążył się przesunąć z okrytego szorstką korą pnia drzewa na jego plecak i przez ramię na pomalowaną absorbującym światło kamuflażem twarz. Dwadzieścia minut ciągnęło się jak dwie godziny. I jeszcze dwadzieścia. Janson czuł, że sztywnieją mu kończyny. Bolały go kolana. Blokowały się kostki. Plecak ciążył coraz bardziej. Miał wrażenie, że cała krew spłynęła mu do stóp.

Wyobraził sobie, że jego skóra i ubranie to nieruchoma skorupa i poruszał się wewnątrz niej, napinał i rozluźniał mięśnie, ścięgnął, opierając się o bezwładniającą inercji. Usłyszał zgrzytliwy dźwięk. Co to było? Nadstawił uszu. Znów zgrzyt. Mechaniczny. Potem ciche szcęknięcie. Bezpiecznik pistoletu? Może i tak, ale nie Jessiki. Nie poruszyła się. Napinany kurek staromodnego rewolweru? W jego umyśle rodziły się obrazy, anegdoty. Rebeliant z deszczowego lasu odcięty od współczesnego

świata. Stary, zardzewiały rewolwer. Prezent od dziadka. Trzyma Jess na muszce? Znów zgrzyt i szczęknięcie. Zapalniczka? Jednorazowa zapalniczka gazowa? Poczł woń dymu tytoniowego. Jego kłęb płynął z góry, widoczny w świetle słońca.

O następnym kroku musiała zdecydować Jessica. Nie widział tego co ona. Kolejny kłęb dymu. Wartownik nie był skoncentrowany, odwrócił uwagę od strefy obserwacji. Trzeba to wykorzystać.

Pst! w słuchawce Jansona.

Kincaid daje sygnał, ale nadal się nie rusza, a to znaczy: Możliwe, że mnie widzi, ale nie widzi ciebie. Nie mogę się ruszyć. Ty - tak. Dym powie ci, gdzie się znajduje.

Paul wyobraził sobie najbliższe swoje posunięcia: krok wstecz, krok bliżej drzewa, następny do samego pnia, przemknąć wokół niego, wyskoczyć z drugiej strony... Co potem? Najistotniejszym sygnałem od Jess było to, że nie podejmowała żadnych działań. Wartownik palił papierosa. Jedna ręka zajęta, spojrzenie podąża za odpływającym dymem, facet przymyka oczy, po raz kolejny zaciągając się z lubością. Nikotyna i inne produkty spalania tytoniu przytępiają jego zmysły. Znakomita okazja do ataku - jeden obrót krótkiej lufy jej MP5K z tłumikiem i w ułamku sekundy otwarcie ognia - ona jednak nie atakowała. Więcej niż jeden wartownik? A może jeden, ale jego śmierć zostałaby szybko zauważona, bo nie zameldowałby się na czas? Niewykluczone też, że stoi na najbardziej wysuniętym posterunku całej linii pikiet, rozstawionych tak gęsto, że inni usłyszeliby odgłos wystrzałów.

Cofnął się o krok, ostrożnie stawiając stopę, na wypadek gdyby zdrętwiałe kolano lub kostka odmówiły mu posłuszeństwa. Teraz bliżej drzewa, przyłgnąć do szorstkiej kory, prześlizgnąć się wokół pnia, za pień. Rozszerzyło się pole jego widzenia, uważnie omiatał wzrokiem teren, szukając niskiej gałęzi lub platformy strzeleckiej, z której spływał dym.

Coś się poruszyło. Posklejany taśmą but żołnierski, poruszający się tam i z powrotem. Ten mimowolny ruch znamionował znudzenie: wartownik się nudził i dlatego machał nogą. Paul przesuwiał się wokół drzewa aż do miejsca, z którego mógł dostrzec nogę w spodniach maskujących, ciężki pistolet samopowtarzalny w

prowizorycznej plastikowej kaburze na udzie i długą lufę spoczywającego na kolanach rosyjskiego rkm-u z czasów II wojny światowej.

Janson wyciągnął nóż.

Kark i twarz wartownika przesłaniały liście. Ramiona miał nagie, błyszczące od potu, ale klatkę piersiową chroniła wojskowa kamizelka w maskujące wzory. Nawet jeśli nie chroniła przed kulami, stanowiła solidną ochronę przed ostrzem noża. Janson obiegił wzrokiem teren wokół wartownika. Bez ryzyka popełnienia pomyłki mógł przyjąć, że mężczyzna był sam. Ktoś tak znudzony i na tyle głupi, by palić na posterunku, na pewno rozmawiałby, gdyby ktoś mu towarzyszył. Po raz kolejny zaciągnął się głęboko i wydmuchał kółko dymu, które popłynęło w dół, w kierunku Jessiki.

Janson rozważał możliwość przeprowadzenia bezpośredniego ataku. Cztery kroki, wyskok i uderzenie nożem pod brodę, w miejsce nieosłonięte kamizelką. Ale zabicie wartownika to ostateczność - albo nagła konieczność, w razie gdyby zauważył Jessicę. Jeśli chcieli dotrzeć do obozu, zabrać lekarza i wydostać się stamtąd, powinni pozostać niezauważeni. Zabicie tego człowieka mogło im raczej zaszkodzić, chyba że nie mieliby wyboru.

Niespodziewanie strażnik zeskoczył z gałęzi. Opadł na leśną ściółkę z wysokości półtora metra, ukazując twarz znudzonego nastolatka. Paul zacisnął dłoń na nożu, czekając na strzał Jessiki. Ona jednak się nie ruszyła i chwilę później Janson zorientował się dlaczego. Przewiesiwszy rkm przez ramię, wartownik majstrował przy rozporku. Oddał mocz pod tym samym drzewem, z którego zeskoczył. Zapiął rozporek, odwrócił się na pięcie i w kompletnej ciszy ruszył ścieżką pod górę.

Janson znalazł swoją towarzyszkę opartą o drzewo i przyssaną do butelki z wodą. Jej twarz pozostawała bez wyrazu, dopóki nie mruknął:

- Miło było.

Wtedy jej oczy zabłyśły.

- Nigdy w życiu tak się nie cieszyłam, czując zapach dymu tytoniowego. Myślałam, że ten skurczybyk nigdy się nie ruszy. Zatrzymali się w tym miejscu na postój i przesпали na zmianę całe popołudnie, pilnując się nawzajem.

W nocy Janson i Kincaid czuli się w swoim żywiole, przesywając ciemność za pomocą panoramicznych, cyfrowych gogli noktowizyjnych. Znacznie ulepszone w stosunku do pierwotnej konstrukcji przeznaczonej dla sił powietrznych, warte dwadzieścia sześć tysięcy dolarów, gogle JF-Gen3 PSFENVG-Dc posiadały wielokrotny wzmacniacz obrazu trzeciej generacji, dzięki czemu uzyskiwało się czysty obraz wszystkiego, co znajdowało się z przodu, przy kącie widzenia bliskim sześćdziesięciu stopni w obie strony.

Wzmacniacz podczerwieni sprawiał, iż żywe cele prezentowały się jaśniej niż obiekty nieożywione. Wartownik RWF wypatrzony przez Paula był jaśniejszy niż drzewo, o które się opierał, i trzymany przez niego karabin. Między ciemnymi konturami głazów za plecami wartownika czaili się inni żołnierze, jego wsparcie; świecili niczym płonące miedziane opilki.

Gogle miały połączenie radiowe. Kincaid idąca z tyłu patrzyła w dół, koncentrując się na cichym przemieszczaniu się po nierównym gruncie. Przystawiając dwupozycyjny przełącznik, Janson przesyłał jej ostry, zielony obraz tego, co sam obserwował. Ekran w jej goglach dzielił się poziomo na dwie części, tak że jednocześnie widziała, co się dzieje w przedzie oraz grunt pod stopami.

Zatrzymali się w bezpiecznej odległości od wartowników i postanowili ich obejść.

Temperatura spadła do przyjemnych piętnastu stopni Celsjusza, toteż wspinali się w niezłym tempie. Natknęli się na wypalony wrak helikoptera. Musiał tam leżeć od dłuższego czasu. Dzika winorośl oplotła wirnik ogonowy, dziwnym trafem nietknięty, ale w wilgotnym powietrzu wciąż wisiał swąd palonej gumy. Janson dał sygnał „stop” i uważnie obejrzał górne partie drzew.

Teraz rozdzielił się obraz na jego ekranie, gdyż Jessica przekazywała mu widok platformy z karabinem maszynowym tuż poniżej koron drzew. Żadnej żywej istoty, jaśniejszej żółtym blaskiem, w pobliżu nie było. Stanowisko pozostawało nieobsadzone, ale broń wyglądała na gotową do użytku - stary radziecki model ciężkiego karabinu maszynowego, zdolnego bez trudu zestrzelić wolno lecącą maszynę pozbawioną nowoczesnych systemów ostrzegawczych. Minęli jeszcze jeden zestrzelony helikopter i jeszcze jeden. Nad każdym wypalonym wrakiem wysoko na

drzewie znajdowało się stanowisko karabinu maszynowego. RWF nie dawał sobie dmuchać w kaszę.

Pst! - rozległo się w słuchawce Jansona, a potem szept:

- Co to, do cholery, jest? Janson też to słyszał. Słaby, brzęczący dźwięk, raz słyszany - nie do zapomnienia. Wymienili z Kincaid zdumione, żółtozielone spojrzenia.

- To niemożliwe - wyszeptała.

Tyle że oboje słyszeli znajomy dźwięk i wyciągnęli te same nieprawdopodobne, ale niepodważalne wnioski. Wysoko na nocnym niebie, nad obozem powstańców na Pico Clarence, krążył bezzałogowy samolot bojowy reaper, uzbrojony w rakiety Hellfire i laserowo naprowadzane dwustupięćdziesięcikilogramowe bomby. Czyżby dożywotni prezydent Iboga jakimś sposobem położył łapy na najgroźniejszej broni w amerykańskim arsenale?

- Patrz! - szepnęła Kincaid.

Przez noktowizyjne gogle mogli dojrzeć niskie zwalisko wulkanicznych skał usiane wylotami płytkich jaskiń. Wartownicy RWF pobiegli w tamtym kierunku, by po chwili zniknąć w jaskiniach. Oni, w każdym razie, również uważali, że to reaper.

Janson klepnął Jessicę w ramię. Rzecz wyglądała dziwnie, ale to nie była ich walka - przynajmniej nie teraz - i na pewno nie sprawa priorytetowa, bo obecnie należało niezauważenie przeniknąć do obozu rebeliantów. Postanowili skorzystać z okazji i przejść przez teren opuszczony przez wartowników. Odgłos silnika drona cichł. Nim minęli wartowników, ucichł całkowicie.

Dziesięć minut później usłyszeli kolejny dziwny dźwięk, inny od pierwszego, choć też mechaniczny. Zatrzymali się i nadstawili uszu. Odebrali to raczej jako wibrację niż dźwięk, bardzo słabą, mającą swe źródło gdzieś daleko na południu. Przypominała dudnienie pociągu towarowego albo potężnej ciężarówki na autostradzie. Ale jedyne pociągi na Isle de Foree to kolejki wąskotorowe kursujące w rejonie upraw kawy. Szyny, przez które Janson i Kincaid przechodzili po drodze, były zardzewiałe, a to znaczyło, że jakiegokolwiek koła toczyły się po nich tylko w porze zbioru plonów. Jedyne zaś autostrada w kraju, długości dwudziestu kilometrów,

łącząca stolicę, Porto Clarence, z Międzynarodowym Portem Lotniczym imienia Dożywotnego Prezydenta Ibogi, przebiegała daleko.

Zerwał się ciepły wiatr, zaszeleściły korony drzew. Dudnienie zdawało się przycichać, a być może zagłuszał je ów szelest. Janson i Kincaid ruszyli w dalszą drogę. Okrążyli kilka posterunków wartowniczych, minęli niezliczone mnóstwo nieobsadzonych stanowisk karabinów maszynowych. Ich gogle zarejestrowały w pewnym momencie silny blask z przodu. Narastał, aż osiągnął jasność setek ognisk i lamp. Minawszy wartowników, weszli do obozu powstańców.

Każdy korzystający z klasycznego noktowizora zostałby natychmiast oślepiony, ale oprogramowanie wzmacniacza gogli panoramicznych momentalnie przystosowywało aparat do zmiany natężenia światła. Agenci poruszali się więc pewnie, szukając bezpiecznej drogi w kierunku stłumionego warkotu przenośnego generatora benzynowego. Elektryczność była rzadkością w prymitywnym obozowisku, należało więc założyć, że generator znajduje się w pobliżu siedziby dowództwa i najprawdopodobniej szpitala, gdziekolwiek się mieścił.

Pst! Janson przystanął.

Kincaid zauważyła wylot dużej jaskini, z której wylewał się w ciemność strumień białego światła. Już wcześniej doszli do wniosku, że lekarz prawie na pewno sypia w szpitalu, żeby być bliżej swojego pacjenta, i by jego porywaczom łatwiej było pilnować więźnia. Agenci podeszli bliżej szpitala i ukryli się między drzewami. Na ekranach gogli pokazały się małe, jasnozielone punkciki - mrówki pożywiające się czymś lepkiem.

Z tego miejsca dostrzegli drugą jaskinię. Dobywało się z niej takie samo stałe, białe światło. Kwatery dowództwa czy szpital? W której jaskini znajduje się doktor, a w której przywódca RWF, na pewno dobrze uzbrojeni?

Oto znaleźli się w krytycznym punkcie operacji. Zupełnie nie mieli ochoty wdawać się w strzelaninę z porywaczami lekarza. Krzyżowy ogień nie wybiera - zginąć mógłby człowiek, którego próbowali ocalić przed śmiercią. Trudno też było przewidzieć, jak na sprawę rewolucji wpłynęłoby zabicie dowódców Ruchu. Janson ani myślał brać stronę czy to zbrodniarza Ibogi, czy powstańców, mających na sumieniu wymordowanie załogi Amber Dawn. Nie wątpił jednak, że jeśli w tej

krwawej wojnie domowej któraś ze stron walczy w słusznej sprawie, to jest to RWF, toteż nie zamierzał naruszać równowagi na niekorzyść Ruchu. Sukces będzie od nich wymagał szybkości i ostrożności - tam i z powrotem szybko i cicho.

Wiatr przybierał na sile i było to dla nich korzystne. Śpiący mężczyźni nie powinni ich usłyszeć poprzez niecichnący szum milionów liści. Czekali, starając się zaczarować zegarki. Godzinę przed świtem zgasło światło w jednej z jaskiń.

- Szefostwo idzie spać - szepnął Janson. - Dajmy im kilka minut na zaśnięcie. Minęło dziesięć minut. - Dobra, ruszamy.

Nie po raz pierwszy Terry Flannigan budził się zaspany i półprzytomny z kobiecą ręką na ustach i przyciśniętymi do ucha wargami szepczącymi: „Bądź cicho”. Mężowie odbywający podróż służbową mają zwyczaj wcześniej wracać do domu.

- Zabierzemy cię stąd - szepnęła.

To też już kiedyś słyszał. Do łazienki i przez okno. Albo do pokoju gościnnego. Albo, Boże pomóż, do szafy, jak w dowcipie rysunkowym z „New Yorkera”.

- Otwórz oczy - powiedziała - jeśli rozumiesz, co mówię.

Bez względu na to, jak bardzo budził się przymulony, doznawał wstrząsu na widok niskiego, skalistego stropu jaskini RWF na Pico Clarence. Przykucnęła nad nim jakaś kobieta w mundurze, z twarzą uczernioną farbą maskującą. Wpatrywała się weń intensywnie.

- Kto? - wyszeptał spod jej dłoni.

- Przyjaciele - odpowiedziała szeptem i Flannigan poczuł strach. Żadni „przyjaciele” nie mieli pojęcia, że się tu znajduje. Janet została zamordowana i tylko zabójcy wiedzieli, że po jej śmierci i zatopieniu Amber Dawn został uprowadzony.

- Jacy przyjaciele?

- ASC - szepnęła - twoi pracodawcy. Zabieramy cię do domu... Obudziłeś się? Weź się w garść! ASC? Co tu się, u licha, dzieje? Skąd American Synergy wie, że przebywał na statku? Zbyt długo pracował jako lekarz w różnych spółkach naftowych, by nie czuć respektu i obawy przed ich potęgą i zakresem władzy w rejonie Afryki

Zachodniej. Wiedział, do czego zdolni są ci ludzie. W miejscach odległych od cywilizowanego świata byli ponad wszelkim prawem. Nie ma mowy, by im zaufał.

Nie chcąc, by kobieta zauważyła jego konsternację, Flannigan odwrócił głowę, lecz tam czekał na niego widok kolejnej śmierci - na kamiennej posadzce leżało nieruchome ciało strażnika. Zabrała dłoń z jego ust, tak że znów mógł mówić.

- Pocisk do usypiania zwierząt - warknęła.

- Dwa centymetry cytrynianu fentanylu. Wstawaj! Wzrok Flannigana padł na oświetlone pojedynczą żarówką polowe łóżko Ferdinanda Poego. Pokręcił głową.

- Nie zostawię go tutaj.

- Co?

- Jego stan jest bardzo kiepski. A ja tu jestem jedynym lekarzem. Trochę ją zatkało, toteż Flannigan zyskał nieco czasu, by przyjrzeć się jej dokładniej. Nieco za chuda jak na jego upodobania, miała jednak urodziwą twarz i wspaniałe usta. Nigdy nie widział oczu tak skupionych, błyszczących niczym stalowe kulki łożyska. Spojrzała w kierunku przeciwnego krańca jaskini i u jej boku zmaterializował się masywnie zbudowany, lecz zwinny mężczyzna.

- Nie idzie - szepnęła.

- Nie zostawi pacjenta. Ku zdumieniu Flannigana po surowej twarzy barczy-
stego „wybawiciela” przemknął uśmiech.

- Niech mnie diabli - mruknął i wyciągnął potężną dłoń. - Miło mi pana poznać,
doktorze.

- Możemy go zabrać z sobą? - zapytał Flannigan.

- Nie ma mowy - odparła kobieta.

- Widziałem tutaj kilka par lekkich noszy - nalegał Flannigan.

- Ilu macie ludzi?

- Tylu, ilu widzisz.

- Was dwoje? Nagle obydwójce spojrzeli w kierunku wyjścia z jaskini, nasłuchiwali, przekrzywiając głowy jak zwierzęta. Chwilę później on także to usłyszał - głucho dudnienie silników i klekotanie łopat helikopterów. Z obozu dobiegały krzyki

i tupot stóp. Powstańcy biegli ku swoim nadrzewnym stanowiskom karabinów maszynowych.

- Trzy maszyny, może cztery - rzucił mężczyzna. Agenci wymienili zdziwione spojrzenia, podbiegli do wylotu jaskini i wyjrżeli na zewnątrz.

- Coś się dzieje? - zaniepokoił się Janson.

- Taki atak to samobójstwo. Dalej rozłokowane karabiny maszynowe otworzyły ogień. Słysząc było krótkie, szybkie serie - strzelcy musieli mieć dużą wprawę. Agenci mogli sobie wyobrazić grad ciężkich pocisków prujących cienkie poszycie kadłubów. Rozległ się szum odpalanej rakiety, dudnienie wirnika zmieniło ton, kiedy wolna maszyna próbowała odskoczyć, usiłując uniknąć trafienia.

- Samobójstwo - zgodził się Janson.

- Chyba że...

- Oni odciągają ich uwagę! Iboga atakuje na ziemi. Usłyszeli potężną eksplozję. Kula ognia przedarła się przez baldachim liści. Helikopter eksplodował. Słup białego dymu wystrzelił z leśnego poszycia. Przyspieszył rytm dudnienia kolejnych maszyn. Karabiny maszynowe strzelały teraz dłuższymi seriami. Kolejny wybuch wstrząsnął koronami drzew.

Na chwilę zapadła niesamowita cisza. Przerwał ją ryk potężnych silników i zgrzyt stalowych gąsienic.

- Czołgi! - stwierdził Janson. - T siedemdziesiąt dwa.

Rozdział 8

Poprzedzane ogłuszającym hukiem 125-milimetrowych dział, czołgi wspinały się na górę, oddając cztery strzały na minutę. Pociski odłamkowo-burzące wycinały szerokie przesieki powalonych drzew. W baldachimie liści lasu deszczowego powstawały olbrzymie wyrwy. Padające drzewa miażdżyły prowizoryczne szalasy obozowiska.

Zaskoczenie było całkowite. Odgłos czterdziestotonowych potworów wpelzających na pozycję do ataku skutecznie zagłuszyło dudnienie wirników

brawurowo atakujących helikopterów i ogień obrony. Teraz karabiny maszynowe ukryte w stalowych kadłubach ostrzeliwały uciekających w panice żołnierzy RWF.

Janson oszacował, że błyski wystrzałów widoczne między drzewami są odległe nie więcej niż o pięćset metrów.

- Obiecaliśmy nie wszczynać tu wojny. Tymczasem zadyma sama przyszła do nas.

- Uciekamy albo walczymy! - zawołała Kincaid.

- Mamy dziesięć sekund na podjęcie decyzji.

Gdyby myśleli tylko o sobie, to jako agenci wyszkoleni w taktyce uników i ucieczek mogliby przewidzieć przebieg bitwy i wynieść się stąd. Ich szanse zmalałyby nieco, gdyby zabrali ze sobą lekarza. Gdyby zabrali też jego pacjenta - zginęliby wszyscy.

- Dajcie mi broń - usłyszeli zza pleców głos Flannigana.

- A umiesz się z nią obchodzić?

- Ni cholery. To dla ministra Poego. Nie zniesie ponownego uwięzienia. Chce stanąć do walki i ostatnią kulę zachować dla siebie. Janson i Kincaid spojrzeli po sobie z ponurymi minami.

- Rosjanie przeznaczają na eksport swoje najbardziej gówniane czołgi - rzekł Janson.

- „Modele dla małą”, słabo opancerzone, z przestarzałymi przyrządami celowniczymi, bez podczerwieni, bez dalmierza laserowego. Amunicję wożą w przedziale załogowym. Wystarczy jedno dobre trafienie, a cała wieża wylatuje w powietrze.

- Mimo wszystko są to czołgi, prawda?

- Obawiam się, że tak.

- Decyduj - powiedziała Kincaid. Janson zwrócił się do Flannigana:

- Obiecaj swojemu pacjentowi, że nie zostanie ujęty.

W milczeniu rozpięli plecaki i wydobyli z pokrowców jednostrzałowe, fabrycznie naładowane rosyjskie wyrzutnie rakiet. Pięć RPG-22 i jedną RPG-26.

- Weź dwudziestkę szóstkę - polecił Janson dziewczynie. - Lepiej sobie z nią radzisz.

Ruszyli w dół stoku, kierując się ku miejscu, z którego dobiegał odgłos wystrzałów. Mijali ich biegnący w przeciwnym kierunku żołnierze RWF z wytrzeszczonymi oczyma, wyraźnie w stanie szoku. Gryzący dym był tak gęsty, że wręcz przesłaniał poranne słońce. Na ziemi walały się karabiny, hełmy, nawet buty zgubione przez uciekających.

Gdy podeszli na jakieś dwieście metrów od pozycji czołgów, Kincaid wypatrzyła drzewo, do którego pnia przybito poziome listwy. Po tych prymitywnych szczeblach można się było dostać na jedną z platform z karabinem maszynowym służącym do obrony przeciwlotniczej. Wspięła się tam, dźwigając zawieszona na plecach trzy niemal osiemdziesięciocentymetrowej długości wyrzutnie o wadze prawie dziewięciu kilogramów. Ten ciężar stanowił tylko dodatek do tego, co już niosła. Dźwigała na plecach pistolet maszynowy MP5, pistolet colt M1911, zapasowe magazynki, nóż, kevlarowy hełm, kamizelkę kuloodporną z ceramicznymi wkładami, GPS, zapasowe baterie, zestaw medyczny i wodę.

Nim zdołała złapać oddech na platformie, ogień dział powalił następną kępę drzew, otwierając widok na czołgi i idącą za nimi piechotę. Coś żółtego przyciągnęło jej uwagę. Spojrzała na to przez lornetkę i zaklęła. Nie mogła na tę wyprawę zabrać prawdziwej broni snajperskiej, choćby z powodu braku miejsca w plecaku, a tymczasem to coś żółtego okazało się wielką jak koc chustą spowijającą głowę i szyję dożywotniego prezydenta Ibogi. Facet robił wrażenie olbrzyma. Gdyby miała swojego M110, dyktator byłby już martwy, a natarcie czołgów zostałoby przerwane.

Janson szukał pozycji na flance. Skręcił ostro i pobiegł między drzewami. Znalazszy się dwieście metrów od czołgów, stwierdził, że ciemnozielone behemoty ugrzęzły, próbując sforsować jakąś rozpadlinę. Wynikało z tego, że obóz RWF nie jest z tej strony tak bezbronny, jak sądzili żołnierze Ibogi.

Ośmieleni takim obrotem rzeczy, ci z powstańców, którzy nie uciekli, pospieszyli wykorzystać czasowe zahamowanie ofensywy wroga. Strzelali zza skał i rzucali granatami ręcznymi. Jeden z czołgów został unieruchomiony, gdyż grad ołowiu uszkodził przyrząd obserwacyjny jego dowódcy. Reszta jednak uparcie

próbowała wspiąć się na stromy stok, jako że kule odbijały się od ich pancerzy, a granaty nie dolatywały do celu.

Jeden z partyzantów podniósł się, trzymając na ramieniu stary granatnik RPG-7. Ciężka głowica bojowa wystawała z długiej, nieporęcznej wyrzutni. Celował zbyt długo - seria czołgowego karabinu maszynowego przecięła go na pół. Martwa już dłoń zwolniła spust i raketowy pocisk, ciągnąc za sobą ogon białego dymu, przeleciał nad czołgami i wybuchł, uderzywszy w drzewo. Strumień gorących gazów wylotowych z wyrzutni cisnął innego powstańca w powietrze. Runął na ziemię zmieniony w dymiącą skwarę.

Dwie ze swoich wyrzutni, RPG-22 i RPG-26, Jessica położyła na platformie, na ramię zaś zarzuciła drugą RPG-22. Nowocześniejszą dwudziestkęszóstkę zarezerwowała na drugi strzał. Będzie musiała użyć, co ma najlepszego, bo pierwszy strzał zdradzi jej stanowisko. Ze wzrokiem utkwionym w najbliższy czołg, usilnie starający się pokonać skalną krawędź rozpadliny, wyciągnęła ruchome przedłużenie rury wyrzutni, zdjęła przednią i tylną pokrywę. Następnie podniosła szczerbinę celownika pomocniczego, jednocześnie odbezpieczając granatnik, wycelowała w podstawę wieży czołgu i odpaliła.

Napędzana silnikiem na paliwo stałe, stabilizowana lotkami rakietą wyprysnęła z gładkolufowej wyrzutni i niosąc półtorakilogramową głowicę kumulacyjną, pomknęła do celu.

- Dycha! - mruknęła pod nosem.

Nastąpiły dwie eksplozje. Pierwsza u podstawy wieży, druga ułamek sekundy później, kiedy wybuchła zgromadzona w czołgu amunicja. Wieża oderwała się od kadłuba i runęła na ziemię. Buchnął płomień, jakby pocisk Kincaid zamienił czołg w hutniczy piec.

Sięgnęła po RPG-26. Gazy wylotowe zapaliły liście za jej plecami, toteż nacierający znali teraz jej pozycję. Wszystkie czołgi zatrzymane w rozpadlinie próbowały skierować lufy dział w jej stronę. Najpierw jednak musiały zająć pozycję na stoku. Przygotowała granatnik do strzału - w tym ulepszonym modelu głowica niemal od zaraz była gotowa do użycia, dzięki, Rosjanie - wybrała czołg, który wspinał się po stromym zboczu z zamiarem wzięcia jej na cel, i wystrzeliła. Usłyszała

głuchy trzask. Rakieta, zamiast ze świstem pomknąć w stronę czołgu, nie odpaliła. Wskoczyła z lufy na odległość trzech metrów i spadła na leśną ściółkę.

- Kurwa!

Czołg, do którego celowała, obrócił wieżę, kierując lufę działa w jej stronę. Chwyła ostatni granatnik jednym szarpnięciem, przygotowując go do strzału. Usłyszała eksplozję. Czołg niespodziewanie buchnął dymem. Właz na wieży otworzył się i z wnętrza maszyny wygramoliło się trzech ludzi; tarzali się po ziemi, by ugasić płonące kombinezony. Domyśliła się, że to Janson przygwoździł ten czołg. Ale płonące za nią drzewo przyciągnęło uwagę następnego.

- Złaź stamtąd! - usłyszała w słuchawce. Odbezpieczyła granatnik, modląc się w duchu, żeby nie okazał się kolejnym buble.

Wewnątrz T-72 trzech drobni mężczyźni - nikt nie przekraczał 160 centymetrów, gdyż nie zmieściłby się w ciasnym wnętrzu - połączyli siły w celu zlikwidowania uzbrojonego w granatnik rebelianta ukrytego na drzewie, który zniszczył już jeden czołg. Mechanik-kierowca manipulował przekładniami i dźwigniami biegów, by zmusić maszynę do wjazdu na zbocze rozpadliny. Dowódca naprowadził działą i rozkazał strzelać, dwukrotnie. Po pierwszej komendzie mechanik wcisnął sprzęgło, by zwolnić bieg potwora. Po drugiej - działonowy dał ognia. Równocześnie dowódca spostrzegł błysk z lufy granatnika. Głowica kumulacyjna przepaliła pancerz strumieniem metalu zmienionego w plazmę. Nastąpił oślepiający błysk. Rozpalone odłamki pancerza rykoszetowały we wnętrzu pojazdu niczym fruujące brzytwy.

Studwudziestopięciomilimetrowy pocisk przeleciał tak blisko Kincaid, że fala uderzeniowa cisnęła ją na platformę. Zaraz potem czołg, do którego strzeliła, wyleciał w powietrze. Nie czekając, aż namierzy ją następny, przerzuciła nogi przez krawędź platformy i najszybciej jak mogła zeszła po prowizorycznych szczeblach.

W chwili gdy stanęła na ziemi, usłyszała w słuchawce głos Jansona, zimny i poważny:

- Zdaje się, że już dawno temu rozkazałem ci zejść z tego drzewa.

- Tak jest.

- Czuję się jak prosty szeregowiec rugany przez kaprała.

- Wykręć jeszcze jeden taki numer, a będziesz szukać roboty!

- Myślałam, że jesteśmy partnerami.

- Więc będziesz szukać partnera - odpalił Janson i nagle wybuchnął, jak na niego niebywale emocjonalnie:

- Jezu, Jesse, zabijesz się, bawiąc się w kowboja w taki sposób!

- To się już nie powtórzy, dziękuję!

- Wracajmy do jaskini. Trzeba się stąd wynosić. Pobiegli różnymi ścieżkami, które jednak zbiegały się w tej samej szpitalnej jaskini. Ciekawe, co mu się porobiło z głosem, pomyślała Kincaid. Przecież wcześniej był jak zawsze spokojny, otwarty, czujny i skupiony.

- Iboga ukrył gwardię prezydencką za czołgami. Wspinają się za nimi na czworakach.

- Widziałam go.

Wielgaśny facet w żółtej chuście. Partyzanci RWF wycofywali się. W jaskini para agentów zastała tuzin chłopców skulonych wokół łóżka Ferdinanda Poego. Paul Janson przemówił, głośno i wyraźnie, chcąc dodać otuchy Flanniganowi, ministrowi i tym z chłopców, którzy rozumieli po angielsku.

- Posłuchajcie, oto, co zrobimy. Położymy pana ministra na noszach i będziemy go nieśli po czterech na zmianę. Doktor zabierze swoje przybory medyczne. Wy dwaj, chłopcy, ty i ty, poniesiecie wodę. Ta pani was poprowadzi - tu wskazał Jessicę, stojącą obok niego z MP5 w dłoni.

- Idźcie za nią. Ja będę ubezpieczał nasze tyły. A teraz szybko, nie ma czasu do stracenia!

Flannigan nadzorował przekładanie rannego z łóżka na nosze, trzymane przez czterech najsilniejszych chłopców.

Kilka sekund po tym, jak żałosna karawana opuściła jaskinię i wąską ścieżką zaczęła się wspinać ku szczytowi góry, na otwartą przestrzeń wtoczył się ze szczękiem gąsienic jeden z czołgów i wypalił z działa w głąb obydwu jaskiń - najpierw szpitalnej, potem dowodzenia. Idący za czołgiem żołnierze gwardii prezydenckiej nieprzerwanie ostrzeliwali teren z broni maszynowej.

Janson opuścił obóz jako ostatni. Obejrzał się jeszcze i zobaczył, jak zza skał wyskakują dwaj młodzi partyzanci RWF, celując do czołgów z nieporęcznych RPG-7. Obydwaj padli pod gradem kul w chwili, gdy odpalali granatniki. Jednemu z nich szczęśliwie udało się trafić w wieżę, obok wjazdu dowódcy. Maszyna skręciła, uderzyła w masywny głąz i plując dymem, znieruchomiała, tylko gąsienice wciąż jeszcze się obracały.

Na polanę wjeżdżały jednak kolejne czołgi w eskorcie setek żołnierzy. Przeważające siły dyktatora opanowały obóz rebeliantów. Janson widział samego Ibogę, gargantuicznego stwora z głową owiniętą żółtą chustą na wzór arabskiej kefirii. Stał w otoczeniu członków elitarniej gwardii przybocznej, którzy podobne chusty zawiązywali sobie na szyjach. Wódz wydał mu się uosobieniem wszystkich tych „wielkich” wodzów niszczących afrykańskie kraje jeden po drugim. Dobrze wymierzony strzał mógłby odwrócić losy bitwy. Jednak dla jego MP5 dystans stu pięćdziesięciu metrów był bliski maksymalnego zasięgu skutecznego. Dyktatora zasłaniali wysocy gwardziści, którzy w razie pudła rzuciliby się w pogoń za podopiecznymi Jansona, jak dotąd niezauważonymi. Zbyt ryzykowne.

Pobiegł ścieżką w ślad za swoją grupą.

Jessica położyła wszystkich na brzuchach i teraz czołgali się, wlokąc za sobą nosze z ministrem wzdłuż odsłoniętego grzbietu, który mógł być widoczny z dołu. Janson zaczekał, aż dotrą do celu, i dopiero wtedy ruszył ich śladem, również pełznąąc przy samej ziemi. Właśnie przebył odkryty teren, gdy ponad chaos w dole wzbily się głośnie wiwaty. Zrozumiał, że to ryk zwycięstwa. Spojrzał na polanę i spostrzegł, że gwardia prezydencka pojmała wysokiego, chudego mężczyznę, który, wnosząc z natężenia wiwatów, musiał być synem ministra, Douglasem Poem.

Wrzawa podnosiła się coraz większa, bo oto dożywotni prezydent Iboga majestatycznym krokiem zbliżył się do więźnia, a następnie uderzył go w twarz.

Chudy mężczyzna zatoczył się, ale żołnierze przytrzymali go i dyktator uderzył go powtórnie. Cofnął się, a wtedy z półkolistego szyku na skraju strzaskanego lasu ruszyły dwa czołgi i wjechały na polanę, omijając po drodze wrak maszyny zniszczonej przez bojownika RWF. Kierowane niecierpliwymi gestami Ibogi, czołgi obróciły się i stanęły naprzeciw siebie, lufa w lufę, w odległości około sześciu metrów.

Żołnierze przywiązali liny do nadgarstków Douglasa Poego, zawlekli go między czołgi i naciągnęli liny tak, że stał niczym ukrzyżowany. Przy wtórze bezlitosnego śmiechu Iboga dał znak i czołgi ruszyły w kierunku więźnia, podpełzając coraz bliżej, aż kadłuby oparły się o jego plecy i klatkę piersiową. Śmiech narastał. Dyktator zerwał chustę z głowy i podniósł ją, niczym starter na torze wyścigowym gotujący się do opuszczenia chorągiewki.

Nagle spojrzał w górę. Szyderczy uśmiech zniknął z jego twarzy.

Rozdział 9

Uszu Paula Jansona dobiegł ten sam cichy dźwięk, który słyszeli minionej nocy - warkot reapera. Iboga zamarł, z chustą nad głową, wzrokiem wlepionym w niebo. Bojowy dron wrócił.

Żołnierze i gwardziści patrzyli w górę.

- Reaper! Reaper! - niosło się po polanie.

Iboga wykręcił się na pięcie i rzucił do ucieczki, spychając wszystkich ze swojej drogi. Niebawem przedostał się przez pancerny półokrąg utworzony przez jego zwycięskie czołgi. Ku zdziwieniu Jansona żołnierze dyktatora gorączkowymi gestami nakazali czołgom odsunąć się od więźnia. Unieśli go w górę i tak trzymali niczym tarczę, jakby chcieli przekonać obiektywy na niebie, że jeśli reaper zacznie strzelać, młody Poe także zginie. Na tym, który trzymał palec na spuście, ich wysiłki nie zrobiły wrażenia.

Ziemia zadrżała. Zagrzmiało. Czołgi zaczęły wybuchać, jeden po drugim zmieniając się w kule ognia. Ciała żołnierzy i tych z gwardzistów, którzy od razu nie pobiegli za dyktatorem, podmuch eksplozji wyrzucał w powietrze. Atak w wykonaniu

niewidzialnych, bezzałogowych powietrznych aparatów szturmowych trwał niespełna trzydzieści sekund. A kiedy rozwiął się dym wybuchów, wszyscy znajdujący się na polanie, łącznie z Douglasem Poem, nie żyli.

Paul Janson czuł się oszołomiony. Kto oprócz Pentagonu albo Departamentu Stanu mógł spuścić reapersy ze smyczy? Teoretycznie powodem zaangażowania się mogłaby być zachodnioafrykańska ropa naftowa. Ale w rzeczywistości szyby, rurociągi i rafinerie pozostające we władaniu skorumpowanych władz Isle de Foree były w opłakanym stanie, a krajowe zasoby ropy, podobnie jak nigeryjskie, szybko się kurczyły. Wszelkie nowe złoża, jeszcze niepewne, zostały już zarezerwowane i znajdowały się na głębinowych działkach u wybrzeży Angoli, tysiąc kilometrów na południe. Ameryka wikłająca się w chaotyczne wojny plemienne w Afryce Zachodniej? Wyglądało to na przedsięwzięcie niezbyt zyskowne, za to ewidentnie ryzykowne. O ile, rzecz jasna, Doug Case nie kłamał, twierdząc, że zlecenie uwolnienia lekarza nie ma nic wspólnego ze złożami ropy.

Jeśli zaś reapersy nie należały do Amerykanów, to czy jakiś prywatny podmiot mógłby niewiadomym sposobem uzyskać dostęp do technologii UAV, technologii bezzałogowych aparatów latających? Praktycznie wykluczone. Silnie uzbrojone drony stanowiły wierzchołek niezwykle złożonego systemu uzbrojenia opierającego się na zdalnym sterowaniu za pośrednictwem satelitów. Wydawało się to kompletnie nieosiągalne dla takiej Nigerii czy Angoli. Trudno uwierzyć, by nawet Chińczycy odnieśli na tym polu sukces, nie mówiąc już o prywatnej firmie.

Czegokolwiek był świadkiem - coś niezwykle właśnie rozgrywało się nad nimi. Paul Janson obiecał sobie rozwikłać tę zagadkę, bo reaper dawał jego posiadaczowi niemal boską władzę, pozwalającą skrycie obserwować i niszczyć.

Na polanie dogasały szczątki armii Ibogi. Z lasu zaczęli się wyłaniać co śmielsi z partyzantów RWF, oniemiaли w obliczu tak nagłego, zadziwiającego zwrotu fortuny. Snuli się między zwłokami żołnierzy, którzy tak niedawno gotowi byli wymordować ich do ostatniego. Ze zdumieniem oglądali poskręcane stalowe blachy, wszystko, co

zostało z czołgów. Jakiś żołnierz podniósł z ziemi karabinek automatyczny i natychmiast odrzucił go z krzykiem, bo rozpalona broń parzyła dłonie. Inny roześmiał się głośno i wtedy zaczęli wznosić wiwaty, świętując nieoczekiwane zwycięstwo.

Z lasu powyżej stanowiska Jansona także dobiegły okrzyki i wiwaty wznoszone rozradowanymi, młodzieńczymi głosami. Spojrzał w górę i ujrzał zbiegających ku niemu ścieżką chłopców z Ferdinandem Poem na noszach. Przywódca rebelii był przytomny i wsparty na łokciu śledził wszystko dookoła płonącymi oczyma.

Obok noszy biegł wyraźnie zaniepokojony doktor Flannigan, bezskutecznie próbując nakłonić pacjenta do przyjęcia pozycji leżącej. Przebiegli obok Jansona, kierując się w stronę obozu, z którego ledwie kilka chwil wcześniej uciekli. Jako ostatnia wyłoniła się spomiędzy drzew Jessica Kincaid z MP5 w dłoniach.

- To wygląda nawet gorzej, niż można było sądzić po odgłosach - powiedziała, z niedowierzaniem patrząc na zasłane szczątkami czołgów i ludzi pobojowisko w dole.

- Zły dzień dla złych ludzi.

- Iboga zwiął.

- Minister Poe polecił właśnie swoim ludziom rozpocząć szturm na Porto Clarence.

- Dobre posunięcie. Zająć stolicę, zanim wielki grubas przegrupuje siły, i zakończyć to z marszu.

- A jakie będzie nasze posunięcie? - zapytała.

- Musimy się trzymać blisko doktora - odparł Janson.

- Żeby jakaś zabłąkana kula nie oszczędziła ASC pięciu milionów dolarów.

- Panie ministrze, nie przeżyje pan podróży do Porto Clarence - ostrzegł doktor Flannigan.

- Proszę posłuchać głosu rozsądku.

- Nikt nie wejdzie do stolicy przede mną - rzekł Ferdinand Poe.

- Ma pan rozległy krwotok i obrażenia wewnętrzne. Nie wytrzyma pan czterdziestu kilometrów na noszach. Proszę poczekać, aż pańscy ludzie zdobędą miasto oraz lotnisko i helikopter będzie mógł zabrać pana do szpitala.

- Nikt nie wejdzie do Porto Clarence przede mną! Minister usiadł na noszach i spróbował odepchnąć lekarza. Ale choć jego ducha ożywiała nadzieja bliskiego zwycięstwa, ciało go zawodziło. Jego krągłe policzki jakby się zapadły, co sprawiło, że i tak wielkie odstające uszy i długi wąski nos nabrały wręcz groteskowych rozmiarów. Ze wspaniałej kiedyś korony farbowanych włosów został splątany, przyklejony do spoconej czaszki kołtun.

Flannigan pochylił się, by otrzeć krew z kącika ust rannego.

- Pragnienie chwały pana zabije.

- Nie robię tego dla chwały - odparł Poe - lecz z potrzeby przywrócenia ładu.

Doktor uniósł ręce w geście rezygnacji.

- Przemówcie mu do rozumu! - zażądał, zwracając się do pary komandosów. Zdążył im już na własny użytek nadać imiona. Kobieta została Annie Oakley, bo tak skutecznie niszczyła czołgi Ibogi. Jej nieprzeniknionego towarzysza o kamiennej twarzy nazwał Ścianą. Flannigan nadal nie miał pojęcia, dlaczego ASC płaciła im za zabranie go „do domu”, i wciąż obawiał się najgorszego. Ściana wykazywał jednak zdrowy rozsądek i ewentualnie mógłby nakłonić znajdującego się w krytycznym stanie pacjenta do zmiany nastawienia.

Ściana jednak zawiódł Terry'ego.

- Nie rozumie pan intencji ministra Poego, doktorze Flannigan. On wie, że zwycięzcy w tej długiej i brutalnej wojnie mogą spalić miasto do gołej ziemi, jeśli osobiście ich od tego nie powstrzyma.

- Doktorze - wtrąciła się Annie Oakley - jego żołnierze od trzech lat żyją w dżungli. Nie można oczekiwać, że będą się zachowywać jak harcerze, jeśli się tam nie zjawi i nie przywoła ich do porządku.

- O to właśnie chodzi - przytaknął Ferdinand Poe. - Tylko ja mogę powściągnąć powszechną chęć zemsty. Tylko ja, bo oni wszyscy widzieli to!

Drżącą dłonią wskazał na polanę, gdzie dziesięciu mężczyzn wyęźżało wszystkie siły, by dźwignąć wielotonową wieżę czołgową, która oderwana od kadłuba przez wybuch rakiety Hellfire zmiotła jego syna.

- To daje mi moralne prawo żądać, by nie stosowali przemocy wobec współobywateli, by nie sprowadzali na nasz ciężko doświadczony naród może jeszcze straszniejszego nieszczęścia. Ta wojna musi się skończyć jeszcze dzisiaj.

Przez długą chwilę przyglądał się, jak żołnierze odsuwają wieżę z ciała jego syna. Potem powiedział cicho:

- Doktorze, doceniam pańską troskę i pański profesjonalizm. Ale w tym przypadku zawodowi żołnierze - ruchem głowy wskazał oboje Amerykanów - nawet profesjonaliści, którzy wylądowali na naszej wyspie z powodów nie całkiem jasnych, mają lepsze kwalifikacje do diagnozowania sytuacji militarnej.

- Nie diagnozuję sytuacji, do cholery. Stawiam diagnozę panu.

- Ale to nie ja jestem pacjentem, doktorze. Isle de Foree jest pacjentem i Isle de Foree znajduje się w stanie krytycznym. A teraz przepraszam, muszę porozmawiać z moimi dowódcami. - Dał znak parze agentów, by pozostali w jaskini szpitalnej.

Janson przyjrzał się mężczyznom, którzy zgromadzili się wokół noszy. Byli wśród nich zarówno bardzo młodzi, jak i bardzo starzy. Wszyscy godni zaufania, wypróbowani żołnierze, traktujący ministra z ogromnym szacunkiem. Wykonali świetną robotę, przywracając sprawność bojową rozbitym oddziałom i mobilizując do walki ludzi wracających z lasu. Żaden jednak nie miał charyzmy ich przywódcy.

Poe zwracał się do nich po portugalsku. Przemawiał z mocą, tchnął w nich nowego ducha, co rusz wskazując pięścią zwłoki syna, choć łzy bólu spływały mu po twarzy. Kiedy powstańcza armia pospiesznym marszem ruszyła w dół stoku Pico Clarence z noszami Poego na czele, przywołał do swego boku Jansona.

- Uświadomiłem moim dowódcom konieczność chronienia miasta przed niepotrzebnymi zniszczeniami w czasie zajmowania pałacu prezydenckiego. Spieszę jednak do stolicy powodowany nie tylko potrzebą zachowania porządku. Musimy schwycić Ibogę. Złupił skarb państwa, miliony wysłał za granicę. Bez tych pieniędzy zaczniemy budować naszą nową państwowość jako bankruci. Nie możemy pozwolić mu się wymknąć. Właśnie dowiedziałem się od doktora, że pan i pańska partnerka

jesteście najemnikami, którym zapłacono za uwolnienie go po tym, jak został porwany przez, jak się zdaje, grupę renegatów wewnątrz mojego ruchu. Czy to się zgadza?

- Zasadniczo tak, panie ministrze - odparł Janson. Nie było czasu na subtelne rozróżnienia między najemnikami a konsultantami do spraw bezpieczeństwa.

- Zważywszy na łatwość, z jaką przenikaliście linie zarówno wroga, jak i moje, zakładam, że pan i pańska partnerka jesteście doświadczonymi żołnierzami.

- Takie akcje najpierw długo, z dużym nakładem pracy, szczegółowo planujemy - odrzekł Janson, kładąc nacisk na słowo „planujemy”, domyślił się bowiem, że Poe zamierza zlecić im ujęcie Ibogi, a tego nie chciał.

By przetrwać, trzeba przestrzegać pewnych zasad, a te wykluczały improwizowane operacje, pochopne podejmowanie decyzji, działanie na wyczerpiecie czy zdawanie się na los szczęścia. Poza tym on i Jessica znajdowali się na skraju całkowitego wyczerpania. Ale nawet gdyby byli wypoczęci, nie rzuciliby się na taką robotę. Od rozwalania kopniakami drzwi i ganiań z bronią w garści byli młodszy i głębszy, a on dawno wypoczęci, nie rzuciliby się na taką robotę. Od rozwalania kopniakami drzwi i ganiań z bronią w garści byli młodszy i głębszy, a on dawno już miał za sobą czasy, gdy był młodszy i głębszy. Przede wszystkim jednak podjął się pewnego zadania, dał słowo, że uratuje doktora, a w jego definicji ratowania nie mieściło się porzucanie ratowanego w środku wojennej zawieruchy.

- Planujemy operacje z dużym wyprzedzeniem - wyjaśnił. - Nasze planowanie ma zawsze na celu znalezienie sposobu uzyskania przewagi nad nieprzyjacielem przez użycie w odpowiednim momencie niespodzianki.

- Chodzi o takie niespodzianki, które niszczą czołgi? - sucho zapytał Poe.

- Planując, bierzemy pod uwagę różne sytuacje - równie sucho odparł Janson.

- Proszę posłuchać, wiem, czego pan ode mnie oczekuje, ale nie mogę tego dla pana zrobić. Pańscy ludzie znają miasto, znają pałac i niewątpliwie są w stanie pojmać Ibogę.

- Obawiam się, że łatwiej to powiedzieć, niż zrobić. Iboga to podstępny łotr i doświadczony żołnierz. Walczył w Angoli. Po obydwu stronach.

- Wyspa należy do pana. Domyślam się, że polecił pan swoim oddziałom zająć lotnisko i port. Jeśli żaden samolot czy statek nie zdoła opuścić Isle de Foree, on także się stąd nie wydostanie.

- Oczywiście, że to zrobiłem. W tej chwili wybrani ludzie zmierzają na lotnisko i do portu, a moi szpiegowie w mieście będą pilnować środków transportu przydatnych w czasie ucieczki. Ale ja znam Ibogę. Opracuje sobie jakiś plan i ucieknie, jeśli zobaczy, że zwyciężamy. Potrzebuję pańskiej pomocy. Chciałbym pana wynająć. Zapłacę, ile pan zażąda.

Janson pokręcił głową.

- Jest pan dzielnym człowiekiem, panie ministrze. Szanuję to. Oto, co możemy dla pana zrobić: zastąpimy tuzin żołnierzy pańskiej ochrony osobistej, którzy, jak się domyślam, należą do najlepszych waszych ludzi. Zgadza się?

- Tak.

- Niech ruszają na łowy. My będziemy panu towarzyszyć i chronić pana. Jakość gwarantowana.

- Spojrzał na Kincaid, która palnęła odruchowo:

- Gwarantowana!

- Ja nie jestem ważny - zaprotestował Poe.

- Nie chodzi o mnie.

- Wojna taka jak wasza, tu, na Isle de Foree, jest niczym partia szachów. Kiedy traci się króla, wojna jest przegrana.

- Nie pragnę być królem. Jestem demokratą.

- W przypadku takiej wojny jak wasza - cierpliwie powtórzył Janson - to jest to samo. Kiedy traci się „demokratę”, wojna jest przegrana.

Nie pora na okazywanie fałszywej skromności, panie ministrze. Nikt poza panem nie jest w stanie ocalić Isle de Foree. Możemy pomóc, bez zapłaty, nie chcemy ani centa, ochraniając pana, dopóki pańscy ludzie nie zajmą miasta i nie aresztują Ibogi.

- Dlaczego mielibyście to robić?

- Wierzę - szczerze odpowiedział Paul Janson - że stoi pan po słusznej stronie.

- A wy przy okazji będziecie ochraniać doktora - odpalił Poe.

- Już to wyjaśniłem. Ochrona doktora to kwestia naszych zobowiązań i naszej odpowiedzialności. Daliśmy słowo, że cały i zdrowy wróci do domu.

Od początku walk o Porto Clarence na widok oddziałów RWF siły Ibogi podawały tyły i fortuna nadal uśmiechała się do Ferdinanda Poego. Bojownicy Ruchu wysłani na lotnisko, odległe o trzynaście kilometrów od Porto Clarence, napotkali jedynie słaby opór całkowicie zdemoralizowanej jednostki, która poddała się po krótkiej utarczce. Wieża kontrolna i hangary nie poniosły żadnego uszczerbku, w okazałym zaś Międzynarodowym Terminalu Pasażerskim imienia Dożywotniego Prezydenta Ibogi kule strzaskały ledwie kilka szyb.

Jeden z ostatnich w kraju helikopterów - dowodzony przez samego Patrice da Costę, szpiega Poego wewnątrz reżimu Ibogi - wylądował u podnóża Pico Clarence, by ewakuować ранego przywódcę. Janson, Kincaid i Flannigan towarzyszyli ministrowi w drodze do nowiutkiego, wyposażonego tak, by mogło służyć dyktatorowi i jego przyjaciółom, wojskowego skrzydła, będącego zresztą w fatalnym stanie, Szpitala imienia Ibogi.

Placówka zajmowała pierwszorzędną działkę z widokiem na wznoszący się na przeciwległym krańcu zamglonego portu pałac prezydencki - dwukondygnacyjny budynek o czerwonym dachu i białych, zdobionych stiukami ścianach, oblepiony balkonami i niedawno zainstalowanymi klimatyzatorami, zwieńczony wysoką, kwadratową dzwonnica. Palmy ocieniały pałacowe trawniki. Daleko w morze wybiegało długie molo.

Poe poinformował swoich lekarzy, że dopóki bitwa nie zakończy się zwycięstwem, nie podda się żadnej operacji ani żadnemu leczeniu, które pozbawiłoby go przytomności. Okazał ledwie odrobinę słabości, prosząc Terrence'a Flannigana, by pozostał u jego boku.

- Nie jestem specjalistą w zakresie medycyny wewnętrznej.

- Ale też to nie Iboga zatrudnił pana w tym szpitalu.

- Słusznie - wtrąciła Jessica.

- Jest pan tu jedynym lekarzem, któremu możemy ufać. Terry Flannigan przyjął do wiadomości fakt, że na razie nigdzie się nie wybiera, choć tak czy inaczej zdecydowany był nigdy nigdzie się nie wybrać z komandosami wynajętymi przez ASC. Niemniej Annie i Ściana nie spuszczali go z oka. Wyczekiwał stosownej chwili, tkwiąc o boku zwariowanego starego patrioty upierającego się, żeby ustawiono mu łóżko w pozycji umożliwiającej siedzenie. Chciał być świadkiem wydarzeń rozgrywających się w pałacu za wodą.

Wyglądało na to, że obecność Ferdinanda Poego odniosła efekt zgodny z jego nadziejami. Nad miasto wzbily się jedynie nieliczne słupy dymu, a dobiegające odgłosy wystrzałów nie brzmiały zbyt groźnie. Na godzinę przed zachodem słońca, kiedy na niebie wciąż jeszcze pozostały resztki słonecznego blasku, osobista flaga Ibogi, żółta, ozdobiona czerwonym wężem, zsunęła się z masztu na szczycie pałacowej wieży.

Poe odebrał telefon. Jego twarz rozjaśnił uśmiech zadowolenia.

- Iboga znalazł się w pułapce. Jest sam - oznajmił obecnym w pokoju i rzucił do mikrofonu:

- Nie zabijać go. Musimy się dowiedzieć, gdzie ukrył pieniądze. Brać go żywcem.

- Potem, patrząc przez okno na molo, powiedział do amerykańskich komandosów:

- Nie chcieliście ścigać Ibogi. Mimo to jesteście uczestnikami bitwy. Macie miejsca z najlepszym widokiem na scenę finałową. Patrzcie na molo. Za chwilę zobaczycie, jak na nie wbiega.

- Wojna jak z Szekspira - mruknął Janson. - Wszyscy główni aktorzy w jednym miejscu.

Jak przewidział Poe, Iboga uciekł na molo. Rozpoznanie jego pękatej sylwetki nie stanowiło problemu. Biegł jednak jak ktoś w pełni oswojony ze swoją tuszą i dość silny, by unieść dodatkowe kilogramy. Nie był też sam, bo obok biegli dwaj gwardziści z pistoletami maszynowymi, na zmianę ostrzeliwując ścigających ich

przeciwników. Co chwilę któryś sięgał do plecaka towarzysza i wyciągał nowy magazynek ze zdawałoby się niewyczerpanych zapasów.

- Sprytna sztuczka - zauważyła Jessica.

Nagle jeden z gwardzistów upadł, trafiony. Iboga, osłaniany przez drugiego gwardzistę, nadal spokojnie prowadzącego ogień, wycofywali się coraz dalej w głąb molo. Janson zlustrował port przez lornetkę, szukając łodzi czekającej na uciekinierów, ale niczego nie znalazł. Strzelanina w mieście przepędziła z portu wszystkich jego użytkowników. Wyglądał na opustoszały, zarówno w części mieszczącej bliskie ruiny składy paliwa, jak i na nabrzeżach załadunkowych i rybackich. Ostatnią jednostką pozostałą w porcie był pokryty rdzą bułgarski statek pasażerski unieruchomiony przy terminalu wycieczkowym, jak domyślił się Janson, z powodu braku holownika, który wyprowadziłby go w morze.

- Czy mogę pożyczyć lornetkę? - zapytał Flannigan. Janson podał mu ją, a ten niezdarnie skierował szkła na biegnących mężczyzn.

- Poznaje pan kogoś?

- Nie - pośpiesznie odparł lekarz i zwrócił lornetkę. Kincaid trąciła w bok swojego partnera.

- Samolot. Na horyzoncie nad oceanem widniał niewielki punkcik.

- Jeśli to helikopter, zrobią z niego siekaninę. Punkcik rósł zbyt gwałtownie jak na helikopter i po kilku sekundach okazał się odrzutowym myśliwcem zbliżającym się z wielką prędkością.

- Czy w bazie programu Partnerstwo dla Afryki stacjonuje jakiś lotniskowiec?

- Nic o tym nie słyszałem. Może przyleciał z Nigerii.

- Czeką go niezłe powitanie na lotnisku. Lecący z prędkością niemal tysiąca kilometrów na godzinę myśliwiec po kilku kolejnych sekundach znalazł się na tyle blisko, że można było dostrzec charakterystyczną sylwetkę samolotu krótkiego i pionowego startu i lądowania typu Harrier. Janson i Kincaid wymienili zdziwione spojrzenia, a tymczasem samolot zwolnił gwałtownie i wyraźnie skierował się w stronę molo. Kąt zniżania, początkowo stromy, szybko zmienił się w pionowy.

- Ibogi bilet do wolności?

W porównaniu ze swojskim widokiem lądującego helikoptera to, co wyprawiał harrier, wydawało się niemożliwe. Odrzutowa maszyna, która przed chwilą z ogromną prędkością przecinała niebo, nagle zawisła w powietrzu, balansując na grubym słupie ciemnych gazów wylotowych.

- Przecież harrier to myśliwiec jednomiejscowy.

- Maszyny szkoleniowe mają dwa miejsca - powiedział Janson.

- Popatrz na rozmiary osłony kabiny pilota. Z dolnej części kadłuba samolotu wyłoniły się masywne koła podwozia, z końcówek skrzydeł zaś smukłe i długie golenie podwozia pomocniczego. Huk silnika bez trudu przenikał grube szpitalne okna. Ferdinand Poe porwał leżący na łóżku telefon komórkowy.

- Powstrzymać go. Zestrzelić! Nie pozwólcie mu wylądować. Z pałacu wypadła grupa żołnierzy, otwierając w biegu ogień z broni maszynowej.

- Mają szczęście, że maszyny szkoleniowe nie przenoszą uzbrojenia - rzekła Kincaid.

- Ta i owszem - odparł Janson, podając jej lornetkę.

- Działko Gatlinga, lewy boczny zasobnik. Działko odezwało się, słychać było odgłos wystrzałów, zwłaszcza że grzmot silnika wyraźnie przycichł. Dwudziestopięciomilimetrowe

Działko odezwało się, słychać było odgłos wystrzałów, zwłaszcza że grzmot silnika wyraźnie przycichł. Dwudziestopięciomilimetrowe pociski momentalnie zmiotły z molo strzelających żołnierzy. Odrzutowiec wylądował twardo, odbił się. Ogon maszyny opadł, podskoczył na deskach molo. Osłona kabiny pilota uchyliła się i na molo opadła drabinka sznurowa.

- Ciekawe: jedno wolne miejsce, łobuzów dwóch.

Iboga wspiął się po drabince i z trudem wcisnął do przedniej części kokpitu. Osłona opadła. Zagrzmiał silnik i harrier uniósł się pionowo na wyraźnie widocznej kolumnie gazów wylotowych. Następnie obrócił się, kierując dziób ku morzu, znad którego przybył. Strumień gazów wylotowych powoli zmienił kierunek na poziomy. Odrzutowiec uniósł dziób i pomknął przed siebie, unosząc obalonego dyktatora Isle de Foree. Po piętnastu sekundach zniknął.

Jessica opuściła lornetkę.

- Gdzie podział się facet, który go osłaniał?

- Wskoczył do morza.

- Widziałeś jakieś oznaczenia? Ja nie.

- Tylko kamuflaż.

- A więc kto przysłał Ibodze bilet do wolności?

- Ci sami, którzy wysłali reapera?

- Ale reaper omal go nie zabił.

- Nie, bynajmniej - zaprzeczył Janson.

- Iboga uciekał, kierując się za linię czołgów, ale z tą swoją żółtą chustą na głowie stanowił wyraźny cel. Operator reapera mógł go bez trudu wysledzić na ekranie. Operator zabiłby go, gdyby dostał takie zadanie. Spójrz na biednego Poego.

Polityk wpatrywał się w pustą przestrzeń nieba, w której rozpląnął się myśliwiec. Paul widział, jak cała nadzieja i energia pobudzone militarnym zwycięstwem opuszczają poranione ciało starego człowieka.

Doktor położył mu rękę na ramieniu.

- Pora odpocząć, panie ministrze. Zrobił pan wszystko, co było możliwe. Pańscy ludzie są pod kontrolą; miasto jest bezpieczne. Trudno powiedzieć, czy Poe w ogóle go słyszał. Sięgnął jednak po dłoń lekarza i zacisnął na niej palce. Zamknął oczy, głowa opadła mu na pierś. Flannigan skinął na czekające za drzwiami pielęgniarki. Wślizgnęły się do pokoju i zajęły rannym. Delikatnie ułożyły starca na plecach, podciągnęły okrycie pod brodę.

Doktor zwrócił się do Jansona.

- Zostanę przy nim, dopóki nie sprowadzimy lekarzy specjalistów.

- Skąd?

- Wygląda na to, że ich łącznikiem z europejską medycyną jest Lizbona. Proszę posłuchać, wiem, że macie dostarczyć mnie do ASC, ale to będzie musiało poczekać. Możecie podziękować im ode mnie za ratunek. I oczywiście dziękuję wam obojgu.

Terry Flannigan wyciągnął rękę, usilnie starając się ukryć przekonanie, że nie wiedząc, komu zaufać, najmądrzej będzie ratować się ucieczką.

Zadziałało. Komandosi porozumieli się wzrokiem, kolejno uścisnęli mu dłoń i odeszli. Janson wbijał jakiś numer do miniaturowego telefonu satelitarnego.

Rozdział 10

Mario Margarido, szef sztabu Ferdinanda Poego, którego Paul tego ranka widział w kamizelce kuloodpornej z kieszeniami wypchanymi magazynkami do kałasznikowa, czekał w holu ubrany w garnitur i pod krawatem.

- Jesteśmy wdzięczni za wszystko, co zrobili państwo dla ministra Poego.

- Nie ma sprawy - powiedział Janson. - Czy mógłby pan załatwić pozwolenie na przylot mojego samolotu z Liberville? Chcielibyśmy wrócić do domu.

- Bądźcie państwo naszymi gośćmi w Porto Clarence.

- Dziękuję. Jest pan bardzo uprzejmy, ale to była długa wyprawa i wolelibyśmy zasnąć we własnych łóżkach. Paul przyglądał się Mariowi Margaridowi, gdy ten rozważał jego prośbę. Właśnie zaświtało mu w głowie, że nagłe przejęcie władzy w kraju dało mu szerokie uprawnienia. Jako szef sztabu prezydenta mógł zezwolić na lądowanie takiego czy innego samolotu albo też zamknąć niebo nad wyspą. Mocna rzecz - mieć prawo do udzielania ludziom zgody na przebywanie i opuszczanie wyspy.

- Zastanawiam się, czy w pańskim samolocie znalazłoby się miejsce dla kilku naszych agentów stacjonujących w Gabonie. Zależy nam, żeby wzięli udział w naszym święcie.

- Byłoby nam bardzo miło - uśmiechnął się Janson.

- Oczywiście pański samolot może w każdej chwili przylecieć z Liberville. Paul złapał pilotów przez telefon satelitarny i trzy godziny później embraer wylądował na lotnisku, świeżo przemianowanym na Międzynarodowy Port Lotniczy

Isle de Foree. Świątujący wyspiarze zerwali wszystkie litery składające się na słowa „imienia Dożywotniego Prezydenta Ibogi”.

- Nie wyłączajcie silników! - zawołał Janson. - Natychmiast się stąd wynosimy.

Weszli na pokład, zamknęli drzwi i Paul zakomenderował:

- Start!

- Pasy, szefie.

- Tak, tak. Co na obiad?

- Jak to co? Homary.

- I...? Ed uśmiechnął się dumnie.

- Stek porterhouse z teksaskiej dojrzałej wołowinki, angolska rukola, pomidory z Gabonu, bagietki i włoskie ciasto. Przehandlowaliśmy homary pilotom wszystkich samolotów czarterowych w Liberville. Mamy nawet szampana.

- Zaczniemy, jak tylko weźmiemy prysznic. Idę pierwszy, Jesse. Będę się uwijał.

- Wiedział, że jeżeli przestanie się ruszać, zaśnie na stojąco. Szybko ogolił się i wziął prysznic, tylko przez chwilę rozkoszując się mydłem i wodą. Wyszedł z łazienki w luźnych spodniach i rozpiętej pod szyją koszuli.

- Wolne.

Sięgnął po telefon i przechadzając się po niewielkiej kabinie, zadzwonił do Zurychu, Kapsztadu i Tel Awiwu. Wszędzie zostawił tę samą zwięzłą wiadomość: „W jaki sposób mogę dostać w swoje ręce harriera?”

Po krótkiej chwili oddzwonił Trevor Suzman z Kapsztadu.

- Czy chodzi może o dwumiejscową maszynę szkoleniową? - zapytał z pełnym samozadowolenia chichotem.

- Nie jestem zaskoczony, że już słyszałeś - odparł Janson, zręcznie schlebując zastępcy krajowego komendanta południowoafrykańskiej policji, który był bardzo dumny z faktu, że jego obowiązki obejmują także kontakty z zagranicznym wywiadem.

- Czy może słyszałeś, skąd przyleciał?

- Tylko plotki.

- Podzielisz się nimi ze mną?

- Nie. Z tego prostego powodu, że są całkowicie pozbawione sensu. Ale przypominam ci, że harriery mają bardzo krótki zasięg. Nie mógł przylecieć z daleka.

- W jego zasięgu znalazło się dziewięć nadmorskich krajów i pewien niewielki statek - powiedział Janson.

- Opowiedz mi o tych plotkach.

- Jutro będę wiedział więcej - oznajmił Suzman.

- W takim razie zadzwonię jutro. Paul podjął wędrówkę po kabinie, już całkowicie rozbudzony. Spokoju nie dawała mu ważniejsza kwestia: kto wysłał reapera? Nie miał jednak pojęcia, do kogo mógłby zadzwonić, by spytać, w jaki sposób przejść kontrolę nad bojowym dronem. Byli, rzecz jasna, ludzie, z którymi mógł spróbować, ale samo pytanie wzbudziłoby niepożądaną ciekawość.

Amerykańskie lotnictwo dysponowało bojowymi dronami. CIA też. Podobnie armia i marynarka. Czy któraś z tych amerykańskich służb podjęłaby się przeprowadzenia tajnej interwencji na ogarniętej wojną domową Isle de Foree?

Wzdrygnął się, bo straszna myśl przyszła mu do głowy. Czy OPCON miał reapera? Cóż to byłby za piekielny alians - superszpiedzy opętani pychą bogów, teraz silni niczym bogowie.

Musiał przyznać, że rozwikłanie kwestii reapera będzie wymagało ostrożnego namysłu. Nikt dysponujący jego niszczycielską mocą nie zrezygnuje z niej bez walki.

Jesse pojawiła się przy stole w chwili, gdy Ed podawał pierwsze danie, homara w majonezie na zimno.

- Dzięki, Ed. Zajmę się winem.

- Janson wyciągnął korek i napełnił kieliszki.

- Zanim wzniesiemy toast za zwycięstwo, szybki przegląd wpadek. Przegląd wpadek ich obojga miał na celu ostateczne ustalenie, co podczas operacji poszło dobrze, a co źle. Był to stały zwyczaj agentów terenowych. Ich przyjaciele z Delta

Force nazywali to „gorącym prysznicem”, inni sprawozdaniem z wykonania zadania albo „dogranie misji”. Ale bez względu na nazwę chodziło o wyciągnięcie wniosków z przeprowadzonej akcji, żeby drugi raz nie popełnić tych samych błędów.

Jak to mieli w zwyczaju, zaczęła dziewczyna:

- Wiemy już, że za długo pozostałam na drzewie. Powinnam posłuchać rozkazu, bo ty ze swojego stanowiska widziałeś to, czego ja widzieć nie mogłam.

Janson był wciąż wstrząśnięty tamtymi wydarzeniami, co bynajmniej nie nastrojało go wspaniałomyślnie.

- Kiedy wziąłem cię do siebie, złożyłaś mi pewną obietnicę. Pamiętasz?

- Pamiętam.

- Co mi obiecałaś?

Kincaid spojrzała nań płonącymi oczyma i odpowiedziała przez zaciśnięte zęby:

- Cytuję: „Ucz mnie. Będę najlepszym uczniem, jakiego kiedykolwiek miałeś”.

- A co ja powiedziałem?

- Powiedziałeś: „Protegowani Paula Jansona mają paskudny zwyczaj ginięcia”.

- To niebezpieczna praca. Jeśli mówię „ruszaj”, mam na myśli „ruszaj natychmiast”.

- Tak jest.

- Jeszcze coś? - zapytał Janson.

- To na razie... czekaj! Jezu, Paul, pamiętasz ochroniarza Ibogi, tego, który zeskoczył z mol? Wtedy to przegapiłam, ale on nie nosił żółtej chustki jak inni członkowie gwardii prezydenckiej.

Janson wywołał z pamięci obraz dwóch strzelców sprawnie zmieniających magazynki.

- Ja też to przegapiłem. Ciekawe, kto to był? To tak, jakby dostarczył Ibogę do harriera i oznajmił: „Okay, swoje zadanie wykonałem”.

- Twardy gość nurkujący w porcie zajęтым przez wroga.

- Założę się, że pod wodą czekał na niego ktoś z akwalungiem.

- A ty? Czy Maszyna popełnił jakieś błędy? Paul spojrzał jej w oczy.

- Jeden, wielki. Decyzja marszu w kierunku obozu RWF w dziennym świetle była błędem i mogła mieć fatalne skutki. Powinniśmy poczekać i wykorzystać przewagę, jaką dawały nam gogle noktowizyjne. Tylko dlatego nie zostaliśmy zastrzeleni przez wartownika, że dostrzegłaś go, sama nie dając mu się namierzyć.

- Jeszcze coś?

- Jestem pewien, że rano przypomnę sobie mnóstwo błędów, ale dzisiaj świętujmy zwycięstwo. Doktor uratowany i, przy okazji, słuszna sprawa zwyciężyła.

Jessica uniosła kieliszek i zadrżała mu w oczy.

- Za uwolnienie doktora i wolną Foree! Trącili się kieliszkami i pociągnęli po łyku szampana.

- Pycha. Co to jest? Janson odwinął z butelki ręcznik i pokazał etykietę.

- Mumm.

- Wspaniale. Zjedli jeszcze trochę homara, nieco sałatki, przegryzając pieczywem, i po kawałku steku, wypili po kilka łyków argentyńskiego malbeca i sprzątnęli z talerza całe ciasto. Ed pozbierał naczynia i zamknął drzwi prowadzące na dziób samolotu.

- Zmęczony? - zapytała Jessica.

- Ciało tak, mózg nie. A ty?

- Jeszcze nie. Prawdopodobnie padnę na dwa dni, poczynając od jutra... Jakies siniaki?

- Kilka - powiedział Janson.

- A ty?

- Chcesz zobaczyć?

- O tak.

Rozdział 11

W Porto Clarence dzielnicą czerwonych latarni znajdowała się nieopodal przystani statków wycieczkowych, dobrze oświetlonego deptaka strzeżonego przez uśmiechniętego policjanta.

Terry Flannigan zauważył, że przy pirsie cumuje tylko jeden statek, przerdzewiała bułgarska krypa. Na wielkiej neonowej tablicy widniała nazwa jednostki - Varna Fantasy. Varna - Warna - port nad Morzem Czarnym był macierzystym portem statku; Fantasy to bułgarskie linie wycieczkowe. A więc Bułgarzy z pierwszego rzędu obejrżeli sobie końcowy epizod afrykańskiej wojny domowej, a teraz prawdopodobnie tłumnie odwiedzali salony masażu. Flannigan wypytał nowego szefa ochrony, gdzie dżentelmen mógłby się tutaj „zabawić”. Patrice da Costa, który czas wojny spędził w mieście, szpiegując dla RWF, wykonał polecający telefon do pewnego burdelu. Bułgarzy nie mogliby sobie na niego pozwolić.

Flannigana przyjęto po królewsku, informując na wstępie, że ta noc idzie na rachunek „szefa da Costy”. Poczęstowany kieliszkiem wina obejrzał filmik pokazowy, prezentujący personel przy pracy. Stanowiło to dla niego nowe doświadczenie, ale też świetne rozwiązanie problemu wyboru, pozwalające uniknąć konieczności odmawiania komuś, kto stojąc przed nim, patrzy mu w oczy. Wybrał Ukrainkę, kręłą blondynkę, odrobinę podobną do Janet Hatfield.

Ujrzawszy ją w naturze, musiał przyznać, że podobieństwo było minimalne, ale przecież nie zamierzał patrzeć jej w twarz, prawda? Prawdopodobnie zresztą zamknie oczy. Albo zgasi światło. Zrobił jedno i drugie. A potem wydarzyło się to najgorsze. Nie chciał mu stanąć.

- Nigdy mi się to nie przytrafiło - powiedział dziewczynie, która chyba nie mówiła po angielsku, ale okazała się bardzo miła, toteż w trochę mniejszym stopniu czuł się jak ostatni palant. I dobrze, że nie rozumiała ani słowa po angielsku. Pod osłoną mroku nie wstydził się wyznać: - Moja przyjaciółka została zabita. Była dobrym człowiekiem. O wiele lepszym ode mnie. Ale była też fajna, pewna siebie i bardzo, bardzo opanowana. Dziewczyna, z którą można konie kraść. Tam, skąd

pochodzę, to jest takie powiedzenie wyrażające podziw. Zabawne, ale pasowało do niej jeszcze bardziej, od kiedy została kapitanem statku.

Zabawne było i to, że czuł, jak łzy spływają mu po twarzy. Ktoś zapukał do drzwi.

- Zapłacone za całą noc - powiedział łamiącym się głosem.

- Odejdź. Dziewczyna jednak zapaliła światło i przyłożyła ucho do drzwi, potem skinęła na niego nagłoco. Stara kobieta, która prowadziła lokal i siedziała przy nim, kiedy oglądał filmik, szeptała coś gorączkowo. Flannigan otworzył drzwi.

- Niebezpieczny człowiek. Niebezpieczny człowiek. Szuka pana. Pozbyłam się go, ale nie uwierzył, że pana tu nie ma. Musi pan iść. Doktor nawet nie pytał, kim był ów niebezpieczny człowiek. Potwierdziły się jego wcześniejsze obawy. Żołnierzem, który osłaniał Ibogę na molo, okazał się nie kto inny, jak van Pelt, żądny krwi Afrykaner kierujący masakrą na Amber Dawn. Flannigan ubrał się, wcisnął dziewczynie pieniądze w dłoń i poszedł za madame do bocznych drzwi, wychodzących na cuchnący zaułek.

- Dokąd pan pójdzie? - szepnęła.

- Tam, gdzie powitają mnie z otwartymi ramionami. Wyrzwał na ulicę i stwierdziwszy, że droga jest wolna, puścił się biegiem w stronę nabrzeża. Biegąc najszybciej jak mógł, okrążył róg ulicy i wpadł na przystań statków wycieczkowych. Marynarze Varna Fantasy wybierali cumy - statek szykował się do wyjścia w morze. Ostatnie liny cumownicze zwisły luźno, kiedy holownik przysunął wycieczkowiec do pirsu. Robotnicy portowi czekali na rozkaz ich oddania.

Stojący na wachcie marynarz zatrzymał doktora u szczytu trapu.

- Wołaj intendenta - polecił Flannigan.

- Śpi.

- Gwarantuję, że będzie zadowolony, jeśli go obudzisz. Może ci nawet podziękuje. Jeśli nie, zjebie cię jak psa.

Zjawił się intendent - rozczochrany, ze śladami po poduszce odcisniętymi na twarzy, w białej marynarce zarzuconej na pizamę.

- Dobry wieczór panu - zagaił Flannigan.

- Domyślam się, że jeśli wasz lekarz okrętowy nie opuścił statku tu, w Porto Clarence, prawdopodobnie zejdzie na ląd w najbliższym porcie pośrednim, ewentualnie w drugim z kolei. Zgadza się?

- A co panu do tego? - ostrożnie zapytał intendent.

- Jestem lekarzem. Specjalistą w zakresie chirurgii urazowej. Dodatkowo specjalizuję się w niańczeniu pasażerów statków wycieczkowych, leczeniu załogi z chorób przenoszonych drogą płciową i dbaniu o to, by wasze jadalnie nie stały się wylęgarnią dyzenterii. Przez wiele lat służyłem na statkach takich jak ten.

- Otworzył wodoszczelny portfel, z którym nigdy się nie rozstawał, wiedząc, że na tym świecie papierki są wszystkim.

- Oto mój paszport oraz certyfikaty i licencje potwierdzające prawo do prowadzenia praktyki lekarskiej. Proszę wskazać moją kabinę.

Terry Flannigan wiedział, że nie musi mówić intendentowi, iż nie ma potrzeby umieszczania jego nazwiska na liście załogi, dopóki nie opuszczą wód terytorialnych Isle de Foree. Intendent, który między innymi odpowiadał za stan zdrowia dwóch tysięcy stłoczonych na małej powierzchni pasażerów, ani myślał zawiadamić lokalnych władz, że zamustrowany w ostatniej chwili członek załogi chce cichcem opuścić miasto. Niezależnie od tego, co ten nieznajomy zrobił na lądzie, wykwalifikowany lekarz stanowił dla statku bezcenny nabytek.

CZEŚĆ DRUGA

Między dobrem a złem

Noc 3°11'S,14°13'W Dwanaście tysięcy metrów nad Oceanem Atlantyckim

Rozdział 12

- Dlaczego nie robimy tego częściej? - szepnęła.

Zawsze zaczęli wolno, niczym pływacy brodzący w świetle gwiazd ku głębszej wodzie. I odprawiali swoje rytuały: Przeglądu siniaków, Uzdrawiających rąk, Pocałunku na polepszenie. Teraz leżała przytulona do jego piersi, z nogami splecionymi z jego nogami. Dyszeli, ich serca biły szybko.

Embraer z hukiem silników przecinał nocne niebo. Pomyślała, że Janson nie dosłyszał:

- Dlaczego...

- Może dlatego, że pękłbym z nadmiaru rozkoszy?

- Nie kłam.

- Jaka jest kara za kłamstwo?

- Żadnych uników. Odpowiedz na moje pytanie, Paul. Dlaczego nie robimy tego częściej?

- Boimy się - szepnął z ustami przy jej ustach. Jedną dłoń złożył w tyle jej głowy, drugą sunął wolno w dół pleców.

- Czego? - zapytała. Oderwała usta od jego ust, obsypała pocałunkami szyję, pierś...

- Tego, że pewnego dnia jedno z nas samo wróci po pracy do domu. Ubiegł ją. Dłoń, którą trzymał na jej głowie, zmateriałizowała się nagle między jej udami.

- Ja się nie boję - wyszeptała.

- To dobrze. Chciałbym móc powiedzieć to samo. Klęknęła, usiadła na nim okrakiem. Uniósł biodra, by się z nią złączyć.

- Podaj mi ręce - poprosiła. Wyciągnął ręce, a ona wsparta na nich zaczęła się poruszać.

- Nie mogę uwierzyć, że kiedykolwiek będziemy sami.

- W tej chwili - wysapał - skłonny jestem się z tobą zgodzić.

- Szefie? - odezwał się przez interkom Mike.

- Strasznie przepraszam, że niepokoję...

- Co jest? - Mikrofon w kabinie pasażerskiej był włączony.

- Quintisha dzwoni na satelitarny. Mówi, że to bardzo ważne.

Quintisha Upchurch piastowała stanowisko dyrektora generalnego zarządzającego zarówno CatsPaw Associates, jak i Fundacją Feniks. Była też jedyną osobą na świecie, która umiała znaleźć Paula Jansona bez względu na to, gdzie się znajdował, w dzień i w nocy.

- Przełącz ją tutaj, Mike, a sam się wyłącz.

Piersi Jessiki falowały, płomiennym wzrokiem patrzyła z góry na Jansona.

- Która to, do cholery, godzina? Czy ta kobieta nigdy nie śpi?

- Cześć, Quintisha - rzekł Paul.

- Nie odbierał pan telefonu satelitarnego, panie Janson.

- Nie po raz pierwszy przyszło mu do głowy, że w jej słodkim, dźwięcznym głosie afektacja córki diakona łączy się w całość z żelazną stanowczością sędziego sądu nocnego.

- Tak.

- Douglas Case z American Synergy bardzo się denerwuje. Kazał panu powiedzieć, cytując: „Doktor dał nogę”.

- Co?

- Pan Case wyrażał się bardzo nieparlamentarnie, żądając podania pańskiego prywatnego numeru. Oczywiście odłożyłam słuchawkę, ale ponieważ czekamy na pięć milionów dolarów od ASC, pomyślałam, że najlepiej będzie, jak złapię pana w samolocie. Myślał intensywnie.

- Mamy na co wydać te pięć milionów, panie Janson. Samolot sporo nas kosztuje.

- Przekaż panu Case'owi, że to załatwię.

- Wymówił imię pilota i system rozpoznawania głosu połączył go z kokpitem.

- Mike, czy już minął punkt bezpiecznego powrotu?

Punkt bezpiecznego powrotu nie znajdował się bynajmniej na środku oceanu. To, czy embraer mógł zawrócić do Afryki, czy musiał kontynuować lot do Ameryki Południowej, w równym stopniu zależało od już przelecanego dystansu, jak i wagi maszyny i oporu wiatru. W tej chwili samolot ważył mniej niż podczas startu, gdyż spalił część paliwa, i do utrzymania prędkości potrzebował mniejszej mocy. Wiatr przeciwny z zachodu po zawróceniu zmieniłby się w wiatr od ogona, co także pozwoliłoby załodze przymknąć nieco przepustnice. Wszystkie te obliczenia były bardzo skomplikowane. Piloci tacy jak Mike położenie „PBP” wyliczali na bieżąco, minuta po minucie. Robili to odruchowo, tak jakby oddychali.

- Dwadzieścia dziewięć minut do punktu bez powrotu.

- Zwrot o sto osiemdziesiąt stopni. Wracamy do Porto Clarence.

- Sto osiemdziesiąt z powrotem do Porto Clarence. Jak tylko uzyskam zezwolenie.

- Mike? - odezwała się Jessica.

- Jak już dostaniesz zgodę, bądź delikatny.

- Powtórz.

- Zawracaj spokojnie - wyjaśnił Janson.

- Nie chcemy, żeby tu z tyłu nam coś odpadło. Koniec, bez odbioru.

Ręce mieli nadal złączone i podtrzymywali się nawzajem, kiedy samolot przechylił się na skrzydło.

- Nie zadzwonisz do swojego kumpla Douga?

- Nie, dopóki nie dowiemy się, co się stało.
- A tego się nie dowiemy, dopóki nie dolecimy do Porto Clarence.
- Co nastąpi dopiero za trzy godziny.
- Czy nie pora osiągnąć punkt bez powrotu?
- Pora osiągnąć kilka punktów bez powrotu.

Rozdział 13

- Obawiam się, że byłem wczoraj nieco szorstki wobec twojej pani Upchurch - sumitował się Doug Case przez telefon satelitarny.

- Zrozumiała, że jesteś pod presją - odparł Janson.

Przez okno szpitalnego apartamentu Ferdinand Poe widział pałac prezydencki wznoszący się po drugiej stronie stołecznego portu oraz szaroniebieski przestwór Atlantyku na północy i wschodzie. Flaga Isle de Foree - poziome pasy, złoty, zielony i czarny, przecięte ukośnym czerwonym - zastąpiła na wieży żółtą chorągiew Ibogi. Łopotiała gwałtownie w porywach bryzy.

Ta sama bryza oczyściła horyzont z mgielki wszechobecnej nad tropikalnymi wodami.

Wzrok Jansona sięgał widnokręgu. Na północy rosła powoli sylwetka wielkiego statku. Przyglądał się mu przez minioną godzinę, czekając, aż Doug Case odpowie na jego telefon. Był za wolny jak na statek wycieczkowy czy tankowiec.

- Już zdążyłem ochłonąć - rzekł Case.

- To nie twoja wina, że doktor się ulotnił. Twój czek jest gotowy. Natychmiast go wyślemy.

- Nie róbcie tego.

- Co?

- Wstrzymajcie się.

- Jak mam to rozumieć?

- Wyślecie czek, jak dostarczę doktora.

- Mówimy o pięciu milionach dolców, Paul.

- Ale jeszcze nie naszych. Nie martw się, złapiemy go. Na pierwszy trop natrafił zaraz po wylądowaniu na lotnisku Porto Clarence. Najzuchwalszy szpieg Ferdinanda Poego, Patrice da Costa - żartował, że jest teraz „tymczasowym szefem tymczasowej gwardii prezydenckiej tymczasowego prezydenta Poego” - zaprowadził Jansona do burdelmamy prowadzącej lokal, do którego minionej nocy skierował Flannigana. Przestraszona kobieta przyznała, że doktor był u niej, ale nie wiedziała, kiedy wyszedł i dokąd się udał. Dopiero teraz, sięgając myślą w przeszłość, Paul uświadomił sobie, że doktor mu nie ufał i zamierzał uciec przy pierwszej nadarzającej się okazji.

- A kiedy go złapiemy - obiecał Dougowi Janson - przyprowadzę go prosto do twojego biura.

- Nie przejmuj się za bardzo - odparł tamten. - Zrobiliśmy, co tylko się dało, żeby cały i zdrowy mógł wrócić do cywilizacji. Uciekł - jego sprawa. Sam podejmuje decyzje. Chodzi mi o to, że obydwaj wykonaliśmy, co do nas należało.

- Dlaczego uciekł? W odpowiedzi dawny kumpel zachichotał

Okazuje się, że doktorek jest kimś w rodzaju Casanovy. Bardzo prawdopodobne, że uciekał przed wkurzonym mężem.

- W Porto Clarence czy w Houston?

- Z tego co słyszałem, tu albo tu, ewentualnie tu i tu. Słuchaj, lekarz wałkoń w rodzaju Flannigana to niewielka strata. Tacy jak on włóczą się od posady do posady.

- Ja odniosłem wrażenie, że jest kompetentnym lekarzem, całkowicie oddanym swojemu pacjentowi.

- Nie twierdzę, że jest narkomanem czy alkoholikiem z zakazem wykonywania zawodu w cywilizowanym świecie. Mówię tylko, że obędziemy się bez niego. Daj sobie z nim spokój, Paul. Wyślemy czek. Jak będziesz mógł, przefaksuj fakturę.

- Dostaniesz fakturę razem z doktorem Flanniganem - odrzekł Janson.

Gra szła o jego wiarygodność i pozycję zawodową. Miał też inny powód, by nie tracić kontaktu z ASC.

- Jeśli nalegasz - z powątpiewaniem mruknął Case.

- Ale chcielibyśmy to zakończyć.
- Nalegam. Ale przydałaby mi się odrobina pomocy z twojej strony.
- Mów. - Powiedz mi wszystko, co wiesz na temat wszelkiego rodzaju pomocy wojskowej dla Ruchu Wolnej Foree.

Rozdział 14

- W tej kwestii nie bardzo jestem na bieżąco - odparł zleceniodawca.
- Miałeś kontakt z przemysłnikami, którzy dostarczali im broń.
- No, raczej z ludźmi znającymi tych przemysłników.
- Miałeś na wszystko oko - nie ustępował Janson.
- Musiałeś coś słyszeć.
- Chcesz znać pogłoski?
- Dopiero zaczynam. Wszystko mi się przyda.
- A dlaczego o to pytasz?
- Pięć milionów dolarów to kupa pieniędzy - oznajmił Janson.
- Chcę je zarobić.
- Pozwól, że zapytam, co tajna pomoc dla RWF ma wspólnego z szukaniem doktora?
- Wykręcasz się, Doug. Co słyszałeś?

Instynktownie podejrzliwy wobec swych dawnych rządowych pryncypałów, Janson nie czułby się zdziwiony, gdyby jakaś komórka jednej z wielu amerykańskich tajnych służb cichaczem pomagała rebeliantom w nadziei zapewnienia na przyszłość stałych dostaw ropy naftowej. Może dowiedzieli się o jakichś nowych, szerzej nieznanych odkryciach? Nietrudno więc było sobie wyobrazić działającą pod odpowiednią przykrywką amerykańską ekipę, która wyłania się znikąd, by udzielić niewielkiej pomocy RWF, po prostu w celu utrzymania przyjaznych stosunków z potencjalnym zwycięzcą.

Odpowiedź na pytanie, kto zorganizował ucieczkę Iboji, była trudniejsza. Właśnie dlatego Janson poruszał wszystkie kontakty, by ustalić, skąd przyleciał harrier. Tych maszyn nie wyprodukowano zbyt wiele. Niespełna sto. Były to skomplikowane samoloty, wszystkie przypuszczalnie w służbie suwerennych krajów, których siły powietrzne mogły sobie pozwolić na utrzymanie zaplecza i obsługi na poziomie zaawansowanych technologii.

Spośród graczy rywalizujących o zachodnioafrykańskie złoża ropy naftowej na pewno Chiny mogłyby wysłać do akcji harriera. Najpewniej bazowałby na jakimś statku towarowym. Podobnie Nigeria i, być może, Angola. Oraz, rzecz jasna, Stany Zjednoczone.

Statek, który od dłuższego czasu obserwował, zbliżał się kursem prowadzącym nieopodal wyspy. Teraz widać było wyraźnie, że to statek służący do poszukiwań ropy. Porównując go z tankowcem właśnie przecinającym jego kilwater - prawdziwym gigantem, przeznaczonym do przewozu surowej ropy naftowej - Paul wyliczył, że statek wiertniczy ma ponad trzysta metrów długości. Jego wieża, stercząca ze środka pokładu, sięgała pięćdziesiątego piętra. Czy przybycie tej jednostki na wody Isle de Foree to był zbieg okoliczności? Janson sądził, że nie. Gdyby jego podejrzenia okazały się słuszne, zrobiłby wszystko, żeby zniweczyć knowania ASC, chociaż udawał, że nadal służy korporacji. Czepiał się jednak nadziei, że dawny kumpel go nie okłamuje.

- Mówiłeś - powiedział do mikrofonu telefonu satelitarnego - że tu nie chodzi o ropę.

Case zaśmiał się cicho.

- No cóż, dyrekcja dała mi jasno do zrozumienia, że nie mogę być całkiem otwarty. Ale tego sam się domyśliłeś.

- Przemknęła mi przez głowę myśl, że ASC jest spółką naftową.

- Udając, że żartuje, Janson wsłuchiwał się w głos Case'a, szukając fałszywych tonów.

- Paul, należysz do wielu światów, także do świata korporacyjnego. Cholernie dobrze wiesz, że szef ochrony nie należy do grupy podejmujących decyzje. Jak powiedziałem twojej młodej damie, szefowie ochrony są sługami. My chronimy, nie dowodzimy.

- Co się dzieje, Doug?

- Czy mogę przyjąć, że twój telefon jest równie bezpieczny jak mój?

- To mój własny telefon. Co się dzieje?

- Naprawdę wolałbym o tym porozmawiać w cztery oczy, w wyczyszczonym pokoju.

- Nie dam rady pojechać teraz do Teksasu.

- Okay. Oto jak to wygląda. Od czasu do czasu, już od lat, czy raczej dziesięcioleci, American Synergy pomagała małym krajom i ich spółkom naftowym powiększać zasoby. Wiem, co sobie myślisz: tak właśnie spółki naftowe przejmują kontrolę nad zagranicznymi złożami. Ale to już tak nie działa. Kraje producenci siedzą na fotelu kierowcy, już od lat. To, o czym mówię, sprzyja eksploracji złóż ropy, którą przy okazji prowadzimy. To poprawia nasz wizerunek i pomaga zdobywać przyjaciół w miejscach, gdzie inaczej wcale by nas nie kochano. Rozumiesz?

- To brzmi rozsądnie. Wygląda też na to, że próbujesz postępować roztropnie.

- My już postępujemy roztropnie.

- Dziwne, że dział PR American Synergy nie zalał internetu ogłoszeniami, jacy to jesteście dobrzy i mili.

- Cynizm do ciebie nie pasuje.

- Dlaczego więc to wszystko utrzymywane jest w tajemnicy?

- Prowadzimy eksplorację nowych złóż po cichu, żeby konkurencja nie skorzystała z okazji i nie zwała nam się na głowę z flotą poszukiwaczy ropy. Do właściwej eksploracji wynajmujemy wyspecjalizowanych podwykonawców. Małych, nikomu nieznanych. Niewielkie, niezależne firmy jak Tullow, czy raczej Tullow kiedyś, bo teraz jest sztandarowym przykładem niezależnej firmy, której udało się wzbogacić.

Janson przerwał Dougowi dygresję.

- Jaka firma prowadzi dla was eksplorację?

- Tego nie wolno mi wyjawiać. To informacja prawnie zastrzeżona. Prawdę mówiąc, nawet nie wiem. Nikt poniżej Kingmana Helmsa w łańcuchu dowodzenia ASC tego nie wie. Między nami i nimi wznosi się prawdziwy chiński mur, toteż nie

można nas oskarżyć o nieliczenie się z biednym, sponiewieranym beneficjentem naszej hojności.

- Co się dzieje, gdy znajdą coś wartościowego?

- ASC jest pierwsza w kolejce do pomagania małym krajom w zbieraniu owoców ich odkryć. Tego wymaga sprawiedliwość... Nie zapominaj, że teraz miejscowi mogą żądać olbrzymich opłat za prawo do eksploatacji. Mamy mniejszą swobodę manewru niż w dawnych złych czasach.

- Czy „pierwsza w kolejce” oznacza, że ASC dostaje wyłączne prawo do zagospodarowania odkrytych złóż?

- Dobrze prosperując, czynimy dobro, mam na myśli nie tylko ASC. Chodzi mi o to, że jesteśmy amerykańską korporacją odpowiedzialną za zapewnienie naszemu krajowi stałych dostaw źródeł energii. Na mój rozum nie trzeba się tego wstydić. Niezależnie od decyzji w sprawie przyszłości energetyki nasz kraj nie może podejmować dobrych decyzji, jeśli musimy stawać na głowie, żeby w naszych domach paliło się światło.

- Czy na Isle de Foree wam się powiodło? - zapytał Janson, w duchu dodając: na tyle dobrze, by namówić jakiś tajny organ rządu Stanów Zjednoczonych do wysłania swoich reaperów, aby służyły pewnej spółce naftowej?

- Pozwól, że tak to ujmę: ASC właśnie wyczarterowała Vulcan Queen, eksploracyjny statek wiertniczy siódmej generacji, który jest w stanie wywiercić dwie sięgające dwunastu tysięcy metrów studnie w dnie morskim głębokości pięciu kilometrów i utrzymać pozycję przy wietrze wiejącym z prędkością ponad stu kilometrów na godzinę, kiedy to fale osiągają wysokość dwunastu metrów. To pierwszy wart miliard dolarów statek wiertniczy, a my posłaliśmy go w pobliże Isle de Foree.

- Dobra odpowiedź, Doug. - Co chcesz przez to powiedzieć?

- Martwiłem się, że wpuszczasz mnie w maliny.

- Nie nadążam, Paul.

- Widzę go na horyzoncie.

- Statek? Już? Jesteś pewien, że to on?

- Wygląda jak pływająca Gwiazda Śmierci - powiedział Janson.
- To Vulcan Queen.
- Zastanawiałem się, kto go tu przysłał dzień po rewolucji.
- Teraz wiesz.
- Ale nadal nie wiem, jaka tajna służba wspierała Ruch Wolnej Foree.
- Dlaczego tylko jedna?
- Co mówisz?
- To mógł być każdy. Nasi, Chińczycy, Nigeryjczycy, Południowoafrykańscy. Każdy, kto goni za ropą.
- Tylko że nikt nie wiedział o ropie w pobliżu Isle de Foree. Poza ASC i waszymi podwykonawcami.
- ASC nie wiedziała. My mieliśmy nadzieję. Ale mogli ją mieć i inni. Bo ile kosztuje wsparcie armii obdartych rebeliantów? Zwłaszcza w porównaniu z korzyściami płynącymi ze zdobycia nowych przyjaciół? Jeśli pogrzebiesz odpowiednio głęboko, okaże się, że Ferdinand Poe brał pieniądze z pół tuzina źródeł. Większość z tych darczyńców finansowała także Ibogę. Ale to drobniaki w zestawieniu z ewentualnymi zyskami. ASC wykazała się sprytem, inwestując dużą kasę w eksplorację. Teraz, po zwycięstwie, kogo bardziej będzie kochał prezydent Poe: gości płacących mu bronią maszynową, ceną, dopóki trwała walka, czy tych, którzy przed jego nowym krajem otwierają drogę do bogactwa?
- Zapytam go - powiedział Paul Janson.
- Co, proszę?
- Mamy umówione spotkanie.
- W jakiej sprawie?
- Postanowił odpowiedzieć Dougowi zgodnie z prawdą. Niech szef bezpieczeństwa globalnego American Synergy Corporation ma nad czym rozmyślać.
- W sprawie pracy.

- Wygląda pan zdecydowanie lepiej, panie prezydencie Janson.

- Tymczasowy prezydencie - poprawił go Ferdinand Poe.

W rzeczywistości wyglądał mizernie, ale nieco kolorów wróciło na jego policzki. Ostrzyżono go i ogolono, przebrano w niebieską piżamę i podłączono do kroplówki umożliwiającej odżywianie dożylnie. Oczy miał trochę mętne, co - jak domyślił się Amerykanin - było skutkiem działania środków przeciwbólowych, podobnie jak niewyraźna wymowa, choć głos chorego brzmiał pewnie.

- Po latach spędzonych w buszu - dodał z nieznacznym uśmiechem - uzdrawiający efekt dwu nocy przespanych w prawdziwym łóżku jest nie do przecenienia.

- Przypuszczam, że zwycięstwo rewolucji też nie boli - odparł Janson.

Polityk zachnął się i odrzekł szorstko:

- Dokonaliśmy rewolucji trzydzieści pięć lat temu, występując przeciw Portugalczykom. Nasza wojna z Iboganie była rewolucją, lecz obroną demokracji przeciw zamachowi stanu.

- Istotnie, przyznaję się do błędu - rzekł Janson.

Ostry ton riposty prezydenta prawdopodobnie wynikał ze świadomości, że kraj, który odebrał dyktatorowi, stoi przed poważnymi konsekwencjami długiej wojny. Poe wskazał przez okno na pałac za wodą.

- To istotne rozróżnienie. Widzi pan ten pusty plac obok pałacu prezydenckiego? Pięćdziesiąt lat temu na tym skrawku ziemi rozgorzała rewolucja Isle de Foree. Portugalscy właściciele ziemscy zmusili wojsko do ataku na demonstrantów protestujących przeciwko warunkom pracy na plantacjach. Prawdopodobnie nigdy nie słyszał pan o tej masakrze. O waszej wojnie w Wietnamie pisano na pierwszych stronach gazet, a Portugalczycy już wcześniej dopuścili się podobnych okropności w Mozambiku. To, co się działo u nas, to nie był „news”. Ale masakra w Porto Clarence rozbudziła naszą świadomość narodową.

Wzrok Ferdinanda Poego przyćmiły mroczne wspomnienia.

- Żołnierze ustawili mężczyzn, kobiety i dzieci w osobnych rzędach. Pracowałem jako nauczyciel. Chłopców fascynowały śmigające nad nami odrzutowce,

swobodnie manewrujące helikoptery. Potem żołnierze zaczęli strzelać z broni maszynowej. Ludzie padali. Żołnierze upychali ich do jeepów i wozów pancernych, wieźli nad morze i z falochronu wrzucali do wody. Nigdy nie zapomnę, co powiedział mój ojciec, kiedy tam leżał, umierając: „Ci, którzy na tym skorzystają, to bogacze i już mają wszystkiego w bród”. - Poe z odrazą pokręcił głową. - Zabili pięciuset z nas. W porcie roiło się od rekinów pożerających zwłoki. W jakiej sprawie chciał się pan ze mną spotkać?

- W sprawie takiego jednego, który ma już wszystkiego w bród.

- Co to ma znaczyć?

- Pański szef sztabu wyznał mi, że Iboga złupił skarb państwa.

- Tak. Wygląda na to, że przez minione dwa lata wyprowadził z kraju grube miliony. Pieniądze, których rozpaczliwie potrzebujemy.

- Jeśli dobrze rozumiem - rzekł Janson - Isle de Foree zacznie niebawem czerpać zyski z podwodnych złóż ropy.

- Tylko jeżeli to naprawdę wielkie złoża. A nawet wtedy dopiero po latach przygotowań, wierceń, tworzenia infrastruktury. Dopóki - i jeśli - spółka naftowa nie zacznie wносить opłat za prawo eksploatacji, będziemy musieli łątać budżet zaliczkami.

Paul pokręcił głową. Nawet jeśli wielkość odkrytych zasobów czyniła opłacalnym ich wydobycie, minie wiele lat, nim w kasie zubożalego wyspiarskiego kraju znajdą się wpływy z opłat.

- „Łatanie budżetu” nie ułatwi wam odbudowy.

- Jestem tego świadom - ponuro odparł polityk.

- Bankierzy proponują pożyczki pod zastaw przyszłych dochodów z ropy.

- Ale pożyczanie, kiedy bardzo potrzebuje się środków - stwierdził Janson - ustawia człowieka w pozycji żebraka.

- Tego też jesteśmy świadomi. I nie zapominamy o „przekleństwie bogactw naturalnych”. Wzbierający przyływ petrodolarów zatopi demokrację, jeśli nie będziemy nad nim panować. A nie będziemy, jeżeli nabierzemy zwyczaju pożyczania pod zastaw przyszłych wpływów. Tylko czym mamy zastąpić pieniądze skradzione przez Ibogę?

- Chciałby pan, żebym je odzyskał?

Obojętnym wyrazem twarzy Janson maskował ogromne podniecenie. Polowanie na Ibogę stałoby się siłą rzeczy dochodzeniem, kto wysłał harriera na ratunek dyktatorowi. Mogłoby nawet doprowadzić do tego kogoś, kto rzucił do walki reapersy. Ferdinand Poe obrócił na niego gniewne spojrzenie.

- Wczoraj prosiłem pana o pomoc w ujęciu Ibogi, a pan odmówił. Wszystko wyglądałoby inaczej, gdyby tylko pan nam wtedy pomógł.

- W tych samych okolicznościach odmówiłbym ponownie - odparł Paul. - Okoliczności się zmieniły. Teraz mam czas na planowanie, na skrupulatne przygotowanie operacji.

- Ale to potrwa wieki całe. Liberia wciąż jeszcze szuka pieniędzy skradzionych przez Taylora. Minęło blisko dziesięć lat, a oni nie znaleźli niczego, ani grosza złożonego w banku na jego nazwisko.

- Taylor długo utrzymywał się przy władzy. Przez wiele lat systematycznie kradł, brał łapówki i wszelkiego rodzaju nielegalne prowizje. Wasz Iboga pozostawał u władzy przez nieco ponad dwa lata. W tym czasie nie nastąpił wielki napływ pieniędzy zagranicznych inwestorów, które można było ukraść. Moja firma współpracuje z księgowymi specjalizującymi się w odzyskiwaniu tego rodzaju utraconych środków.

Polityk nagle się zniecierpliwiał.

- Proponuję pięć procent od tego, co odzyska pan z łupu Ibogi. Janson czuł, że serce bije mu szybciej. Przyjęcie zlecenia uwolnienia doktora zaowocowało pojawieniem się niecodziennej okazji. Pięć procent majątku nawet biednego kraju niepomiarnie wzbogaciłoby Fundację Feniks i znacznie rozszerzyło zasięg jej działania. Dzięki takim pieniądzom mógłby przez kilka lat przebierać w ofertach potencjalnych klientów CatsPaw. Przez chwilę udawał, że się waha. Niech Poe zastanawia się, czy nie zażąda więcej. Wreszcie postanowił dobić targu.

- Plus wydatki. Rozumie pan, że mogą być znaczne. Chcemy, by poniesione przez nas koszty były rozliczane w odstępach tygodniowych.

- Zgoda.

- Nie tak szybko. Jest jeszcze jedna klauzula. Ferdinand Poe dostrzegł wyraźną zmianę wyrazu twarzy Amerykanina. Przyjazny negocjator nagle włożył maskę bezkompromisowego wojownika.

- Jaka klauzula? - zapytał ostrożnie.

- Dziś rano odwiedziłem więzienie Black Sand - oznajmił Janson. - W jakim celu?

- Mario Margarido umożliwił mi przesłuchanie porzuconych żon Ibogi. Próbowałem ustalić, w jaki sposób zorganizował swoją ucieczkę.

- Czyżby przewidział pan, że poproszę, żeby go ścigać?

- Zawodowa ciekawość - odparł Janson.

- W moim interesie leży znajomość metod stosowanych przez ludzi w rodzaju Ibogi.

- Czy przesłuchanie jego żon coś wniosło?

- Nic istotnego.

- Niczego więcej nie zamierzał ujawniać.

- Cóż to więc za „klauzula”?

- Nie zajmuję się transferowaniem ludzi.

- Nigdy więcej.

- Nie rozumiem pana, panie Janson.

- Nie przywiozę dyktatora z powrotem na Isle de Foree, by tu poddano go torturom. Ferdinand Poe usiadł wyprostowany na łożku.

- Na Isle de Foree nie ma już tortur - oznajmił stanowczo.

- W Black Sand zapewne widział pan mój dekret zakazujący tortur, mój pierwszy dekret po zwycięstwie demokracji. Niewątpliwie oficerowie Ibogi podśmiewają się w swoich celach z mojej „słabości”, jednocześnie spiskując na rzecz przywrócenia go do władzy. Ale niezabijanie niebezpiecznych ludzi dla przykładu jest ceną, jaką wolny kraj musi zapłacić, by pozostać wolnym.

- Pański dekret został przyklejony taśmą na bramie głównej - powiedział Janson. - A ci z bliższych współpracowników Ibogi, których widziałem, byli traktowani po ludzku.

- Dlaczego więc nie przywiezie pan Ibogi, by stanął przed sądem? Miałby uczciwy proces, zapewniam pana.

- Niestety kopie pańskiego dekretu nie dotarły do wszystkich lochów więzienia.

- To znaczy?

- Znalazłem pierwszą żonę Ibogi nagą, leżącą na kamiennej podłodze z rękami przykutymi do nóg.

- Tak właśnie ona traktowała nasze kobiety.

- Kiedy przypomniałem strażnikowi o pańskim dekrete, wyjaśnił mi: „Tymczasowy prezydent Poe rozkazał zaprzestać bicia. Ale ona tego nie wie, a pamięta, co robiła naszym kobietom. Niech się trochę spoci”. Potem wskazał na bicze wiszące na ścianie i zapytał: „Jak pan myśli, skąd to się tutaj wzięło? Z Czerwonego Krzyża?”.

- Nie da się kontrolować wszystkiego - westchnął Poe. - Zanim schwyta pan Ibogę, zaprowadzę w więzieniu porządek.

- Moi sądowi rewidenci księgowi wytropią pieniądze. Ale ja osobiście zaprowadzę dyktatora przed Międzynarodowy Trybunał Karny w Hadze.

- Pan mi nie wierzy?

- Wierzę w czystość pańskich intencji - odparł Janson z ciepłym uśmiechem, którego nie powstydziliby się najzręczniejszy dyplomata.

- Ale musi pan doprowadzić do porządku cały kraj i trochę potrwa, nim zdoła pan „kontrolować wszystko”.

- Nie - sprzeciwił się Poe. - Iboga przez lata będzie zwodził sąd.

- Zbierając informacje niezbędne do przeprowadzenia akcji uwolnienia doktora Flannigana, sporo się o panu dowiedziałem - powiedział Janson. - Podziwiam pana. Jest pan człowiekiem praktycznym. Uczęszczał pan do londyńskiej School of Economics, by biegle opanować angielski, ponieważ znajomość tego języka mogła być przydatna w działaniu na rzecz Isle de Foree. I jest pan dzielnym człowiekiem. Takim jak pan ludzie pragną służyć i chronić ich. Ale istnieją granice tego, co we wszechogarniającym chaosie da się osiągnąć praktycznością i odwagą. Zwali się panu dość spraw na głowę i to bez konieczności sprzeciwiania się własnym ludziom,

żadnym zemsty na Ibodze. I jeszcze zanim powie pan, że to nie moja sprawa: kiedy go złapię, to będzie moja sprawa.

- W porządku! - skapitulował Ferdinand Poe.

- Widzę, że pan nie ustąpi. Niech pan go odda pod sąd międzynarodowy, jeśli pan musi.

- Muszę.

- Teraz ja stawiam jeden warunek: domagam się, żeby pan obiecał, że jeśli kiedykolwiek Iboga zdoła oszukać swoich strażników i uciec z Hagi, znajdzie go pan ponownie, nim wróci tu, by odzyskać Isle de Foree.

- Może pan na to liczyć - oznajmił Janson.

Rozdział 15

37°35'20,66" N, 0°58'59,79" W Kartagena, Hiszpania

- Wysadźcie ją - powiedział Janson, zwracając się do swoich pilotów.

- Jesse musi capnąć doktora w Kartagenie.

Widziany z wysokości dwóch tysięcy metrów wycieczkowiec Varna Fantasy lśnił w porannym słońcu nieskazitelną bielą. Długi ślad torowy statku w kształcie litery V znaczył spokojną powierzchnię Morza Śródziemnego.

Stali za plecami Mike'a i Eda, wyglądając przez przednią szybę wiatrochronu. Należący do CatsPaw Associates embraer 650 przechylił się na skrzydło, wchodząc nad statkiem w szeroki zakręt, i skierował się w stronę lądu. Minąwszy skalisty brzeg, znaleźli się nad Kartageną, następnym portem bułgarskiego wycieczkowca.

Janson był niespotykanie, jak na niego, gadatliwy, co dla Kincaid stanowiło sygnał, że zamierza coś przed nią ukryć. Kartagena, oznajmił, leży nad niepospolicie głęboką, dobrze osłoniętą zatoką wcinającą się daleko w głąb lądu. Dlatego od trzech tysięcy lat funkcjonuje jako uczęszczany port. W niebieskozielone wody zatoki rzucały kotwice statki fenickich żeglarzy i kupców, kolonistów z Kartaginy, rzymskich zdobywców oraz hiszpańskie okręty wojenne.

- Rzymianie zostawili po sobie brukowane drogi, teatry i wyeksploatowane kopalnie srebra. Hiszpanie wzniesli na wysokich skalistych cyplach fortece, pobudowali falochrony, pirsy załadunkowe, stocznie i fabryki. W naszych spokojniejszych czasach prosperity zbudowali długie molo - przystań statków wycieczkowych.

- Czy powiesz mi, co zamierzasz? - zapytała Jessica.

- Jeszcze nie zdecydowałem - odrzekł tylko.

Od czasu do czasu znikał, załatwiając swoje sprawy, choć już nie tak często jak kiedyś. Kiedy schodzili w kierunku najbliższego portu lotniczego, sennego, ogólnodostępnego lotniska nieopodal Murcji, dziewczyna zapytała Mike'a, czy pozwoliłby jej na czas lądowania zająć miejsce pierwszego oficera.

- Nie. Przykro mi, Jesse, ale tu jest krótki pas i wieje paskudny boczny wiatr. Mogę potrzebować refleksu Eda.

Trąciła łokciem pierwszego oficera i oznajmiła:

- Mam szybszy refleks niż ten staruch.

- Taa, ale Ed lata od trzydziestu lat. Następnym razem. Nie martw się, będą inne lądowania.

Wynajęte audi Kincaid czekało na płycie lotniska.

- Powodzenia - życzył jej Janson.

- Gdyby doktor sprawiał ci jakieś kłopoty, w Madrycie czeka w gotowości do działania Freddy Ramirez. Ramirez, były agent terenowy hiszpańskiego wywiadu CSID. Podobnie jak Janson, Freddy pracował obecnie na swój rachunek. Jego Protocolo de Seguridad miała dobre kontakty wszędzie tam, gdzie ongiś tropił kubańską kokainę. Janson mógł liczyć na niego podczas akcji w Ameryce Środkowej i Miami, w samej Hiszpanii oraz we Francji i Włoszech.

- Myślę, że poradzę sobie z jednym lekarzem - odparła Kincaid. - O ile jest na pokładzie.

Varna Fantasy wypłynął w morze tej nocy, kiedy Flannigan zniknął z Porto Clarence. Nie było go jednak na liście pasażerów ani na liście załogi złożonej w Urzędzie do spraw Ceł i Imigracji Isle de Foree.

Zanim Jessica minęła bramę lotniska, embraer z hukiem silników ponownie wzbił się w niebo. Odleciał z zachodnim wiatrem, by niebawem wziąć kurs na północ, a może na wschód, pomyślała, ale samolot już zniknął jej z oczu.

Pędząc jak szalona, zdążyła dojechać do Kartageny w chwili, gdy ciągnięty przez holowniki Varna Fantasy mijał zewnętrzny falochron. Kincaid przedarła się przez pełne turystów wąskie uliczki starego miasta i wjechała na przystań wycieczkową chwilę po zacumowaniu statku. Na przybyszów czekały już autobusy wahadłowe, oni sami zaś ustawiali się w kolejce do trapu. Uwięzionym na zatłoczonym statku podczas trzydniowych rejsów z Porto Clarence do Dakaru i z Dakaru do Kartageny spieszno było zejść na ląd.

Dziewczyna objechała autobusy i znalazła miejsce do zaparkowania nieopodal przystani jachtowej, skrytej za nabrzeżem. Zrobiła to w ostatniej chwili. Kierowcy autobusów gasili papierosy, uruchamiali silniki. Z górującego nad przystanią pokładu wycieczkowca wychyleni poza reling pasażerowie gapili się na miasto, zwrócone ku portowi kremowymi ścianami ośmio - i dziesięciopiętrowych apartamentowców. Między budynkami a wodą zieleniły się skwerki porośnięte palmami.

Kincaid usłyszała ostry gwizd. Przez otwarty szyberdach widziała, skąd dobiega. Już wcześniej spostrzegła takielarza stojącego u szczytu wysokiego masztu łodzi żaglowej - atletycznego jachtowego goryla w białym T-shircie i szortach, z twarzą osłoniętą przed słońcem przyciemnionym daszkiem i niebieskimi okularami przeciwsłonecznymi z filtrem polaryzującym. Pracował w pojedynkę, bez liny zabezpieczającej, co znaczyło, że sam wspiął się po grotfale, korzystając z umocowanych do liny strzemion. Znajdował się na poziomie zabezpieczającej, co znaczyło, że sam wspiął się po grotfale, korzystając z umocowanych do liny strzemion. Znajdował się na poziomie wzroku pasażerów czekających na zejście z pokładu Varna Fantasy. Szczerzył zęby do cudzoziemskich blond turystek. Te pstrykały mu zdjęcia telefonami komórkowymi.

Pasażerowie zaczęli schodzić po trapie.

Kincaid przyglądała się każdej twarzy. Nie było to trudne. Wśród pasażerów znajdowało się więcej kobiet niż mężczyzn, a większość mężczyzn wyglądała na starszych niż Flannigan. Przypuszczała, że załoga zejdzie na ląd na końcu. Pasażerowie zapakowali się do autobusów, ale doktor się nie pojawił. Drugi trap, roboczy, opuszczony na nabrzeże za płotem, prowadził do budynku terminalu. Przeznaczono go dla załogi.

Wysiadła z samochodu. Miała na sobie lekkie płócienne szorty odsłaniające nogi, na widok których takielarz gwizdnął z uznaniem. Wchodząc w rolę beztrioskiej turystki, pomachała mu ręką, niby to dziękując za komplement. Weszła do budynku terminalu, zbliżyła się do stanowiska Fantasy Line i zwróciła się do pracującej tam kobiety w języku stanowiącym mieszaninę angielskiego, francuskiego i hiszpańskiego.

Hadrian Van Pelt od kilku godzin stał w strzemionach liny blisko szczytu trzydziestometrowego masztu regatowego. Udawał, że smaruje umocowany do topu krążek linowy i zmienia przepalone żarówki światła masztowego. Z tej wysokości mógł sięgnąć wzrokiem ponad wycieczkowcem aż po przylądki osłaniające hiszpański port i dalej, ku błękitnozielonym wodom Morza Śródziemnego. Dokładnie pod nim, obok Real Club Nautico de Regattas, znajdowała się przystań statków wycieczkowych. Pasażerowie Varna Fantasy wsiadali do autobusów wahadłowych, które miały ich zawieźć na stare miasto.

Domyślił się, że załoga czeka, aż pasażerowie opuszczą statek, ale nie sądził, by lekarz zszedł na ląd z resztą marynarzy. Afrykaner nadal nie mógł pojąć, jak to się stało, że przegapił Flannigana podczas postoju statku w Dakarze. Teraz pojawiła się kolejna okazja i zamierzał tu, w Kartagenie, sfinalizować wykonanie zadania.

Jakiś ruch pod nim przyciągnął jego uwagę. Z czerwonego audi stojącego w szeregu samochodów zaparkowanych obok statku wysunęła się szczupła kobieta. Nosila okulary przeciwsłoneczne w stylu retro, przywodzące na myśl kocie oczy. Daszek przeciwsłoneczny ocieniający jej twarz odsłaniał nastroszone, ciemne włosy.

Kiedy gwizdnął, odpowiedziała niezobowiązującym gestem, zamknęła samochód i szybkim krokiem weszła do terminalu.

Van Pelt zacisnął okryte rękawicami dłonie na stalowym forsztagu, wyjął stopy ze strzemion i zsunął się po pochyłej linii, lądując na dziobie jachtu tak lekko, jakby nie był roslym, ciężkim mężczyzną. Następnie przeskoczył z łodzi na betonowe nabrzeże i skierował się ku samochodowi kobiety.

Po raz ostatni widział ją w Porto Clarence, na Isle de Foree. Odgadł, że to Amerykanka, za czym przemawiała jej wyrażająca pewność siebie postawa. Siedziała w kawiarni zatopiona w ożywionej rozmowie ze starą kobietą, właścicielką najdroższego burdelu na Isle de Foree.

Hadrian Val Pelt mógłby się teraz zastanawiać, czy aby nie doszło tu do niezwykłego zbiegu okoliczności. Mógłby również rozważyć taką ewentualność, że ona też tropiła doktora Terry'ego Flannigana z Dakaru do Kartageny. Po co miał się jednak zastanawiać, skoro mógł ją zapytać?

Przyklękł obok audi, udając, że poprawia sznurowadło, otworzył torbę na narzędzia i włączył elektroniczny skaner odczytujący kody zamków - urządzenie czeskiej produkcji warte więcej niż ten samochód. Otworzył drzwi i wsiadł do wozu, zachowując się tak, jakby był jego właścicielem, upewnił się, że nikt go nie obserwuje, i wcisnął się za oparcia przednich foteli.

Van Pelt nie wątpił, że profesjonalistka z jej umiejętnościami zauważy go, jak tylko otworzy drzwi. Ale jako profesjonalistka rozpozna też krótką lufę zaopatrzonego w tłumik karabinka Micro TAR-21 wystającą z jego torby na narzędzia. Zorientuje się, że nie ma wyboru i musi wykonywać jego polecenia, a on każe jej wsiadać i jechać przed siebie. Potem zaś, w stosownym czasie, zrobi jej dziurkę w głowie.

Po kilku próbach udzielenia odpowiedzi na pytania Kincaid i przyjęciu łąpówki, niewielkiej, ale wystarczającej na sympatyczny lunch - to Janson nauczył ją, że za łąpówkę w tej wysokości można kupić mnóstwo informacji - pracownicy

obsługujące stanowisko Fantasy Lines zaczęły spoglądać na zegar. Jessica podziękowała za poświęcony jej czas i ponownie wyszła na słońce.

- Jasny gwint! - mruknęła pod nosem.

Już wiedziała, że na pokładzie wycieczkowca nie było żadnego doktora Terrence'a Flannigana. Na jej prośbę asystentki właśnie zadzwoniły na statek, by to potwierdzić. Lekarzem okrętowym był pewien Senegalczyk, zażywający przyjemności darmowych wakacji na statku wycieczkowym. Oznaczało to, że Terry Flannigan jakimś sposobem wymknął się jej w Dakarze. Albo że nigdy nie trafił na ten przeklęty statek.

Co teraz?

Nabrzeże opustoszało. Wszystkie autobusy odjechały. Środek dnia, środek tygodnia, łodzie żaglowe stłoczone burta w burtę na przystani jachtowej świeciły pustkami. Żadnego ruchu, jeśli nie liczyć powiewających na topach masztów wiatrowskazów i obracających się gdzieś leniwie turbin generatorów. Gasnąca poranna bryza nieznacznie marszczyła wody zatoki. Z odległego komina wzbijał się pionowy słup leniwie turbin generatorów. Gasnąca poranna bryza nieznacznie marszczyła wody zatoki. Z odległego komina wzbijał się pionowy słup dymu. Wzniesione na skalistych cyplach fortece, strzegące wąskiego wylotu zatoki, smażyły się w słońcu. Wyglądało na to, że jedynymi osobami pracującymi jeszcze w tym hiszpańskim mieście byli serwujący lunch kelnerzy. Nawet przystojny takielarz zrobił sobie przerwę na resztę przedpołudnia i porzucił stanowisko na maszcie. Lunch. Potem wynosić się stąd. Ruszyła w kierunku samochodu.

Rozdział 16

Jessica Kincaid zatrzymała się dwa metry od audi i otworzyła torebkę. Wyjęła paczkę marlboro, otworzyła ją, z niezadowoleniem pokręciła głową i zgmiotła paczkę w dłoni. Zawróciła na pięcie i ruszyła z powrotem w stronę budynku terminalu, zatrzymując się w drzwiach, by wyrzucić do kosza na śmieci zgniecione pudełko.

Terminal wyposażono w klimatyzację, wewnątrz panował przyjemny chłód zachęcający pasażerów do zakupów w licznych sklepach. Większość sklepów,

podobnie jak stanowisko Fantasy Line, zamknięto na czas lunchu. Te otwarte były praktycznie puste, jeśli nie liczyć znudzonych sprzedawców.

Kincaid skierowała się do damskiej toalety. Przez drzwi usłyszała szum suszarki do rąk. Dobrze. Nie musi tam wchodzić. Przecięła rozległy korytarz i weszła do sklepiku, w którym kupiła pudełko marlboro i zapalniczkę. Następnie poprosiła kobietę przy kasie o pakiet chłodzący wypatrzony między elastycznymi bandażami i opaskami do usztywniania nadwyrężonych nadgarstków. Płacąc za pakiet, poprosiła jeszcze o hiszpańską gazetę, po czym weszła do toalety. Kobieta susząca dłonie właśnie wychodziła.

- Pardón. - No hay problema.

Jessica sprawdziła, czy wszystkie kabiny są puste i czy jest sama, zatkała odpływ umywalki kawałkiem gazety i napełniła go do połowy zimną wodą. Ignorując wydrukowaną w pięciu językach instrukcję, zalecającą nieotwieranie pakietu, rozdarła torebkę i kryształki saletry amonowej wysypała do wody. Kiedy się rozpuściły, nasączyła roztworem arkusz gazety, a gdy nieco obciekł, zaniósła do pod suszarkę. Strumień powietrza rozdarł mokry papier, musiała więc spróbować ponownie, tym razem trzymając gazetę dalej od dyszy suszarki. Sucha gazeta zrobiła się jednak bardzo krucha i w każdej chwili mogła się rozsypać. Aby temu zapobiec, Jessica ułożyła spreparowany arkusz na innym, nienamoczonym, i razem złożyła je ciasno, uzyskując tym sposobem prostokąt o wymiarach trzydzieści centymetrów na dwa i pół i grubości centymetra.

Włożyła go do torebki i opuściła toaletę. Minęła hol i wyszła na nabrzeże. Szła powoli w stronę samochodu, jak przystało na turystkę, rozglądając się wkoło. Otworzyła niespiesznie paczkę marlboro, schowała do kieszeni celofanową opaskę i wewnętrzną folię, ubiła tytoń wolną dłonią i wytrząsnęła papierosa z pudełka.

Nie zauważyła, by ktoś ją obserwował z którejś z łodzi stojących na wyciągach stoczniowych. Wyglądało też na to, że nikogo nie ma w żadnym z zaparkowanych na przystani samochodów i nikt jej się nie przygląda z góry, ze statku, choć tego nie mogła być pewna.

Rozejrzała się uważnie, tak jakby wybierała stanowiska dla snajperów Lambda Team. Rozmieściłaby ich na palmach najbliższych środka placu, na dachach

budynków za nimi, jednego w ciężarówce unieruchomionej na estakadzie. Sama zajęłaby stanowisko w latarni morskiej wyznaczającej tor wodny wokół zewnętrznego falochronu. Byłby to trudny strzał, z koniecznością uwzględnienia poprawki na wpływ wody i morską bryzę, ale trafiłaby.

Gdyby tu czekali snajperzy, już by nie żyła. Gdyby tu czekali, żaden facet nie chowałby się w jej samochodzie. Facet na tyle ciężki, że zawieszenie wozu wyraźnie się obniżyło.

Była kobietą, więc on mógł być jakimś zaplutym gwałcicielem. Tylko że niewielu gwałcicieli umiałoby wleźć do zamkniętego audi, nie uruchamiając alarmu. To zaś, że wóz stał tam, gdzie go zaparkowała, świadczyło o tym, że ten, kto ukrył się w środku, nie próbował go ukraść. Czekał na nią.

Wychodząc z terminalu, zauważyła jeszcze coś, co właściwie nie od razu dotarło do jej świadomości. Ta nieprawidłowość zwiększyła jednak jej czujność: takielarz zostawił strzemiona umocowane do forsztagu, po którym się wspinał. Żeby je zdjąć, musiałby ponownie wgramolić się na maszt z nową drabinką, co było pozbawione sensu, chyba że miał ważny powód, by schodzić naprawdę szybko. Taki jak włamanie się do jej samochodu.

Na pewno miało to jakiś związek z doktorem. Flannigan stanowił jedyny powód jej obecności w Kartagenie. Facet w jej audi musiał wypełniać jakąś tajną misję i przybył na spotkanie z Varna Fantasy z tych samych przyczyn. W jakiś sposób skojarzył ją z lekarzem.

Niestety nie mogła wezwać glin. Zasady Jansona: żadnych niewinnych cywilów w miejscu strzelaniny. Biedni gliniarze nigdy by się nawet nie dowiedzieli, od kogo oberwali.

Zbliżyła się do audi, włożyła papierosa do ust i osłoniła zapalniczkę, odwracając się plecami do wiatru. Wciąż szukała wzrokiem partnerów intruza w jej wozie. Jeśli ich miał, pozostawali niewidoczni. Marina była pełna jachtów. Niewykluczone, że obserwowali ją z wnętrza kabiny jednego z nich.

Rozejrzała się po przystani jak przypadkowa turystka, której nie chce się opuszczać ładnego miejsca. Nie wypuszczając z dłoni zapalniczki, udała, że zaciąga się leniwie papierosem, i ruszyła spacerkiem wzdłuż krawędzi pirsu, zaglądając z góry

do kokpitów niektórych jachtów, jakby podziwiała wypolerowane, chromowane czy lakierowane okucia albo marzyła o podróżach pod żaglami. Nie miała w ustach papierosa, od kiedy ukończyła szesnaście lat, i teraz największym jej problemem było powstrzymanie kaszlu.

W kabinie łodzi, którą zajmował się takielarz, zauważyła coś, co mogło jej się przydać. Zawróciła i podeszła do audi. Przykucnęła szybko, W kabinie łodzi, którą zajmował się takielarz, zauważyła coś, co mogło jej się przydać. Zawróciła i podeszła do audi. Przykucnęła szybko, pewnym ruchem, wsunęła prostokąt nasączonej saletrą amonową gazety pod samochód, przytknęła do niego płomień zapalniczki i równie szybko się podniosła.

Zdążyła cofnąć się o trzy metry, nim jej bomba dymna zadziałała na dobre.

W jednej chwili audi spowił gęsty biały dym. Kincaid wskoczyła do upatrzonego kokpitu, by po chwili z powrotem wgramolić się na nabrzeże, dźwigając gaśnicę halonową i dwumetrowy bosak.

Takielarz był roslą mężczyzną i minęła dłuższa chwila, nim wy dostał się z samochodu. Zataczał się, zanosząc kaszlem. Dziewczyna upuściła bosak na chodnik.

- Pali się! Pali! - wrzasnęła na użytek ewentualnych świadków, grając przypadkowego, tyle że szybko reagującego przechodnia - i wycelowała gaśnicę w twarz takielarza, który zdjął okulary przeciwsłoneczne. Spryskując go sprężonym, pochłaniającym tlen płynem, rozpoznała w nim komandosa, którego błyskotliwa akcja umożliwiła dożywootniemu prezydentowi Ibodze ucieczkę z Isle de Foree.

Teraz był niemal równie opanowany jak wówczas. Doskonale wyszkolony, szybki jak błyskawica. Mimo iż na wpół oślepiony gryzącym dymem i z twarzą zalewaną strumieniem cuchnącego eterem halonu, zdołał jednak wyszarpnąć z torby na narzędzia karabinek Micro Tavor MITAR-21 i ustawić przełącznik na ogień ciągły.

Kincaid w jednej chwili domyśliła się, co zamierza. Zaskoczony, nie widząc, kto go atakuje i ilu jest napastników, na oślep pociągnie wkoło długą serią, opróżniając cały magazynek na trzydzieści naboji, załaduje ponownie i będzie strzelał do wszystkich: czy to rzeczywistych przeciwników, czy niewinnych świadków.

Odrzuciła gaśnicę i podniosła bosak. Jego okucie składało się z haka i grotu, tępo zakończonych, by zminimalizować ryzyko uszkodzenia żagli podczas chwytania

lin. Drzewce wykonano z aluminium powleczonego winylem. Bosak był zbyt lekki, by zwalić nim z nóg tak wielkiego mężczyznę czy nawet wytrącić mu broń z ręki.

Cisnęła nim jak oszczepem. Celowała w oczy. Okazał się zaskakująco szybki, miał odruchy kobry i instynkt walki hiszpańskiego byka. Podniósł rękę, zasłaniając się przed bosakiem i zmieniając nieznacznie tor jego lotu, odwrócił głowę. Bosak nie trafił w oko, ale uderzył go w skroń. Ten cios powaliłby większość mężczyzn, lecz jego tylko nieznacznie spowolnił. Kincaid osiągnęła jednak swój pierwszy cel, zmuszając go do zdjęcia palca ze spustu.

Rzucił się na nią bez ostrzeżenia.

Był od niej cięższy o dobre pięćdziesiąt kilogramów. Rozłożył długie ręce, by zamknąć dziewczynę w niedźwiedzim uścisku, sądząc, że zgniecie ją samą swoją masą; błąd dość często popełniany przez tępawych futbolistów. Jessica cofnęła się i z pochwy ukrytej pod torebką wydobyla skalpel o ostrzu z włókien węglowych.

Trafiwszy ostrzem w zgięcie jego ręki, rozpruła mu przedramię aż po nadgarstek. Nadal parł do przodu, toteż Kincaid cięła poprzez nadgarstek i nasadę dłoni, sięgając palców. MTAR-21 upadł na chodnik. Wykonany w dużej części z tworzyw sztucznych odbił się; Kincaid schwyciła go w powietrzu. Cofnęła się, obróciła broń lufą w jego kierunku i przesunęła przełącznik rodzaju ognia na ogień pojedynczy.

- Coś ty za jeden?

Uniósł zakrwawioną rękę. Jego bladą z powodu szoku twarz wykrzywił grymas wściekłości. Wskazał na nią ociekającym czerwienią palcem.

- Jesteś trupem.

- Ja? To nie ja krwawię jak zarzynana świnia. Za to ja trzymam broń.

- Wycelowała w jego kolano.

- Kim jesteś?

- Wal się - odparł.

Jeśli szok i zdziwienie skutecznością jej obrony nie skłoniły go do udzielenia odpowiedzi na pytanie, strach przed postrzałem w nogę też by tego nie dokonał. Kincaid postanowiła więc uderzyć w jego poczucie własnej wartości.

- Mam się walić? Sam się wal. Gdzie się uczyłeś walczyć? W przedszkolu? Nikt ci nie powiedział, że trzeba uderzać kością? Powinieneś zablokować mnie kością promieniową. Zrobiłeś mi prezent, odsłaniając miękkie części ciała. Podziałało. Skulony, brocząc krwią niczym niedoświadczony rekrut, musiał dowieść tej ważącej głupie sześćdziesiąt pięć kilogramów kobiecie, że jest kimś. Wyrzucił z siebie słowo, które zabrzmiało jak „sar”.

- Sar?! - zawołała.

- Co to za gówno, ten sar?

- Ja jestem sar. A ty jesteś trupem.

- Tak, tak, już mówiłeś. Co to jest sar?

- Ponownie pogroziła mu bronią. Spojrzał poza nią w kierunku terminalu i ulga odmalowała się na jego twarzy.

- Ludzie. Proszę bardzo, możesz strzelać.

Już wcześniej zauważyła kątem oka dwie czy trzy pary turystów w średnim wieku. Zbliżali się spacerkiem w jej stronę i choć wciąż znajdowali się zbyt daleko, by usłyszeć odgłos wystrzału zaopatrzonego w tłumik tavora, na pewno usłyszeliby jego krzyk. Mężczyzna tymczasem wykorzystał chwilę jej nieuwagi, odwrócił się i skoczył z pirsu do morza dokładnie tak, jak to zrobił w Porto Clarence. Wniknął w wodę prawie bez plusku, gładko jak delfin.

Kincaid wystartowała za nim. Tym razem nikt ukryty pod nabrzeżem nie zdołałby mu pomóc w ucieczce. Zatrzymała się na krawędzi pirsu, omiatając wzrokiem powierzchnię wody w poszukiwaniu bąbelków, by ustalić, w którym miejscu sama powinna wskoczyć. Tavor był wodoodporny. Mogła posłać facetowi kulę pod wodą, jeśli tylko znajdzie się odpowiednio blisko. Tam! Ugięła nogi, szykując się do skoku. Nagle usłyszała gdzieś w głowie głos Jansona. Donośny, jakby szef siedział jej na ramieniu.

Nigdy nie wdawaj się w walkę z góry skazaną na przegraną.

Nie było sensu siłować się w wodzie z kimś o tej posturze i o takich umiejętnościach pływackich. Wykorzystałby przewagę siły i wagi, by wciągnąć ją pod powierzchnię niczym szop broniący się przed psem.

Turyści znajdowali się coraz bliżej, wołali coś. Widzieli, jak wskakiwał do wody albo dostrzegli dym. Nadal trzymała przyciśnięty do ciała MTAR-21. Wsunęła karabin pod najbliższy samochód, zgarnęła z chodnika torebkę i włożyła skalpel do pochwy. Następnie podniosła gaśnicę i na pokaz spryskała miejsce pod audi, skąd wydobywały się ostatnie smużki dymu.

Turyści zblizali się, biegnąc tak szybko, jak było to możliwe w wakacyjnych klapkach, wołając coś po hiszpańsku, gestykulując nerwowo. Kincaid również odpowiedziała gestami, udając, że nie zna języka. Wyjęła z torebki kluczyki i nie przestając się uśmiechać, wsiadła do samochodu.

- Gracias, gracias. Uruchomiła silnik, opuściła okno i ujęła dłoń najbliższej stojącej kobiety.

- Gracias. Dziękuję. Nic mi nie jest. - Spojrzała turystce w oczy, uspokajająco ścisnęła pulchną, spoconą dłoń, pomachała pozostałym i wyjechała z przystani. Kierując się znakami na Paseo de Alfonso XII, dojechała do AP-7 Autopista del Mediterráneo. Byle dalej od Kartageny. Miała tylko nadzieję, że ugłaskała turystów na tyle, by nie uznali za stosowne wezwać policji.

Na bezkolizyjnej autostradzie minęła dziesiątki patroli policji drogowej i tyleż ukrytych radarów. Nie przekraczała dozwolonej prędkości stu dwudziestu kilometrów na godzinę i nikt nie zwrócił uwagi na jej audi. Była w domu. Nikt nie wezwał policji.

W połowie drogi do Walencji skręciła na parking z barem i toaletami. Jak zwykle po walce czuła wilczy głód, toteż nałożyła sobie na tacę furę szparagów, karczochów, grzybów oraz sardynek i wtrząchnęła to wszystko, jednocześnie wystukując wiadomość tekstową dla Jansona.

Doc wyskoczył statku moż Dakar.

Przerwała, bo coś przyszło jej do głowy. Karabinek szturmowy MTAR-21, choć zwany Micro, pozostawał jednak kawałem broni, zbyt dużej, by wymachiwać nią w miejscu publicznym. Istniały tylko dwa powody, dla których zawodowiec mógłby podjąć ryzyko noszenia jej w mieście: duża szybkostrzelność, czyniąca z Micro groźną broń defensywną w sytuacji, gdy jej użytkownik zmuszony był ogniem torować sobie drogę odwrotu, a poza tym ogromna celność i doskonałe wyciszenie. Idealna broń do sprzątnięcia schodzącego po trapie Flannigana jednym strzałem oddanym z masztu.

Wniosek z tych rozmyślań zawarła w SMS-ie do Jansona:

Nurek z Porto C poluje doc by zlikwidować.

Podeszła do lady po deser. Wybrała dwie babeczki i podwójne espresso.

Wróciwszy do stolika, wysłała kolejną wiadomość:

Nurek PC znów nurkował. Oddział zwany? sar? Iboga przyjaciel - doc wróg.

Spróbowała babeczki, zamieszała kawę. Następnie wystukała na klawiaturze telefonu:

?Teraz?

Rozdział 17

- Dokąd teraz, szefie? Wycie silników Rolls-Royce'a przycichło. Ed zaparkował embraera przed terminalem centrum obsługi naziemnej Jet Aviation w Zurychu.

- Zostawcie samolot tutaj, tylko załatwcie przegląd. A wy lećcie do domu komercyjnym. Wyśpijcie się wreszcie.

- Do domu? Nie miałbym nic przeciwko temu. Przystrzyż trawniki...

- Opryskać róże - wtrącił Ed - pogłaskać kota... Kiedy mamy być z powrotem?

- Quintisha was znajdzie.

Piloci Jansona dobrze wiedzieli, że lepiej nie pytać, dokąd on sam się wybiera. Przez cały miniony tydzień Paul Janson odbierał weksle wystawione przez dawnych przyjaciół i wrogów w latach jego długiej służby w Wydziale Operacji Konsularnych. Szpieczy, bankierzy, sekretarze stanu, kryminaliści i funkcjonariusze organów porządku publicznego winni mu byli przysługi, a niejednen z nich zawdzięczał mu życie. Jak na ironię - choć okazało się to bardzo wygodne - zakresy działania CatsPaw Associates, korporacyjnej firmy konsultingowej specjalizującej się w problematyce bezpieczeństwa, oraz Fundacji Feniks w znacznym stopniu się pokrywały. Jego dwie organizacje napędzały się nawzajem.

Eksperci zebrani przez Jansona służyli jednej i drugiej, często nieświadomie.

Informatorzy, jego oczy i uszy, zawiadamiali go o znalezieniu kolejnego bezdomnego agenta, ale też nadawali mu płatną robotę wraz z informacjami niezbędnymi do jej wykonania. Specjaliści od finansów i papierów wartościowych

trzymali na dystans urząd podatkowy i dbali o to, żeby Fundacja, jako organizacja non profit, była zarówno wypłacalna i działała całkowicie legalnie. Mogli przerzucić gotówkę czy dokonać płatności zgodnie z bieżącymi potrzebami. Najróżniejszego rodzaju pomocnicy, wyspecjalizowani agenci, genialni komputerowcy i hakerzy - wszyscy oni w taki czy inny sposób uczestniczyli w polowaniu na Ibogę, na jego wybawicieli i na nieuchwytnego doktora, którego Janson w chwilach przygnębienia zaczął nazywać w myślach Rączym Flanniganem.

Maszyna CatsPaw Associates pracowała na pełnych obrotach. Rezultaty jednak nie okazały się imponujące. Księgowi zrobili pewien postęp, jeśli chodzi o poszukiwanie ukrytych przez Ibogę milionów, ale przez tydzień przeczesywania podziemnego świata tajnych służb jego ludzie nie znaleźli niczego na temat ewentualnego dysponenta harriera i miejsca pobytu dyktatora.

Niezależni analitycy, których działalność koordynowała centrala CatsPaw, zwrócili uwagę na coś, co Janson i tak już wiedział: na świecie było ponad sto tysięcy „superbogaczy”. Ich majątki przekraczały trzydzieści milionów dolarów, toteż mnóstwo osób mogło sobie pozwolić na kupno nieco już przestarzałego harriera. Skomplikowane zaplecze techniczne nie stanowiło niezbędnego warunku, skoro zamierzało się użyć maszyny jeden jedyny raz, a potem utopić ją w morzu.

Na intrygującą poszlakę udało się natrafić w bazie danych działającej na obszarze Zatoki Gwinejskiej firmy z branży Maritime Security. Było to nagranie rozmowy radiowej, która miała miejsce w noc poprzedzającą klęskę Ibogi na Pico Clarence. Oficerowie wachtowi dwu supertankowców mijających się w ciemnościach sto mil od wybrzeża Gabonu wymieniali właśnie pozdrowienia, kiedy przerwał im ogłuszający huk. Jeden z nich, eksmarynarz Royal Navy, rozpoznał niezapomniany odgłos silników harriera podchodzącego do pionowego lądowania. Na ekranach radarów dostrzegli duży statek, frachtowiec lub może tankowiec, na którego pokładzie mógł lądować harrier. Statek był jednak nieoświetlony i nie odpowiadał na ich wezwania.

Paul wymyślił sobie, że skoro maszyna została przystosowana do wykonywania nocnych lotów bojowych, mogła przylecieć na statek z terytorium Gabonu, dawnej kolonii francuskiej. I kiedy następnego popołudnia Iboga ratował się ucieczką, tenże

statek mógł czekać nieopodal Isle de Foree, w odległości nieprzekraczającej zasięgu odrzutowca. Janson polecił swoim ludziom z CatsPaw wysondować urzędników gabońskiego Ministerstwa Transportu z pionu ruchu lotniczego. Pozostawało jednak faktem, że w kraju tym znajdowało się wiele zagubionych w buszu lądowisk, z których potrafiłby startować harrier, przyleciawszy z Angoli czy Konga. Mógł przylatywać i odlatywać całkowicie niezauważony.

Tak więc maszyny CatsPaw Associates i Fundacji Feniks pracowały nadal, podczas gdy Jessica Kincaid polowała na doktora. Nadszedł czas, by „szef” zniknął, wrócił do tego, co robił najlepiej. Sam.

Limuzyną Jet Aviation podjechał do głównego terminalu pasażerskiego. Spacerował po hali, dopóki nie poczuł, że nie jest śledzony. Wsiadł wtedy do pociągu do Zurychu i przez dłuższy czas włóczył się po sklepach w podziemiach Dworca Głównego. Opuścił dworzec dopiero, gdy nabrał całkowitej pewności, że nikt za nim nie idzie. Z placu dworcowego wjechał ruchomymi schodami na Bahnhofstrasse. Idąc nią, przeciął kilka wąskich, obsadzonych drzewami bocznych uliczek.

Mostem Gessnera przeszedł nad płytką odnogą Limmatu i wszedł w Lagerstrasse. Ulica biegła równolegle do torów kolejowych ukrytych w ogromnym wykopie, a prowadzących ku centrum miasta. Cztery przecznice dalej wszedł do holu niewysokiego budynku mieszkalnego nieopodal torowiska, wspiął się po schodach na trzecie piętro i zapukał do drzwi pewnej firmy spedycyjnej.

W zewnętrznej recepcji podał swoje nazwisko. To otworzyło mu drogę do pomieszczenia wewnętrznej recepcji.

To otworzyło mu drogę do pomieszczenia wewnętrznej recepcji.

Skanowanie tęczówki potwierdziło, że jest tym, kogo oczekiwano.

Recepcjonista zaprowadził go do gabinetu w głębi biura, gdzie podłoga drżała w rytm stukotu kół pociągów przemykających obok budynku. Bez słowa wręczył gościowi kopertę z odpornego na rozdarcie polietylenu i wyszedł, przymykając za sobą drzwi. Janson zamknął je na klucz.

Wytrząsnął zawartość koperty na blat stołu i dokładnie przejrzał papierowe i plastikowe dokumenty, potwierdzające legendę, którą od kilku lat się nie posługiwał. Zestaw dokumentów identyfikacyjnych wystawionych na członka kierownictwa firmy

ochroniarskiej, „Adama Kurzweila”, był skompletowany tak skrupulatnie, że do nowiutkiego paszportu kanadyjskiego dołączono poprzedni, nieważny już paszport, którym Paul posłużył się po raz ostatni, przedostając się na Węgry. Ten nowy posiadał chip systemu RFID z zakodowanymi znakami szczególnymi Kurzweila i jego profilem biometrycznym, dzięki czemu Janson nie musiał obawiać się skanerów na lotniskach. Stanowiło to przypomnienie faktu - nie żeby tego przypomnienia potrzebował - że po jedenastym września, kiedy służby ochrony środków transportu zaczęły stosować coraz bardziej wyszukaną technologię cyfrową, trzeba płacić za najlepsze środki zaradcze, by pozostać w grze. Szczęściem to, co najlepsze, nadal można było znaleźć w tym nijakim budynku na Lagerstrasse.

Opróżnił portfel i jego zawartość włożył do załączonej do dokumentów koperty Swiss Post Priority i zaadresował ją do sklepu z telefonami komórkowymi na pobliskiej Uetlibergstrasse. Pewna prywatna korporacja, spółka córka CatsPaw Associates, posiadała bez prawa do udziału w zyskach całą sieć podobnych sklepów w Europie i Azji. Inwestor zapłacił za kody zamków w ich drzwiach, adresy do korespondencji i za wyłączność dostępu do sejfów w ich piwnicach.

Janson umieścił w portfelu nowy paszport, prawo jazdy, kartę ubezpieczenia zdrowotnego, karty kredytowe, wymiętoszoną fotografię rodzinną i wizytówki - po części Adama Kurzweila, kosztowne, tłoczone, po części zwykłe wizytówki, jakie Kurzweil powinien dostać od potencjalnych klientów.

Wrócił na piechotę na dworzec kolejowy, wrzucił kopertę do skrzynki i kupił drogą torbę na ramię, dwie zmiany odzieży, brązowy płaszcz przeciwdeszczowy i wiatrówkę. Opuścił dworzec i wsiadł do tramwaju. Wysiadł na przystanku Stampfenbachplatz i wszedł do hotelu InterContinental. Charakterystyczny płaszcz, który miał na sobie, zostawił w męskiej toalecie i wrócił na ulicę, gdzie ostatecznie złapał taksówkę do dzielnicy willowej. Po przejściu kilkuset metrów zdjął krawat i razem z marynarką od garnituru wcisnął do torby, włożył wiatrówkę i pojechał tramwajem do przemysłowej dzielnicy Oerlikon. Dotarłszy na miejsce, ominął centralny kwartał pełen sklepów i kafejek, minął kilka starych i nowych fabryk, by w głębi brukowanego zaułka zapukać do stalowych drzwi. Cofnął się i rozpiął

wiatrówkę, żeby umieszczone w zaułku kamery lepiej go widziały. Ku jego zaskoczeniu drzwi osobiście otworzył człowiek, z którym przyszedł się spotkać.

Neal Kruger był wysokim mężczyzną z imponującą opalenizną uzyskaną w solarium. Miał gęste, kędzierzawe, już siwiejące włosy i nieco zdziwiony wyraz twarzy przystojnego ratownika czy instruktora narciarskiego zaskoczonego odkryciem, że właśnie wszedł w wiek średni.

- Witaj, Neal.

Handlarz bronią potrząsnął dłonią gościa, wciągnął go do środka i uściskał mocno.

- Zbyt długo cię nie widziałem, przyjacielu. Jak leci?

- Bardzo, bardzo dobrze - odpowiedział Paul Janson.

- Wyglądasz jak ktoś, komu się powodzi.

- Nieskuteczność Narodów Zjednoczonych w zaprowadzaniu pokoju światowego niezmiennie podsyca ludzką potrzebę gromadzenia broni. W rzeczy samej, powodzi mi się.

- Od kiedy to sam otwierasz drzwi frontowe?

- To pewien luksus czuć się tak bezpiecznym, że nie potrzebuje się uzbrojonych goryli, by przywitać starych przyjaciół

Podejmujesz cholerne ryzyko - stwierdził Janson.

- Zamiłowanie do luksusu to z definicji pewnego rodzaju słabostka.

- Dasz się zabić. Albo porwać.

- W zaułku są cztery ukryte kamery.

- Widziałem je. I rozpylacz gazu. Dopadnięcie cię nie byłoby łatwe, ale nie niemożliwe.

- Czy dostanę rachunek za udzielenie porady z zakresu bezpieczeństwa? Janson nie odpowiedział na żart uśmiechem.

- Powinieneś być ostrożniejszy. Jeśli nie dla siebie, to ze względu na żonę i syna.

- Rzuciła mnie. Zabrała chłopca.

- Przykro mi.
- To tłumaczyło potknięcie.
- W takim razie porada jest na koszt firmy.

Nie ma sensu chronić człowieka, który wszystko ma w nosie. Kruger poprowadził go w głąb mieszkania. W jego gabinecie panował nieopisany bałagan. Położył na biurku tacę z chlebem i serem, otworzył butelkę Cotes du Rhone. Paul tylko spróbował wina, za to rzucił się na ser, jako że nie jadł nic od wczesnego rana. Porozmawiali chwilę o starych przyjaciółach, wreszcie gość przeszedł do rzeczy.

- Udało ci się coś ustalić w sprawie tajemniczego myśliwca? Kruger skinął głową.

- Dwanaście starych, dwumiejscowych harrierów T dziesięć wyprodukowanych w latach dziewięćdziesiątych zmodernizowano do poziomu T dwanaście. Używane są do szkolenia pilotów brytyjskich jednoosobowych GR dziewięć. Wspaniałe samoloty. Zdolne do wykonywania wszelkiego rodzaju zadań bojowych. Nawet nocą. Obecnie zastępowane są przez myśliwce wielozadaniowe F trzydzieści pięć B, co oznacza, że na świecie jest do kupienia tuzin dwumiejscowych harrierów pionowego startu i lądowania. Dziewięć z nich aktualnie eksploatują Hiszpanie i Turcy. Nigeryjczycy kupili trzy, dwa udało im się rozbić, trzeci wrócił na rynek.

- Kto go kupił?
- Facet, o którym wiem, że kombinuje z najemnikami.
- Francuskimi najemnikami? Kruger rzucił Jansonowi pełne podziwu spojrzenie.
- Dlaczego przychodzisz do mnie po odpowiedzi, które już znasz?
- Nie tym razem - odparł Paul.
- To dlatego, że...
- Dlatego że co?

Wahał się tylko przez krótką chwilę. Jego odruch ukrywania informacji hamowała świadomość, że Neal Kruger żyje z udzielania ich. Jeśli powie mu coś interesującego, handlarz bronią będzie mu winien przysługę, choć istniało ryzyko, że przehandluje informacje gdzie indziej.

- Przesłuchałem dwie z żon Ibogi - powiedział Janson.

- Ile on ich ma? - Złapali trzy. Bóg wie, ile jeszcze uciekło do buszu. Wszystko niepiśmienne dziewczyny ze wsi. Właściwie ledwo wyrosłe z dzieciństwa.

Tak czy inaczej, kiedy spytałem, jakim sposobem udało się Ibodze uciec, obydwie odpowiedziały to samo: „Francuzi, Francuzi”. Powtarzały to niby jakąś modlitwę. Wątpię, czy wiedzą, gdzie leży Francja, ale papugowały to, co Iboga sam powtarzał pod koniec: „Francuzi mnie uratują. Francuzi mnie uratują”. To oczywiste, że miał z kimś jakiś układ. A teraz ty mi mówisz, że harrier wpadł w ręce kupca, który zadaje się z Francuzami.

- Nie wygląda mi to na rząd francuski. Są po uszy zaangażowani w byłych koloniach, takich jak Wybrzeże Kości Słoniowej czy Senegal. Ale Isle de Foree należała do Portugalii.

Janson musiał przyznać mu rację.

- Czy słyszałeś o niezależnej ekipie zwanej Sar?

- Sar? Nie. Co to takiego?

- Być może to oni wysłali ratunek. Albo zapewniali operacji wsparcie na ziemi. Wygląda też na to, że dokonują zabójstw na zlecenie. Janson zakręcił kieliszkiem, popatrzył pod światło na rubinowe wino. Cieszył się, że tu przyjechał, zamiast nadal utrzymywać z Krugerem tylko kontakt telefoniczny. Dzwoniąc, nie zobaczyłby, jaki bałagan panuje w jego biurze, ani nie dowiedziałby się, jaki jest stan jego umysłu. Handlarz bronią będzie się stawał coraz mniej użyteczny, jeśli on teraz nie pomoże mu stanąć na nogi.

- Dlaczego odeszła?

- Przypominał sobie młodszą od męża kobietę o sportowej sylwetce, ciepłym uśmiechu, dojrzałym ciele i zmysłowym spojrzeniu, którym obejmowała Krugera.

- Powiedziała, że zrobiłem z niej swoją służącą.

- Jest szansa, że wróci? Pokręcił głową.

- Wiem z doświadczenia, że kiedy ostygnie spojrzenie patrzącej na ciebie kobiety, już go nie rozpalisz... Miała rację. Poniekąd. Nie chciałem robić z niej

służącej. Ale ostatnio pracowałem ciężiej niż zwykle. Więcej podróżowałem. Strasznie byłem zaaferowany.

- Czym?

- Dronami. Wszyscy ich pożąдают, niewielu je posiada.

- Takimi jak predatory? reaperzy?

- Mniejszymi. Izraelczycy opracowali wspaniałe maszyny. Do ich produkcji przymierzają się Chińczycy i, oczywiście, Rosjanie.

- Czy te izraelskie mają możliwości reopera?

- Mogą chyba przenosić małe rakiety. Nic wielkiego.

- Skuteczne przeciw czołgom?

- Nie, nie, nie. Ale skutecznie rozprawią się z terrorystą w suv-ie. Albo z rywalem do miejsca w parlamencie w mercedesie. Wielkim problemem jest zdalne sterowanie. Jeśli nie dysponujesz flotą własnych satelitów jak Stany Zjednoczone, musisz kombinować z wdzierzawionymi sputnikami, co jest kłopotliwe i znacznie obniża standardy bezpieczeństwa. Dron może okazać się wielkim niewypałem, kiedy wrogi haker przekieruje go z powrotem do miejsca startu.

- Słyszałeś coś o reoperach albo predatorach w prywatnych rękach?

- Prawdziwych? Nie ma mowy.

- Musiałby to być jakiś rząd, tak? - upewnił się Janson. - Rząd Stanów Zjednoczonych.

Na przystanku Oerlikon Janson wskoczył do tramwaju i po kilku minutach znalazł się na Dworcu Głównym. Złapał nocny pociąg do Belgradu i śniadanie zjadł w towarzystwie pewnego współpracownika serbskiej milicji, byłego oficera armii jugosłowiańskiej, który stworzył firmę zaspokajającą popyt na świetnie wyszkolonych ochroniarzy, zdolnych także do akcji ofensywnych.

Serb jednak niczego nie wiedział. Wyprawa do Belgradu okazała się stratą czasu. Podobnie jak spekulacje na temat jakiegoś rodzaju „francuskiego łącznika”.

Paul Janson ani o krok nie zbliżył się do rozwikłania zagadki harriera i do ustalenia drogi ucieczki Ibogi.

Wsiadł do rozklekotanej taksówki i zamówił kurs na lotnisko. Nie miał pomysłu, co teraz począć. Może polecieć do Paryża? W drodze przejrzał w komórce „New York Timesa” i wtedy szczęście się doń uśmiechnęło - pojawiła się nieoczekiwana okazja do odebrania nie byle jakiego długu. Zamiast lecieć do Paryża, wszedł na pokład samolotu Tureckich Linii Lotniczych do Bagdadu.

Rozdział 18

Butny szejek klócił się z bramkarzami Club Electric. Żąda, by pozwolono mu zatrzymać broń, powiedział Jansonowi jego tłumacz.

- A teraz co tam wrzeszczy?

Nalega, by zostawiono broń jego ochroniarzom, skoro on nie może zatrzymać swojej. Bramkarze okazali się niewzruszeni. Wszyscy bywalcy najlepszego klubu nocnego w Bagdadzie przy wejściu oddawali broń. Żadnych wyjątków. Było piekielnie gorąco. Czterdzieści pięć stopni, kilka godzin po zmierzchu. Tłumacz Jansona co rusz spoglądał w głąb równoległej do Tygrysu ulicy, jakby zastanawiał się, który z odprowadzanych przez parkingowych hummerów, landroverów i cadillaców escalate wiezie bombę. Goście stojący w kolejce za nimi zaczęli się niecierpliwic.

Szejek w końcu się poddał.

Janson zamienił pistolet kupiony po drodze z lotniska na plastikowy numerek i bramkarze, szepcząc coś do radiotelefonów, przeprowadzili go przez wzmocnione kevlarem drzwi. U szczytu schodów zatrzymał się na chwilę, czekając, aż zbliży się do nich grupa idących za nimi Irakijczyków, a potem niepostrzeżenie wmieszał się w tłum. Po podświetlonych schodach zeszli do przypominającego jaskinię pomieszczenia bez okien, pulsującego arabską muzyką. Kilkuset zamożnych gości popijało coca-cole, paliło nargile i oglądało mecz piłki nożnej na ekranach plazmowych telewizorów.

- Aż się buda trzęsie - powiedział Janson, wprawiając w zakłopotanie tłumacza, młodego, pełnego zapału studenta. Trzeba było przyznać, że ściany przeciw-

wybuchowe, zygzakowate schody, zaprojektowane tak, by zminimalizować efekt eksplozji, oraz brak okien wybitnie sprzyjały relaksującej atmosferze.

Polecił chłopakowi zaczekać w odgrodzonym linami kąciku przeznaczonym dla ochroniarzy gości. - Jak pan się porozumie? Jako Adam Kurzweil, z natury powściągliwy Janson stał się bardziej otwarty. Kierownik w kanadyjskiej firmie ochroniarskiej robił wrażenie pewnego siebie, przystępnego, nieco aroganckiego i niemal chępliwego.

- Właściciel Club Electric - wyjaśnił - mówi po angielsku.

Tłumacz osłupiał. Nowo otwarty Club Electric miał opinię najmodniejszego klubu nocnego między Wiedniem a Bombajem. Z równie dobrym skutkiem Janson mógłby się podać za krewnego premiera Iraku, którego zresztą już wypatrzył w odległym kącie sali, jedzącego obiad z burmistrzem Bagdadu.

- Zna pan Michela Sarkisa? - Kiedy znałem „Michela”, był „Mikiem”. Zaczekaj tu, proszę. Dam znać, jak będę cię potrzebował.

Sarkis, przysadzisty Libańczyk o kruczoczarnych włosach, kursował od stolika do stolika, zabawiając gości. Janson szedł za nim krok w krok, gdy tamten przystanął przy stole irackiego biznesmena i gdy zagadywał niemieckich bankierów siedzących nieopodal miejsca, gdzie burmistrz posilał się z premierem. Właściciel klubu przestępował z nogi na nogę, uśmiechnięty i przepelniony energią, sypiąc żarcikami opowiadany z francuska akcentowaną angielszczyzną.

- Skąd pochodzę? - zwrócił się do jednego z Niemców. - Odpowiedź na to pytanie jest równie złożona jak każda sprawa o zasięgu międzynarodowym. Zostałem poczęty w 1975 roku w Bejrucie, w noc wybuchu wojny domowej. Urodziłem się na pełnym morzu, płynąc do Ameryki. Jakim statkiem? S/S France, oczywiście. Ostatnim prawdziwie eleganckim liniowcem, jaki zbudowano. To tam zbudziło się we mnie zamiłowanie do piękna i rozkoszy.

W gruncie rzeczy France odbył swój ostatni rejs na zachód w roku 1974, ale Janson nie widział potrzeby drażnienia Sarkisa takimi drobiazgami.

- Potem Greenwich, Beverly Hills, Manhattan i Paris. Zawsze Paris. Janson stanął tuż za nim i szepnął tak, że tylko właściciel klubu mógł go usłyszeć:

- A Floryda? Libańczyk obrócił się na pięcie.

- Bonjour! - zawołał.

Serdeczny uśmiech i rozpostarte ramiona nie były w stanie ukryć paniki w jego oczach. Janson nie odczuwał zaskoczenia faktem, że Sarkis go nie rozpoznał.

- Sarasota na Florydzie, Mike. Jak znajdziesz minutkę, będę na tarasie.

- Proszę pana, jestem bardzo zajęty. Pozwoli pan, że postawię mu drinka i...

- Jak spisuje się lamborghini? Uśmiechnięta twarz Sarkisa zeszywniała.

- Spotkamy się na tarasie.

Podążając za neonowymi strzałkami wskazującymi przejście między ścianami przeciwwybuchowymi, Janson dotarł do drzwi na taras.

Rozciągał się stamtąd widok na Tygrys i światła miasta. Za ledwie kilku gości zdecydowało się stawić czoło upałowi. Kelnerzy ledwo łapali oddech. Rzeka opadła. Paul czuł smród płonącego plastiku, ropy naftowej i ścieków. Znalazł sobie miejsce przy balustradzie tuż poza kręgiem czerwonego, białego i niebieskiego światła bijącego od chłodziarki z napojami Pepsi i stanął plecami do wody. Sarkis kazał mu czekać dziesięć minut, jakby chciał przesłać wiadomość, że zwykł radzić sobie w życiu i już otrząsnął się z szoku wywołanego przypomnieniem przez Amerykanina odległych wspomnień.

- Jak spisuje się lamborghini? - powtórzył Janson.

- Sprzedałem go jakiemuś Rosjaninowi - szorstko odparł właściciel klubu.

- O co chodzi? - Poza zasięgiem słuchu cennych irackich klientów Sarkis wysławiał się jak Amerykanin, który wychował się w Danbury w stanie Connecticut, rzucił naukę w stanowym college'u i robiąc użytek ze swego ujmującego uśmiechu, sprzedawał na Florydzie wakacyjne apartamenty dobrze ustawionym wdowom.

- Ano chodzi o to, że jesteś bogaty i ustosunkowany i możesz mi pomóc kupić myśliwiec pionowego startu. Co ciekawe, Libańczyk nie zaprzeczył. Powiedział tylko:

- Dlaczego miałbym ci pomóc?

- Z wdzięczności za ocalenie ci życia. Albo ze strachu, że wiem o twoim życiu dość, by je zniszczyć.

- Nie znam cię. Nie mam pojęcia, dlaczego uważasz, że Sarasota jest dla mnie w jakiś sposób ważna.

- To było dość dawno - przyznał Janson. - Od tamtej pory z podziwem śledziłem twoją karierę.

- Żeby mnie szantażować?

- Tylko odebrać weksel.

- Ile?

- Nie chcę pieniędzy. Chcę informacji. A właściwie nie. Chcę wiarygodnych informacji. Sarkis strzelił palcami. Dwaj bramkarze ruszyli w ich stronę.

- Wyobraź sobie - zaczął Amerykanin - gorącą noc na słonecznej Florydzie. I przystojnego dwudziestokilkulatka, który właśnie rzucił college. Ma na sobie dwie najbardziej wartościowe rzeczy będące w jego posiadaniu: biały garnitur подарowany mu przez jedną z jego dziewczyn i kosztowny zegarek ze sklepu jubilerskiego rodziców w Danbury, w Connecticut. Ma francuski akcent, który może dowolnie włączać i wyłączać, ponieważ w domu mama i tata mówili po francusku, tak jak wcześniej przed ucieczką z Libanu. Wyobraź go sobie, jak czaruje wiekowe damy, namawiając do kupna apartamentów w Sarasocie. Jego prowizja jest niewielka i jeszcze musi oddać działkę swojemu szefowi. Ledwo wystarcza mu na przeżycie, a wokół siebie widzi pieniądze; lecz nie jego. Gorąco pragnie, by los się do niego uśmiechnął. I oto, za co podziwiam tego chłopca: Jest gotów wykorzystać szansę, jeśli się pojawi. I tej nocy się pojawia.

Libańczyk spojrzał na Jansona. Na jego przystojnej twarzy malował się wyraz niezdrowej fascynacji.

- Mów dalej! - Odwołaj mięśniaków.

Sarkis ruchem ręki odprawił bramkarzy.

- Mów dalej!

Nim Janson zdążył otworzyć usta, zgasło światło. Całe miasto nagle pograżyło się w mroku. Zniknęły refleksy na wodzie. Na pochmurnym niebie nie widać było ani jednej gwiazdy. Znów padła regularnie niszczonej sieci energetycznej Bagdadu.

- Dziesięć sekund - powiedział Sarkis.

- Mów.

Taras zadrżał. Ożyły napędzane silnikami Diesla generatory i Club Electric znów zalało światło, choć wokół nadal panowały ciemności.

- Najlepsze generatory, jakie można kupić za pieniądze amerykańskich podatników - wyjaśnił Sarkis.

- Halliburton zostawił je na lotnisku. Nawet niewypakowane ze skrzyń. Mów.

- Festiwal filmowy w Sarasocie. Tysiąc ludzi jedzie w głąb lądu na przyjęcie wydane przez pewnego pośrednika handlu nieruchomościami próbującego sprzedać warte miliony dolarów apartamenty wybudowane na bagnach, nieco zbyt daleko od plaży. Niedoszły absolwent college'u w białym garniturze ma nadzieję na prowizję, ale niczego nie sprzedaje i wychodzi wcześniej, akurat gdy przyjęcie zaczyna się rozkręcać. Zamierza przejechać przez bagna, nim zaczną się robić korki. Ale kiedy próbuje odebrać swój samochód, stwierdza, że na parkingu panuje kompletny chaos.

Parkingowi są pijani. Ich szef uciekł. Przestali segregować kluczyki i teraz leżą wszystkie rzucone na kupę. Za chwilę tysiąc ludzi zechce odebrać swoje samochody. Setka już wrzeszczy: „Gdzie są moje kluczyki?”. Miejscowi martwią się o swoje mercedesy, rangerovery i aston martiny, turyści zaś próbują przypomnieć sobie, jakiego koloru był samochód, który wynajęli na lotnisku.

Młody myśli szybko. Łapie jednego z parkingowych, nie tyle pijanego, co przerażonego, i macha mu przed nosem swoimi ostatnimi dwustoma dolarami: „Znajdź kluczyki do mojego żółtego lamborghini i te dwie stowy są twoje”.

Parkingowy znajduje kluczyki i gość w białym garniturze z drogim zegarkiem na rękę i francuskim akcentem odjeżdża wartym dwieście tysięcy samochodem. Kombinuje przelecieć w poprzek przez cały kraj - nie zatrzymywać się u dziewczyny, nawet nie oglądać się za siebie - aż do Beverly Hills w Kalifornii, gdzie bogate kobiety są miłe dla młodych Francuzów w lamborghini.

Sarkis z napięciem wpatrywał się w Jansona.

- Co wydarzyło się potem?

- Nastąpił zwrot akcji, zupełnie nie do przewidzenia, choć tak właśnie toczy się życie; czasami. Właściciel lamborghini jest bardzo, ale to bardzo niedobrym człowiekiem.

- I ściga go?

- Czy facetem, który cię złapał, okazał się właściciel samochodu? Oczywiście Sarkisa zrobiły się wielkie jak spodki.

- Chwileczkę! To byłeś ty? - To byłem ja, a ty nawet nie wiedziałeś, że uratowałem ci życie. Sarkis obrócił wzrok za rzekę, na miasto. Tu i ówdzie zapalały się zasilane z generatorów światła, niczym białe fajerwerki.

- Jakimś sposobem udało ci się wyprzedzić mnie głupią hondą? I zająć mi drogę. - Sarkis mówił tak, jakby opowiadał na wpół zapomniany sen.

- Honda została podrasowana. Umiałem szybko jeździć, ty nie.

- Zaświeciłeś mi w oczy latarką. Kazałeś pokazać prawo jazdy. Myślałem, że jesteś gliniarzem, ale nie poprosiłeś o dowód rejestracyjny.

Potem zabrałeś moje kluczyki i kazałeś mi się nie ruszać. Było ciemno, nie widziałem dokładnie, ale zdawało mi się, że kładziesz się pod samochodem.

- Usuwałem odpalany przez radio ładunek wybuchowy, żeby nie urwał ci przedniego koła i nie posłał w bagno przy prędkości stu trzydziestu kilometrów na godzinę.

Sarkis szybko przetrawił tę wiadomość.

- Ładunek wybuchowy, który ty tam umieściłeś?

- Zgadza się.

- Dlaczego?

- Właściciel był bardzo złym człowiekiem. Ty byłeś niewinny. Przynajmniej w porównaniu z nim.

- Skąd wiedziałeś, że to ja prowadzę, nie on?

- Nie wiedziałem. Zauważyłem lamborghini na bocznej drodze niedaleko tamtego apartamentowca i jechałem za nim, czekając na odpowiedni moment do wysadzenia koła. Musiał jechać szybko, a ty jechałeś bezpiecznie oddalony od innych

samochodów. Chciałem też, żeby był blisko wody albo jakiejś pochyłości, żeby nie przeżył upadku. Kiedy dotarliśmy do takiego miejsca i już zamierzałem nadać sygnał, uświadomiłem sobie, że coś jest nie tak. Lamborghini jechało od pobocza do pobocza, tymczasem właściciel wcale nie był tak złym kierowcą. To oznaczało, że prawdopodobnie jadę nie za tą osobą, którą miałem... eee... zabić.

- Oddałeś mi prawo jazdy, kluczyki. Powiedziałeś: „Znikaj. Wynoś się z tego stanu i nie wracaj”. Zapytałeś, czy nie potrzebuję pieniędzy. Odpowiedziałem, że tak. Dałeś mi zwitek dwudziestek i setek... Jak dowiedziałeś się o Danbury i moich rodzicach?

- Zapamiętałem twoje nazwisko z prawa jazdy. Wyglądałeś mi na faceta, który coś osiągnie - niekoniecznie uczciwie - i pomyślałem sobie, że pewnej nocy mógłbyś mi się przydać. Sprawdziłem cię i od tej pory nie spuszczałem z oka. Dziś rano zobaczyłem twoje zdjęcie w artykule o Club Electric.

- I dziś jest ta noc?

- Dziś jest ta noc, Mike.

- Pozwól, że zapytam...

- Dość już się napytałeś. Posłuchaj. Potrzebuję twojej pomocy. Znasz wszystkich w Bagdadzie, w Bejrucie i w Dubaju. I więcej ludzi w Kabulu, niż powinieneś znać.

- Posiadam klub nocny. Znam swoich stałych klientów. Janson wyszczerzył zęby w nieprzyjemnym uśmiechu.

- Nie marnuj mojego czasu, Mike. Wiem, kim jesteś i jak wygląda twoje konto.

- Lamborghini to stara sprawa. Byłem wtedy szczeniakiem.

- Lamborghini to tylko początek. Mam ci opowiedzieć historię o Teheranie? Nie? To może o Kandaharze? Nadal jesteś obywatelem Stanów Zjednoczonych. Będą cię ścigać na koniec świata.

- W Kandaharze nie zrobiłem nic, czego nie robiliby wszyscy inni.

- Mike, mam to w nosie. Nie jestem sędzią ani ławą przysięgłych. Ale chcę, czego chcę. Nie wyjadę z Bagdadu, dopóki nie znajdziesz mi niezależnej firmy, przypuszczalnie francuskiej, zdolnej wysłać do akcji odrzutowego harriera.

Rozdział 19

Dwa dni później Janson SMS-em przesłał Jessice ostrzeżenie:

Nie sar. SR. Sécurité Referral. Łobuzy brygada ratunkowa. Uważaj siebie. SR śmiertelnie niebezpieczne.

Opuścił Bagdad na pokładzie samolotu Austriackich Linii Lotniczych do Wiednia.

Ustalenie nazwy to było to. Olbrzymi krok naprzód. Firma Sécurité Referral mogła istnieć albo i nie, mogła być firmą francuską albo nie. Jeśli jednak istniała, obsługiwała klientów szczególnego rodzaju - bliskich obalenia dyktatorów. Michel Sarkis twierdził, że nie ma pojęcia, kim są ci ludzie, gdzie ich szukać oraz w jaki sposób prowadzą swoją działalność, i Janson mu wierzył.

Sécurité Referral nie miała, rzecz jasna, swojej strony w sieci, adresowanej do dyktatorów. Paul przypuszczał, że oferują swoje usługi, bezpośrednio kontaktując się z klientami, nim ci znajdą się w pilnej potrzebie. Przekonanie autokraty, że znalazł się na skraju upadku, nie należało do łatwych zadań, jako że ludzie tego rodzaju zwykle gwałtownie reagują na wszelkie wzmianki o klęsce. Ci najsprytniejsi z nich, którzy zwykli robić jakieś plany na przyszłość, woleli się jednak zabezpieczyć. Na taką właśnie okoliczność wysyłali miliony za granicę i dla firm w rodzaju Sécurité Referral stanowili cenną klientelę. Świadkowie upadku imperiów nie bankrutują.

Dysponując tropem, jaki stanowiła nazwa firmy, Janson był gotów wytoczyć ciężkie działa.

Przemierzając korytarze nowego terminalu Skylink, by przesiąść się na inny lot Austriackich Linii Lotniczych, tym razem do Tel Awiwu, odebrał pilną wiadomość tekstową od Jessiki. Kontaktowała się z nim po raz pierwszy od chwili, gdy za pośrednictwem bezpiecznych łączy satelitarnych złożyła szczegółowe sprawozdanie

ze spotkania z „nurkiem”, zakończone dziwną konkluzją, że doktor ucieka nie tylko przed nimi.

Doc chyba Kapsztad. Możesz angaż służby PAfr?

Przez telefon satelitarny Janson połączył się z Trevorem Suzmanem, zastępcą szefa policji południowoafrykańskiej, prosząc, by udzielił jego współpracownicy wszelkiej niezbędnej pomocy.

- A co ja będę miał w zamian za moją wspaniałomyślność? - zapytał Suzman. - Interesujące towarzystwo. SMS-em przesłał Jessice otrzymany od Suzmana numer telefonu kontaktowego.

Opryskliwy funkcjonariusz izraelskich służb imigracyjnych lotniska Ben Guriona studiował kanadyjski paszport Jansona. Miał twarz nastolatka i krótko ostrzyżone włosy po niedawno odbytej służbie wojskowej. Janson czekał spokojnie, starając się zachować obojętny wyraz twarzy. Dane Adama Kurzweila znajdowały się w ich komputerach od czasu poprzedniej wizyty w Izraelu. O ile przy okazji uaktualniania paszportu Kurzweila nie doszło do gigantycznej wpadki, powinien zostać powitany jako niezaślubiony grosz zaopatrzeniowiec korporacyjnych wydziałów bezpieczeństwa i prywatnych milicji, który robił interesy z wielkimi firmami izraelskiego przemysłu zbrojeniowego.

Funkcjonariusz poprosił go o okazanie odcinka karty pokładowej.

Paul podał mu odcinek, a wówczas Izraelczyk wystukał coś na klawiaturze swojego komputera, pogapił się w monitor i nagle odszedł, zabierając paszport i kartę pokładową. Było to zachowanie typowe dla urzędników na lotnisku Ben Guriona. Janson mógł się spodziewać, że teraz każą mu trochę poczekać albo nawet przesłuchają w kwestii jego przeszłości i kontaktów w Izraelu.

Pewien problem mógłby się jednak pojawić w laboratorium duplikacji danych Mossadu, izraelskich służb wywiadowczych, działającym gdzieś w zakamarkach portu lotniczego. Mossad dysponował sprzętem umożliwiającym nie tylko weryfikację każdego dokumentu, ale i jego sklonowanie. Byłaby w tym ironia losu - a raczej kiepski żart - gdyby jakiś izraelski agent działający na terenie obcego państwa

podszycwał się pod Jansona, posługując się jego fałszywym paszportem. Gorzej - już bez żartów - byłoby, gdyby okazało się, że technicy Mossadu podczas kopiowania dokumentu odkryli w nim jakieś usterki.

Kamery ochrony na suficie skierowane były na kolejkę podróżnych i na stanowiska inspekcji imigracyjnej, wszystkie razem i każde z osobna. Janson pozwolił, by wyraz poirytowania wypłynął na jego twarz. Rozglądał się niecierpliwie i po chwili zaczął bębnić palcami o biurko. Tak powinien wyglądać bardzo zajęty człowiek, który wprawdzie rozumie wymogi bezpieczeństwa, ale zaczyna mieć dość. Minęło okrągłe dziesięć minut. Za Paulem ustawiała się coraz dłuższa kolejka do nieobsługiwane go stanowiska. Na koniec pojawił się urzędnik z przełożoną, kobietą koło trzydziestki, która zabrała Jansona do pokoju przesłuchań. Jego paszport natomiast się nie pojawił.

Usiadła przy prostym biurku z komputerem na blacie. Nie widział ekranu monitora, nie dostrzegł też w pokoju krzesła dla siebie.

Urzędniczka klepała w klawiaturę i wpatrywała się w monitor. Janson studiował jej twarz: ładne uszy i nos, wysokie, opalone czoło, włosy gładko zaczesane do tyłu, zaciśnięte usta, ponure spojrzenie. Ci z castingu, pomyślał, podesłali mi cokolwiek nieprzyjemną funkcjonariuszkę.

- Jakoś dawno nie było pana w Izraelu, panie Kurzweil - powiedziała, zwracając się do monitora.

- Wróciłbym wcześniej - oznajmił Janson - ale mój ortopeda polecił mi nie dźwigać niczego cięższego od szklanki wina. Żeby móc nosić tę torbę, musiałem się poddać długotrwałej rehabilitacji. - Wzmiankowana torba zwisała mu z ramienia, została już wielokrotnie przeszukana.

- To cały pański bagaż? - Wyglądała na obrażoną samym widokiem kosztownej torby Kurzweila, wykonanej z jedwabiu spadochronowego, wykończonej cielecą skórą.

- Podróżuję tylko z bagażem podręcznym - odparł Janson i dodał z uśmiechem:
- Dzięki temu ludzie z kontroli bagażu mają mniej zmartwień.

Uśmiech nie wywołał efektu.

- A jaki jest cel pańskiej wizyty?

- Zakupy.

- Czego?

- Zanim odpowiem na to pytanie, chciałbym z całym szacunkiem poinformować panią, że rząd Kanady, idąc za przykładem brytyjskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, doradził swoim obywatelom nie oddawać dokumentów podróжных urzędnikom izraelskich portów lotniczych, o ile nie jest to absolutnie konieczne.

- Jest absolutnie konieczne - odpała. - Powtarzam: jaki jest cel pańskiej wizyty?

Paul mówił spokojnie, niegłośno. Nikt jeszcze nie przekrzyczał Izraelki, a już na pewno nie urzędniczki Portu Lotniczego Ben Guriona. Niemniej teraz zaostrzył nieco ton.

- Nie chcę się dowiedzieć, że paszport identyczny z moim miał przy sobie z wyglądu podobny do mnie na fotografii członek grupy uderzeniowej strzelający do jednego z liderów Hamasu.

- Jeśli nawiązuje pan do pewnego incydentu w Dubaju, przeinaczonego przez media, ulega pan rozpowszechnionemu błędnemu wyobrażeniu.

Wywiad izraelski potrafił być bardzo, bardzo dobry, ale też niewiarygodnie niezdarny. Mossad miał na koncie wiele sukcesów, o których było zupełnie cicho, ale od czasu do czasu dopuszczał się koszmarnych fuzerek. Jedną z najgłośniejszych było wysłanie celem zlikwidowania jednego terrorysty dwudziestu agentów. Sfilmowały ich kamery ochrony, a potem ich twarze pokazywano na YouTube.

- Proszę zwrócić mój paszport.

Z ulgą patrzył, jak urzędniczka wysuwa go spod klawiatury i kładzie przed sobą na biurku. Przynajmniej nie kopiowali dokumentów, kiedy ona go tu zagadywała. Nadal jednak właściwie nie oddała mu paszportu.

- Co będzie pan kupował?

- Pistolety maszynowe, lekkie karabiny maszynowe i pistolety.

- Dla pańskiego rządu?

- Dla moich klientów.

- To znaczy dla kogo?

Biegły w swym fachu agent przestrzegał zasady: Zaufaj swojej legendzie. Jako Paul Janson mógł być bezkonfliktowy. Adam Kurzweil bezkonfliktowy nie był. Jansona nie dawało się wyprowadzić z równowagi. Kurzweil to kawał wściekającego się o byle co sukinsyna. Musiał się więc nieco wewnętrznie nakręcić. Jego twarz poczerwieniała.

- Zachowuje się pani niestosownie, i wie pani o tym. Wiecie, kim jestem. Wiecie, że nie po raz pierwszy robię tu interesy. Uprzykrza mi pani życie dla zabawy.

- Panie Kurzweil, w ramach wykonywania moich obowiązków mogę uczynić pańskie życie znacznie bardziej przykrym.

Janson podniósł głos:

- Czasy są ciężkie, a do tego Israel Weapon Industries, wasz największy holding zbrojeniowy, stanął nagle w obliczu konkurencji ze strony chińskiego Norinco. Norinco chce robić ze mną interesy, że nie wspomnę o wchodzących na rynek firmach serbskich, tureckich i brazylijskich. Ci ludzie nawet waszych producentów zdołaliby o przekupstwie nauczyć tego i owego. IWI też może uczynić pani życie przykrym. Nie mówiąc o tym, co jest w stanie zrobić z pani karierą.

Wstała gwałtownie, zimne spojrzenie utkwiała w punkcie znajdującym się gdzieś między jego oczami.

- Witam w Izraelu, panie Kurzweil.

Podstemplowała zezwolenie na pobyt, zamiast wbić wizę do paszportu. Ten rutynowy trik umożliwiał biznesmenom wjazd do krajów arabskich z zasady nie wpuszczających nikogo, kto wcześniej bawił w Izraelu. Schował paszport Kurzweila do kieszeni, a potem zaskoczył ją ciepłym uśmiechem Jansona i bezinteresownym kłamstwem z gatunku tych, które gaszą płonące mosty.

- Dziękuję. I jeśli pani pozwoli, chciałbym powiedzieć, że gdyby mój plan zajęć nie był tak napięty, zaprosiłbym panią na obiad.

Uśmiechnęła się, jej zaciśnięte usta wypiękniały.

- Gdybym nie była mężatką, być może bym skorzystała.

Podali sobie dłonie. Janson wynajął samochód i prosto z lotniska pojechał na przedmieście Tel Awiwu, do osiedla Nordiya. Wznosił się tam luksusowy dom

starców przeznaczony dla osób gotowych przepłacić za najwyższej jakości opiekę i warunki mieszkaniowe. W śródziemnomorskim słońcu wspaniałego czerwcowego dnia osiedle prezentowało się nadzwyczaj okazale: kremowe budynki, czerwone dachówki, wodospady, park z palmami i wystawny budynek klubowy z kwiatami w oknach i z gigantycznym odkrytym basenem na dziedzińcu.

Eksagenci Mossadu zwykle nie mogli sobie pozwolić na spędzenie ostatnich lat życia w towarzystwie zamożnych emerytowanych lekarzy, prawników czy biznesmenów. Miles Donner utrzymywał się jednak nie tylko z urzędniczej emeryturki, bo przez całe życie pracował w wywiadzie, oficjalnie występując jako wysoko opłacany fotoreporter z Londynu.

Dla Jansona Miles Donner był „Tytanem”.

- Lepiej, gdy szpiega znają z porażek niż z sukcesów - wyznał Jansonowi, gdy ten miał dwadzieścia kilka lat, a on sam sześćdziesiąt pięć. - A najlepiej jest pozostać w ogóle nieznanym.

Od nikogo Paul nie nauczył się tak dużo. Nikt nie znał tylu tajemnic co Donner. Czepiały się go, jak rzepy czepiają się runa wałęsającej się owcy. Nie był jednak owcą, lecz wilkiem w owczej skórze i przez wiele lat swojej służby Izraelowi nie spędził ani sekundy, bezsensownie się wałęsając.

Ze swoją łagodną z wyrazu twarzą nie wyglądał na tytana. Janson pamiętał delikatne rysy, pełne usta, ciepłe oczy i swobodny, powściągliwy sposób bycia angielskiego dżentelmena, wziętego prawnika czy lekarza.

- Lepiej, żeby cię nie doceniano, niż żeby się ciebie bano. Bądź łagodny. Niech twoja twardość okaże się dla wszystkich zaskoczeniem.

Widok kruchej sylwetki Donnera z trudem wstającego z krzesła, by go powitać w holu domu opieki, zbił Jansona z tropu. Nigdy by nie pomyślał, że czas może pokonać takiego człowieka. Ale co dziwne, Donner jako starzec wydawał się mniej łagodny, jakby nie miał już siły skrywać swej prawdziwej natury. Z resztką siwych włosów okalających łysą kopułę czaszki, dużymi uszami i wydatnym, starczym nosem wyglądał na swoje osiemdziesiąt pięć lat. Nosił teraz okulary w czarnej oprawce. Patrzył jednak jak zawsze, jakby czworgiem oczu: jedną parą ciepłych, śmiejących się,

i drugą - przenikliwych jak szperacze, sięgających najgłębszych pokładów umysłu rozmówcy.

- Mam dla ciebie niespodziankę - powiedział wykwinną jak zwykle angielszczyzną.

- Chodź ze mną.

Pogardziwszy windą, zaczął się chwiejnie wspinać po schodach. Janson odruchowo się zbliżył, by chwycić go, gdyby upadł. Donner zauważył to, ale nie skomentował. Powoli doszli do przeciwległego krańca wielkiego basenu. Tam, przy stole ustawionym w cieniu kępy palm, siedziało jeszcze dwóch mężczyzn z przeszłości Jansona. Grandig, dziarski siedemdziesięciolatek, był młodszy od Donnera. Zwi Weintraub musiał mieć co najmniej dziewięćdziesiąt pięć lat i robił wrażenie osoby w tym wieku, zważywszy na zapadnięte policzki i tkwiące w nozdrzach końcówki przewodów tlenowych.

- Młody Saul! - wykrzyknął.

- Nie wyglądasz na więcej niż osiemdziesiąt lat.

- A pan wygląda na kogoś, kto spokojnie może się równać z Matuzalemem. - Janson ujął drobną dłoń Weintrauba.

- Jak pan się miewa?

- Przestałem kupować butle tlenowe w ilościach hurtowych. Grandig podał mu wciąż silną dłoń.

- Jak ja się miewam? Dzięki, że pytasz. Gdybym mógł wymienić swój szkielet na nowy, byłoby całkiem niezłe. W rozliczeniu dołożyłbym jeszcze bóle reumatyczne.

- Nie zaczynaj znowu wyliczać swoich dolegliwości - z łagodnym uśmiechem wtrącił Miles.

- Paul, kiedy zadzwoniłeś i powiedziałaś, że chcesz o coś zapytać, pomyślałem: kto odpowie na twoje pytania, jeśli nie Banda Sterna?

- Nie wiedziałem, że nadal działacie.

- Myślałeś, że nie żyjemy - zachichotał Weintraub.

- Otóż nie; tylko tak wyglądamy. - Grandig zaś dodał, zamaszystym gestem wskazując bujny park, basen i eleganckie budynki:

- Któż mógłby się oprzeć pokusie spędzenia choć jednej godziny we wspaniałej siedzibie Milesa?

Janson poznał ich, kiedy jako świeżo zwerbowany urzędnik Wydziału Operacji Konsularnych - zatrudniony jeszcze na okres próbny - otrzymał przydział do ambasady amerykańskiej w Jerozolimie. Miał współpracować z Mossadem, ale CIA, będąca w stanie permanentnej wojny z OPKON-em, sprytnie podkopała do niego zaufanie Izraelczyków, przekazując komu trzeba informację, że do zadań młodego urzędnika należy infiltracja Mossadu. Wywiad izraelski odsunął go od bieżących spraw, przydzielając do działającej na peryferiach Mossadu grupy starych pracowników, zbyt starych, by służyć w szeregach agencji.

Otrzymał przydomek „Mały”, ten jeden jedyny raz w życiu, jako że już w wieku czternastu lat miał posturę dorosłego mężczyzny. Niemniej w obecności weteranów ruchu syjonistycznego, którzy w polu walczyli z Brytyjczykami i Arabami, umieli ich przechytryć podczas wojny wywiadów oraz ścigali i likwidowali terrorystów z Al Fatah i Czarnego Września - Janson czuł się bardzo „Mały”. Co ciekawe, odkrył, że ani w języku hebrajskim, ani w jidysz nie istniał odpowiednik amerykańskiego określenia młodego człowieka przyjętego do kręgu starszych, doświadczonych praktyków. Inna sprawa, że zarówno ci z nich, którzy urodzili się w Izraelu, jak i nawet pochodzący z Anglii Miles wychowali się na amerykańskich filmach i ich język nafaszerowany był scenariuszowymi kwestiami.

Zameldowawszy się w oddziale, Janson natychmiast zorientował się, że odstawiono go na bocznicę. Weintraub, ich dowódca, miał siedemdziesiąt pięć lat. Z pozostałych tak zwanych agentów terenowych Donner liczył blisko sześćdziesiąt pięć lat, a najmłodszy Grandig dobiegał pięćdziesiątki. Wiedzieli, że stoją na bocznicę. - Witaj w Bandzie Sterna - przywitali go. Wyjaśnili, że właściwą Bandą Sterna nazywano radykalny odłam Irgunu działający w latach II wojny światowej. Jej członkowie często trafiali do brytyjskich więzień i byli krytykowani przez rodaków zaangażowanych w działalność syjonistyczną za zbyt radykalizm. Sam Avraham Stern został zastrzelony podczas próby aresztowania przez brytyjską policję.

- Musiałeś kogoś wkurzyć, młodzieńcze - stwierdził Weintraub.

- Albo go ciężko przestraszyć - dodał Miles.

- Tak czy inaczej, lepiej się przyzwyczajaj do zesłania.

Janson na wszelkie dostępne dlań wtedy sposoby próbował wpłynąć na zmianę przydziału, ale bez skutku. Został współpracownikiem

Bandy Sterna i miał nim pozostać przez cały swój pobyt w Izraelu, jeśli CIA miała coś w tej kwestii do powiedzenia, a miała. Donner, stary Weintraub i Grandig odnosili się do niego z życzliwością. Szybko zauważyli, że młody Amerykanin dostaje świra z beczynności, i zapraszali go na trening na strzelnicę wojskową. Janson był wyszkolonym komandosem i przeszedł już wstępne przeszkolenie pracownika OPKON-u, ale okazało się, że nie zna wszystkich snajperskich sztuczek. Podobnie kiedy starzy zorganizowali mu trening z instruktorami walki wręcz, żydowskie techniki krav magi otworzyły przed nim ogromne możliwości w walce twarzą w twarz.

Widok jego „dziadków” w akcji stał się objawieniem, które nadal służyło mu za pewien wzór. Chciałby może zobaczyć szkołę Mossadu w posługiwaniu się materiałami wybuchowymi? Wprowadzali go tam wielokrotnie za zgodą młodych oficerów głęboko oddanych swoim dawnym przełożonym - wystarczał uśmiech i porozumiewawcze mrugnięcie. Zabrali Jansona do „kuchni”, gdzie naukowcy Mossadu sporządzali antidota przeciw egzotycznym truciznom, i tam, gdzie odbywała się „papierkowa robota”, to znaczy były fabrykowane paszporty, wizy i karty kredytowe.

Janson był im wdzięczny. Dostałby kota bez tych wycieczek. Dopiero po jakimś czasie dotarło do niego, że nie chodziło o douczanie, lecz sprawdzanie go.

Podzielił się z nimi tą obserwacją. Donner nawet okiem nie mrugnął.

- Zdałeś śpiewająco - oznajmił. - Co byś powiedział na przyłączenie się do łajdackiej operacji?

- Jakiego rodzaju? - „Łajdackiej” w tym przypadku nie powinno się kojarzyć ze „słodkim, małym szelmą” Szekspira, ale z wściekłym słoniem samotnikiem.

- Bez wiedzy moich amerykańskich przełożonych?

- Bez wiedzy żadnych przełożonych.

- Nawet Mossadu?

- Zwłaszcza Mossadu.

- Jesteście już prawie na emeryturze. Ja dopiero zaczynam. Dlaczego miałbym narażać całą swoją przyszłość dla jakiejś łajdackiej operacji?

- Przejdziemy się?

Donner i Weintraub zabrali go na długą wędrówkę po pustyni Negev. Tam, daleko od dróg i ludzkich siedzib, urodzony w Wielkiej Brytanii szpieg i dawny komandos, stary sabra, dokładnie zrewidowali Jansona w poszukiwaniu podsłuchu. Nie próbowali go przeproszać. Zorientował się, że nie do końca ufali swojemu przyjacielowi Grandigowi.

- Co jest? - zapytał.

- Mamy pewien problem. Możesz nam pomóc.

- Jaki problem? - Południowoafrykański. W tamtych czasach biały reżim południowoafrykański zawzięcie bronił apartheidu, ale przegrywał z Afrykańskim Kongresem Narodowym i światową opinią publiczną. Po dziesięcioleciach uciskania czarnej większości upadek powszechnie potępianej dyktatury wydawał się już tylko kwestią czasu. Janson utkwił badawcze spojrzenie w twarzy swojego mentora - bo Miles był już nim, bardziej niż ktokolwiek wcześniej - i oznajmił, że słyszał plotki na temat współpracy izraelsko-południowoafrykańskiej, ale zawsze uważał je za przesadnie rozdmuchane.

- Izrael nie zbudowałby swojego przemysłu zbrojeniowego, gdyby RPA nie została naszym głównym klientem - odparł Donner.

- Jak żydowskie państwo wywalczone przez ocalałych z nazistowskiego Holocaustu może robić interesy z państwem policyjnym uprawiającym politykę apartheidu, który jest niczym innym jak tylko formą ucisku państwowego?

- Afrykanerzy ocalili nas.

- Prezydent Vorster był nazistą. Botha nie okazał się dużo lepszy. Miles poruszył ręką gestem oznaczającym „i tak, i nie”.

- Niezależnie od twojej opinii o tych panach - a wierzę, że świat wkrótce odkryje, że F.W. de Klerk zrobiony jest z innego materiału - dzięki złotu i diamentom z białej Afryki Południowej Izrael wszedł w posiadanie najnowocześniejszej broni. My mamy naukowców. Oni mają środki. - Ale czarni...

Miles przerwał mu szorstko.

- Nim ten dzień dobiegnie końca, młody przyjacielu, zostanie ustalone, co zrobimy, aby się uratować.

- Co zrobimy, aby się poprawić?

Tytan się roześmiał.

- Oto paradoks. Powiadasz, że aby się uratować, musimy się poprawić. To bardzo amerykańskie, pełne moralnego optymizmu, ale prowadzi do sprzeczności. Najpierw musimy się uratować, bo inaczej nie będzie czego poprawiać. Janson słyszał ten sam argument w różnych wersjach przywoływany w Departamencie Stanu. Jego reakcje - i reakcje innych na jego reakcje - sprawiały, że czuł się czasem jak ksiądz w środku orgii. Miało upłynąć wiele lat, nim nabrał pewnej giętkości, ale nawet wtedy surowość jego najgłębszych przekonań nie pozwalała mu w pełni godzić się na kompromis. Albo też, jak przypuszczał, nie pozwalała mu wyzbyć się pewnej nadwrażliwości.

- Co więc ma to wspólnego ze mną?

- W arsenale Izraela znajduje się bomba atomowa.

- Wiem. Jestem młody, ale nie głupi.

- Młody i agresywny.

- W przypadku agenta terenowego agresja jest zaletą - wtrącił Weintraub.

- Nie, kiedy wymachuje nią jak chorągwią - odwarknął Donner z nietypowo dla siebie widoczną pasją, którą młody Janson odebrał jako wymierzoną bezpośrednio w niego. W tym momencie zrozumiał, że Tytan uważa go za obdarzonego wyjątkową inteligencją i osobowością, jak również sprawnością fizyczną. Te cechy wystarczały, by został wyszkolony na lepszego od najlepszych w tajnym świecie.

Janson wiedział, że jego przełożeni z Departamentu Stanu nie wątpią, iż Izrael posiada broń atomową. Wszyscy się tego domyślali. Izrael bardzo sprytnie się nią

posługiwał jako straszakiem na swoich wrogów, nie drażniąc jednocześnie swoich przyjaciół, którzy próbowali zapobiec rozprzestrzenianiu straszliwej bomby A.

- Odstraszenie nuklearne przez domniemanie - powiedział. - Nie wiedziałem jednak, że RPA odegrała w tym jakąś rolę. Jak do tego doszło?

- W latach siedemdziesiątych przehandlowaliśmy pewną ilość rzadkiego trytu w zamian za kilka ton południowoafrykańskiego koncentratu uranowego.

Uran to materiał rozszczepialny, tryt potrzebny jest do zainicjowania wybuchu.

- W porządku. Izrael potrzebował koncentratu, żeby zbudować swoją bombę. Co RPA zamierzała zrobić z trytem?

- Zbudować własną bombę. Ta wiadomość do głębi wstrząsnęła Jansonem.

- Republika Południowej Afryki posiada bombę atomową?

- Konkretnie: sześć.

- Przecież to szaleńcy!

- Niekoniecznie. Właśnie postanowili zniszczyć swój arsenał nuklearny.

- Co za ulga. Czy to pewna informacja?

- Wybrali najrozsądniejsze rozwiązanie. Widzą przepowiednię napisaną na ścianie tajemniczą ręką. Wiedzą, że długo nie zostaną przy władzy. Tak więc zniszczą swoje bomby, żeby nie wpadły w ręce czarnych. Nie wierzą, że ci posłużą się nimi w sposób odpowiedzialny. - Kolejny punkt dla dogmatyzmu i nienawiści. - Niestety nie są w tej kwestii jednomyślni. Najbardziej radykalni dowódcy armii chcą zachować bomby, by użyć ich przeciwko czarnym.

- Właśnie tego rodzaju obłędu bym się spodziewał. - Jednym z nich jest generał Klopper.

Dysponuje wielką władzą jako wybranek skrajnie prawicowego skrzydła Partii Narodowej, zatwardziały zwolenników apartheidu, oraz dowódca lojalnych wobec niego elitarnych sił specjalnych. Nie da mu się przemówić do rozsądku. Hans Klopper obsesyjnie się boi i nienawidzi czarnej Afryki.

- Skoro Izrael dał Afrykanerom bombę atomową, to Mossad musi ich powstrzymać.

- Mossad nie chce nawet o tym słyszeć - odpalił Donner.

- Musi. To ich obowiązek. - Mossad - cierpliwie, choć z pewnym znużeniem tłumaczył Weintraub - bardzo dbał o kontakty z RPA. Zainicjował je. Bez Mossadu, bez jego personalnych powiązań z wywiadem południowoafrykańskim tych kontaktów by nie było. I dlatego oni po prostu mają nadzieję, że rozsądek zwycięży i te sześć bomb nuklearnych w magiczny sposób zniknie.

- Niestety to będzie niemożliwe - odezwał się Donner - jeśli nie powstrzyma się wzmiankowanego oficera. - Spojrzał młodemu człowiekowi prosto w oczy. - To nasza łąjdacka operacja. Pomożesz?

- W czym? - zapytał Janson.

- W zabiciu sukinsyna. My nie możemy się do niego zbliżyć. Zbyt dobrze nas znają: Mossad i nasi odpowiednicy w RPA. Ale ty jesteś tu obcy.

Paul otrzymał kryptonim „Saul”. Samej operacji nadano kryptonim zaczerpnięty z Biblii, zgodnie z tradycją Mossadu: operacja „Cios Miecza”. Janson protestował.

Przygotowując się do objęcia stanowiska w Jerozolimie, czytał Stary Testament i wiedział, że aby uniknąć pojmania przez Filistynów, Saul rzucił się na własny miecz.

Członkowie Bandy Sterna śmiechem zareagowali na te protesty. Chodziło im o innego Saula. Tego, który został chrześcijaninem i zbudował Kościół katolicki.

- Pawła, nim stał się Izraelczykiem - zażartował Donner. Niemniej zadanie powierzone Jansonowi wyglądało niemal na misję samobójczą. Jeszcze najlepsze było to, że nikt o nim nie wiedział. Ani Departament Stanu, ani OPKON, ani CIA, ani południowoafrykańska Służba

Bezpieczeństwa, ani nawet Mossad. Banda Sterna użyła swych wciąż budzących respekt powiązań wewnątrz Mossadu, by w puste miejsca w zapisie przebiegu służby Jansona wstawić fałszywe wzmianki na temat jego udziału w ściśle tajnej operacji w Iraku. Do dziś ta informacja zachowała się w aktach Jansona, a jego pierwsze zabójstwo pozostało tajemnicą. Nawet Jessica jej nie poznała.

Janson wyłożył emerytowanym szpiegom swoją sprawę podczas herbatki nad basenem, w jego ocienionym krańcu. Donner i Grandig pili herbatę mrożoną, posypaną listkami mięty, Weintraub - gorącą, a ssał ją przez kostkę cukru.

Gość barwnie i szczegółowo opisał ucieczkę Ibogi na pokładzie harriera. Opowiedział o swoich późniejszych ustaleniach, z których wynikało, że komandos eskortujący z bronią w ręku dyktatora do samolotu jest członkiem ekipy zwanej Securité Referral. Słuchali uważnie, zafascynowani śmiałością operacji i jej bezbłędnym wykonaniem.

- Dzielny człowiek, ten nurek - zauważył Grandig.

- Dobrze sobie poradził - przyznał Janson.

- Niebezpieczna kombinacja. Jakie są szanse przeciągnięcia go na twoją stronę, jeśli chodzi o tę sprawę?

- Były niewielkie, kiedy próbował zabić człowieka, za którego ochronę mi zapłacono. Zmalały do zera, ponieważ zaatakował jednego z moich ludzi.

- Fascynujące.

- Oto coś jeszcze bardziej fascynującego. Opowiedział im o interwencji bezzałogowego reapera w kulminacyjnym momencie bitwy na Pico Clarence. Kiedy skończył, siedzieli wychyleni do przodu w swoich krzesłach, wymieniając niedowierzające spojrzenia.

- Prowadzisz ciekawe życie, Saulu.

Kiedy jednak poprosił, by posłużyli się swoimi kontaktami na całym świecie w celu zidentyfikowania Securité Referral - napotkał opór.

Bynajmniej go to nie zaskoczyło. Spodziewał się, że tacy właśnie będą: starzy, ostrożni i głęboko tkwiący w nałogu dyskrecji. Wiedział jednak, że przede wszystkim ci starzy patrioci zadadzą sobie pytanie, które zawsze zadawali: Czy to okaże się korzystne dla Izraela?

Ich opór przybrał formę umniejszania własnej zdolności udzielenia mu pomocy.

- Kogo my w naszym wieku możemy jeszcze znać? - zapytał Grandig, najmłodszy.

- W twoim wieku? - lekceważąco wtrącił Weintraub.

- Wszyscy, których ja znam, nie żyją.

- Myślałem nie tyle o was, co o waszych uczniach - powiedział Janson. - Wasi protegowani zajmują kluczowe stanowiska w wywiadzie i służbach bezpieczeństwa w różnych częściach świata.

- Nasi protegowani też nie są młodszy.

- Więc ich protegowani - perswadował. - Panowie, jestem w pełni świadom, że niewielu dysponuje takimi kontaktami jak wy.

Przepytajcie swoich ludzi. Nazwa Securité Referral musi coś komuś mówić. W milczeniu wpatrywali się w puste szklanki. Spojrzał na Milesa, który dotąd jedynie przysłuchiwał się rozmowie. To on uczył młodego Jansona: „Jeśli masz coś do powiedzenia, milcz, dopóki nie będziesz wiedział, jaki efekt chcesz osiągnąć”. Teraz Miles powiedział:

- Dwóch zwrotów nie usłyszysz często w Izraelu: „Przepraszam” i „Dziękuję”. Paul wyprostował się na krześle.

- Nie oczekuję podziękowań. Uważam, że zasłużyłem sobie na prawo poproszenia o tak niewielką przysługę.

- Może i jesteście ci coś winni - zrzędlawie odparł Weintraub. - A może i nie. „Cios Miecza” to właściwie nie była jednoosobowa operacja.

- Jeden człowiek podszedł dość blisko, żeby wykonać zadanie - ponuro zauważył Amerykanin. - Teraz wrócił, żeby odebrać wiarygodność.

Weintraub wzruszył kościstymi ramionami.

- Kto lubi wierzycieli?

Janson widział, że postawił ich w trudnym położeniu. Na koniec Grandig wysunął kolejną obiekcję:

- Co za wierzyciel żądałby, byśmy ryzykowali zdemaskowanie naszych przyjaciół, zadając im jakieś pytania?

Paul ponownie zerknął na Milesa. Angielski Żyd mrugnął doń porozumiewawczo. Zorientował się, że Grandig stworzył Jansonowi sposobność, do

której ten dążył. Wyciągnął z torby podróźnej plastikową torebkę i wysypał jej zawartość na stół.

- Dzwońcie. Z telefonu na kartę typu prepaid. Nikt nie będzie wiedział, kto do kogo dzwoni.

- Gdzie kupiłeś te niby niewykrywalne karty SIM? - zapytał Grandig. - W sklepie z telefonami na lotnisku Ben Guriona, skądinąd znanym jako Mossad.com?

- I pewnie moduły identyfikacji abonenta mają zaprogramowane przez Shin Bet - dodał Weintraub - żeby służba bezpieczeństwa wewnętrznego mogła podsłuchiwać ludzi, do których dzwonimy?

- Nie, kupiłem je za gotówkę w Sadr City. Jak tylko wasi protegowani powiedzą mi, dokąd poleciał harrier Ibogi i kto kieruje Securité Referral, zadbane o bezpieczeństwo przyjaciół połykając te karty SIM.

Rozdział 20

Minęły trzy dni, a Janson wciąż tkwił w Izraelu. Starzy nie byli zbyt szybcy. Weintraub drzemał między rozmowami telefonicznymi i nalegał, by co wieczór odwożono go do domu, by mógł spędzić noc w swoim skromnym mieszkaniu na przeciwległym krańcu Tel Awiwu. Grandig biwakował na kanapie Donnera. Sam Donner sypiał ledwie kilka godzin na dobę i w tym czasie Janson mógł zdrzemnąć się w fotelu. Wolni, bo wolni, starzy robili jednak co się dało, początkowo z racji swoich zobowiązań wobec Jansona, ale niebawem zaangażowali się i wydzwaniiali na koniec świata do czynnych agentów terenowych. Jak tłumaczył Donner, kiedy wracali po odwiezieniu Weintrauba:

- Emerytura? To dobre dla kibiców. Ale o wiele lepiej brać w czymś udział, niż tylko się przyglądać. Nie podziękują ci, ale są szczęśliwi, że dałeś im robotę.

- Jesteś szczęśliwy, że dałem ci robotę? - Zawsze przyjemnie jest oglądać starych znajomych w akcji. Niczym fotografia stopniowo nabierająca ostrości na ekranie monitora, ze strzępów informacji zebranych w trakcie setek rozmów wyłaniał się obraz Securité Referral. Jego szczegóły odpowiadały temu, co Paul widział już na żywo na pałacowym molo w Porto Clarence. Securité Referral istniało. Wyglądało na

to, że firmę zorganizowała grupa ściśle ze sobą powiązanych zbuntowanych funkcjonariuszy tajnych służb. Wyraźnym jej celem było zapewnianie bezpiecznego schronienia w państwach zbójckich lub przestępczych obalonym władcom i zbrodniarzom wojennym dysponującym wielkimi fortunami. Zwykle te pieniądze równocześnie znikwały ze skarbców z ich krajów.

Musiało to być nowe przedsięwzięcie, skoro niewielu o nim słyszało. Dzięki telefonom starców udało się namierzyć dwie akcje ratunkowe przeprowadzone przed wywiezieniem Ibogi: zorganizowanie pod nosem DEA ucieczki kolumbijskiego barona narkotykowego tuż przed jego ekstradycją do Stanów Zjednoczonych oraz uratowanie skóry pewnemu kirgiskiemu generałowi, który władał postsowiecką Kirgizją wystarczająco długo, by ukraść dziesięć miliardów dolarów. Securit  Referral prowadziło niszowy biznes, ratując tych, których prokuratorzy trybunałów międzynarodowych eufemistycznie nazywali osobami zajmującymi eksponowane stanowiska polityczne.

- Wygląda to na coś w rodzaju anty Fundacji Feniks - zauważyła Kincaid, kiedy przekazywał jej przez telefon zdobyte dotąd informacje. - Zapewnianie łobuzom bezkarności, żeby mogli się stać jeszcze gorsi.

- Przyznam, że brzmi to trochę jak fragment komiksowego scenariusza. - Klingoni korporacyjnego bezpieczeństwa? - Tylko że widzieliśmy ich w akcji. - Ten numer w Porto Clarence był istotnie efektowny - zgodziła się Jessica.

- Pomyśl, co się będzie działo, jeśli ten kirgiski generał wróci do władzy. Albo jeśli uratują jakiegoś bałkańskiego watazkę, który z czasem przejmie rządy w jakimś państwie zbójckim. Z dnia na dzień Securit  Referral zacznie działać pod skrzydłami suwerennego kraju.

Wyplęły nazwiska kilku czołowych agentów SR. Jak spodziewał się Janson, byli to pozbawieni skrupułów specjaliści, w sam raz nadający się na pracowników niezależnej firmy, która odpowiadała tylko przed sobą. Emila Blocha, wysoko wykwalifikowanego francuskiego najemnika, znał tylko z jego reputacji; Serb Dimon uchodził za geniusza komputerowego; Wiorec jako oficer Służby Wywiadu Zagranicznego Rosji zręcznie łączył obowiązki służbowe z pracą dla Gazpromu i LUKOIL-u. Znalazło się jeszcze kilku Francuzów oraz groźny Korsykanin - Andria

Giudicelli. Przed dwudziestu laty Grandig natknął się na Giudicellego we Francji, uniemożliwiając mu podpalenie paryskiego biura EL AL. Najemnik nie działał z pobudek politycznych. Giudicelli był lojalny wobec tego, kto oferował najwyższą cenę.

Nie pojawiły się żadne informacje na temat szefa Sécurité Referral. Potem jeden z protegowanych Milesa przekazał plotki o jakimś południowoafrykańskim najemniku, który z Emilem Blochem dokonał zabójstwa rosyjskiego wygnańca ukrywającego się w Szwajcarii. Kruger z Zurychu powiedział Jansonowi, że słyszał o tym zabójstwie. Nie wiedział niczego o Blochu, natomiast dotarły do niego plotki na temat Afrykanera.

Jessica Kincaid uważała, że sądząc po akcencie, facet, z którym miała przeprowadzić w Kartagenie, był właśnie Afrykanerem. Janson przypomniał sobie, że swego czasu najemnicy z RPA dostarczali broń do obozu Ferdinanda Poego.

Zadzwoił do szefa ochrony prezydenta, Patrice da Costy.

- Hadrian Van Pelt - odparł da Costa. - Wredny sukinsyn.

-Co pan o nim wie?

- Nigdy go nie spotkałem. Siedziałem w Porto Clarence. Słyszałem jednak, że jakimś sposobem zdobył zaufanie Douglasa Poego, kiedy prezydent przebywał w Black Sand. Czy mogę przekazać panu prezydentowi, że jesteście już blisko Ibogi?

- Jak dotąd uzyskaliśmy informacje, że Ibogę widziano w Rosji, w Rumunii, na Ukrainie, w Chorwacji i na Korsyce. Albo więc bardzo dużo podróżuje, albo - co bardziej prawdopodobne - po prostu przechwytyjemy pogłoski

- Iboga jest bardzo dużym, bardzo czarnym Afrykaninem o bardzo przerażającym wyglądzie, z rytualnymi bliznami na twarzy i błyskiem szaleństwa w oczach - powiedział da Costa. - Można by pomyśleć, że rzuca się w oczy. Nawet jeśli nie nosi żółtej chusty.

- Można by pomyśleć - zgodził się Janson.

Lubił da Costę, ale nie miał zamiaru tłumaczyć podwładnemu klientowi, że na planecie zamieszkaną przez ponad sześć miliardów ludzi znajdzie się wiele kryjówek dla nadzianego uciekiniera, ochranianego przez zawodowców wiążących z jego osobą

wielkie nadzieje na przyszłość. Sécurité Referral musiało wiedzieć, że w grę wchodzi przechwycenie kontroli nad zasobną w ropę naftową Isle de Foree. Wystarczy, by Iboga pozostał cały, zdrowy i wolny dość długo, żeby przeprowadzić kontratak na wyspę, którego tak obawiał się Ferdinand Poe. Paul przekazał nazwisko Van Pelta Freddy'emu Ramirezowi do Madrytu. Freddy oddzwonił po godzinie, mocno zakłopotany.

- Przepraszam, ale schrzaniliśmy sprawę. Katalońska policja zawiozła do szpitala nieprzytomnego faceta znalezionego w Barcelonie.

Przegapiliśmy to. Barcelona leży bardzo daleko od Kartageny. Miał paszport na nazwisko Hadrian Van Pelt.

- Dlaczego stracił przytomność?

- Utrata krwi. Trzeba mu było założyć na rękę dziewięćdziesiąt szwów. Dzielna dziewczynka, pomyślał z satysfakcją Janson.

- Gdzie on jest?

- Prysnał ze szpitala. Ukradł mercedesa znalezionego później w Madrycie. Mój przyjaciel z Urzędu Imigracyjnego powiedział mi, że gość tego wzrostu z ręką na temblaku poleciał do Londynu, podając nazwisko Vealon, Brud Vealon, i tam przesiadł się na samolot do Kapsztadu.

Gdzie teraz przebywa Jesse, niespokojnie pomyślał Janson.

- Czy mamy coś na temat Van Pelta i Vealona?

- Nic na temat Vealona. Był taki południowoafrykański pływak nazwiskiem Van Pelt, zresztą olimpijczyk. Tam to pospolite nazwisko, ale z twojego opisu wnioskuję, że mówimy o tym samym facecie. Podczas igrzysk w Atenach został zdyskwalifikowany za doping. Nie udało się ustalić, co działo się z nim po 2004 roku.

Paul przesłał Kincaid ostrzeżenie, że „nurek”, najprawdopodobniej używający nazwiska Handrian Van Pelt albo Brud Vealon zmierza w jej kierunku. Zadzwoił do Kapsztadu, do Suzmana, by poprosić o pomoc w śledzeniu Van Pelta. Suzman słyszał o nim nie tylko jako nieuczciwym sportowcu, ale także najemniku.

- Zniknął z mojego radaru całe lata temu. - Co sobie wtedy pomyślałeś? Janson prawie słyszał, jak Suzman wzrusza ramionami. - Nigdy nie

poświęcałem temu specjalnej uwagi. Pomyślałem sobie, że zastrzelili go w Kongu czy gdzieś tam. Ktoś taki jak Van Pelt na pewno chciałby, żeby dokładnie to samo myśleli sobie funkcjonariusze rządowej służby bezpieczeństwa, jeśli zamierzał przenieść się do tak poważnej firmy jak Securité Referral.

Tego wieczoru Zwi Weintraub, oddychający tlenem z butli na tylnym siedzeniu samochodu Milesa, przebudził się nagle.

- Widzicie ten schemat?

- Jaki schemat? - Wszyscy agenci Referral są bardzo operatywni. Ci, którzy mogą prowadzić taką czy inną operację, przebywają w terenie. Indywidualnie wykonują swoją pracę. Pracownicy są szefami; szefowie są pracownikami.

- Chcesz powiedzieć, że nie ma żadnego zwierzchnika?

- Każdy z nich jest w stanie zostać zwierzchnikiem.

- Sami wodzowie, żadnych Indian? - zapytał Donner. - Jak się powstrzymują od pozabijania się nawzajem?

- Dobre pytanie - mruknął Weintraub, na powrót przymykając oczy. - Być może odkryli metodę zmieniania ludzkiej natury.

- Zawarli pakt - stwierdził Paul Janson. - Przysięgli zjednoczyć się przeciw każdemu, kto spróbuje przejąć kontrolę.

- Przymierze muszkieterów - uśmiechnął się Miles Donner. - Wszyscy za jednego i jeden za wszystkich.

Z Kapsztadu zadzwoniła Jesse.

- Dostałam twojego SMS-a. Obawiam się, że rozminę się z nurkiem. Jestem w drodze na lotnisko. - Miała nadzieję złapać samolot do Johannesburga, skąd liniami Qantas zamierzała polecieć do Sydney. - Gdzie, jak sądzę, przebywa doktor.

- Jak dostał się aż do Australii?

- Prysnął z Varna Fantasy z żoną ochmistrza, pogonił ją w Kapsztadzie i podłączył się do stewardesy linii Qantas imieniem Mildred. Rzeczone Mildred

zorganizowała mu darmowy przelot do Sydney. Jest albo najbardziej napalonym skurczybykiem na świecie, albo robi w portki ze strachu. Żona ochmistrza uważa, że to drugie. Oczywiście biedactwo musi teraz coś sobie wmawiać, żeby uzasadnić stan, w jakim się znalazła.

- Dobra robota.

- Czuję się jak szpicel adwokata od rozwodów.

Godzinę później Miles Donner obudził Jansona z drzemki. Stał nad nim z ponurą miną.

- Zamykają naszą spółkę.

- Kto? - Shin Bet.

Izraelska agencja bezpieczeństwa została zaalarmowana informacją o niezwykle natężeniu telefonicznych rozmów międzynarodowych wychodzących z Nordiya, opowiadał Miles. - Ostrzegł mnie pewien stary przyjaciel.

- Tyle krzyku z powodu kilku dodatkowych połączeń? Tu w okolicy mieszkają tysiące ekspatriantów, wydzwanających do siebie do Londynu czy Nowego Jorku. Nasze telefony nie mogły zostać zauważone przez Shin Bet.

- Oczywiście, że nie.

- Co więc się stało? - zapytał Janson, choć już przeczuwał, jaka będzie odpowiedź.

- Podejrzewam, że jakiś europejski przyjaciel Securité Referral nadał Shin Bet całą tę sprawę.

- Ale dlaczego Shin Bet miałyby...

- Robią, co do nich należy. Zaniepokoiło ich niezwykle natężenie połączeń międzynarodowych. Musieli podjąć jakieś działania. Odpowiadają za bezpieczeństwo wewnętrzne. Securité Referral, rzecz jasna, o tym wie.

- Securité Referral odpowiada ciosem na cios. Zniszcz telefony.

- Już to zrobiłem - odparł Miles. - Operacja zakończona. Wynoś się z Izraela, póki możesz. Umówiłem gościa, który zawiezie cię na lotnisko. Pospiesz się, przyjacielu. Samochód stoi przed wejściem dla obsługi.

- Dopóki nie dojedziemy do autostrady, proszę leżeć na podłodze - polecił kierowca, kiedy Paul wyłonił się zza stosu czarnych plastikowych worków na śmieci zgromadzonych pod drzwiami kuchni.

- Haniebny odwrót - powiedział Janson do Donnera, kiedy ściskali sobie dłonie na pożegnanie. Starzec mrugnął doń porozumiewawczo. - Bądź znany ze swoich porażek.

Paul stał w kolejce na lotnisku Ben Guriona, aby kupić bilet do Paryża, gdy z Kapsztadu oddzwonił Suzman.

- Twój chłopiec przyleciał i odleciał. Nie opuścił nawet lotniska. Zmienił plany i poleciał do Sydney. Dokąd, jak sądzę, udało się właśnie twoje „interesujące towarzystwo”.

- Czy mógłbyś go w jakiś sposób zatrzymać? - spytał Janson.

- Nie, chyba że zestrzeliłbym samolot pasażerski. W Johannesburgu ma połączenie z lotem linii SAA do Perth.

- Mówiłeś o Sydney.

- Spóźnił się na bezpośredni samolot do Sydney. Będzie musiał przesiąść się w Perth, żeby przelecieć w poprzek Australii. Paul nie zdołał połączyć się telefonicznie z Kincaid. Wysłał kilka wiadomości, ale nie otrzymał odpowiedzi. Przesłał jej SMS-a z ostrzeżeniem, że Van Pelt prawdopodobnie przybędzie do Sydney kilka godzin po niej. I znów żadnego odzewu. Klnąc z powodu braku pod ręką embraera, zaczął gorączkowo szukać najszybszego połączenia z Australią. Sydney znajdowało się ponad czternaście tysięcy kilometrów od Izraela. Do tego w Bangkoku czekała go przesiadka. Z tą przerwą podróż miała trwać około dwudziestu czterech godzin. Kincaid wylądował w Sydney z Van Peltem za plecami dziesięć godzin przed Jansonem. W myślach powtarzał niczym mantrę: Ona jest drapieżnikiem, nie ofiarą.

CZEŚĆ TRZECIA

Martwe pole

35° 18'29" S, 149°07'28" E Canberra, Australia

Rozdział 21

Doktor Terry Flannigan przypuszczał, że ma niecały dzień, nim ludzie, którzy próbowali go zabić, dotrą do Canberry. Wcześniej podążali jego śladem z Dakaru do Afryki Południowej, a teraz na pewno już się orientowali, że liniami Qantas poleciał do Sydney. Odszukają Mildred i dowiedzą się, że stewardesa zafundowała mu zorganizowaną wycieczkę do stolicy Australii. W jej koszt wliczono hotel i dzisiejszą wycieczkę z przewodnikiem do Parlamentu.

Musiał szybko coś przedsięwziąć, ale nie miał pojęcia co.

Kiedy całą grupą wysiadali z autobusu, słodka blondyneczka rzuciła mu nieśmiałe spojrzenie. Wyglądała świeżo, niczym wiejska nauczycielka. Flannigan zgadywał, że niedawno zerwała z jakimś wstrętnym chłopakiem, a na tę wycieczkę zapisała się sama, żeby dojść do siebie. Teraz była samotna i czuła się dzielna. Tylko jak mogłaby mu pomóc utrzymać się przy życiu? Nawet gdyby go przemyciła na jakieś zapomniane przez Boga, zagubione w buszu rodzinne kangurze ranczo, ile czasu zabrałoby tamtym znalezienie go?

Gdy wchodzili do budynku, trzymał się blisko grupy.

Wewnątrz po raz pierwszy od dwóch tygodni poczuł się jako tako bezpieczny. Chronili go bowiem atletyczni funkcjonariusze Parlamentarnej Służby Bezpieczeństwa z radiotelefonami. Nie wyglądali mu na superkomandosów, jak Ściana i Annie Oakley, ale mieli wsparcie policji federalnej i armii australijskiej.

W Izbie Senatu rozluźnił się i nawet zaczął się bawić. Potem pewna senator z Partii Zielonych, wspaniała brunetka, zauważyła, że przygląda się jej z galerii dla

publiczności. Była sama. Nie dostrzegł obrączki. Poza tym zamężne panie uczestniczące w życiu politycznym nie czarują obcych mężczyzn w miejscach publicznych, a pani senator ewidentnie wysyłała wabiące sygnały.

Sesję zakończyło jej przemówienie, wygłoszone z humorem i pasją. - Australia powinna być czymś więcej niż tylko kopalnią węgla dla Chin. Po tych słowach wspięła się na galerię i odesłała przewodnika, by osobiście poprowadzić grupę. Efektowny pokaz demokratycznego egalitaryzmu zrobił ogromne wrażenie na turystach, a przerażonemu Terry'emu Flanniganowi podsunął doskonały pomysł, jak ocalić życie. Wysportowani funkcjonariusze Parlamentarnej Służby Bezpieczeństwa z radiotelefonami widoczni byli na każdym kroku. Odpowiadali również za osobiste bezpieczeństwo uroczej ustawodawczyni. Bez wątplenia objęliby ochroną nowego przyjaciela pani senator, kiedy przebywałby w jej towarzystwie. Kobiety zajmujące się polityką nie były łatwym kąskiem - łączyły w sobie tyleż ekshibicjonizmu, co narcyzmu - ale szczęściem umiał sobie z nimi radzić, mając za sobą długi, burzliwy związek z pewną członkinią Kongresu z Teksasu. Sztuczka polegała na tym, żeby nigdy nie dać po sobie poznać, że się je lubi. W chwili gdy okazało się pani polityk sympatię, zaczynała się rozglądać za kimś innym, kto ją polubi. Spójrz na mnie. Czyż nie jestem cudowna? Tak myślisz? Do widzenia.

Tak więc, skoro już definitywnie nawiązali kontakt wzrokowy i atrakcyjna pani senator posłała mu uśmiech, odwrócił wzrok. Natychmiast jej uśmiech stał się jeszcze bardziej nieustępliwy. Przypominało to trochę łowienie ryby w beczce, ale w końcu polowali na niego jacyś ludzie, toteż musiał zrobić wszystko, by ocalić skórę.

Pani senator zaprosiła całą grupę na dodatkowy spacer po budynku Parlamentu, w tym po gabinecie premiera. Następnie po cichu zaprosiła Flannigana na lunch w jadalni dla członków Parlamentu. Jej ludzie zręcznie wyłuskali go z grupy udającej się na lunch do bufetu. Kiedy odchodzili, słodka blondyneczka, która doskonale widziała, co się dzieje, wsunęła mu do kieszeni złożoną kartkę z numerem swojego telefonu i informacją, że zabawi w Canberze do końca tygodnia.

Pani senator poszła przodem, by zawiadomić swoją ekipę, iż do popołudnia będzie zajęta. Patrząc z podziwem, jak pięknie wypełnia swoją suknię, Terry Flannigan wspomniawszy sławne pytanie Zygmunta Freuda: „Czego chcą kobiety?”.

Niech pan to zapisze w swoim notesie, doktorze Freud: Mam osiem kilogramów nadwagi, łysieję, zaczynają mi obwisać policzki. Moje uwodzicielskie, jeśli nie drapieżne spojrzenie powinno ostrzec każdą rozsądną kobietę, że należy trzymać się z daleka ode mnie, ale z jakiegoś powodu te pocziwiny chcą mnie. Nie twierdzę, że na to zasługuję, ale jestem wdzięczny.

Daniel, mocno zbudowany były oficer wywiadu US Navy SEAL, odszedł ze służby po trzech zmianach w Iraku, by czterokrotnie powiększyć swoje zarobki, pracując dla prywatnej firmy ochroniarskiej wykonującej usługi zakontraktowane przez wojsko. Żołnierze armii regularnej pogardzali takimi, uważając ich za pozerów i przepłacanych najemników. Ostatnie, co zapamiętał z Bagdadu, to to, że z dużą szybkością prowadził przez wąskie uliczki konwój pojazdów Departamentu Stanu.

Miesiąc później obudził się z tytanową płytką w czaszce w wynajmowanym przez Fundację Feniks skrzydle prowadzonego przez metodystów domu opieki w Kornwalii. Właściciel firmy ochroniarskiej wypadł z interesu. Za leczenie i psychoterapię zapłaciła Fundacja i kiedy Daniel poczuł się na siłach stawić czoło światu, przeniósł się na Korsykę i otworzył sklep ze sprzętem nurkowym dla turystów.

Teraz wrócił do Kornwalii, by odwiedzić swojego kumpla Rafe'a, który nie miał tyle szczęścia co on. Rafe, były oficer armii brytyjskiej, wciąż przechodził rehabilitację. Przy okazji Daniel spotkał się z Ianem, także eksnajemnikiem. Ten wytatuowany fanatyk kulturystyki mieszkał w Anglii i regularnie odwiedzał Rafe'a. Całą ich trójkę złączył - jak to ujął Ian - „jeden cholerny big bang”.

Skrzydło domu wynajętego przez Fundację przeznaczono dla sprawnych ruchowo chorych z demencją, czyli po prostu ludzi, którzy w wyniku choroby Alzheimera czy udaru mózgu cierpieli na zaburzenia umysłowe, ale poruszali się o własnych siłach. Ładny budynek w stylu rzymskiej willi był wspaniale nasłoneczniony i nawet gdy od morza wiał zimny wiatr, ogólnodostępne pomieszczenia zgromadzone wokół otwartego na południe dziedzińca tonęły w potokach słonecznego blasku.

Przed stołówką zebrała się właśnie grupka wystrojonych jak na wycieczkę starszych dam. Z ich rozmowy wynikało, że restauracja ma chyba dzisiaj duży obrót, a odjazd autobusu do

Exeter jakby się opóźniał. To, że zarówno autobus, jak i restauracja nie istniały, wyszło na jaw dopiero, gdy ktoś z personelu otworzył stołówkę i pensjonariuszki zaczęły zajmować swoje ulubione miejsca, aby spożyć lunch.

- Nie widuje się tutaj starych faciów - zauważył Ian.

- Mężczyźni młodo umierają - odparł Daniel.

Stali w wejściu, przyglądając się starszym paniom, bo Rafe zaczął płakać i teraz terapeuta próbował go zagadać. Zajrzeli do jego pokoju.

Słony wiatr poruszał firankami w oświetlonych słońcem oknach. Ich spojrzenia spotkały się przelotnie. Rafe był w proszku. Szkicowali właśnie mapy oddające przebieg strzelaniny, podczas której ogień rebeliantów zapędził ich prosto na potężną minę domowej roboty, kiedy Rafe zaczął płakać.

Daniel po raz pierwszy odwiedzał biednego drania. Myślał, że właściwie niepotrzebnie czekał i należało już dawno wracać w cholerę do domu. Pod wieloma względami on sam był tak oddalony od rzeczywistości, że mógłby mieszkać na Marsie. Zdawał sobie z tego sprawę, ale przynajmniej nie tkwił w ośrodku. Ian też wracał do formy. Od kiedy został „absolwentem” Fundacji, pracował jako kierowca autobusu kursującego między Birminghamem a Londynem i miał nadzieję znaleźć sobie dziewczynę.

Niespodziewanie usłyszał siebie mówiącego:

- Chroniliśmy urzędników koalicji, a urzędnicy iraccy robili za tarcze strzelnicze.

- Koalicja lepiej płaciła - posępnie odparł Ian.

- Czytałem - powiedział Daniel - że wybuch takiej miny pułapki zmienia sposób funkcjonowania mózgu, jeśli się znajdziesz tak blisko niego jak Rafe.

- My też nie byliśmy zbyt daleko.

- Rafe był bliżej.

Rafe, przy prędkości stu trzydziestu kilometrów na godzinę, wychylony na stopniu ich wozu, oddawał strzały ostrzegawcze w kierunku cywilnego pojazdu, kiedy jego kierowca zdetonował bombę.

- Taki wybuch rozpieprza ci korę przedczołową. To część mózgu, która sprawia, że jesteś tym, kim jesteś. Rafe był przedtem szczęśliwym facetem. Wyraz twarzy Iana świadczył o tym, że dość ma słuchania o korze przedczołowej ich kumpla, która mogła być jego korą przedczołową.

Z niewesołym uśmiechem zmienił temat.

- Wiesz, jak Stary nas nazywa?

- Jak? - zapytał z nagłym zainteresowaniem Daniel.

„Stary” z Fundacji Feniks wpadł raz do ośrodka, kiedy Daniel odbywał jeszcze rehabilitację. Gdyby Stary poprosił, aby poprowadził konwój do piekła, Daniel zapytałby tylko, czy zdąży się ubrać, czy ma jechać nago.

- Słyszałem, jak rozmawiał z lekarzem naczelnym.

- I jak nas nazwał?

- Porzucone dzieci Mammona.

- Poważnie?

- Nie chwyciłem, co miał na myśli - przyznał Ian. - Chodzi o to, że tacy kontraktowi najemnicy jak ty, ja i biedny Rafe nie mają prawa do leczenia w szpitalu dla weteranów, do emerytury i opieki medycznej.

- Tyle to wiem. I wiem, co znaczy „porzucony”. A co to za kurewstwo ten Mammon?

- Pieniądze. Robiliśmy to dla pieniędzy, a teraz nie mamy ani centa. Ian skinął głową.

- Kapuję. „Mammon” znaczy „pieniądze”. Dlaczego?

- To taki niby bóg pieniędzy.

- A więc modliliśmy się do skurwiela i skończyliśmy z dupami na temblaku. Daniel ze zdziwieniem stwierdził, że się uśmiecha.

- Właśnie... Słyszałeś coś o Starym? - zapytał. - Kilka dni temu dowiadywał się, co u nas słychać. Szuka Ibogi. -A kto to?

- A kto to?

- Nie oglądasz wiadomości?

- Nie - powiedział Daniel. - I nie czytam gazet. Nie surfuję po internecie. Jak na lotnisku przechodzę obok telewizora, odwracam głowę. Mam w dupie, co się dzieje na świecie. Kto to jest Iboga? Dlaczego Stary na niego poluje?

- Był afrykańskim dyktatorem. Powstańcy go wykopali, ale ukradł państwową kasę. Stary musiał się nająć do odzyskania jej.

- Afrykanin? Jak on wygląda?

- Wielki, czarny sukinsyn, co najmniej dwadzieścia pięć kamieni wagi.

- A w kilogramach?

- Jakieś sto pięćdziesiąt.

- Czy ostrzy sobie zęby?

Ian ciekawie spojrział na Daniela.

- Dlaczego pytasz?

- Widziałem go.

- Chrzanisz!

- Widziałem. Nie przyjrzałem mu się dokładnie, ale ile stu pięćdziesięciokilogramowych, czarnych gości ma spiczaste zęby?

- Gdzie?

- Na Korsyce. Tam gdzie mieszkam.

- I co, po prostu spacerował sobie po Korsyce?

- Nie, zaszył się ze swoją ekipą w Capo Corso, na północy. Widziałem go w zeszłym tygodniu w Bastii, gdzie przyplývają promy z Nicei i Marsylii.

- Jeśli mu się dobrze nie przyjrzałeś, to skąd wiesz, że ma zastrzone zęby? - Powiedział mi o tym facet, który stał bliżej. Zeszli z jachtu, zapakowali się do SUV-ów i pojechali na północ.

- Dlaczego mówisz, że się zaszyli?

- Miejscowi twierdzą, że wyglądali jak jakaś banda, ukrywająca się albo szykująca skok. Miejscowi sami tkwią w tym gównie, więc mają oko na konkurencję. Korsyka to dziki kraj.

- Powiedz mi jeszcze raz, co ty tam robisz?

- Mieszkam w Porto-Vecchio, na południu. To przeciwległy kraniec wyspy.
- Nie pogniewasz się, jeśli zapytam, co kombinujesz?
- Nic. Mam sklep ze sprzętem nurkowym dla turystów.
- Naprawdę? Czy dużo kosztowało założenie takiego sklepu?
- Niespecjalnie. Zawsze odkładałem pieniądze. A co, traktowali mnie jak śmiecia i jeszcze miałem po tym wszystkim zostać goły? Hej, powinienes wpaść tam kiedyś. Jest wolny pokój. Świetna woda. Wspaniałe ryby. Piękne dziewczyny. Sympatyczni ludzie, ci Korsykanie, dopóki ich nie wkurzysz. Nie pogrywaj z nimi, a oddadzą ci ostatnią koszulę z grzbietu.
- Przepraszam, młodzieńcze - rozległ się cichy głos. Dwaj rośli mężczyźni spojrzeli z góry na drobną, siwowłosą staruszkę z torebką na ramieniu.
- Tak, pszepani?
- Czy tu złapiemy autobus do Exeter?
- Nie, pszepani - odparł Daniel - tam dalej, w restauracji, gdzie szykują dla pani lunch.

Quintisha Upchurch odebrała telefon na linii dla „absolwentów”, rosnącej gromadki ocalonych Jansona. Dzwonili, by pomóc lub poprosić o pomoc. Po tonie głosu umiała poznać, z którą kategorią miała do czynienia. Ten telefon należał do kategorii oferujących pomoc. Rozpoznała środkowoangielski akcent chłopca imieniem Ian.

- Pani Upchurch, jeśli jest pani w kontakcie z panem Jansonem, może wspomniałaby mu pani, że pewien dożywotni eksprezydent widziany był na Korsyce. Na północy wyspy, w Capo Corso.

Quintisha obiecała, że przekaże.

Pośród zawodowych kwalifikacji, które skłoniły Jansona do powierzenia Quintishy zarządzania CatsPaw i Fundacją, był także nawyk dyskrecji, wynikający między innymi z wrodzonej małomówności. Tak więc nie było mowy, żeby wspomniała, iż Daniel, szorstki w obejściu Amerykanin, również podopieczny Fundacji, kilka minut wcześniej zadzwonił z tą samą informacją. Albo też o tym, że

podobne wiadomości napływały z najróżniejszych części świata, i że przekazywano je szefowi dopiero po fachowej porównawczej weryfikacji.

W zaciszu przedziału sypialnego pierwszej klasy Paul Janson rozmawiał przez telefon pokładowy samolotu. W tej chwili sprawą dlań najważniejszą było radykalne skrócenie czasu lotu do Sydney. Dzwonił do pewnego generała sił powietrznych królestwa Tajlandii. Ich rozmowa zaczęła się niezbyt fortunnie.

- Przypominam, że wystąpił pan przeciw mnie - powiedział generał, pilot myśliwski, który szybko awansował dzięki doskonałym znajomościom, przeciętnym umiejętnościom i ponadprzeciętnej odwadze.

- Ale pamięta pan - bezceremonialnie odparł Janson - że uznałem pana za mniejsze zło.

- Czego pan chce? - Rewanżu za tamtą akcję. - Dlaczego?

- Skorzystał pan na niej. Jest pan generałem w służbie czynnej. Ten drugi facet nie żyje.

Tajscy Chińczycy, jak wszyscy Chińczycy żyjący poza ojczyzną, nie należeli do ludzi dogmatycznie przywiązanych do takich pojęć jak honor i szacunek. Różnili się tym od Pakistańczyków czy Afgańczyków chlubiących się „honorowymi zabójstwami” albo włoskich mafiosów bezwzględnie wiernych swoim tajnym społecznościom i zasadzie omerty. Ale te dzieci chińskiej diaspory tworzące znaczną część klasy kupieckiej południowo-wschodniej Azji wypracowały sobie na własny użytek nie mniej sztywny kodeks honorowy. Jako obcy w obcych krajach dzielili ludzi na dwie kategorie: obcy z definicji byli wrogami; ludzie, których znali - przyjaciółmi. Co Janson zawsze podziwiał najbardziej, to umiejętność zmiany ich stosunku do innych: kiedy cię poznali, zrobili z tobą jakiś interes, kiedy oddałeś im przysługę, okazałeś przychylność albo stanąłeś po ich stronie - stawałeś się przyjacielem.

Po długiej chwili milczenia generał zapytał:

- Czego pan potrzebuje?

- Najszybszego odrzutowca w Bangkoku, zdolnego pokonać trasę siedmiu tysięcy pięciuset kilometrów do Sydney przed moim połączeniem komercyjnym.

- Tylko tyle?

Janson nie miał pojęcia, czy pytanie generała nie było czystym sarkazmem, obydwaj jednak wiedzieli, że mógłby prosić o dużo więcej niż szybki odrzutowiec o długim zasięgu. Janson podziękował ciepło. Dług został spłacony. To, co najpilniej potrzebne, stanowiło największą wartość.

Paul wysłał pilną wiadomość do swojego łącznika w Sydney, tajnego agenta australijskiej Crime Commission. Pomyślał, że ten mógłby rozejrzeć się za Jessicą po lotnisku. Czekał na odpowiedź, przejrzał ostatnie doniesienia na temat ludzi SR. Bloch podobno siedział w kongijskim więzieniu. Dimon, serbski czarodziej komputera, działał na Ukrainie. Wiorec, Rosjanin, przebywał aktualnie na urlopie, a Korsykanin Andria Giudicelli dzień wcześniej pojawił się w Rzymie. O tym, że Van Pelt leci do Sydney, Janson już wiedział.

Iboga przypuszczalnie zaniechał krążenia między Rosją, Ukrainą, Rumunią i Chorwacją, bo jednocześnie widziano go na Korsyce i w Harare, stolicy Zimbabwe, które to miejsca dzieli dziewięć i pół tysiąca kilometrów.

Janson zamknął oczy, próbując zasnąć. Zastanawiał się, co doktor mógł wnieść do jego wiedzy o ASC i o knowaniach Kingsmana Helmsa wymierzonych w Isle de Foree. Prawdę mówiąc, nie był bliżej Ibogi niż w chwili przyjmowania zlecenia od Ferdinanda Poego. Dowiedział się, że SR istnieje i musiało wysłać po Ibogę misję ratunkową, ale niewiele z tego wynikało. Nadal nie miał pojęcia, kto zorganizował nalot reaperów. I jak dotąd nie dołożył ani dolara do skarbca Fundacji Feniks. Pięć procent od zera odzyskanego łupu Ibogi dawało zero.

Zrezygnował ze spania i zadzwonił do biegłej księgowej, która kierowała tropieniem pieniędzy Ibogi. Jej zespół zanotował pewne osiągnięcia, dotarł do pewnych wskazówek dotyczących kont w Szwajcarii i Chorwacji.

- W tej chwili - ostrzegła księgowa - Zagrzeb to twardszy orzech do zgryzienia niż Zurych.

- Możemy dobrać się do tej forszy?

- Nie - odrzekła. - Na razie nadal jesteśmy na etapie jej lokalizowania. Samolot rozpoczął podchodzenie do lądowania w Bangkoku. Paul zatelefonował do Quintishy Upchurch.

- Miała pani jakieś sygnały od pani Kincaid?

- Nie, panie Janson. Zostawiłam jej wiadomość. Słyszał w tle głośny hałas i uśmiechnął się mimo zatroskania. Ów przeraźliwy dźwięk pochodził z dekompresyjnego hamulca silnikowego Jacobsa, spowalniającego bieg ciężarówki Peterbilt 379EXHD.

Znaczyło to, że Quintisha znajduje się w „domowym biurze” CatsPaw na kółkach, to znaczy w opancerzonym ciągniku drogowym Brink’s Inc... prowadzonym przez jej męża.

Jessica utrzymywała, że mąż Quintishy jest „najbardziej przerażającym człowiekiem, na jakim kiedykolwiek spoczął jej wzrok”. Rick Rice, były oficer USMC Force Recon - oddziałów rozpoznania walką Marine Corps - i ciężko doświadczony przez los weteran, od kiedy ożenił się z Quintishą, woził ze stanu do stanu ładunek w postaci kart kredytowych, cennych metali czy kasynowych żetonów, których dostarczenia i ochrony podjęła się Brink’s Inc. Kabina ciągnika była kuloodporna i wyposażona w otwory strzelnicze, ale jak zauważyła Jessica:

- Kiedy kierowca wygląda tak, jakby miał nadzieję, że spróbują go obrabować, bandziory wolą rabować innych. Chroniona przez męża i zawsze aktywna, kiedy przemierzali Stany Zjednoczone, Quintisha zarządzała CatsPaw i Fundacją za pośrednictwem telefonów i komputerów zainstalowanych w przedziale wypoczynkowym ciężarówki. W niedziele parkowali na działkach VFW, organizacji weteranów wojen zagranicznych. Rick wypijał kilka piw z weteranami, a tymczasem Quintisha, wyświęcona diakonka, udawała się do najbliższego zboru afrykańskiego episkopalnego kościoła metodystycznego, gdzie śpiewała w chórze, nauczała Pisma czy odprawiała nabożeństwo. Niedzielną kolację zjadali w domu miejscowego metodystycznego, gdzie śpiewała w chórze, nauczała Pisma czy odprawiała nabożeństwo. Niedzielną kolację zjadali w domu miejscowego szefa policji albo policjanta drogówki, który kiedyś służył pod Rickiem nad Zatoką, w Iraku czy Afganistanie.

- Właśnie zamierzałam do pana dzwonić, panie Janson. Dwóch pańskich młodych podopiecznych doniosło, że widzieli Ibogę na Korsyce.

- Kto? Daniel?

- Tak. I Ian, z Anglii. Paul zatelefonował do Madrytu, do kwatery głównej Protocolo de Seguridad. - Freddy, mógłbyś wyciągnąć coś z jakichś Korsykan?

- Czy ma znaczenie, że ukrywają się przed francuską policją?

- Muszą być w stanie wrócić na Korsykę.

- To eliminuje większość z nich.

- Freddy zastanawiał się przez chwilę.

- Znajdę kogoś.

- Nie jest wykluczone, że Iboga ukrywa się w Capo Corso. Może uda ci się coś ustalić.

- Czy wie pan, że pan krwawi? - zapytał jakiś palant, zajmujący w samolocie Południowoafrykańskich Linii Lotniczych miejsce obok Hadriana Van Pelta.

Kropelki krwi sączyły się ze szwów na jego przedramieniu. Dziewięćdziesiąt czerwonych punkcików, po jednym na jeden szew, powiększało się, aż zlały się w jedną linię, przesiąkając przez bandaż i rękaw koszuli. Powinien był włożyć czerwoną. Albo nie ścisnąć w rytm bicia serca twardej gumowej piłki. Opętał go jednak dziwaczny lęk, że mięśnie jego prawej ręki skurczą się jak suszona wołowina, jeśli nie zmusi ich do pracy. Oto, co mu zrobiła ta dziwka. Paskudnie go to gryzło. Bywał już ranny. Nic poważnego, w jego branży to ryzyko zawodowe. Nie mógł się jednak otrząsnąć z uczucia, że ona rozkroiła mu rękę niczym kawał suszonego mięsa.

- Pytałem czy wie pan, że pan krwawi?

- Tak, wiem, że krwawię - odparł, nie podnosząc głosu, żeby palant nie zwrócił się przypadkiem do stewardes, a te nie zaalarmowały agenta ochrony udającego biznesmena w ostatnim rzędzie foteli klasy biznes.

- Miałem wypadek samochodowy.

Palant wyciągnął rękę w kierunku przycisku wzywającego stewardesę.

- Czy wezwać pomoc?

- Nie, dziękuję. - Van Pelt uśmiechnął się zimno, żeby zamknąć palantowi gębę.

- To nic strasznego, tylko tak wygląda. Lekarz zmienił mi opatrunek przed samym odlotem. Sięgnął po telefon i raz jeszcze sprawdził listę przychodzących wiadomości tekstowych. Nareszcie!

Przygotowania zakończone. Zadbamy o to, żeby czekała na ciebie w Sydney.

Wspaniale. Wąskie usta Van Pelta rozchyliły się w uśmiechu. Już nie mógł się doczekać. Ale druga wiadomość wcale nie była wspaniała. Amerykanin wynajęty przez Ferdinanda Poego do złowienia Ibogi przesiadł się w Bangkoku z samolotu rejsowego do szybszej maszyny dostarczonej przez Królewskie Siły Lotnicze Tajlandii.

Van Pelt wysłał pilny sygnał do towarzysza z SR, który pełnił funkcję koordynatora projektu Isle de Foree. Ten animateur de groupe, jak mówili Francuzi, podawał się za administratora organizacji pozarządowej kierującej dostawami ryżu do głodującego Pakistanu. Jego telefon przez chwilę namierzał ewentualne urządzenia podsłuchowe, wreszcie najemnik usłyszał:

- Czysto.

- Wyczarteruj dla mnie najszybszy odrzutowiec w Perth... Dlaczego? Bo inaczej on dotrze do Sydney przede mną.

Rozdział 22

Jessica Kincaid nie odebrała żadnej wiadomości od Jansona ani też odpowiedzi na swoje sygnały i SMS-y wysłane podczas przesiadki w Johannesburgu. Wysłała jeszcze kilka wiadomości, a następnie połknęła ambien i przespała wspaniale osiem godzin lotu nad Oceanem Indyjskim. Po przebudzeniu włączyła na chwilę telefon, zajrzała ukradkiem do skrzynki odbiorczej i znów niczego nie znalazła. Przesunęła kartę kredytową przez czytnik aparatu linii pokładowej, żeby z niego napisać do Jansona.

Trzymała już palec na przycisku „Wyślij” i tylko milisekunda dzieliła ją od wciśnięcia go, kiedy przypomniała sobie, że w Hiszpanii intruz jakimś sposobem włamał się do jej audi, nie uruchamiając alarmu. Najwyraźniej Hadrian Van Pelt czy

Brud Vealon miał dostęp do najnowocześniejszej elektroniki. Odłożyła telefon pokładowy, sięgnęła po swój telefon satelitarny Iridium 9555 G i w zamyśleniu wpatrzyła się w wyświetlacz.

Zakładaj najgorsze. Włamano się do jej telefonu. W tej chwili nie było ważne - jak. Zakładaj najgorsze. Jeśli jej telefon został zaatakowany wirusem czy robakiem umieszczonym w nim przez hakera, to dzwoniąc do Jansona, przeniosła go do jego aparatu. Wiadomości pozostawione dla niego mogło przechwycić Sécurité Referral. Może SR nie potrafiło złamać kodu szyfrującego. Może potrafiło.

Z telefonu pokładowego linii Quantas Kincaid zadzwoniła pod znany na pamięć numer alarmowy. W czasach pracy dla Operacji Konsularnych, gdy podejrzewała, że jej telefon lub laptop jest na podsłuchu lub został zaatakowany, zgodnie z procedurą dzwoniła do

Konsularnych, gdy podejrzewała, że jej telefon lub laptop jest na podsłuchu lub został zaatakowany, zgodnie z procedurą dzwoniła do podziemi Truman Building zajmowanych przez Departament Stanu i specje od najnowocześniejszych technologii, dysponujący odpowiednimi narzędziami, próbowali jej pomóc. U Jansona problemy rozwiązywano w podobny sposób, ale na zgadywanie, kto odbierze telefon i gdzie się ten spec znajduje, nie zamierzała tracić czasu.

CatsPaw, Fundacja Feniks i Janson Associates funkcjonowały poniekąd jako firmy wirtualne. Siedziby z cegieł i zaprawy murarskiej były kosztowne, kłopotliwe i zawsze narażone na zamach. Nie stanowiło problemu namierzenie zatrudnionych w nich osób, toteż groził im atak w pracy, w drodze do pracy czy we własnym domu. Zamiast więc utrzymywać fortecę - i być zmuszonym do jej obrony - Janson posłużył się internetem i siecią Web, by połączyć niezależnych zleceniobiorców w organizację, w sensie materialnym w ogóle nieistniejącą.

Kincaid nigdy nie widziała specjalisty, do którego dzwoniła, znała tylko numer telefonu. Od swoich odpowiedników w Departamencie Stanu, różnił się swoją niezależnością. Nie było mowy, by nosił odznakę firmy ochroniarskiej - rządowej czy prywatnej - i walczył o lepsze miejsce parkingowe na firmowej parceli. Dzwoniąc, wyobrażała sobie długowłosego gościa siedzącego w pokoju bez okien wypełnionym szumem komputerowych wentylatorów i rozjaśnianym blaskiem podświetlanych

monitorów. Mógł pracować sam lub też z grupą innych maniaków komputerowych wyglądających tak jak on. Mógł przebywać w podmiejskim parku naukowo-technologicznym w Silicon Valley albo w Beverly w stanie Massachusetts, albo w Republice Czeskiej.

Jerry's Sportsman's Paradise, bar w New Jersey, usytuowany w centrum handlowo-usługowym ciągnącym się wzdłuż autostrady numer 17, znajdował się o piętnaście minut jazdy samochodem od dzielnic kosztownych rezydencji Saddle River, Ho-Ho-Kus i Wyckofi. Z dwunastu stałych bywalców oglądających w to wczesne popołudnie powtórkowe mecze i wyścigi konne czterech pozostawało bez pracy, trzech miało emeryturę, a pięciu żyło z włamań do podmiejskich domów. Trzech było złodziejami, jeden paserem kradzionej biżuterii, piąty zaś nadawał robotę. To właśnie on umiał w osobliwie nieomylny sposób poinformować złodziei, czyj dom był akurat pusty.

Włamywacze znali go jako Mortona. Ten niezwracający na siebie uwagi biały gość z początkami brzuszka i o ziemistej cerze ortodoksyjnego domatora, nosił bardzo drogą skórzaną kurtkę i szary, płaski kapelusz. Nieczęsto bywał u Jerry'ego; pokazywał się raz, dwa razy w miesiącu, ale jego informacje były warte tyle co złoto. Siedział w rogu baru, skąd mógł widzieć całe pomieszczenie, i uśmiechał się nieznacznie.

Morton uśmiechał się, bo podobało mu się to, co słyszał w słuchawkach swojego iPod'a. W przeciwległym końcu baru znany mu już złodziej zapoznawał nowego kolegę z talentami Mortona.

- Jeśli Morton mówi, że właściciel domu wyjechał do St. Barts, a gosposia wzięła wolny poniedziałek, to facet jest w St. Barts i w poniedziałek nie ma w domu gosposi.

- Skąd on to wie?

- Diabli wiedzą. Ale wie.

- Może to medium?

- Wszystko jedno, ale jest w tym dobry. Sprawdź go. Nowy koleś ruszył w stronę Mortona. Ten udał, że wyłącza iPod'a.

- Siema. Co jest?

- Słyszę, że czasem masz informacje.

- Czasem - przyznał Morton. Już wcześniej ustalił, że złodziej nie był tajniakiem, podsłuchał bowiem jego prowadzoną przez telefon komórkowy rozmowę z żoną na temat odebrania dzieciaka z treningu piłki nożnej.

- Słyszę, że są dobre.

- Są jak złoto - stwierdził Morton.

- A złoto jest drogie. Dwadzieścia pięć procent.

- Możesz mi coś powiedzieć o tym, jak je zdobywasz? Morton przez chwilę przyglądał się swojemu rozmówcy. Czy ten jełop naprawdę myślał, że będzie mu tłumaczył, w jaki sposób geotagi, wbudowane w smartfony bogatych głupków umieszczających na Twitterze swoje zdjęcia, zdradzają ich adresy domowe i miejsca spędzania urlopów? Nie mówiąc już o galerii zdjęć ukazujących niepilnowane przedmioty warte ukradzenia. A może myślał, że Morton, najlepszy haker na świecie, wyjawি mu, iż należy do „białych kapeluszy” chroniących korporacje przed działającymi poza granicą prawa hakerami z „czarnych” i „szarych kapeluszy”? Co z tego, że od czasu do czasu wpadnie do Jerry’s Sportsman’s Paradise, żeby zgarnąć kilka dolców ekstra; dowalić jakimś bogatym sukinsynom. Przecież nie zadaje się z łobuzami, których porządny komputerowiec nie powinien nawet znać.

- Nie - mruknął Morton - o tym nie mogę ci nic powiedzieć. Facet nie był aż tak głupi, żeby się zdziwić. Postanowił jednak spróbować z innej beczki i zadał kolejne durne pytanie:

- Słyszę, że taka informacja nic mnie nie kosztuje, dopóki jej nie wykorzystam. Haker popatrzył mu w oczy.

- Nic mi nie płacisz, dopóki nie sprzedasz czegoś, co zgarnąłeś dzięki mojej informacji.

- Tak? - powiedział koleś takim tonem, że zabrzmiało to jak: Co tu jest grane?

- A skąd pewność, że w ogóle ci zapłacę?

- Dbasz o swoje interesy - odparł Morton. - Zapłacisz mi, bo będziesz chciał się załapać na następną informację... Przepraszam na sekundę. Jeden z pięciu

komórkowych i satelitarnych telefonów upakowanych do specjalnie uszytych kieszeni w podszewce jego kurtki zaczął wibrować. Spojrzał na wyświetlacz. SITA SATELLITE AIRCOM. Ktoś dzwonił do niego z telefonu pokładowego samolotu. Tylko tyle. Nie wiedział kto to, jakim leciał samolotem, gdzie się znajdował. Po prostu użył karty kredytowej, wybrał numer Mortona, a SITA za pośrednictwem łączy satelitarnych przekazała sygnał do jego telefonu. Wolałby mieć więcej informacji, ale ten ktoś niewątpliwie znał jego numer.

- Zaczekaj chwilę. Muszę to odebrać - rzucił złodziejowi i wyszedł na parking. Stały tam świeżo odnowione, zalegalizowane, używane audi i bmw, jakimi można było krążyć po luksusowych osiedlach, nie zwracając uwagi policji.

- Powiedz mi, dlaczego nie powinienem się rozłączyć.

- CatsPaw - usłyszał kobiecy głos.

- Mów - rzekł, starając się nie okazać nadmiernego zainteresowania. CatsPaw oznaczała pieniądze. Dużo większe pieniądze niż te, które mógł zarobić, wałęsając się z włamywaczami.

- Czy mój telefon satelitarny jest spalony?

- Podaj numer. Zrobiła to. Wtedy polecił:

- Włącz go, bez dźwięku. Za pięć minut oddzwoń do mnie z telefonu pokładowego. Złodziej wyszedł z baru na papierosa.

-Hej,coz... - Później.

Morton wszedł do swojej niepozornej hondy, zamknął drzwi. Włączył ukryty pod tylnym siedzeniem duży komputer, wszedł do sieci Wi-Fi i wklepał numer jej telefonu. Kiedy zadzwoniła po pięciu minutach, powiedział:

- Załatwili cię na cacy, słonko.

Wymamrotała coś, co zabrzmiało jak „kur...”. Czekał na zwykłe w tej sytuacji, oburzone: „Jak oni włamali się do mojego telefonu?”. Mógłby jej wtedy wytłumaczyć, że ponieważ go tam nie było, nie potrafi tego wyjaśnić. Najpewniej dokonał tego ktoś, kto siedział obok niej na lotnisku z potężnym przekaźnikiem wyglądającym jak laptop albo siedział w pobliżu w poczekalni czy nawet w samolocie. O ile po prostu nie „pożyczył” na minutkę jej telefonu, gdy zostawiła go na widoku, czego jako

pracownica CatsPaw raczej nie zrobiła. Zamiast jednak zadawać głupie pytania, zadała to jedyne trafne:

- Kiedy to się stało?

- Dwanaście godzin temu - odparł.

Teraz mogła się domyślić, gdzie to się stało.

- Pamiętasz, jak się ładuje zawartość karty SIM?

- Tak - potwierdziła wkurzonym tonem i ta krótka sylaba zabrzmiała: Tak, do cholery, a niby z kim, twoim zdaniem, rozmawiasz?

- Załaduj natychmiast na ten numer. - Podał jej właściwy numer.

- Dobra, a teraz wyłącz telefon satelitarny i włącz go za dziesięć minut.

Odczekaj jeszcze pięć i oddzwoń do mnie z pokładowego. Uraczyła go kolejnym „tak”. Hola, panienko, to nie moja wina, że zaatakowali twój telefon. Znalazł wirusa nadawczego wprowadzonego do jej karty SIM. Był to wyrafinowany wschodnioeuropejski produkt przekierowujący jej połączenia głosowe i tekstowe na pewien numer w Bukareszcie. Co dziwne, jednocześnie blokował wychodzące połączenia. Zwykle pozwalało się na przepływ wiadomości, toteż cel nie wiedział, że został zaatakowany, i nadal wysyłał informacje, które dawało się przechwycić. Morton skasował wirusa i załadował zawartość karty z powrotem do jej aparatu.

Dowiedziawszy się, że jej telefon jest już czysty, natychmiast zapytała:

- Co z telefonem człowieka, do którego dzwoniłam?

- Jest czysty jak łąza.

- Skąd wiesz, że mój nie przesłał mu tego wirusa?

- Wiem, bo dzwonił pół godziny przed tobą i sprawa została załatwiona.

- Dzwonił przede mną?

- Teraz była taka wkurzona, jakby za chwilę miała wyjść z siebie.

- Tak. Znał się na rzeczy.

- Cholera! Czy dzięki temu po moim telefonie hakerzy poznali jego numer?

- Owszem, tak. Jeśli rozmawiamy o tym samym facecie. Nie mogę ci o nim nic powiedzieć, tak jak nikomu nie mogę niczego powiedzieć o tobie, bo nic nie wiem.

- Zmieniłeś jego numer?

- Tak. Twój też zmienię.

- To jak do niego zadzwonię?

- Połączenie zostanie przekierowane ze starego numeru na nowy. Jeśli będzie chciał odpowiedzieć, zrobi to.

- Okay. Rozumiem. Co z ludźmi, którzy włamali się do mojego telefonu? Czy mogli się zorientować, gdzie jest człowiek, do którego dzwoniłam?

- Tylko jeśli był na tyle głupi, że nie wyłączył GPS-u w swoim aparacie, kiedy oddzwaniał do ciebie.

- Nie jest głupi.

- Wcale tak nie myślałem - stwierdził Morton - ale pozwól, że dam ci jedną radę.

- Jaką?

Dlaczego ja to robię - zastanawiał się. Otóż dlatego, brzmiała odpowiedź, że nie mógł pomóc sobie. W głębi duszy pozostał „białym kapeluszem”, hakerem nieprzekraczającym pewnych granic.

- Jaką radę?

- Nie dzwoń do niego z miejsca, w którym się znajdujesz. Niewykluczone, że ten ktoś, kto włamał się do twojego telefonu, leci tym samym samolotem co ty.

- Dzięki za pomoc.

- Interesy z tobą to przyjemność. Haker schował telefon do odpowiedniej kieszonki w kurtce, wybrał inny i zadzwonił do matki. Szczęściem automatyczna sekretarka zadziałała. Zostawił wiadomość, że nie będzie na kolacji. Następnie ruszył w kierunku Nowego Jorku z zamiarem znalezienia kosztownej kobiety, by w ten sposób uczcić zarobienie w ciągu dwóch dwudziestominutowych konsultacji z zakresu bezpieczeństwa telekomunikacyjnego więcej, niż najlepsi informatycy zarabiali w ciągu miesiąca.

Kilka godzin później, przypatrując się swojemu odbiciu w lustrze wiszącym nad łożem królewskim, Morton nagle przypomniał sobie dziwną właściwość nadawczego wirusa, który blokował wiadomości wysyłane przez tajemniczą kobietę,

przesyłając je do Bukaresztu. Prawdopodobnie powinien był jej o tym wspomnieć. Ale pewnie sama na to w końcu wpadnie.

Przechodząc spieszenie przez bramkę w hali przylotów, Kincaid rozglądała się za najbliższym miejscem, z którego mogłaby zadzwonić do Jansona, nie ryzykując aresztowania za złamanie zakazu używania przenośnych telefonów w strefie bezpieczeństwa, zakazu wymalowanego wielkimi literami na każdej ścianie. Jednocześnie bacznie przypatrywała się pasażerom. Czy to ktoś z nich zaatakował jej telefon na lotnisku w Johannesburgu?

Przeszła odprawę celną i kontrolę imigracyjną.

Na koniec, w wyjściowym korytarzu prowadzącym do hali terminalu, zadzwoniła. I przeklęty telefon odmówił realizacji połączenia. Wybierając ponownie numer, zauważyła, że sporo ludzi wpatruje się z zakłopotaniem w swoje telefony i majstruje przy klawiaturze. Spojrzała na wyświetlacz.

„Połączenie nie może być zrealizowane”. Dreszcz przebiegł jej po grzbiecie. Rozejrzała się, szukając osoby zagłuszającej sygnały. Pasażerowie, zmęczeni po długich lotach międzynarodowych, dźwigali i ciągnęli walizki wystarczająco duże, by pomieścić elektroniczne urządzenia zagłuszające. Zwolniła i zaczęła się przyglądać twarzom ludzi, którzy szli za nią od chwili odprawy celnej. Biznesmeni, biznesmenki, turyści, wracający do domu Australijczycy z plecakami, rodziny, dwie pulchne, wysokie blondyny, siostry, każda ciągnąca za rękę złotowłose dziecko.

Korytarz przed nią rozszerzał się, tak że mogła zobaczyć rząd ustawionych za linami witających. Zwolniła jeszcze trochę, pozwalając się wyprzedzić nadchodzącym z tyłu. Była wśród nich jedna z blondyn, teraz prowadząca dwoje dzieci. Druga z sióstr wpadła na Kincaid, wykonała przeproszający gest i jednocześnie przytknęła jej pistolet do boku i szepnęła z nosowym australijskim akcentem:

- Ma tłumik, laluniu. Nikt nie usłyszy. Kincaid zauważyła tłumik przykręcony do beretty, broni zresztą i tak stosunkowo cichej. - Pociski grzybujące. Żadnej krwi. Kula nie opuści twojej wątroby.

Rozdział 23

Kincaid zgrzytnęła zębami. Elegancko ją przyskrzypiły. Nie spodziewała się tego. I kto teraz wyszedł na tępawego futbolistę? Nieważne. New Game.

Jak ta kobieta wniosła broń do strefy bezpieczeństwa? Musiała mieć współnika wśród funkcjonariuszy ochrony lotniska, który teraz patrzył, czy Jessica się nie opiera. Nie mogła kontratakować, nie tutaj. Wkoło znajdowali się ludzie, wszędzie kamery ochrony. Australijka trzymała berettę w sposób zdradzający umiarkowane obycie z bronią, ale wyglądała na nerwową, a więc nieprzewidywalną. Gdyby Kincaid nie udało się gładko odebrać jej pistoletu, jakiś ziewający podróżny o zaczerwienionych z niewyspania oczach mógłby skończyć z pociskiem typu dum-dum w piersi.

- Idź dalej!

Jessica zwolniła, chcąc zbadać jej reakcję. Rzeczywiście, bardzo nerwowa. Skorumpowana glina, pomyślała. Kobieta kiedyś była albo nadal jest policjantką, dorabiała sobie po godzinach. To wyjaśniało, jak przeniosła broń przez kontrolę ochrony. I tłumaczyło jej nerwowość. Wiedziała, że jej twarz mogła zostać rozpoznana na nagraniach systemu monitoringu albo że może natknąć się na znajomego funkcjonariusza. Na pewno przygotowała sobie jakąś dobrą historyjkę, ale za cholere nie chciałyby się nią posłużyć.

Kincaid przyspieszyła, tylko odrobinę.

- Dopadłyście mnie - stwierdziła. - Spokojnie. Po prostu powiedz mi, co mam zrobić.

- Idź przede mną. Trzymaj się znaków prowadzących na parking. Na parkingu czekała furgonetka bez okien z tyłu. Wewnątrz znajdowały się jeszcze dwie kobiety. Śmierdziało, jakby piły wino. Tylne, załadunkowe drzwi zamknięte były na stalowe rygle. Przeszklony dach wpuszczał światło latarni, ale nie dawał się otwierać. Kobieta siedząca za kierownicą - druga „siostra”, która już zdążyła komuś przekazać dzieci - uruchomiła silnik, gdy tylko zamknęły drzwi. Trzecia kobieta, masywna, bez powodu szczerząca zęby w uśmiechu psychopatka z kokainową mgiełką w oczach, miała usta wrednej klawiszki i pistolet za paskiem. Skuły Jessice ręce za plecami

jednorazowymi, nylonowymi kajdankami - co też przemawiało za hipotezą, że to gliny - zabrały telefon i torebkę i wepchnęły do przestrzeni ładunkowej. Blondi, ta, co dorwała ją w terminalu, ukradła jej złotą bransoletkę i od razu włożyła na rękę. Kincaid typowała ją na liderkę grupy. Cokie zabrała pierścioneł, który Janson dał jej w Amsterdamie, i to ją wkurzyło. Te kradzieże potwierdzały jej podejrzenia. Miejscowa ekipa do wynajęcia, złożona ze skorumpowanych glin i kryminalistek. Na co dzień pewnie napadały na alfonsów i dilerów narkotyków. Kto je wynajął, żeby ją capnęły? A któż by, jeśli nie Securité Referral.

Blondie wymacała rozcięcie w spodzie torebki Kincaid i wyglądała na zdziwioną, że nie znalazła noża. Co, miała go przenieść przez kontrolę na lotnisku? Czy uważały ją za kretynkę? Wiedziały jednak, gdzie i czego szukać. Dowód na to, że pracowały dla nurka. Jessica sprężyła się wewnętrznie, by powstrzymać przypływ paniki. Czowała, że może nad nią nie zapanować, ale w OPKON-ie nauczono ją sposobów osvajania paniki poprzez koncentrowanie się krok po kroku na pytaniach i odpowiedziach mogących doprowadzić do podjęcia działania.

Najwyraźniej ona i Janson nie docenili zasięgu działania Securité Referral. Myśl, że zostanie wydana ze skrupowanymi rękami południowoafrykańskiemu najemnikowi, którego poniżyła i upokorzyła, przerażała ją do granic paniki.

A doktor? Czy to nie jego chciał dopaść Van Pelt? Obawiała się jednak, że pojmanie jej miało służyć zarówno zemście, jak i sprawie poszukiwania lekarza. To, że Van Pelt ścigał Flannigana, nie znaczyło, że nie mógłby poświęcić godzinki na zadanie jej strasznej śmierci.

Ostatnie, maleńkie źródło nadziei związane było z faktem, że napastniczki zadowolily się kosztowną bransoletką i pięknym pierścionkiem, nie zwracając sobie głowy kradzieżą taniego zegarka swatch. I że nie mogły widzieć jej dłoni skutych za plecami. Mimo kajdanek Kincaid udało się dosięgnąć główki zegarka i wcisnąwszy ją, włączyć funkcję wysyłania sygnału naprowadzającego jej GPS-u. Powinno to umożliwić Jansonowi zlokalizowanie jej przy wykorzystaniu zasobów Google Maps. Boże, błogosław internet oraz CatsPaw i jej speców od hardware'u i software'u, którzy sprytnie podrasowali urządzenie pierwotnie wprowadzone na rynek z myślą o rodzicach pragnących kontrolować nastoletnie pociechy.

Czyż nie byłoby miło, gdyby Janson znalazł się dość blisko, aby jej pomóc? Czyż nie byłoby miło, gdyby chociaż wysłał z pomocą miejscowego zleceniobiorcę CatsPaw? Zanim miną dwie godziny i wyczerpie się małeńka bateria miniaturowego urządzenia? Czyż nie byłoby miło, gdyby świny umiały latać?

Furgon szybko jechał autostradą. Przez przednią szybę widziała znaki wskazujące drogę do Central Business District i ku Harbour Bridge prowadzącym do North Sydney.

- Dokąd jedziemy? - zapytała. - Do Luna Park! - zawołała w odpowiedzi siedząca z przodu Blondie. - A co to takiego?

- A co to takiego?

- Park rozrywki. - Nawiedzone domy - wyjaśniła Cokie. - Straszne rzeczy. - Nachyliła się ku Jessice, przyglądała jej się lubieżnie, zionąc winem w twarz. Kincaid poruszyła ramionami, jakby chciała złagodzić napięcie związanych rąk. Jej bluzka rozchyliła się, odsłaniając piersi. Cokie oblizła się i spojrzała na przód furgonetki. Stwierdziwszy, że Blondie przesiadła się na miejsce obok prowadzącej, wsunęła dłoń w dekolt bluzki Jessiki, następnie pod stanik. Zaczęła pieścić brodawkę jej piersi. Kincaid próbowała przygotować się na ból, oddzielić umysł od ciała, umknąć myślą ku zamglonej plaży, na której piasku łamały się niewidoczne fale. Cokie ustawiła kciuk i palec wskazujący tak, że tworzyły coś na kształt szczypiec.

Janson opuścił teren portu lotniczego w Sydney wynajętym golfem. Targała nim obawa, że nigdy już nie zobaczy Jessiki Kincaid. Mimo szybkości tajskiego odrzutowca, który otrzymał zgodę na lądowanie jako niekomercyjny samolot korporacyjny, przyleciał odrobinę za późno, by ją złapać, nim przeszła kontrolę imigracyjną. Niespodziewanie zaczął wibrować jego telefon satelitarny. Ten charakterystyczny, urywany sygnał nie oznaczał zwykłego połączenia. Wcisnął hamulec i zjechawszy na pobocze, spojrzał na wyświetlacz.

Pojawiła się na nim miniaturowa mapa Google. Rozpoznał tę samą prowadzącą z lotniska autostradę, na której się znajdował. Poczul gwałtowny przypływ otuchy. Czerwony punkcik oznaczający aktualne położenie zegarka Jessiki migotał nieco ponad dwadzieścia kilometrów przed nim, zbliżając się do Harbour Bridge.

Janson wcisnął w podłogę pedał gazu i wrócił na drogę, wymijając nieliczne samochody.

Jedyną pewną informacją, jaką potrafił wyczytać z mrugania czerwonej kropki, było to, że niby-swatch Kincaid znajdował się w poruszającym się pojeździe. Niewykluczone, że na jej nadgarstku. Może nadal żyła. Należało też brać pod uwagę, że znajdował się na nadgarstku kogoś, kto ją zabił po tym, jak aktywowała ukryty GPS. Tak czy inaczej, bateria szybko się wyczerpie. W każdej chwili GPS mógł przestać sygnalizować jej położenie. Ale po dobie braku jakiegokolwiek kontaktu - i pojawieniu się niezbitych dowodów na to, że za włamaniem do jej telefonu stało Securité Referral - to, co działo się teraz, było milion razy lepsze od braku jakiegokolwiek wiedzy. Pędził na spotkanie migoczącego czerwonego punkciku, wiedziony zarówno nadzieją, jak i chłodną kalkulacją.

O tak późnej porze nie tylko jego golf nie pozwalał sobie na przekraczanie dozwolonej prędkości. Trzymał się tuż za dużym mercedesem, zakładając, że to tamten najpierw przyciągnie uwagę policji drogowej. Jeśli nie, jeżeli ruszą za nim - proszę bardzo, przyda mu się ich towarzystwo, dopóki jej nie dogoni. Potem też przyda mu się ich pomoc albo niech zejdą mu z drogi.

Spojrzał na telefon. Czerwony punkt znikł. Albo bateria się rozładowała, albo była tak słaba, że impuls nie mógł wydobyć się z miejsca osłoniętego metalem. Przełączył się na tryb bezpośredni, wprowadzając do programu polecenie poszukiwania okresowo zanikających sygnałów, zbyt słabych, by światełko na mapie świeciło się nieprzerwanie, ale może dość silnych, żeby co pewien czas choć na sekundę przekazać koordynaty nadajnika.

Z sadystyczną powolnością Cokie wsunęła palce głęboko w dekold Jessiki. Ta stęknęła i zajęczała z rozmysłem. Po chwili usłyszała, że oddech porywaczki przyspieszył; dyszała zboczonym pożądaniem. Kincaid pochyliła głowę i z całej siły wgryzła się w mięsistą nasadę kciuka.

Sadystka wrzasnęła. Wyrwała rękę i uderzyła Jessicę w twarz. Kopniak, który zainkasowała w odpowiedzi, jeszcze bardziej ją rozwścieczył. Cofnęła się i uderzyła z

całej, sporej zresztą, siły. Bolało jak diabli. Uderzenie obróciło Kincaid, tak że odbiła się od ściany i upadła plecami do swojej prześladowczyni.

- Co ty wyprawiasz?! - krzyknęła Blondie. - Odejdź od niej!

Sadystka uderzyła ponownie, ciskając Jessicę niczym szmacianą lalkę na tył furgonu. Będzie miała podbite oko i cholerny ból głowy. Już niedługo.

Stojąca dwa metry od niej Cokie oznajmiła chępliwie: - To nauczy ją nie gryźć. Blondie nie dała się tak łatwo wykiwać. - Gdzie twój pistolet?

Kincaid wepchnęła skute nadgarstki pod biodra. Żeby przeładować trzymaną w dłoniach berettę tomcat, wycelować - na szczęście bez potrzeby odciągania kurka - i strzelić, musiała przenieść ręce spoza pleców przed siebie, czyli przesunąć je pod stopami. Skuliła się, zwijając w możliwie najciaśniejszą kulę. Nie mogła jednak ominąć stóp, trzymając pistolet.

Cokie sięgnęła do paska.

- Jest tu... W mordę! Kincaid wypuściła pistolet i z najwyższym wysiłkiem przepchnęła nadgarstki pod obcasy. Utknęły na gumowej podeszwie. Szarpnęła z całej siły, zdzierając skórę z przegubów.

- Ty durna lesbo! - krzyknęła Blondie, sięgając do kieszeni wiatrówki.

- To jej słowa, nie moje - powiedziała Kincaid. - Ręce do góry, dziewczęta.

Ręce miała wciąż skute, a krew spływająca z nadgarstków sprawiała, że beretta lepiła jej się do dłoni. Broń jednak znajdowała się teraz przed nią, ona sama klęczała na jednym kolanie oparta o tylne drzwi furgonetki. Wprowadziła nabój do komory, pstryknęła bezpiecznikiem.

- Rączki! Rączki! Ty tam, jedź dalej. Ręce na kierownicy, tak, żebym je widziała. Siostra zawahała się, obejrzała się na Blondie, oczekując rozkazu. Kincaid strzeliła w podłogę. W zamkniętym, blaszanym pudle furgonu rozległ się ogłuszający trzask. Dłonie Siostry błyskawicznie wyładowały na górnej części kierownicy. Blondie uniosła ręce do góry. Tylko Cokie zachowywała się tak, jakby była ponad to wszystko i niezdarnie szamotała się z pistoletem, próbując go wyszarpnąć z kabury pod pachą. Jessica w mgnieniu oka skierowała tępą lufę tomcata w stronę jej czoła.

Blondie zorientowała się, że Kincaid nie zawaha się nacisnąć na spust.

- Nie! - zawołała.

Rzuciła się na Cokie, przyciskając ją do podłogi i osłaniając własnym ciałem.

- Nie krzywdź jej - jęknęła błagalnie. - Nie strzelaj, proszę.

- Każ jej odłożyć broń.

- Nie odłożę! - wrzasnęła tamta. - Ona nie może mi tego kazać.

Blondie złapała twarz Cokie w uchwyt zgiętej w łokciu ręki i sięgnęła po broń, którą tamta do połowy wysunęła z kabury.

- Rzuć to! Zastrzelę was obie. Blondie pchnęła pistolet po podłodze w kierunku Jessiki i pokazała puste ręce.

- W porządku. W porządku. Nikt nie strzela. Tylko nie... - Siostra za kółkiem! Rzuć mi swoją broń. Duży, policyjny służbowy glock prześlizgnął się obok Blondie do miejsca, gdzie przykucnęła Kincaid.

- Zapasowy też! Nie popełń błędu; to byłby twój ostatni. Siostra powoli sięgnęła w dół. Pistolet z kabury na kostce poleciał w tył furgonetki.

- Twój pistolet z tłumikiem! - krzyknęła Jessica pod adresem Blondie. Wytlumiona beretta przesunęła się po wykładzinie.

- Gdzie zapasowy?

- Na kostce.

- Dawaj! Mała beretta jetfire podskoczyła na podłodze obok Kincaid.

- Przetnij kajdanki! A ty prowadź. Widzę obie ręce! Blondie bardzo powoli włożyła rękę do kieszeni, mówiąc:

- Przecinarke mam tutaj. Wyjmuję ją, ostrożnie. Kincaid rozpoznała fabryczną przecinarke do kajdanek jednorazowych.

- Podejdź bliżej. Każ przyjaciółce się nie ruszać. Stop! Wyciągnij rękę, druga za głowę. Tnij. Nożyk przecinarki gładko przeciął plastik wzmocniony metalowym rdzeniem.

- Rzuć to. Jessica przesunęła za siebie swoją kolekcję broni.

- Ty! Za kółkiem! Zjedź z drogi i zatrzymaj się na poboczu. Bardzo ładnie. Włącz światła awaryjne. Nie zdejmuj rąk z górnej części kierownicy. Kiedy furgon zwalniał, zjeżdżając z autostrady, Kincaid podniosła przecinarkę i usunęła z nadgarstków resztę kajdanek.

- Patrol drogowy zatrzyma się, żeby sprawdzić, co się dzieje - zauważyła Blondie.

- Marzę o spotkaniu z nimi - zełgała Kincaid. W rzeczywistości ostatnią rzeczą, jakiej sobie życzyła, była interwencja policji drogowej.

- Kto cię na mnie poszczuł?

- Jeden Afrykaner.

- Opisz go!

- Nigdy go nie widziałam. Zadzwoił, mój telefon wyświetlił zagraniczny numer, a on miał południowoafrykański akcent.

- Zadam ci ważne pytanie. Odpowiedź na nie już znam. Skłamiesz, to zastrzelę twoją przyjaciółkę.

- Dziewczyna uniosła broń na wysokość głowy Cokie. - Czego kazał ci szukać?

- Noża w twojej torebce.

- Gdzie w torebce?

- Na spodzie. Rozcięcia w dnie.

- Dobra odpowiedź. Teraz trudniejsze pytanie: Skąd wiedział, jak się do ciebie dodzwonić?

- Nie mam pojęcia.

- Chcesz, żebym uwierzyła, że porwałyście mnie na żądanie kogoś zupełnie obcego? Pożegnaj się z przyjaciółką.

- Nie! Nie. Dostał mój numer od ludzi, którzy mnie znają.

- Znają cię jako kogo?

- Jestem gliną.

- Co ty powiesz! Co to za ludzie? Kim są?

- No wiesz... - Blondie wzruszyła ramionami.

- To mafia.

- Mafia? - zdziwiła się Kincaid. Jak, do cholery, wielkie było to Security Referral?

- Ty, przy kółku, ręce na wierzch! Co znaczy: mafia? Włoska?

- Miejscowa. Z Sydney. Jeden z klanów kalabryjskich. Mają wyłączność na dystrybucję koki.

- Są jakoś powiązani z mafią europejską?

- Stamtąd sprowadzają towar, ale to bardzo luźna struktura, każdy klan działa na własny rachunek.

- A więc ten Afrykaner zna ludzi z miejscowej mafii kalabryjskiej, którzy wiedzą, że jesteś do kupienia?

- Zgadza się.

- Gdzie miałyście mu mnie przekazać?

- W Luna Park.

- Już mówiłaś. Gdzie w Luna Park?

- Przy samochodzie kempingowym na parkingu.

- W kajdankach! - wrzasnęła Cokie.

- Iz plastikowym sznurkiem pod ręką. Zwiąże cię i nauczy przyzwoitości. Ostrym i zimnym jak lód głosem Kincaid wycodziła:

- W mojej firmie obowiązuje zasada: Nikt niewinny nie może zostać postrzelony. Ale żadna z was nie jest niewinna. Niech ona się zamknie! Blondie chwyciła Cokie za rękę i próbowała ją uciszyć.

- Co?! - zawyła tamta. - Trzymasz jej stronę?! Blondie ujęła w dłonie pulchne policzki przyjaciółki, usiłując zajrzeć jej w oczy.

- Proszę, nie wariuj. Chociaż ten jeden raz.

- Nie wariuję!

- Proszę.

- Ona nie może zmusić mnie...

- Ona cię zabije. Nie chcę, żeby to się stało - błagała Blondie. - Pieprzyć ją. Pieprzyć to wszystko... Blondie zgięta w łokciu ręką chwyciła przyjaciółkę za szyję, wolną dłoń przycisnęła jej do ust. Ta spróbowała ją ugryźć. Blondie nacisnęła mocniej i tamta przestała się szarpać.

- Kierowca! - zawołała Kincaid.

- Jak daleko do Luna Park?

- Dziesięć minut. To tuż za mostem. Przez przednią szybę widziała światła mostu. Tworzyły na niebie gigantyczny łuk.

- Jazda!

- Dokąd?

- Do Luna Park!

Rozdział 24

- Do Luna Park? - z niedowierzaniem powtórzyła Blondie. Kincaid ponownie strzeliła w podłogę.

- Odjazd! Furgonetka wjechała na niemal pustą autostradę i przyspieszyła do stosownej prędkości. Kincaid patrzyła w lusterko wsteczne, z namysłem przyglądając się Siostrze. Glina czy nie, miała zastraszonego wyraz twarzy kogoś, kto robi, co mu się każe, z nadzieją, że będzie lepiej. Jessica przeniosła uwagę na liderkę.

- Pilnuj przyjaciółki.

- Trzymam ją. Blondie też była wystarczająco zastraszona, żeby nie podskakiwać. Kincaid sterroryzowała ją i złamała, ale teraz należało postawić ją na nogi. Blondie musiała odzyskać ikrę na tyle, by pomóc jej przyprzeć Sécurité Referral do muru.

- Okay, dziewczęta. Jak spróbujemy wygrzebać się z tego bagna?

- Co masz na myśli? - ostrożnie spytała Blondie.

- Ten gość z RPA próbuje mnie zabić. Wy złamałyście wszystkie możliwe australijskie prawa, starając się mu w tym pomóc. Jesteście jednak funkcjonariuszkami policji... Ujmę to precyzyjniej. Jesteście głupimi funkcjonariuszkami policji.

Niewiarygodnie głupimi. Ale nadal macie pewną przewagę nad cywilami. Co więc zrobimy, żebym się stąd bezpiecznie wydostała, a wy, żebyście nie spędziły reszty życia w więzieniu?

- Dobrze pytanie - stwierdziła Blondie, a w jej oczach pojawił się błysk nadziei.

- Jak się nazywasz? - zapytała Kincaid. - Wystarczy imię. Nie doniosę na ciebie, jeżeli mnie do tego nie zmusisz.

-Mary.

- Okay, Mary. Kto siedzi za kierownicą?

- Doris. - Doris, dobrze sobie tam radzisz. Nie przekraczaj dozwolonej prędkości. Mary, ta twoja napalona przyjaciółka, której głowę tak ładnie trzymasz, jak ma na imię?

- Wszyscy mówią na nią Mikie.

- Pieprz się! - wrzasnęła tamta.

- Mnie też miło cię poznać, Mikie. Okay, Mary, do roboty. Do kogo należy ten kamper?

- Nie wiem. Z udawaną cierpliwością Kincaid spróbowała inaczej.

- Jak wygląda?

- Toyota hilux, skrzynia biała, kabina niebieska.

- Co to za cudo ta toyota hilux?

- Czterolóżkowy kamper na podwoziu półciężarówki toyoty.

- Z łózkami do dymania ciebie! - wydarła się Mikie.

- Oddaj mi telefon - poleciła Kincaid. - Tylko powoli sięgaj do torebki, Mary... Dziękuję. I bransoletkę... Dziękuję. Zręcznie przekładając broń z ręki do ręki i nie spuszczać wzroku z trójki kobiet przed nią, włożyła bransoletkę, a telefon schowała do kieszeni.

- Teraz torebka. Mary znalazła ją za siedzeniem pasażera i rzuciła w miejsce wskazane przez Kincaid.

- I pierścionek.

- Nie ma, kurwa, mowy! - wrzasnęła Mikie. Jessica wykonała znaczący ruch bronią, Mary mocniej ścisnęła kark przyjaciółki. Ta zerwała pierścionek z palca i wykręciła się, żeby wyrzucić go przez okno po stronie kierowcy. Oberwała jednak w nadgarstek lufą beretty. Krzyknęła z bólu, a Kincaid podniosła upuszczony pierścionek. Lufa pistoletu ani na chwilę nie przestała wskazywać celu, kiedy pierścionek podarowany przez Jansona wracał na swoje miejsce na palcu Jessiki.

- Jak więc wygrzebiemy się z tego bagna? - powtórzyła.

- Nie wiem. Nie wiem. - Mary pokręciła głową.

- Powiadasz, że jesteś gliną, tak? W jakim stopniu?

- Detektyw sierżant.

- To i dobrze. A Doris? Ty też jesteś gliną, co, Doris?

- Tak - przez zaciśnięte usta mruknęła kierująca furgonem.

- W jakim stopniu? - Starszy konstabl. -A co z Mikie?

- Nie, kurwa, nie ma mowy - oznajmiła Mikie.

- Tak myślałam. Okay. Jesteś, Mary, detektywem sierżantem. Doris jest starszym konstablem. Dlaczego nie aresztujecie tego Afrykanera?

- Mamy go aresztować? Żarty sobie ze mnie robisz? Za wiele byłoby pytań, gdybym wprowadziła go na posterunek.

- Czy ja mówię, że masz go prowadzić na posterunek?

- 33°51'08" S, 151°12'38" E - odczytał Janson z wyświetlacza satelitarnego Iridium. Zgubił sygnał naprowadzający GPS-u Kincaid, kiedy rozładowała się bateria. Nagle sygnał wrócił. Na wyświetlaczu jego telefonu pojawiły się koordynaty geograficzne miejsca, w którym znajdował się swatch partnerki.

Google Earth wyświetlił znacznik na środku Harbour Bridge.

Janson widział most czterysta metrów przed sobą - ciemny łuk, niczym grzbiet symetrycznego stegozaura. Coś poruszyło się na jego szczycie, tuż poniżej powiewających na wietrze flag: turyści przypięci do liny zabezpieczającej odbywali popularną wycieczkę zwaną Wspinaczką na Most. Ich sylwetki wyraźnie odcinały się

na tle rozświetlonych chmur. Gramolili się po stromiznie łuku niczym szereg niewolników.

Potem koordynaty GPS-u zniknęły z wyświetlacza. Jej bateria znów padła albo urządzenie zostało zablokowane.

- Zatrzymaj! - rozkazała Jessica. Taki dobry pomysł, a wziął w łeb, zanim wjechali do Luna Park.

- Co się stało? - zapytała Doris.

- Przeczytaj. Nad drogą dojazdową wisiała na łańcuchach biała tablica z napisem:

MAKSYMALNA WYSOKOŚĆ POJAZDU 1,9 METRA

- Nie jesteśmy tacy wysocy.

- Ale kamper na podwoziu półciężarówki jest. Nie wjedzie tutaj. Kto mu powiedział, że się zmieści?

- Mikie.

- Któż by inny... - Jessica myślała intensywnie.

- Zawróć, Doris. Wróć do miejsca, gdzie droga biegnie pod wjazdem na most. Objedziemy teren. Musi czekać w pobliżu. Krążyli przez pięć minut. Nagle Mary odruchowo sięgnęła do paska.

- Twój telefon?

- Tak. Ustawiony na wibrowanie.

- Sprawdź, czy to on. Mary odwróciła telefon tak, by Kincaid widziała wyświetlacz. NIEZNANY.

- Odbierz. Jeśli to on, przekaż mu, że czekamy w miejscu, gdzie droga biegnie pod wjazdem autostrady na most. Tam, przy tych schodach.

Widzisz? Doris skierowała furgon ku schodom. Były zagrodzone przenośną barierką na kołach opatrzoną informacją, że przejście zostało zamknięte ze względu na modernizację i renowację mostu. Przechodniów kierowano na ścieżkę rowerową. - Powiedz mu, że jesteśmy tutaj, Mary. Niech przyjedzie.

- Halo? - odezwała się Mary. Słuchała przez chwilę, spojrzała na Kincaid i skinęła głową. - Tak, przepraszam. Jesteśmy tu... Tak, zorientowałam się, że się nie zmieścisz. Parkujemy na drodze u podstawy schodów na most... Nie. Za garażem pomocy drogowej. Nie, nikogo w pobliżu nie ma. Schody są zamknięte z powodu modernizacji. Wszystko gra. Wsadzenie jej do twojego wozu potrwa sekundę.

- Wyłączyła telefon. - Pięć minut.

- Jak dobre jesteście wy dwie? To naprawdę twardy facet.

- Potrzebna nam broń - rzekła Mary. - Jasne. Patrząc w oczy australijskiej skorumpowanej policjantki, Kincaid wyjęła magazynki z policyjnych pistoletów, wyrzuciła naboje z komór, opróżniła magazynki i wsunawszy je na miejsce, rzuciła broń policjantkom.

- Jest na tyle silny, że może zerwać wasze jednorazowe kajdanki. Macie stalowe?

- Tak.

Kincaid widziała, że obie kobiety wewnętrznie zbierają się w sobie, gotując się do akcji - twarde uliczne policjantki nakręcające się przed dokonaniem aresztowania. Świetnie. Zepsute do szpiku kości, ale nadal dobre w swojej robocie.

- Skujcie mu nogi i ręce. Wrzucicie na tył kampera. Przykujcie do czegoś, czego nie będzie mógł urwać. Stamtąd go zabiorę.

- I puścisz nas wolno?

- Jeśli nie spieprzycie sprawy.

- A co z kasą, którą miał nam odpalić? - zapytała Mikie.

- Chodź tu, Mikie. Chcę ci coś pokazać.

- Co? - Cofnij ręce za plecy. Podejdz bliżej. Spójrz na to. - Kincaid rąbnęła ją w skroń rękocięciem tomcata i tamta, nie wydawszy dźwięku, runęła jak kłoda.

- Po co to zrobiłaś?! - zawołała Mary. - Żeby nie spróbowała spieprzyć akcji, byle tylko zobaczyć mnie martwą.

- Dobry ruch - przyznała Doris. - Jedzie. Przez otwarte okno po stronie kierowcy Jessica obserwowała policjantki dokonujące najzupełniej profesjonalnego aresztowania.

Zaczekały, aż Van Pelt wysiądzie z szoferki kampera, wtedy błysnęły odznakami i wyciągnęły broń. Kincaid zgadywała, że Afrykaner uznał, iż padł ofiarą policyjnej prowokacji, toteż nie stawiał oporu. Ze zrezygnowanym wyrazem twarzy człowieka, który wie, że nim minie kilka godzin, dobrze opłacani adwokaci wyciągną go z kłopotów, posłusznie odwrócił się i oparł dłonie na masce toyoty. Doris, nie zbliżając się zbyt, kopnięciem rozsunała mu nogi i wycelowała weń nienaładowany pistolet. Mary obszukała najemnika, znalazła pistolet w kaburze na brzuchu i drugi na plecach. Kolejny dowód, pomyślała Jessica, wszechobecności struktur Sécurité Referral. Chwilę po przejściu kontroli na lotnisku ich człowiek już dysponował bronią.

Kincaid uniosła pistolet, bo Mary miała teraz w dłoni naładowaną broń, ale australijska detektyw kontynuowała procedurę aresztowania, jakby to była zwykła policyjna akcja. Zatrzasnęła kajdanki na lewym przegubie Van Pelta i kazała mu skrzyżować ręce. Posłuchał i zsunął obandażowaną rękę z maski wozu. Policjantki czuły się już bezpieczne, tymczasem właśnie nadszedł najniebezpieczniejszy moment akcji.

- Uwaga! - krzyknęła Kincaid.

Południowoafrykański najemnik jakby eksplodował. Błyskawicznie wyprostował ręce i rozkładając je szeroko, powalił na ziemię obie policjantki, by natychmiast rzucić się ku leżącym na chodniku swoim pistoletom.

Kincaid strzeliła przez okno, ale Van Pelt nadal znajdował się w ruchu, a poza tym tomcat to zbyt mały pistolet, by oddać z niego celny strzał na większą odległość. Afrykaner poczuł jednak na twarzy podmuch przelatującego obok pocisku i zaskoczony niespodziewanym ostrzałem ze strony furgonetki, zrezygnował z odzyskania własnej broni, porwał jeden z upuszczonych przez policjantki glocków i skoczył za wóz kempingowy. Nim Jessica wysiadła z furgonetki, najemnik Sécurité Referral przeskoczył barierkę i pognał schodami w górę na Harbour Bridge.

Rozdział 25

Przesadziła barierkę i pobięła za Van Peltem, skacząc po dwa stopnie naraz.

Kiedy w OPKON-ie zaliczono ją do rzędu wyróżniających się fachowców i powierzono nabór nowych agentów, zawsze ostrzegała kobiety, że muszą sobie zdawać sprawę z pewnej swojej istotnej ułomności. „Możemy być szybsze niż mężczyźni - mówiła - i bardziej spostrzegawcze, ale jesteśmy niższe”. I teraz ta prawda mściła się na niej.

Agent SR był od niej wyższy o dobre trzydzieści centymetrów i nie ustępował jej kondycją. Kincaid wspinała się po dwa schody naraz, Van Pelt po trzy, cztery, tak że powiększał dystans między nimi, jakby stała w miejscu. Dotarłszy na szczyt schodów, już go nie widziała. Stała na chodniku ogrodzonym metalową siatką zwieńczoną potrójnym drutem kolczastym, który miał powstrzymywać samobójców.

Wspięła się na poręcz, żeby dalej sięgnąć wzrokiem. Było jasno niemal jak w dzień. Płyta mostu i kamienne podpory stalowego łuku zalewało światło. Jego olbrzymi zarys zwieńczony dwiema wielkimi chorągwiami wyznaczały potężne lampy. Nisko wiszące chmury odbijały światła miasta. Trzymając się siatki, przebiegła wzrokiem sześciopasmową jezdnię o szerokości około pięćdziesięciu metrów. Samochodów zauważyła niewiele; jednym z dwóch biegnących mostem torów kolejowych jechał pociąg. Po ścieżce rowerowej śmigali rowerzyści. Przeciwny chodnik otwarty był dla ruchu. Płot wyglądał okazale, Van Pelt prawdopodobnie nadal znajdował się po tej samej stronie ulicy. Ale w jakim biegł kierunku? Nad wodą, ku Central Business District czy...

Tam!

Widoczny w świetle lamp wiszących na wieży podpory, znajdował się w miejscu, gdzie łuk mostu zaczynał się wznosić ponad wody zatoki, i biegł w kierunku miasta.

Chodnik był w zasadzie zupełnie prosty, ale nie bez powodu wyłączono go z ruchu: Van Pelt co chwilę zniknął Kincaid z oczu za szopami ze sprzętem budowlanym, rusztowaniami i stosami rupieci. Tam! Znow go zobaczyła. Sprawa była jednak beznadziejna; wciąż się od niej oddalał. Od Central Business District dzieliło go ledwie półtora kilometra. Dotarłszy do schodów na tamtym brzegu zatoki, zniknie w mieście, zanim ona przebiegnie most.

Nagle się zatrzymał. Jessica przyspieszyła i zdołała skrócić dzielący ich dystans o połowę. Z przodu widziała migające niebieskie światło. Dokładnie na linii chodnika. Policja? Wyglądało na to, że tak właśnie sądził Van Pelt. Wskoczył na poręcz i zaczął się wspinać po siatce.

U szczytu, tam gdzie siatka zaginała się do wewnątrz, chwycił drut między kolcami, uniósł nogę wysoko niczym akrobata, podciągnął się i stanął na drucie. Wymachując rękami dla utrzymania równowagi, balansował blisko siedemdziesiąt metrów ponad czarną powierzchnią wody, a następnie wciągnął się na dźwigar nad sobą i zniknął w stalowej sieci łączników, rozpór, płyt i złączy tworzących niezliczone stalowe trójkąty, z których składała się kratownica kształtująca łuk.

Migające światło zbliżało się i Jessica spostrzegła, że to dwuosobowy policyjny patrol rowerowy. Musiała natychmiast coś przedsięwziąć, zanim ją zauważą. Wzorem ściganego wspięła się na ogrodzenie, wwindowała na najwyżej zawieszony rząd drutu kolczastego i wykorzystując jego sprężystość skoczyła ku kratownicy.

Krawędź znajdowała się dość daleko, ale Jessice udało się uchwycić ją palcami. Stalowy kątownik okazał się jednak świeżo malowany, śliski, tak że straciła uchwyt i zaczęła zsuwać się do tyłu. W ostatniej chwili dostrzegła stalową tabliczkę z informacją o zakazie wspinania się na łuk mostu. Złapała się jej z całych sił i wciągnęła się na dźwigar.

W stalowym labiryncie zaskoczyła ją dziwna cisza i ciemność. Między rozpory i płyty wpadały tylko pojedyncze promienie światła, na elementach konstrukcji tańczył wyolbrzymiony jej własny cień.

Nagle wysoko nad sobą usłyszała pospieszny tupot kroków dobiegający z wewnętrznych metalowych schodków prowadzących zygzakiem w górę słupa. Kincaid odszukała je i ruszyła w górę. Schodki były wąskie, miejscami przechodziły w stalową drabinę.

Jessica przypuszczała, że Van Pelt bierze ją za gliniarza wspierającego koleżanki. Jeśli uwierzył, że wpadł w policyjną zasadzkę, musiał zakładać, że wkoło roi się od policjantów. Tak to przynajmniej wyglądało. Nie tracił nawet czasu na oglądanie się za siebie. Im dłużej pozostanie w tym przekonaniu, tym lepiej. Zdziwi

się, kiedy zobaczy, kto go ściga. Następną niespodzianką będzie odkrycie, że trzyma nienaładowaną broń.

Słyszała tupot jego stóp na metalowych płytach. Schody okazały się tak wąskie, że drobniejsza postura dawała jej teraz pewną przewagę. Wspinała się szybciej od niego. Słyszała, jak krzyknął z bólu, zapewne uderzywszy głową w wystający stopień lub jeden z wielu sterczących ze słupa kawałków stali. Sama się paskudnie podrapała, biegnąc do kolejnego odcinka schodów, ale nie zwalniała w obawie, że najemnik ucieknie.

Jej oczy przywykły już do mroku albo tu, wyżej, kratownica miała mniej wsporników i do wnętrza słupa docierało więcej światła. Schody znów zastąpiła drabina. Pokonawszy ją, wbiegła na następny odcinek schodów i okrążyła ciasny narożnik z przynitowanych do rozpór stalowych płyt. Stał tam Van Pelt z lewą ręką przyciśniętą do tułowia, w klasycznej pozycji strzelca chroniącego najważniejsze żywotne organy. W prawej dłoni trzymał glocka wycelowanego w jej twarz.

Sięgnęła po pistolet, który schowała do kieszeni, by obie ręce mieć wolne podczas wchodzenia po drabinach.

Sięgnęła po pistolet, który schowała do kieszeni, by obie ręce mieć wolne podczas wchodzenia po drabinach.

Dwukrotnie nacisnął spust.

- Następnym razem sprawdź, czy masz naboje, palancie. Afrykaner w jednej chwili otrząsnął się z szoku wywołanego brakiem amunicji.

- Myślisz, że możesz mnie zatrzymać czymś takim? - zapytał i rzucił się na nią.

- Przestrzelone kolano cię zatrzyma - odrzekła, starając się nieruchomo trzymać mały pistolet. Dłonie znów miała mokre od krwi płynącej z nadgarstków. Strzeliła dwa razy, celując w kolano. Krzyknął z bólu, ale zdołał spod ramienia cisnąć w nią pistoletem. Uchyliła się, toteż zawadził tylko o czubek jej głowy. Nie zdążyła wypalić kolejny raz, bo Van Pelt uskoczył za następny narożnik i znów wbiegł na schody.

Wiedziała, że trafiła, ale na pewno nie w kolano, bo wtedy by tak nie biegł. Poślizgnęła się na czymś mokrym i upadła. Podnosząc się, stwierdziła, że to krew, jego tym razem. Nie ucieknie daleko.

Nagle skończyły się i schody, i drabiny. Spojrzała w górę i ujrzała rozjarzone światłami miasta niebo, a na jego tle sylwetkę uciekiniera wspinającego się po niby-drabinie z trójkątów tworzących filar. Wiatr gwizdzący dotąd w załomach konstrukcji nagle ucichł, tak że słyszała jego wysilony oddech. Wspinał się jednak szybko, odniesiona rana najwyraźniej nie potrafiła go powstrzymać. Ona zaś nie dostrzegła możliwości oddania pewnego strzału poprzez gąszcz stalowych kształtowników.

Na powrót schowała broń do kieszeni, między elementami kratownicy wymacała punkty oparcia dla dłoni i czubków stóp i zaczęła się wspinać za Afrykanerem. Coś zalało jej oczy. W pierwszej chwili pomyślała, że to jego krew, ale nie, to jej własna krew ściekała po włosach. Przetarła twarz rękawem i wspinała się dalej, jej oddech z wysiłku robił się coraz krótszy.

Posłyszała jakieś głosy. Liczne głosy. Czyżby miała halucynacje? Brzmiało to jak głosy nawołujących się ludzi. Nie policjantów w pościgu, ale bawiących się ludzi. Przesłyszała się? Ale przecież wiedziała, że boli ją głowa, że ciężko oddycha, coraz bliżej głodu tlenowego, że wspina się ręka za ręką, stopa za stopą, niczym Spiderman, tylko bez pajęczego soku, który czynił go silniejszym od ludzi. Spoko! Trzymaj się!

Skoncentrowała się na wysiłku dźwignia ołowianych rąk i nóg w równym rytmie, jednocześnie starając się zachować czujność na wypadek kolejnej zasadzki. Musiała pamiętać o spoglądaniu w górę. Wysoko nad nią ścigany jakby wyłaniał się z wody. Dotarł do szczytu. Ponownie usłyszała głosy - tym razem okrzyki przerażenia, krzyk bólu, a potem tupot znów biegnącego Van Pelta.

Osiągnęła szczyt słupa i wciągnęła się na wąski, smagany wiatrem pomost. Za nią łuk mostu opadał w dół. Usłyszała krzyki. Odwróciła się i spojrzała w górę. Krzywizna łuku pięła się jeszcze ku niebu. Między nią a wierzchołkiem znajdowało się ośmioro ludzi w identycznych kombinezonach. Na głowach mieli radiotelefony i przypięci byli do liny biegnącej obok pomostu. Wspinaczka na most, uświadomiła sobie.

Wycieczki połączone ze wspinaczką na most w Sydney reklamowane były w samolocie i na lotnisku. Grupy turystów prowadzono na szczyt mostu, by nacieszyli się oszałamiającym widokiem i napstrykali sobie zdjęć panoramy pięknego miasta.

Dwaj z nich leżeli teraz nieprzytomni na pomoście, powaleni przez uciekiniera. Przepchnął się obok nich i biegł w stronę szczytu.

Jakaś dziewczyna zauważyła Kincaid i wrzasnęła:

- Tam jest drugi! Jessica biegła prosto na grupę turystów, wskazując, z której strony zamierza ich minąć, i przekrzykując wiatr, wołała rozkazująco:

- Z drogi! Turyści usunęli się, poruszeni widokiem zdeterminowanej kobiety o zlanej krwią twarzy. Przemknęła obok nich. Widziała najemnika niespełna dwadzieścia metrów przed sobą. Biegł jak wiatr. Sukinsyn czuł się już chyba zupełnie pewnie, biegł szybko, całkiem swobodnie, rana mu nie doskwierała i znów korzystał z przewagi, jaką mu dawał wyższy wzrost. Nagle między nim a szczytem pojawiła się kolejna grupa wspinaczy. Jeden z turystów krzychał coś do radiotelefonu. Van Pelt bez wahania zeskoczył z pomostu na prostopadły do niego dźwigar i balansując kilkadziesiąt metrów nad jezdnią i torami kolejowymi pobiegł ku przeciwległemu łukowi.

Kincaid poszła za jego przykładem. Znow czuła się na fali. Miała lepsze poczucie równowagi, mogła szybciej biec po dźwigarach. W gruncie rzeczy im szybciej biegła, tym łatwiej było jej zachować równowagę. Musiała tylko uważać, żeby niechcący nie trać stopą w pustą przestrzeń między kształtownikami. Van Pelt wolniej wybierał drogę, chwilami kuśtykał niepewnie, sztywniejac jak ktoś obawiający się upadku. Znajdowała się ledwie siedem metrów za nim, kiedy dotarł do łuku i wgramolił się na pomost. Miał przed sobą wolną drogę. Między nim a wierzchołkiem łuku nie było żadnych przeszkód, a kiedy ruszy w dół krzywizny, pobiegnie jeszcze szybciej. Jessica doszła do pomostu, przelazła przez poręcz i rzuciła się za nim.

U wierzchołka łuku pojawiła się pojedyncza ludzka sylwetka.

Kincaid zamrugła, całkowicie zbита z tropu. Dyszała ciężko, na wpół oślepią spływającą na oczy krwią. Głosy turystów, które usłyszała po tamtej stronie mostu, wydały jej się niesamowitą halucynacją, ale to, co - jak się zdawało - widziała teraz, było jeszcze dziwniejsze. Pochylona nad przenośnym telefonem, wpatrująca się przez druczane okulary do czytania w wyświetlacz jaśniejący żółtym blaskiem Google Maps,

samotna postać sprawiała wrażenie zwiedzającego most turysty! Wyglądał, jakby zgubił się, odłączył od grupy na szczycie wznoszącym się sto pięćdziesiąt metrów ponad Sydney Harbour. Na dźwięk szybkich ich kroków podniósł wzrok znad telefonu i zdjął okulary, jakby chciał wyraźniej widzieć rosnącego Afrykanera szarżującego wąskim pomostem prosto na niego. Wsunął okulary do kieszeni, do innej telefon i stanął wyprostowany.

- Janson!

Widok jego niewinnych okularków i szerokich ramion podziałał na jej ręce i nogi niczym zastrzyk adrenaliny. Nie ma mowy, żeby pozwoliła ubiec się partnerowi. Ostatkiem sił przyspieszyła, szykując się do finałowego skoku ku kostkom Van Pelta.

Najemnik wysunął do przodu prawe ramię niczym taran. Z jego ust wyrwał się groźny okrzyk, dziki ryk zagłady. Lewą ręką jak kafarem zadał miażdżący cios, wzmocniony jeszcze pędem ciała.

Paul Janson wślizgnął się do wewnątrz łuku, jaki zatoczyła pięść najemnika, i Kincaid zrozumiała, że przegrała wyścig. Musiała jednak przyznać, że tradycyjny bokserki cios, jaki jej partner wybrał ze swojego arsenału środków walki wręcz, cechowało groźne piękno. Dzięki synchronizacji pracy nóg, obrotu bioder i bezwładności ciała, dłoń, którą schował telefon do kieszeni, teraz zwinięta w pięść, wystrzeliła do przodu z precyzyjnie ukierunkowaną energią. Szybko jak płomień, płynnie i gładko najkrótszą drogą pokonała dystans do celu, by z paskudnym trzaskiem trafić w szczękę biegnącego mężczyzny, wyrzucając go w powietrze aż poza poręcz.

Najemnik SR runął w dół z okrzykiem krańcowego zdumienia.

Opadał ku powierzchni wody, wirując w blasku świateł zdobiących łuk i oświetlających autostradę na płycie mostu, znoszony przez wiatr niczym latawiec. Pokonanie stu pięćdziesięciu metrów zajęło Van Peltowi pełne siedem sekund.

Zgięta w pół Kincaid wysapała: - A prawie go miałam.

Janson zaśmiał się, acz nieco oszołomiony, tak wielką odczuł ulgę na widok Jessiki całej i zdrowej

Co, do diabła, zamierzałaś z nim zrobić, kiedy go dogonisz? Był od ciebie cięższy o dobre pięćdziesiąt kilo. - Miał nienaładowany pistolet... Słodki Jezu, spójrz na tego skurwiela. Spadający Van Pelt przeleciał przez ostatni pas światła i wtedy obrócił się, wykonał w powietrzu salto i z rękami wyciągniętymi nad głową czysto wbił się stopami w ciemną powierzchnię wody. Janson złapał telefon, wyłączył Google Maps i wcisnął „redial”. -...znowu ja. Pewien człowiek skoczył z Harbour Bridge, z samego środka. Czysto wszedł do wody stopami do dołu, mógł więc przeżyć...

Wysoki blondyn, barczysty, prawa ręka w bandażach. Będę wdzięczny za potwierdzenie. - Zwrócił się do Jessiki: - Mój przyjaciel z australijskiej Crime Commission mówi, że od kiedy Sydney poradziło sobie z problemami zanieczyszczenia środowiska, do tutejszych wód wróciły rekiny. Twój chłopak wskoczył właśnie do zatoki pełnej żarłaczy, tępogłowych i białych.

- Biedne rekiny. - Jest już patrol wodny. - Dobrze. Tym razem chcę zobaczyć ciało. Błyskając niebieskimi światłami, dwie łodzie wystartowały jednocześnie z północnego i południowego brzegu Sydney Harbour, zmierzając ku środkowi zatoki, pomiędzy Milsons Point i Central Business District szerokiej na półtora kilometra. Janson podał partnerce wyjętą z kieszeni wiatrówki buteleczkę wody mineralnej. Przyjęła ją z wdzięcznością i kiedy piła zachłannie, zwilżył śliną chusteczkę i wytarł jej krew z twarzy.

- Wyrzuc ten pistolet, na wypadek gdybyśmy napatoczyli się na gliniarzy. Posłusznie wrzuciła tomcata Mikie do zatoki.

- Dokąd teraz?

- Do Canberry. Kumpel z Crime Commission wytropił doktora Flannigana wśród uczestników grupowej wycieczki z biura podróży. Moi ludzie obserwują hotel, w którym przebywa. Ruszyli w dół łuku, bok w bok, trącąc się ramionami niczym para wracająca do domu z późnonocnej randki.

- Paul? Z powodu napierającego wiatru Janson pochylił się ku niej blisko.

- Co tam?

- Czy nie sądzisz, że SR zadaje sobie zbyt wiele trudu, żeby się zemścić? Mieli przygotowany cały złożony plan przygwożdżenia mnie.

I jeszcze to, co wyrabiali z naszymi telefonami. Żaden profesjonalista nie marnuje tyle energii i środków na zemstę.

- Mogli to robić dla pieniędzy. A co, jeśli ktoś wynajął SR, żeby nas upolowało?

- Kto?

- Ten, kto wynajął SR do polowania na doktora.

- Ale dlaczego? Janson rozważał tę kwestię, od kiedy SR włamało się do jego telefonów.

- Najwyraźniej komuś zagrażamy.

- Przyjęliśmy zlecenie schwywania Ibogi. To zagraża jemu i SR.

- Tak, ale Iboga nie dysponuje odpowiednimi środkami, żeby się do nas dostać.

- Za to SR i owszem, jak cholera.

- Za to SR i owszem, jak cholera.

- Tak, ale co, jeśli SR jest w gruncie rzeczy tym, czym się wydaje: ekipą płatnych zabójców wykonującą zlecenie?

- Jak my. - W zasadzie tak - zgodził się Janson.

- Ferdinand Poe płaci nam za złapanie Ibogi, a ASC za ratowanie doktora. SR ktoś płaci za ochronę

Ibogi i zabicie doktora.

- Myślisz, że zagrażamy tym samym ludziom, którym zagraża doktor?

- Myślę to, co myślałem przez cały czas. Możemy upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu, jeśli tylko dorwiemy doktora. Nawet jeśli nie zna swoich prześladowców, na pewno się domyśla, dlaczego na niego polują. Wiedząc to, wrócimy po śladach i ustalimy, kim oni są.

Rozdział 26

- Wypożyczyłam rower - oznajmiła blondyneczka, kiedy doktor zadzwonił do niej na komórkę. Miała zdyszany głos małej dziewczynki, co brzmiało bardzo ekscytująco. Słyszając pierwsze słowa Terry'ego, gwałtownie nabrała powietrza niczym nastolatka. - Canberra to najcudowniejsze miasto dla rowerzystów. Ja jeżdżę codziennie. Ale miałam przeczucie, że dzisiaj zadzwonisz, więc do koszyka włożyłam wszystko, co potrzebne na piknik.

- Właściwie to niezupełnie jestem w formie do uprawiania kolarstwa - przyznał Flannigan. Był ortodoksyjnym wyznawcą zasady, że należy uprzedzać młode kobiety, by nie spodziewały się zobaczyć zbyt wiele, kiedy zdejmie koszulę.

- Tu nie ma żadnych wzniesień. Tylko płaskie, fantastycznie łatwe ścieżki. Biegną wokół jezior i daleko, daleko za miasto. Są tam takie ciche miejsca, gdzie można leżeć w trawie zupełnie samemu.

- Kiedyś jeździłem na rowerze - odparł. Miał nadzieję, że do wszystkiego, co potrzebne na piknik, zalicza się także koc. - Gdzie jest ta wypożyczalnia?

Udzieliła mu wskazówek i poleciła dojechać wzdłuż jeziora w odosobnione miejsce, gdzie mogliby się spotkać. Zupełnie jakby rozumiała, że jego sprawa z panią senator może potrwać dłużej niż ich piknik, i nie była temu przeciwna.

Z uroczego mieszkania w domku szeregowym - jego właścicielka aż do późnego popołudnia miała przewodniczyć posiedzeniu jednej z komisji parlamentarnych - pojechał taksówką do parku, po krótkim spacerze trafił do wypożyczalni rowerów, gdzie dano mu rower, kask i mapę.

Okazało się prawdą stare powiedzenie, że nie zapomina się umiejętności jazdy na rowerze. Po chwiejnych pierwszych stu metrach pedałowemu mu się już całkiem dobrze. Umówione miejsce spotkania znajdowało się co prawda tylko w odległości kilometra, ale mimo to naraz mógł się cieszyć przejażdżką. Słońce, rześki wiaterek, prawdziwie atrakcyjny park z połyskliwymi jeziorkami, trawnikami i drzewami oraz pyszny widok tabunów urodziwych kobiet na rowerach, odzianych w krótkie spódniczki albo obcisłe dżinsy - wszystkie te rozkosze zdezaktualizowały się nagle, kiedy skręcił na ścieżkę biegnącą bliżej wody.

Niczym para atakujących wilków znikąd pojawili się Annie Oakley i Ściana, zagradzając mu drogę. Złapali go w uścisk twardych rąk, nim zdążył pomyśleć o

ucieczce. Ściana nie wydawał się tak duży bez swojego maskującego munduru, ale dość duży, by bez wysiłku przerobić go na mielonkę. Mała Annie wyglądała tak, jakby brała udział w knajpianej bójce: przeciwsłoneczne okulary przysłaniały podbite oko, głowę miała zabandażowaną, na nadgarstkach głębokie zadrapania.

- Nie bój się - powiedziała. - Jesteśmy po twojej stronie.

- Wcale się nie boję - skłamał. Odczuwał takie przerażenie, że twarz mu zlodowaciała, jakby odpłynęła z niej cała krew. Ściana zauważył to i dodał uspokajająco:

- To nie my próbujemy pana zabić. Ochronimy pana. Te deklaracje brzmiałyby wspaniale, gdyby był dość głupi, aby w nie uwierzyć.

- Jak mnie znaleźliście?

- Turyści z pańskiej wycieczki zauważyli, że pani senator poczuła do pana miętę.

- Czego chcecie?

- Chcemy całego i zdrowego dostarczyć pana bezpiecznie do centrali ASC w Houston. Jak tylko pańscy pracodawcy zobaczą, że pan żyje i ma się dobrze, będzie pan mógł odejść, dokąd pan zechce. Nikt pana nie skrzywdzi.

- Albo mnie okłamujecie - rzekł Flannigan - albo ktoś okłamuje was.

- Co masz na myśli? - zapytała kobieta. - Nie pracuję dla ASC.

Annie i Ściana wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

- Nie pracowałem dla nich od pięciu lat.

- To nieprawda - powiedziała kobieta. - Przecież byłeś na pokładzie Amber Dawn, kiedy rebelianci z RWF zaatakowali statek.

- No cóż, to wiele wyjaśnia - oznajmił doktor, czując maleńki przypływ nadziei.

- To znaczy?

- Teraz wiem, że nie kłamiecie. Mężczyzna postąpił krok w jego stronę.

- Czy może pan wyjaśnić... A przy okazji, doktorze, spędziliśmy nieco czasu w swoim towarzystwie, ale nigdy nie poznaliśmy swoich imion. Wiemy, że jesteś Terry.

Ja jestem Paul, to jest Jesse. Paul wyciągnął rękę. Flannigan ją uściskał i dostrzegł nieco ciepła w czujnych oczach Jansona.

- Byłeś na statku, prawda?

- Tak, ale ASC nie miała o tym pojęcia.

- Tak, ale ASC nie miała o tym pojęcia.

- Co? - Spojrzenia, jakie teraz wymienili, zderzyły się jak dwa laserowe promienie.

- Nikt nie wiedział, że byłem na statku.

- Co ty opowiadasz? - warknęła Jesse.

- Płynąłeś na gapę?

- Raczej złapałem okazję. Narobiłem sobie troszkę kłopotów w Port Harcourt. Musiałem wynosić się z miasta. Kapitan Amber Dawn była moją przyjaciółką. Przemyciła mnie na pokład i ukryła w swojej kabinie. Powtarzam: nikt nie wiedział, że jestem na statku.

- Nikt?

- Wylaliby ją. W jaskrawy sposób złamała wewnętrzne przepisy spółki.

- Dlaczego wcześniej nam tego nie powiedziałaś?

- Zabito wszystkich, którzy znajdowali się na statku. Jak mogłem wam zaufać? Jak mógłbym zaufać komukolwiek? Wesoło zabrzczał dzwonek rowerowy. Flannigan spojrzał wzdłuż ścieżki prowadzącej do jeziora. I oto stała tam jego przyjaciółeczka, nawet ładniejsza, niż zapamiętał, i przerażająco młoda. Paul i Jesse mieli go pewnie za obleśnego dziada, pomyślał, głośno zaś rzekł:

- Mogę przeprosić na sekundę? Zaraz wracam. Muszę przywitać się z tą panią. Przenikliwymi spojrzeniami obrzucili blondynkę, zwracając uwagę na jej nieśmiały uśmiech i piknikowy koszyk przymocowany do kierownicy.

- Zaczekaj - rzucił Paul, stając między nim a dziewczyną. Jesse podeszła do niej z uśmiechem.

- Hej! Jesteśmy odpowiedzialni za bezpieczeństwo tego dżentelmena. Pozwoli pani, że sprawdzę, czy nie ma pani broni?

- Broni? Czy z nim wszystko w porządku?

- Nic mu nie dolega. I właśnie chcemy mieć pewność, że tak pozostanie. To potrwa tylko chwilkę, jeśli pani pozwoli. Kincaid przejrzała ubranie dziewczyny i piknikowy koszyk. Znalazła w nim sztucce, ale były to jednorazowe, plastikowe widelce i noże.

Skinęła głową w stronę Jansona. Ten zwrócił się do Flannigana:

- No, Terry, będziesz musiał przełożyć randkę na inny termin.

- Jesteś kobietą - powiedział w zamyśleniu Janson. Razem z Kincaid obserwowali doktora, który tuż poza zasięgiem głosu wyjaśniał blondynce sytuację.

- Owszem, Paul, jestem.

- Czy możesz mi wytłumaczyć, jak to się dzieje, że kobiety szaleją za facetem o takim wyglądzie? Żona intendenta, stewardesa, pani senator, że nie wspomnę o biednej kapitan Amber Dawn. A teraz ta mała seksbomba. Okay, to prosta smarkula, ale taka kobieta jak pani senator powinna mieć więcej rozumu, nie sądzisz? Chodzi mi o to: czy uważasz, że jest pociągający?

- Zależy, co rozumiesz przez „pociągający”.

- Wystarczająco pociągający, żeby z nim uciec.

- Zobacz, jak on z nią rozmawia. Jakby oczami, uszami, każdym porem skóry był z nią, akceptował ją. Kiedy taki facet pragnie być z kobietą, jest z nią bez reszty.

- A więc kobiety chcą pozostawać w centrum uwagi?

- Tego im brakuje... Ale w Terry'm jest jeszcze coś, co daje się lubić. W gruncie rzeczy jest człowiekiem godnym zaufania. I w pewien sposób smutnym... Co...? Paul Janson już był w ruchu.

Rozdział 27

Kincaid popędziła za nim. Poruszał się tak szybko, że w jednej chwili dopadł tamtej pary, uderzył otwartą dłonią, łamiąc dziewczynie nadgarstek, nim zdążyła po raz drugi pchnąć Flannigana sztyletem wyciągniętym z kierownicy roweru.

Nadbiegająca za Jansonem Kincaid rzuciła ją na ziemię miażdżącym ciosem łokcia w kość policzkową tuż pod kaskiem. Gorączkowo rozglądała się za wsparciem zabójczynie. To musiał być snajper. Na drzewie w odległym o siedemset metrów ogrodzie na przeciwległym brzegu jeziora. Albo koło muzeum na skrawku łądu wybiegającym w jezioro równoległe do cypla, na którym się znajdowali. Paul zdawał sobie sprawę z sytuacji. Pociągnął Terry'ego na ziemię i włókł go ku wątłej zasłonie krzaków, wołając pod adresem kręcących się w pobliżu spacerowiczów i rowerzystów:

- Na ziemię. Padnij!

Kincaid spostrzegła błysk na dachu muzeum - odbicie światła słonecznego w obiektywie celownika optycznego. Odległość - dziewięćset metrów.

- Dach! - Wskazała stanowisko snajpera, rzuciła się w trawę i przeturlała bliżej Jansona. Zaciągnęli Flannigana za wierzchołek niskiego wybrzuszenia terenu. Snajper oddał strzał, zupełnie niesłyszalny. Kula z głuchym odgłosem uderzyła w pagórek. Rozbryzgi ziemi sięgnęły ich twarzy.

- Ilu? - Jak dotąd jeden. Od chwili, gdy Janson dostrzegł sztylet, nie minęło nawet pięć sekund. Niedoszła zabójczynie próbowała wsiąść na rower, była jednak oszołomiona ciosem Kincaid i w szoku wywołanym złamaniem nadgarstka. Nie opanowała roweru, który przewrócił się w trawę. Spróbowała jeszcze biec. Nagle z otworów wentylacyjnych w kasku dziewczyny trysnęła krew. Pocisk karabinowy roztrzaskał jej czaszkę.

Janson i Kincaid wymienili znaczące spojrzenia. Zasztyletowanie Flannigana to miał być plan B zabójców. Plan A musiał zakładać zwabienie go przez dziewczynę w pole ostrzału snajpera. I teraz, przed porzuceniem broni i wmieszczeniem się w tłum zwiedzających muzeum, snajper zabił ranną zabójczynię stanowiącą jego wsparcie, żeby nie mogła nic zdradzić.

Janson wybrał numer pogotowia.

- Proszę ambulans. Jezioro Burleya Griffina. Garryowen Drive. Naprzeciw Muzeum Narodowego, na przeciwległym brzegu. Rana kluta.

- Powiedz im, żeby sobie nie zawracali głowy - wyszeptał Flannigan. Twarz miał bladą, usta sine.

- Wyjdiesz z tego. - Nie wciskaj kitu chirurgowi. Trafiła mnie w aortę brzuszną. Zostało mi około dwóch minut... Posłuchaj, musisz o tym wiedzieć... Amber

Dawn tylko udawał statek pomocniczy obsługujący platformy. Tak naprawdę działali jako tajna jednostka eksploracyjna. Ludzie zastrzeleni przez rebeliantów nie byli robotnikami, tylko poszukiwaczami złóż ropy naftowej.

- Co znaleźli?

- Wyrzucili za burtę swoje komputery i przekaźniki, jakby udało im się przesłać wyniki i chcieli zachować je w tajemnicy. Chryste, nie mogę uwierzyć, że to mi się przytrafia. - Pokręcił głową. - Niemożliwe, żeby rebelianci przypadkiem oddali przysługę spółce naftowej, zabijając wszystkich mogących zdradzić tajemnicę odkrycia. Zostali wysłani, żeby ich zabić.

To tyle, pomyślał Janson, jeśli chodzi o opowieści Douga Case'a o promiennym wizerunku ASC bezinteresownie angażującej się w eksplorację złóż dla dobra uciskanych narodów. ASC poszukiwała złóż ropy naftowej wyłącznie dla własnej korzyści, działając pod szyldem niezależnych podwykonawców.

- To dlatego myślałem, że przysłano was, byście mnie zabili. Obawiali się, że dowiedziałem się o odkryciu... Hej, mała Annie?

- Ja? Co, Terry? - Annie... Jak ci na imię? A, no tak, Jesse. Kochanie, odchodzę. Czy mógłbym cię potrzymać za rękę? Bez obrazy, Paul, ale wolałbym odejść w towarzystwie dziewczyny. Jessica ujęła dłoń Flannigana, drugą położyła mu na czole.

- Spokojnie, Terry. Będzie dobrze. Słyszysz ambulans? Już jadą.

- Żegnaj, Annie... - Zamknął oczy. Wycie syren narastało.

- Terry! - zawołał Janson. - Pamiętasz człowieka pomagającego Ibodze uciec z molo? Sądziłeś, że go poznajesz. - To on dowodził oddziałem rebeliantów, który zaatakował statek. Po czyjej w końcu stronie stało SR?

- Uważaj na siebie, Jesse. Kincaid położyła rękę Flannigana na jego piersi, skrzyżowała z nią drugą.

- Jezu, Paul, spieprzyliśmy sprawę. - Jeśli to nie był napad na chybił trafił, w jaki sposób płynący pontonem rebelianci mglistą nocą zlokalizowali akurat ten jeden mały

- Jeśli to nie był napad na chybił trafił, w jaki sposób płynący pontonem rebelianci mglistą nocą zlokalizowali akurat ten jeden mały statek pomocniczy pięćdziesiąt mil od Isle de Foree?

- Biedny głupi drań czegoś się domyślił. A myśmy to przegapili. Ja to przegapiłam. Przegapiłam ten jej przeklęty nóż.

- Zbieg okoliczności? Pierwsze wskazanie radaru doprowadziło ich do celu, którym przypadkiem okazał się Amber Dawn z komputerami lecącymi za burtę?

- Terry powiedział mi w szpitalu, że zrezygnował ze stałej praktyki lekarskiej, bo amputacje nie dawały mu spokoju. Nie mógł potem spać i ciągle zastanawiał się, czy nie powinien użyć innych środków. Janson prawie jej nie słuchał.

- Na podstawie wskazań samego radaru nie daliby rady odnaleźć dokładnie tego statku. Chyba że ktoś zainstalował na nim urządzenie naprowadzające, zanim jeszcze wypłynęli z Nigerii. A co, jeśli rebeliantom przekazano koordynaty geograficzne statku ustalone na podstawie analizy zaszyfrowanych przekazów satelitarnych naukowców?

Kincaid przetarła oczy.

- Ty mi to wyjaśnij, panie Maszyna.

- Ten ktoś, kto odbierał przekazy, mógł zdradzić przesyłających je naukowców. Użył bardzo okrutnego sposobu uzyskania pewności, że nikt ze statku nie ujawni odkrycia.

- Doug Case skłamał, mówiąc, że Terry Flannigan pracuje dla ASC.

- Na to wygląda.

- Jak więc możesz wierzyć w jego opowieść, jakoby to przemytnicy broni powiedzieli mu, że Terry został porwany?

Rozdział 28

- Panie prezydencie, może być pan pewien - oświadczył Kingsman Helms - że pion naftowy American Synergy Corporation, podobnie jak pan, nie życzy sobie obecności British Petroleum na wodach Isle de Foree.

- Jestem tymczasowym prezydentem - poprawił go Ferdinand Poe.

Twardy, stary cwaniak, pomyślał Helms. A przecież zaledwie przed miesiącem torturowano go, niemal zamęczono na śmierć. Spodziewał się ujrzeć trzęsącego się starca w szpitalnej piżamie, a tymczasem Poe przyjął go w gabinecie przylegającym do „sali tronowej” pałacu prezydenckiego, w której dożywotni prezydent Iboga odbierał od ASC łapówki.

- Wielokrotnie prosiłem - oznajmił Poe - o przedstawienie szczegółowych planów na wypadek wybuchu, pęknięcia rurociągu, kolizji tankowców czy wejścia ich na mieliznę. Od ASC otrzymywałem pisane urzędowym językiem standardowe odpowiedzi pełne pseudonaukowego bełkotu, których powstydziliby się nawet BP. Jeden z moich młodych doradców poinformował mnie, że fragmenty waszych pism wyglądają na przepisane z cieszących się ostatnio złą sławą instrukcji bezpieczeństwa BP.

Helms przecesał muskularną dłoń jasne, faliste włosy. Ten, kto w centrali w Houston przygotował ostatni raport na temat stanu zdrowia Ferdinanda Poego, mógł się już czuć wylany. Rutynowa wizyta prezesa pionu naftowego ASC u prezydenta tej nędznej wysepki - poniekąd oficjalna wizyta państwowa - zmieniła się w przesłuchanie przed trybunałem jakiejś cholernej hiszpańskiej inkwizycji.

- Panie prezydencie, ma pan moje słowo, że nasze najświeższe, uaktualnione plany awaryjne na wypadek wszelkiego rodzaju katastrof zostaną przesłane pocztą elektroniczną pańskiemu ministrowi do spraw ropy naftowej do jutra rana.

- Dziękuję. A zatem przystąpmy do interesów.

- Przepraszam, panie prezydencie, jakich interesów?

- W tej chwili mamy zawartą umowę dotyczącą dzierżawienia złóż ropy naftowej - Isle de Foree i American Synergy Corporation.

- W tej chwili? - odparował Helms. - Aktualnie obowiązująca umowa jest nazbyt hojna dla American Synergy.

- Zawarliśmy umowę przyznającą ASC wyłączne prawa eksploracyjne na pięć lat - chłodno odparł Kingsman Helms. Nadszedł czas, by pozbyć się rękawiczek. Jeśli Poe chciał się bawić w inkwizycję, proszę bardzo, przekona się, że inkwizycja hiszpańska była dobrotliwą instytucją.

- Umowa przewiduje także, iż ASC pozostaje w posiadaniu praw do zagospodarowania wszystkich złóż, które odkryje w ciągu tych pięciu lat. Proszę pamiętać, że dokonując wierceń na ultragłębokich wodach Isle de Foree, nie szukamy „łatwej ropy”. Koszty inwestycji wstępnych, w poszukiwaniu, są ogromne. Jeżeli będziemy mieli szczęście dowieść się do złóż o „wartości komercyjnej”, zaczną obowiązywać dodatkowe porozumienia przyznające ASC wyłączne prawo do uruchomienia wydobycia i budowy infrastruktury na Isle de Foree i jej wodach. Innymi słowy, panie tymczasowy prezydencie, to co znajdziemy - jeśli znajdziemy - jest nasze, a wy otrzymujecie swoje opłaty za eksploatację.

- Właśnie kwestia opłat eksploatacyjnych stanowi pewien problem - odparł Poe. - Nasz udział w zyskach jest zbyt niski, a środki audytu płatności niejasno zdefiniowane. Innymi słowy, panie prezesie pionu naftowego ASC, umowa nie jest uczciwa.

- Oczywiście nie chcielibyście robić interesów z firmami wydobywczymi, które oglądają się na Chiny czy Rosję? Prezydent nie chwycił tej przynęty.

- Ruch Wolnej Foree zaakceptował wasze warunki w chwili rozpaczliwej słabości. Doceniamy pomoc, jakiej nam wtedy udzieliliście. Ale sytuacja się zmieniła. Już nie ukrywamy się w dżungli.

- Grozi pan złamaniem umowy?

- Państwa nie łamią umów. One je renegocjują.

- Cieszę się - powiedział z uśmiechem Helms - że mówi pan o państwach, bo tu wchodzi w grę więcej niż jedno państwo. - Jakież to jeszcze państwa wchodzi tu w grę?

- Najsilniejszym z tych, które przychodzą mi do głowy, jest Nigeria. Kiedy Isle de Foree odłączyła się od Gwinei Równikowej i zdobywała niepodległość, mieliście poparcie Nigerii, prawda?

- To było dawno temu. Nigeria nie popierała Isle de Foree za darmo. Narzuciła wyspie bardzo niekorzystne umowy dotyczące podziału terenów roponośnych i wspierała Ibogę, by je zabezpieczyć. - Poe wlepił w rozmówcę rozognione oczy.

Nie czekając, aż Poe oskarży ASC o grę na dwa fronty, a konkretnie o popieranie Ibogi, dopóki nie stało się jasne, że dyktator przegrał wojnę, Helms stwierdził:

- Niemniej jednak zagospodarowaliście swoje złoża przy współudziale Nigerii.

- Tylko przybrzeżne! - zaprotestował polityk. - Przybrzeżne. Odległe od stanowisk głębinowych, eksplorowanych dla nas przez ASC.

- Nigeria mogłaby ogłosić, że złoża, w których eksplorację ASC inwestuje tak wiele środków, stanowią przedłużenie pól naftowych Porto

Clarence. Nigeryjczycy to banda chciwców. Nie zdziwiłbym się, gdyby ogłosili, że tereny roponośne Porto Clarence stanowią strukturalną całość z samą deltą Nigru.

- Nonsens. Nasze nowe złoża znajdują się setki mil od delty Nigru.

- Spory na temat dna morskiego kręcą się zarówno wokół problematyki geologicznej, jak i kwestii dystansu. Ale wszelkie ustalenia dotyczące kwestii spornych powinny zapaść podczas negocjacji traktatowych. Jeśli nie, sprawa trafi do Izby Sporów dotyczących Delimitacji Morza w Międzynarodowym Trybunale Prawa Morza, a potem do Izby Sporów dotyczących Dna Morskiego... A może odwrotnie? Najpierw Spory dotyczące Dna Morskiego. Nigdy nie potrafiłem zapamiętać. Niech się tym martwią prawnicy.

- Isle de Foree nie ma czasu na przewlekłą wojnę prawną z Nigerią. Ten, komu zezwolimy na eksplorację, będzie ją dla nas prowadził.

- Zapewniam pana, że jeśli pogwałcicie wydany przez trybunał międzynarodowy zakaz wierceń i eksploracji do chwili rozstrzygnięcia sporu, Nigeria najpierw siłą wejdzie na tereny roponośne, a dopiero potem będzie się zastanawiać, co powiedzieć światu.

Ferdinand Poe potarł dłonią twarz, jakby chciał powstrzymać cisnącą mu się na usta odpowiedź wyrażającą jego wątpliwości.

- I nie zdziwiłbym się, gdyby i Gabon zechciał się przy okazji obłowić - ciągnął Helms. Wstał, wyprostował się na całą wysokość. - Panie prezydencie, zawarliśmy umowę. ASC dotrzymuje umów. Mamy nadzieję, że wy także, bo inaczej Isle de Foree w końcu zostanie sama.

Polityk z trudem podniósł się z fotela.

- Nasz kraj, ta wyspa, na krótką chwilę otworzył sobie maleńkie okno na świat. Właśnie w tej chwili mamy sposobność przyspieszyć jak nigdy w przeszłości. Możemy wymazać z pamięci ostatnie wspomnienia czasów kolonializmu i terroru Ibogi. Ten dar znaleziony na dnie morza możemy spożytkować dla zbudowania ojczyzny, w której cenić się będzie dobrobyt, przyzwoitość i pokój. Innymi słowy, panie Helms, będę przeciwstawiał się pańskim intrygom do ostatniego tchu. Ten zgubny dla nas, złodziejski kontrakt się nie utrzyma, chyba że po moim trupie. Będziemy go renegotjować. Albo zerwiemy.

Kingsman Helms obrócił się na pięcie i opuścił gabinet. Stojący w holu szef sztabu tymczasowego prezydenta, Margarido, spojrzał nań pytająco.

- Ufam, że spotkanie się udało, panie Helms? - Wyśmienicie. Zawsze z przyjemnością robię interesy na Isle de Foree. Przepraszam, muszę zadzwonić. - Wyjął telefon satelitarny. Mario Margarido wszedł do gabinetu. -Ico? Po co siedział zgarbiony za biurkiem, bezgłośnie poruszając ustami. Wyglądał na zmęczonego. - Kiedy przyjąłem warunki dzierżawy złóż ropy zaproponowane przez American Synergy w zamian za ich wsparcie w wojnie przeciw

Ibodge, naprawdę wierzyłem, że uwalniając nasz kraj od tego potwora, uczynię z Isle de Foree lepszy dom dla rodaków. Marzyłem, że mógłbym zostać drugim Nelsonem Mandelą, wyzwolić kraj, a potem się wycofać i pozwolić młodym zbudować go od nowa. Ostrzegalesz mnie wtedy, że zawieram pakt z diabłem.

Szef sztabu uśmiechnął się - kojąco, miał nadzieję - i odparł:

- Wtedy moim zadaniem było granie roli adwokata diabła.

- Wyjaśniłem ci, jak rozpaczliwie potrzebujemy pomocy i ty się ze mną zgodziłeś. Ale nigdy nie dotarło do mnie, jak bardzo diabeł zdecydowany jest pozostać diabłem.

- Co się stało?

- Zażądałem uczciwszych warunków.

-I? - Kazał mi iść do diabła.

- To nie znaczy, że pan musi go posłuchać.

- Dał mi jasno do zrozumienia, że wtedy skłóci nas z Nigeryjczykami.

- Tak, też się nad tym zastanawiałem... Co więc robimy?

- To samo co za Ibogi. Stawiamy opór.

- Naprawdę chce pan rozpętać wojnę? Znów? Tak szybko? Ferdinand Poe wstał i podszedł do wychodzącego na morze okna. Następnie wyłożył staremu towarzyszowi istotę tego, co powiedział nafciarzowi z Teksasu:

- Tak, jestem gotów znów stawić opór, jeśli będzie trzeba. - Poe odwrócił się do Margarido.

- A ty, przyjacielu? Mario Margarido pochylił głowę.

- Skłamałbym, mówiąc, że się do tego palę. Ale naturalnie nie musi pan pytać.

Kingsman Helms wyszedł z telefonem na zewnątrz. Jego sikorsky S-76C czekał na smagany wiatrem tarasie, który służył za pałacowe lądowisko. Prezes zakręcił ręką nad głową, sygnalizując pilotom, by uruchamiali silniki, i podbiegł ku schodom.

- Wynosimy się. Natychmiast.

- Dokąd?

- Na Vulcan Queen. Superluksusowa maszyna w jednej chwili wzbiła się w powietrze. Dzięki specjalnemu wyciszeniu kabiny i zastosowaniu układu

Superluksusowa maszyna w jednej chwili wzbiła się w powietrze. Dzięki specjalnemu wyciszeniu kabiny i zastosowaniu układu napędowego systemu Quiet Zone, wewnątrz było dość cicho, żeby rozmawiać przez telefon. Stwierdziwszy jednak, że to Doug Case dzwoni z pokładu jakiegoś samolotu, Helms nie zawracał sobie głowy odbieraniem połączenia. Pieprzyć go.

Helikopter kierował się ku morzu. Po drodze na małej wysokości przeleciał z hukiem silników nad więzieniem Black Sand. Za ostatniej bytności Helmsa w Porto Clarence zakład zapelniali zwolennicy Ferdinanda Poego. Teraz oni tańczyli na

ulicach, a w więzieniu gnili oficerowie armii obalonego dyktatora. Sprawa więźniów to pięta achillesowa tymczasowego prezydenta, pomyślał Helms. Gdyby miał trochę oleju w głowie, kazałby rozstrzelać całą tę bandę. Jak to głupiec, Poe stawiał na kiepskiego konia. Zamiast rozstrzelać oficerów, którzy naprawdę życzyli mu jak najgorzej, szukał zaczepki z American Synergy powodowany jakimiś źle pojętymi zasadami.

Dwadzieścia minut później i pięćdziesiąt mil dalej na południe, kiedy ogromna podwójna wieża wiertnicza Vulcan Queen znalazła się już w zasięgu wzroku Helmsa, telefon zadzwonił ponownie. Tym razem to był sam Budda. Dyrektor generalny i prezes zarządu American Synergy dzwonił z Houston. Helms odebrał natychmiast.

- Słucham? Jak pan się dzisiaj miewa?

- Jak sprawy na Isle de Foree?

- Poe chce renegocjować. Dałem mu do zrozumienia, że użyjemy wtedy radykalnych środków.

- Będzie stawiał opór?

- Nie mam pewności. Ale obawiam się, że to, niestety, możliwe.

- Dla dobra pańskiego pionu American Synergy Corporation lepiej, żeby miał pan cholernie wielką nadzieję, że nie będzie – oznajmił Budda i przerwał połączenie.

- Kurwa! - Helms rzucił telefon na sąsiedni fotel. Zerwał się i patrząc nad ramionami pilotów, wlepił wzrok w rosnącą pod nimi sylwetkę

Vulcan Queen. W normalnych okolicznościach widok tego trzystumetrowego statku wiertniczego najeżonego żurawiami i dźwigami pokładowymi radował jego serce. Jednostka była całkowicie samowystarczalna. Mogła z prędkością piętnastu węzłów popłynąć w kierunku najgłębiej na świecie położonych złóż ropy naftowej i znalazłszy się u celu, przy sztormowej pogodzie wiercić jednocześnie dwie studnie eksploatacyjne. Wyposażony w stutonowe stery tunelowe kierowane przez satelitę i osiem obrotowych turbin napędowych statek utrzymywał wybraną pozycję jak przytwierdzony do odległego dna. Dwustu pracowników obsługiwało urządzenia służące do podwodnych poszukiwań. Biorąc pod uwagę złożoność konstrukcji i znaczenie wypełnianych misji, statek wiertniczy zachwycał swoim ogromem.

Kingsman Helms podzielał dumę jego kapitana. A nawet więcej. Odczuwał dumę króla na zamku albo admirała dowodzącego flotą wojenną. Zwykły kapitan Vulcan Queen po prostu pracował dla niego, a on mógł go w każdej chwili zwolnić. To samo Budda mógł zrobić z nim, zwykłym prezesem zwykłego pionu American Synergy Corporation. Zadzwoił telefon. Znow Case. Helms był zbyt wściekły, by skrywać nienawiść do tego kaleki.

- Cholernie by mi pomogło, gdybym wiedział, że rzekomo zniedołężniały ze starości prezydent Poe jest w stanie dać popalić całemu cholernemu pułkowi.

- Tymczasowy prezydent Poe - poprawił go rozmówca.

- Nie pogrywaj ze mną, człowieku.

- Gdybyś poinformował mnie, że wybierasz się na spotkanie z tymczasowym prezydentem Poem, przekazałbym ci jego uaktualnione co do minuty dossier.

- Powinieneś był wiedzieć, że mam się z nim spotkać.

- Nie szpieguję prezesów pionów - uprzejmie odparł Case, przy czym „prezesi pionów” zabrzmiało w jego ustach jak „dyrektorzy banków w centrach handlowych”.

- Jeśli informują mnie o swoich planach, ja informuję ich, co zastaną u celu podróży. Ze wszystkimi szczegółami.

- W jakiej sprawie dzwonisz?

- Paul Janson mówi, że masz przylecieć do Singapuru.

- Nie wybieram się do Singapuru. Ty się z nim dogadaj.

- Już próbowałem. Janson powiedział, cytując: „Ściągnij Helmsa. Przekaż mu, że jeśli w ciągu dwudziestu czterech godzin jego tyłek nie wyląduje w Singapurze, rozdmucham tę sprawę na cały świat”. O jaką to „sprawę” mogło mu chodzić?

- Nie wiem.

- Zachowuje się tak, jakby sądził, że ma cię w garści. Czyżby miało to związek z faktem, że w zeszłym tygodniu został zasztyletowany doktor Terrence Flannigan?

- Zapłaciłeś mu już?

- Nie wzięłyby pieniędzy - odrzekł Case. - W Singapurze zatrzymam się w American Club. Zarezerwować pokój dla ciebie?

Rozdział 29

Miasto-państwo Singapur, równikowa wyspa położona na południowym skraju cieśniny Malakka, było równie gorące i wilgotne jak Isle de Foree. Nie otaczały go jednak góry, w które można by uciec, lecz klimatyzowane centra handlowe. Singapur leżał na płaskiej nizinie, tylko kilka niskich wzgórz urozmaicało krajobraz. Miasto, zajmujące większą część wyspy, było gęsto zaludnione. Tropikalną puszcze wykarczowano pod zabudowę; strumienie płynęły w betonowych korytach między mieszkalnymi wieżowcami i luksusowymi hotelami; bagna osuszono, a uzyskane w ten sposób tereny sięgające betonowych nabrzeży służyły potrzebom transportu morskiego. Ogromny port, kolos przeładunkowy, jedną nogą stał w Oceanie Indyjskim, drugą - w południowym Pacyfiku.

- Namaste - pozdrowił Janson Gurkhów strzegących wejścia do American Club. Uzbrojeni byli w strzelby Remington o składanych kolbach, pistolety maszynowe MP5, broń krótką i noże kukri. Kłaniam się Bogu w tobie.

Cieszyło go, że mieli popłatną pracę, ale na pewno zastanawiali się, podobnie jak on, czy ich pracodawca nieco nie przesolił: Gurkhowie cieszyli się opinią najwaleczniejszych, najlepiej wyszkolonych żołnierzy na świecie, Singapur zaś - najbezpieczniejszego miasta. Należący do Jansona klub Tanglin przy tej samej ulicy, którego członkami była elita chińskich, malajskich, hinduskich i angielskich mieszkańców Singapuru, obywatel się jednym odzwiernym pilnującym, żeby taksówki nie blokowały podjazdu.

Doug Case zostawił w recepcji wiadomość, że czeka w Union Bar. Urządzono go na podobieństwo barów dla kibiców i wyposażono w wielki telewizor. Janson domyślał się, że stęsknieni za domem amerykańscy biznesmeni spędzali tutaj sobotnie popołudnia. Tego ranka było jeszcze pusto i Case miał cały lokal dla siebie. Ustawił swój fotel na kółkach w kącie, oparciem do ściany.

- Witaj w egzotycznym Oriencie. Zamówić ci cheeseburgera z frytkami?

- Gdzie Kingsman Helms?

- Spóźnia się. Będzie tu lada chwila. Jak lot?

- O czasie - zdawkowo odrzekł Janson, siadając w miejscu, z którego mógł widzieć drzwi. Stosownie do klimatu ubrany był w lnianą koszulę i także spodnie, kurtkę przewiesił przez rękę. Case miał na sobie szyty na miarę tropikalny garnitur z ultralekkiej wełny trzysetki.

Gdzie jest pani Kincaid?

- Podróżuje.

- Czuję się zawiedziony. Tęskniłem za jej widokiem.

- Przy okazji waszego ostatniego spotkania zadała ci dobre pytanie: Skąd wiedziałeś, że doktor został porwany? Odpowiedziałeś, że mówili ci o tym przemytnicy broni.

- Zgadza się

- To nadal twoja odpowiedź? W piwnych oczach Case'a pojawił się stalowy błysk.

- Dlaczego miałyby być inaczej? O co chodzi, Paul? Co cię gryzie?

- Czy przemytnicy powiedzieli, co Amber Dawn robił na południe od Isle de Foree

Nic takiego nie utkwilo mi w pamięci. Pewnie dostarczał coś albo odbierał. Do tego służą statki serwisowe. Jeśli cię to interesuje, na pewno istnieją odpowiednie zapisy w dokumentach spółki.

- Zaczekam na Helmsa. Może on wie. Jak długo Terry Flannigan pracował dla ASC

Jest Helms! Wysoki blondyn energicznym krokiem wszedł do baru. Bez wstępów zwrócił się do Jansona:

- Co zamierzał pan „rozdmuchać na cały świat”, jeśli dla pańskiej przyjemności nie przelecę wokół połowy kuli ziemskiej?

- Jak długo Terry Flannigan pracował dla ASC? Prezes opadł na krzesło i stwierdził:

- O to mógł mnie pan zapytać przez telefon.

- Nie sądzę, żeby przez telefon odpowiedziałby mi pan na to pytanie. Jak długo Terry Flannigan pracował dla ASC?

- Krótko. Janson spojrział na Douga Case'a. Wiedział o tym? Trudno powiedzieć.

- Co znaczy: krótko?

- Pozwolono mu odejść, bo obrabiał żonę jakiegoś wiceprezesa.

- Nie rozumiem. Dlaczego wynajęliście mnie do ratowania go, skoro już nie pracował dla ASC?

- Był jednym z naszych. I porwano go z naszego statku. Zgodziłem się, że to dobrze wpłynie na morale spółki, jeśli nawet ekspracownik zostanie uratowany.

- Na odległych polach naftowych ludzie się boją - wtrącił Case.

- Trudno znaleźć dobrych pracowników. Janson nie odrywał oczu od Helmsa. Janson nie odrywał oczu od Helmsa.

- Co Amber Dawn robił na południe od Isle de Foree w noc zatonięcia?

- W kółko to samo. Na to pytanie też mogłem odpowiedzieć przez telefon.

- Co statek obsługi technicznej platform wiertniczych robił na południe od Isle de Foree, gdzie takich platform nie ma?

- Amber Dawn realizował na obszarze głębinowych stanowisk tej wyspy tajny program tomografii sejsmicznej z trójwymiarowym obrazowaniem. Wynajęliśmy niewielką spółkę holenderską, która zajęła się pozyskiwaniem danych sejsmologicznych. To oni tymczasowo przystosowali ten statek do przenoszenia aparatury sejsmologicznej.

Ukradkiem spojrział na twarz Douga Case'a i dostrzegł, że oczy szefa ochrony korporacji nieznacznie się rozszerzyły.

- Dlaczego po prostu nie wysłaliście prawdziwego statku sejsmologicznego? O jaką to wielką tajemnicę chodziło?

- Dwa tygodnie temu mówiłem ci o naszych zleceniobiorcach pro bono - wtrącił Case. - Ale nie wspomniałeś, że Amber Dawn pozostawał w służbie niezależnego podwykonawcy.

Case skierował wściekle spojrzenie na Kingsmana Helmsa

Widocznie do kręgu wtajemniczonych zaliczono ludzi o wyższym poziomie wynagrodzeń.

- Wysłuchajmy może wersji prawdy pana Helmsa - powiedział Janson.

Prezes pionu wydobywczego wzruszył ramionami. - Prawda jest taka, że tajemność jest nierozzerwalnie złączona z biznesem naftowym. Zawsze była. Handlujemy tajemniczym towarem. O ilości ropy na rynku w danej chwili decydują ceny. Dotyczy to całego łańcucha wydobycia, produkcji i sprzedaży, od dystrybutora na stacji benzynowej wstecz, do spodziewanych złóż zalegających jeszcze w ziemi.

- A ile zapłacicie krajowi, który tę ziemię posiada?

- Wiem, do czego pan zmierza, ale jest pan w błędzie. My bynajmniej nie nabieramy Ferdinanda Poego.

- Nie? Więc kogo nabieracie?

- Konkurencję. Inne spółki naftowe. Głównie jednak Chińczyków. Kiedy mamy nadzieję na duże odkrycie, kiedy się go domyślamy, w naszym interesie leży utrzymanie tego w tajemnicy. Proszę pamiętać, że szukamy ropy tam, gdzie prawdopodobnie jej nie znajdziemy. Nigdy jednak nie wiadomo. Świat petrologiczny pełen jest niespodzianek.

- Wy się nie domyślacie, co znajduje się na głębinowych działkach Isle de Foree. Wy już to wiecie. Helms pokręcił głową

Nie posunąłbym się aż do takiego stwierdzenia. Przyznam - w zaufaniu - że nasza nadzieja nie jest bezpodstawna. Ale nie, żebyśmy byli pewni sukcesu.

- Byliście na tyle pewni, że ASC wspierało obie strony uczestniczące w wojnie domowej na Isle de Foree. Prezes nie zaprzeczył oskarżeniu. Spojrzał Jansonowi w oczy i rzekł:

- Jeśli chodzi o ekonomię podaży ropy, problemem jest dostępność zalegających w ziemi złóż. Ale problem czysto logistyczny zmienia się w problem polityczny, kiedy o tym zagadnieniu chcą decydować rządy.

- To dla korporacji stały powód do narzekań.

- Narzekanie nic nie daje, dopóki korporacje pozwalają rządowi zmuszać nas do dokonywania czasem bardzo trudnych wyborów celem pozyskania produktu, którego domagają się nasi klienci.

- A jakich to wyborów musiała dokonać ASC, by móc wydobywać ropę Isle de Foree?

- Decydujących o być albo nie być - skwapliwie odparł Helms. - My z ASC jesteśmy zdani tylko na siebie w świecie narastającej konkurencji i zaostrzających się sporów. Do przeszłości należą czasy, kiedy samo istnienie militarnej potęgi Ameryki było nam tarczą. Jesteśmy globalną korporacją, do tego wielką, ale stajemy w szranki ze spółkami, za którymi stoi rząd chiński lub rosyjski. Oni się już nas nie boją.

Prezes umilkł.

- Jakich decydujących o przeżyciu wyborów dokonaliście? - zapytał Janson. - Gdziekolwiek prowadzimy eksplorację złóż, mamy do czynienia jednocześnie z anarchistycznymi skłonnościami miejscowych i zachłannością Chińczyków. ASC nie ma wyboru, musi się zabezpieczać. Jeśli nie pokieruje nami nasz rząd - a zapewniam, że tego nie robi - my pokierujemy rządem. Nie mają nic przeciwko opodatkowaniu nas, ale nie zamierzają nas chronić. Skoro nasz rząd nie myśli o wyrównaniu szans, ASC stawia czoło Chińczykom, robiąc co trzeba, by te szanse były równe.

- Inaczej mówiąc, jeśli rząd Stanów Zjednoczonych nie pomoże ASC, ASC pomoże sobie sama.

- I nie będziemy się z tego tłumaczyć! To nowy świat, Janson. Minął cię i popędził naprzód.

- To samo powiedział mi doktor Flannigan. Kingsman Helms uśmiechnął się cierpliwie, jakby chcąc sprawić przyjemność Jansonowi.

- Co powiedział panu poczciwy doktor?

- Że ASC nie wiedziała, iż Terry znajduje się na pokładzie Amber Dawn. Dlatego uciekał. Myślał, że posłaliście nas, byśmy go zabili. Prezes wpatrywał się w Jansona nieruchomym wzrokiem.

- To kompletna bzdura. Ten człowiek był niespełna rozumu! - Wyjawił mi, że Amber Dawn wykonywał tajną misję eksploracyjną.

- Wyjawił mi, że Amber Dawn wykonywał tajną misję eksploracyjną.

- Przecież już się panu do tego przyznałem.

- Dwie minuty temu. Ale po śmierci doktora rozmawiałem z ludźmi przebywającymi w obozie rebeliantów. Wygląda na to, że bojownicy RWF, którzy wymordowali załogę waszego statku, zostali za to zastrzeleni przez syna Ferdinanda Poego.

- Sądzę, że na to zasługiwali.

- Tylko że patrząc śmierci w oczy, przysięgali, że rozkazano im zabić załogę.

- Takie krwawe i pełne sprzeczności historie co dzień napływają z delty Nigru.

- Ale jeśli to także prawdziwa historia - powiedział Paul Janson - to rodzi się pytanie, kto wmanewrował żołnierzy RWF w popełnienie tego morderstwa?

- Któż to może wiedzieć? - Helms wzruszył ramionami. - Syn Ferdinanda Poego zginął podczas ostatniej bitwy, nasz doktor został zamordowany w Australii. Na pańskich oczach. A teraz, jeśli skończył pan snuć opowieści nieboszczyków, idę spać. Leciłem przez całą noc.

- Miłych snów - rzucił Doug Case. Kingsman Helms bez słowa wymaszerował z Union Bar.

- Wyglądasz na zaskoczonego, Doug - stwierdził Janson.

- Nigdy dotąd nie spotkałem się z takim przedstawieniem tych spraw.

Jansonowi przyszło do głowy, że po raz ostatni - i jedyny - widział Case'a autentycznie zaskoczonego w Ogden, kiedy wykopał mu z dłoni pistolet, z którego Doug zamierzał go zastrzelić. Wpatrywał się w jego twarz, starając się coś z niej wyczytać.

- Nie zaskoczyło cię, że Flannigan nie pracuje już dla ASC. - Niedawno się o tym dowiedziałem. - Po wynajęciu CatsPaw? - Po.

- A co z misją Amber Dawn? - To faktycznie była dla mnie pieprzona nowina.

- Nic dziwnego, że nie wyglądasz na uszczęśliwionego. Doug zapatrzył się w ścianę, wreszcie rzekł:

- Przerwij mi, jeśli się mylę, ale Helms w gruncie rzeczy powiedział: „Nie ma świadków, nie ma zbrodni”.

- Tak to zabrzmiało... Czekał, wraca. Prezes pionu wydobywczego wszedł do baru.

- Prawie zapomniałem. Panie Janson, wysłaliśmy CatsPaw czek na milion dolarów. Co prawda nie uratowaliście doktora, ale bardzoście się starali. W porządku?

- W porządku. Doug Case znów wyglądał na zaskoczonego.

- To pomoże nam pokryć koszty operacji - wyjaśnił mu Paul.

- Świetnie - uśmiechnął się Helms. - Tym sposobem nie będziecie musieli żądać zbyt wiele, kiedy znów was zatrudnimy.

- Nie liczyłem na to - odpowiedział, również z uśmiechem, Janson.

- Nie chciałem, żeby źle pan zrozumiał to, co mówiłem o nowym świecie - usprawiedliwił się Helms.

- Tym, co mnie mija. I - Może za mocno to ująłem. Futurystyka to moja pasja. Kiedy miałem siedem lat, zrozumiałem, że umiejętność przewodzenia wyraża się nie w działaniach doraźnych, lecz tych wymierzonych w przyszłość.

- Trudna lekcja, jak na siedmiolatka.

- Byłem świadkiem nieudanej próby objęcia przewodnictwa. Kiedyś tata zabrał mnie do salonu Oldsmobile'a Greenana. Chciał wybrać nowy samochód. Pamięta pan te małe oldsy cutlass?

- Konstrukcja na czasy kryzysu paliwowego. - Paul skinął głową.

- Tata był naprawdę podniecony. Wybrał specjalny, robiony na zamówienie model, łączący zalety najlepszych ze wszystkich proponowanych w broszurce reklamowej, z nowym potężnym, sześciocylindrowym silnikiem w układzie V, który

Oldsmobile pożyczył od Cadillaca. Odbyliśmy jazdę próbną z Harrym Greenanem, małym mównym jankesem z Nowej Anglii. Harry jak zwykle niewiele mówił, w końcu burknął: „Więcej już ich nie zrobią”. Tata zapytał dlaczego: „Przecież to wspaniały samochód, to się czuje. Cichy, sprawny, szybki jak diabli”. A stary Harry na to: „Ale kupił pan duży samochód za cenę małego”.

Tak, jakby mój tata zakłócił porządek społeczny, zadawniony bieg rzeczy. Zamiast sprzedać ile się da, Olds usunął z broszury reklamowej możliwość wyboru. Żeby kupić równie dobry samochód, należało wydać więcej pieniędzy na importowany niemiecki albo japoński. Oldsmobil cutlass był największym przebojem amerykańskiego rynku samochodowego. Potem sprzedaż spadła. Teraz firma nie istnieje. To nauczyło mnie, że w przywództwie liczy się nie teraźniejszość, lecz wizja przyszłości. To właśnie przyszłość uśmiechała się do Oldsmobile’a, a oni odwrócili się i patrzyli w przeszłość. Przysięgłem sobie, że nigdy nie popełnię tego błędu.

Obrócił się na pięcie i wyszedł. Paul poczekał, żeby się upewnić, że Helms już nie wróci, i powiedział:

Paul poczekał, żeby się upewnić, że Helms już nie wróci, i powiedział:

- Słuchałeś tak, jakbyś znał pointę.

- Poprzednim razem to był pontiac

- Wyjaśnij mi, co miałeś na myśli, mówiąc, że nigdy nie spotkałeś się z takim przedstawieniem tych spraw? Jakich spraw?

- Z przedstawieniem globalnej korporacji jako bukaniera. Nie podoba ci się to zdanko Helmsa „Nie mają nic przeciwko opodatkowywaniu nas, ale nie zamierzają nas chronić”?

- Daje mu wielką swobodę działania.

- Nieskończenie wielką.

- Case zakrył twarz dłońmi. Po chwili rozsunął palce i spojrzał między nimi. -

W wywiadzie Stanów Zjednoczonych pracuje milion ludzi. Zgadza się?

- Plus minus.

- Myślisz, że znajdzie się tam miejsce dla jeszcze jednego?

- O co ci chodzi?

- O to, czy twoim zdaniem z moimi referencjami i twoją pomocą przy wyjaśnianiu mej burzliwej przeszłości mógłbym wrócić do służby państwowej?

- Co? - Teraz Janson był zaskoczony.

- Co to ma niby znaczyć?

- Myślę o powrocie do służby krajowi

I pożegnaniu się z lataniem pierwszą klasą w garniturach za sześć tysięcy dolarów?

- To tylko rzeczy. Nie dbam o rzeczy. Nigdy nie dbałem... Nie zrozum mnie źle, kocham mój superfotel.

- Z głęboką afekcją poklepał najeżone sterownikami podłokietniki fotela na kółkach.

- Nie masz pojęcia, co to znaczy poruszać się tak swobodnie, kiedy jesteś unieruchomiony. Zakładam jednak, że Fundacja Feniks zapewni mi fotel na kółkach, jeśli nie będę brał zapłaty od ASC.

Paul skinął głową. - Możesz na to liczyć. Poważnie rozważasz odejście z ASC?

- Tak.

- Pozwól, że zapytam, od kiedy się nad tym zastanawiasz?

- Od dziesięciu minut.

- Dlaczego?

- Chodzi o ten „nowy świat”, jak powiedział Helms. Nieszczególnie mi się podoba. Nasz rząd, większość rządów, przynajmniej rządów demokratycznych, całkowicie pochłonęło ich nowe główne zadanie - podpieranie upadających gospodarek. Będą się borykały z groźbą załamania przez dziesięciolecia. Powstaje ogromna wyrwa w systemie sprawowania władzy. Globalne korporacje wskakują w nią bez chwili zastanowienia.

- Widzieliśmy, jak to się odbywa - mruknął Janson.

- Tak, ale ty i ja wypłynęliśmy w czasach, gdy wszystko wydawało się prostsze. Naszymi czarnymi charakterami były zbójckie agencje rządowe. Biurokraci z agend rządowych, posługujący się nami jak ołowianymi żołnierzami. Teraz rządy słabną.

Przesunięcie zasobów w naszym kraju od zwykłych ludzi do bogaczy, a w skali międzynarodowej od nas do Chin, ustawią globalne organizacje w uprzywilejowanej pozycji. Doczekamy się świata, w którym zbójckie korporacje staną się bardziej niebezpieczne niż zbójckie agencje rządowe.

Janson skinął głową w milczeniu, rozmyślając nad znacznie większym zagrożeniem: Ile czasu upłynie, nim zbójckie globalne korporacje wejdą w alians ze zbójckimi agencjami rządowymi? Nim tajna agencja pomoże globalnej korporacji zatrudnić grupę najemników w rodzaju Securité Referral do wysłania gdzie trzeba misji ratunkowej? Nim ASC i OPKON zdecydują wspólnie o przeprowadzeniu ataku rakietowego z użyciem reaperów? O ile to wszystko już się nie wydarzyło.

- Może byśmy się przenieśli obok?

- A co jest obok?

- Tanglin Club. Dostaniemy tam lepszy lunch niż tutaj, pogadamy o twoich planach. Spacer w singapurskim upale nie był długi, ale choć Doug jechał na swoim elektrycznym wózku, służył potem, gdy dotarli do chłodnego azylu głównego holu klubu Tanglin.

- Luksusy czy pub? - zapytał Janson. Case zajrzał do ceremonialnej Sali Churchilla i tęsknym wzrokiem obiegł obite pluszem ławki pod ścianami i stoły zasłane lnianymi obrusami, zastawione srebrami i kryształami.

- Pub. Coś mi mówi, że lepiej przyzwyczajać się do niższej stopy. Janson poprowadził rozmówcę do Tavern Bar. Ciemne belki stropu, oprawione grafiki przedstawiające psy i konie, rogi myśliwskie zawieszane u sufitu i bar oblegany przez zagorzałych konsumentów alkoholu, co do jednego mówiących „po angielski”. Paul wybrał stolik obok bufetu. Chińscy kelnerzy i ich malajscy pomocnicy wynieśli fotel kapitański, żeby zrobić miejsce dla Case’a. Janson usiadł na ukos od niego, tak że mogli rozmawiać, nie podnosząc głosu. Doug przyglądał się przybywającym na lunch mężczyznom i kobietom, a tymczasem Janson zamawiał piwo.

- Nielichy miks etniczny.

- Starzy Singapurczycy mawiają: pieniądze nie znają nienawiści.

- Pieniądze na pewno nie. Ci goście wyglądają tak, jakby byli właścicielami miasta. Jak załatwiłeś sobie członkostwo? - Znajomy mnie wprowadził... Muszę ci powiedzieć, Doug, że ta twoja „globalna korporacja jako bukanier” bardzo brzydko pachnie. Case zaśmiał się i wyglądało na to, że jego nastrój się zmienia. Janson zaczął żałować, że opuścili American Club, gdzie udało mu się wytworzyć atmosferę pewnej intymności. Sądził, że przy lunchu Doug zechce się przed nim wywnętrzyć, ale teraz uświadomił sobie, iż należało nacisnąć go wcześniej, kiedy był w odpowiednim nastroju. Teraz musiał nad nim popracować i ponownie wprowadzić go w taki stan.

- Co cię tak śmieszy? - zapytał.

- Sam jesteś jednym z nich - stwierdził Case.

- Kim?

- Piratem. Czy twoja Fundacja Feniks liczy się ze zdaniem władz? Może „zasady Jansona” dają ci prawo do obchodzenia systemu.

- Dają mi jasność widzenia.

- No tak. Ale ja stwierdzam, że na starość wielu rzeczy już nie jestem tak pewien. Natykam się na coś takiego i ni cholery nie wiem, co robić.

- Na co się natykasz? Na globalnych bukanierów olewających rząd? Uśmiech zniknął z twarzy Case'a. Ponuro pokiwał głową.

- Jeśli to prawda, że ASC kazała zabić własnych ludzi, żeby do chwili rozstrzygnięcia się losów wojny utrzymać w tajemnicy odkrycie nowych złóż, to oni już są bukanierami. Janson skinął głową.

- I jeżeli to prawda, bez skrupułów się nami posłużyli.

- Nic pewnego o tym nie wiadomo. Posłużyli się mną, żebym posłużył się tobą w kwestii ratowania doktora, więc ktoś inny mógł zlecić zabicie go.

- Niby kto?

- Skąd mam wiedzieć?

- Jesteś szefem ochrony ASC.

- Najmowanie zabójców nie mieści się w zakresie moich obowiązków - oznajmił Case i wzruszając ramionami, dodał:

- Przynajmniej na razie. Jeśli najęli speców od mokrej roboty, w korporacji musi być ktoś, kto się zajmuje takimi sprawami, jakiś nieoficjalny spec od spraw bezpieczeństwa, którego nigdy nie spotkałem. Ja w każdym razie żadnych morderców nie zatrudniałem.

- Kogo mogli wynająć?

- Świat jest pełen zabójców czekających na takie zlecenia. Janson postanowił zadać Dougowi naprawdę istotne pytanie i bacznie obserwował jego reakcję:

- Czy znasz ludzi z Sécurité Referral?

- Nie. A co to takiego?

- Firma, z którą ostatnio miałem do czynienia. Case wyczekująco spojrzął na Jansona. Ten jednak nie spieszył się z wymianą informacji wywiadowczych.

- Powiesz mi coś o nich?

- Nie dzisiaj.

Case ponownie wzruszył ramionami.

- Tak czy inaczej, historie tego rodzaju utwierdzają mnie w przekonaniu, że pora wykonać jakiś ruch.

- Warto się nad tym zastanowić - zgodził się Janson.

- Już się zastanowiłem.

- Doug rozejrzał się, następnie jakby dla podkreślenia wagi swoich słów położył rękę na stole.

- Odchodzę z tego burdelu. Paul natychmiast wykorzystał nadarzącą się okazję:

- Może jeszcze zostań na trochę?

- A po cholere? Te sukinsyny deprawują mój świat... Wiesz, po raz pierwszy jakbym rozumiał, co musiałeś czuć, zakładając Fundację Feniks.

- To, o czym mówisz, całkowicie odmieni twoje życie.

- Pewnie nie mogę zmienić całego świata, ale mogę spróbować uporządkować mój świat.

- Odejdiesz, ale ustalenie, dokąd masz odejść, wymaga czasu. Potem będziemy musieli zbadać grunt pod kątem nowej pracy. Może nim zdecydujesz, gdzie chcesz służyć, posiedziałbyś jeszcze trochę w ASC?

- I co miałbym robić?

- A przyglądałbyś się wszystkiemu. Doug Case rzucił Paulowi spojrzenie, w którym zdumione niedowierzenie mieszało się z głęboką admiracją.

- Mam pracować dla ciebie?

- Sam sobie będziesz szefem. Po prostu zostaniemy w kontakcie.

- Rozumiem. Chcesz, żebym był twoim kretem wewnątrz ASC.

Rozdział 30

- Będziemy w kontakcie.

- Jak cię łapać?

- W razie czego Quintisha Upchurch cię połączy.

- Chwileczkę. Trzeba to wyjaśnić. Czy mam być kretem tylko zbierającym informacje, czy aktywnym? Chcesz, żebym tylko nadstawiał ucha, czy coś robił?

- Bez obrazy - powiedział Janson - ale ponieważ nie dopuszczają cię do kręgu decydentów, musiałbyś być cholernie aktywny, żeby wykonać jakiś spektakularny numer.

- Jak rozumiesz słowo „spektakularny”?

- Czy wysłałeś reapersy, które odparły atak czołgów Ibogi? - Paul, nie zaszedłem tak wysoko w łańcuchu pokarmowym.

- Kto w ASC zaszedł? Helms?

- Nie wiem.

- Budda?

- Niewykluczone.

- Dałbyś radę to sprawdzić?

- Myślisz, że nie próbowałem? To skomplikowana kwestia. Ale nawet o krok nie zbliżyłem się do odpowiedzi na postawione sobie pytania.

- Wiesz, jak mnie złapać.

- Paul, co ty zamierzasz? Paul Janson wstał od stołu.

- Już podpisałem rachunek za lunch. W bufecie mają pierwszorzędne dania kuchni azjatyckiej. Możesz sam wrócić do American Club?

- Sam przyjechałem z Houston do Singapuru, więc pewnie i dam radę wrócić do American Club. Dokąd się wybierasz?

- Do Europy.

Resztę dnia Janson spędził przy telefonie w swoim pokoju nad klubem Tanglin.

Późnym wieczorem udał się na lotnisko i wszedł na pokład samolotu Singapore Airlines do Londynu, dokąd przybył o szóstej rano czasu Greenwich. Przeszedł odprawę celną i kontrolę graniczną, okazując własny paszport, i przechadzał się po terminalu numer 5, dopóki nie nabrał pewności, że nikt go nie śledzi. Potem nagle dał nura do tunelu, łączącego lotnisko z początkową stacją Heathrow Express.

Poranny szczyt komunikacyjny dla pociągu nie stanowił przeszkody, toteż Janson znalazł się niebawem na dworcu Paddington.

Jeszcze raz sprawdził, czy nie ma ogona, i pojechał taksówką na przeciwległy kraniec Hyde Parku. Wyskoczył na Exhibition Road i okrężną drogą dotarł na osiedle Ennismore Gardens do przerobionego z dawnych stajni budynku z kamienia polnego. Brązową kołatką w kształcie gryfa zastukał w masywne, czarne drzwi. Czekaając na odgłosy jakiegoś poruszenia wewnątrz domu, słyszał klekot podkutych kopyt koni Kawalerii Gwardii Królewskiej dobiegający z koszar Knightsbridge.

Drzwi otworzyła mu wysoka kobieta o bujnych kształtach, ubrana w błękitny jedwabny szlafrok. Miała hebanowej barwy lśniąca skórę, królewską postawę i olbrzymie, świetliste oczy. Włosy niedbale upchnęła pod turban, dopasowany kolorem do szlafroka. Pełne usta wykrzywiła w uśmiechu.

- Orientujesz się, która jest godzina?

- Liczę na to, że nie za wcześnie na kawę.

- I pewnie na śniadanie?

- Śniadanie ja zrobię.

- Chcesz coś jeszcze?

- Informacji. - Janson, kiedyś rzuciłbyś się na „coś jeszcze”, zanim poprosiłbyś o informacje.

- Jesteś zbyt subtelna, żeby cię poganiać - odparł - a ja bardzo się spieszę. Mogę wejść? ”Księżniczka” Mimi była córką nieprzesadnie uczciwego dewelopera z Lagos, który zbił wielomilionową fortunę, wznosząc hotele i luksusowe apartamentowce na pierwszorzędnym publicznych działkach przekazanych mu przez kumpli zasiadających w nigeryjskim rządzie. Sama Mimi trzymała się z daleka od ciemnych interesów. Mieszkała wygodnie w domu przeznaczonym na miejsce zesłania jej ojca. Sama Mimi trzymała się z daleka od ciemnych interesów. Mieszkała wygodnie w domu przeznaczonym na miejsce zesłania jej ojca, kiedy nadejdzie ten nieunikniony dzień, gdy będzie musiał uciekać przed wymiarem sprawiedliwości lub - co znacznie bardziej prawdopodobne - przed chaosem w Nigerii przeradzającym się w rozkład struktur państwa i wojnę domową.

Wśród kochanków, których przelotnie raczyła obdarzyć swymi względami, znajdowali się najwyżsi rangą oficerowie armii nigeryjskiej i urzędnicy Ministerstwa Górnictwa Naftowego. Mimi miała wielki przyrodzony dar do zawierania przyjaźni; porzuceni przez nią mężczyźni nadal prowadzali ją po najlepszych londyńskich restauracjach i chlubili się znajomością z księżniczką w nadziei jej odzyskania. Była przedmiotem wszelkiego rodzaju plotek i pogłosek, które zresztą zwykle okazywały się prawdą. Z właściwym sobie ironicznym poczuciem humoru, uczyniła z przyszłego schronienia ojca salon dla nigeryjskich wygnańców różnych przekonań. Politycy w niełasce, wygnani z kraju dziennikarze i rewolucjoniści, z nagrodami wyznaczonymi za ich głowy, wiedli w jej salonie spory polityczne, wydatnie powiększając wiedzę Mimi o zachodnioafrykańskich intrygach i machinacjach. Jeśli coś się wydarzyło w Afryce, między Lagos a Kapsztadem - Mimi pierwsza o tym wiedziała.

- Słyszałam, że zawitałeś do Angoli - powiedziała, nalewając kawę. Siedzieli w jej nieskazitelnie czystej, wyłożonej kafelkami kuchni, której okna wychodziły na komunalne ogrody rozciągające się za domem.

- Przejazdem.

- Owoce morza smakowały?

- Ogromnie.

- Nie zdradzisz mi przypadkiem jakiejś tajemnicy? Janson wstał od kuchennego stołu, wyprostował się i pocałował ją w usta.

- Nie dzisiaj.

- Całujesz jak mężczyzna zakochany w innej kobiecie.

- Całuję jak mężczyzna, który się spieszy. Mimi, potrzebuję pomocy. Ale jest jedna sprawa. Nikt nie może się dowiedzieć, że rozmawialiśmy.

- Od chwili, gdy stąd wyjdiesz, będę milczeć jak głaz - uśmiechnęła się. - Co cię interesuje?

- Może zaczniemy od powiązań Nigerii z Isle de Foree?

- Powiązań wojskowych czy dotyczących ropy naftowej?

- Sądziłem, że to są te same powiązania. Mimi ponownie się uśmiechnęła.

- Sprawdzam twoją znajomość przedmiotu. Chwyciła telefon, wyszła z nim do ogrodu i przez chwilę rozmawiała z ożywieniem. Wróciwszy do kuchni, powiedziała:

- Zaprosiłam dwóch chłopaków, żeby wpadli na drugie śniadanie. Czy nadal robisz omlety? Janson postawił patelnię na wielkiej gazowej kuchence, wbił tuzin jaj do miski.

- Co jeszcze? - zapytała Mimi. - Iboga. Czy to możliwe, że ukrywa się w Nigerii?

- Wykluczone. Stanąłby przed sądem. Nikt by go nie ochronił.

- Nawet wojsko?

- Iboga jest toksyczny. Nigeria na kontynencie ma dość problemów ze swoim wizerunkiem bez ukrywania krwiożerczych dyktatorów.

Jeszcze nie wróciliśmy do równowagi po latach rządów naszego dyktatora. I może nigdy nie wrócimy.

- Czy twoi znajomi rozmawiali na temat ewentualnego miejsca jego pobytu?

- Tylko rozmawiali. Widziano go tu i tam. Raczej nie jest z tych, co to nie rzucają się w oczy. Janson uśmiechnął się i opowiedział jej historyjkę, którą mogła kiedyś powtórzyć w towarzystwie.

- Pewien kumpel z MI pięć powiedział mi kiedyś, że gdy Idi Amin uciekł z Ugandy, wysłedzono go w Arabii Saudyjskiej przez satelitę.

- Iboga jest grubszy niż Amin. A satelity są dzisiaj bardziej zaawansowane technologicznie.

- Gdzie widziano Ibogę?

- We Francji. W Rumunii, Bułgarii, Chorwacji, Rosji.

- Gdzie w Rosji? Mimi wzruszyła ramionami. Szlafrok zsunął jej się z krągłego ramienia.

- A na Korsyce? - spytał Janson. Skinęła głową.

- Słyszałam coś o Korsyce.

- Naprawdę?

- Akurat przedwczoraj, od faceta, który był tam na urlopie. Nie widział go na własne oczy, ale słyszał jakieś wzmianki o nim.

- Gdzie? Ponownie wzruszyła ramionami.

- Pływał na jachcie. Więc pewnie nad morzem.

- Słyszałaś coś o Sécurité Referral?

- Nie. Co to takiego?

- Swego rodzaju związek niezależnych tajnych agentów, działający poza prawem.

- Przemysł narkotyków?

- O ile wiem, wszystko, na czym można zarobić. Mimi podgrzała na patelni oliwę i zaczęła podsmażać całe pomidory. Janson starł ser i pokroił chleb na tosty. Pojawili się goście: Everest Orhii, szczupły Nigeryjczyk w średnim wieku w

znoszonym niebieskim garniturze i rozpiętej pod szyją koszuli, oraz Pedro Menezes, były minister górnictwa naftowego Isle de Foree, znacznie lepiej ubrany i wyglądający na kogoś, komu świetnie się powodzi. Paul skinieniem głowy podziękował gospodyni i mruknął:

- Imponujące. Zwłaszcza jak na improwizację.

- Wiedziałaś, co potrafię - powiedziała. - Inaczej byś tu nie przyszedł. Minister Menezes głodnym wzrokiem wpatrywał się w omlet dzielony przez Jansona. Everest Orhii z wdzięcznością przyjął swoją porcję.

Okazało się, że obydwaj mężczyźni przebywali na wygnaniu. Nigeryjczyk ledwo wiązał koniec z końcem, wydając pieniądze na prawników w nadziei, że pewnego dnia wróci do Lagos. Z kolei Menezes łudził się, że łapówkami utoruje sobie drogę powrotną do Porto Clarence. Orhii pracował w nigeryjskim Ministerstwie Górnictwa Naftowego, choć na niższym stanowisku niż Menezes.

Obydwaj mieli przy sobie telefony komórkowe, które bezustannie dzwoniły. Co chwilę jeden lub drugi zrywał się od stołu z okrzykiem Ola! albo „Tu Orhii!” i biegł do ogrodu, żeby porozmawiać na osobności.

- Przed wojną domową - powiedział Jansonowi Menezes - Isle de Foree odmówiła Nigerii współpracy przy eksploracji stanowisk głębinowych.

- Mimo że Nigeria popierała Ibogę? - zdziwił się Paul.

- Ten kurs przyjęto na długo przed nastaniem Ibogi. Kilkanaście lat wcześniej, kiedy znaleźliśmy się w rozpaczliwym położeniu, Nigeryjczycy wykorzystali okazję. Umowy dotyczące eksploatacji złóż przybrzeżnych nie były uczciwe.

Orhii wrócił z ogrodu, poprawił zwisającą na płaski brzuch serwetkę. - Nie - zaprotestował. - To nie to, że te umowy były nieuczciwe.

- Więc co? - Obruszył się Menezes. Orhii pochłonął pół tosta naraz, zakąsił drugą połowę.

- Mieszkańcy Isle de Foree nie lubią Nigeryjczyków.

Zarzucają nam, że ich terroryzujemy. To typowe dla małych narodów, że nie pałają sympatią do narodów dużych. Dlatego wiele narodów nienawidzi Ameryki. Podobnie jest z Nigerią.

- Mieć Nigerię za sąsiada to jak spać z hipopotamem.

- Mój kraj dzieli od waszej wyspy dwieście mil morza.

- Hipopotamy umieją pływać.

- I oni twierdzą, że jesteśmy arogancy! - Everest Orhii podniósł głos. - Że niby wszędzie się wpychamy i bierzemy, co nam się podoba. Zadzwoił telefon Menezesa; minister przerwał, a następnie pospieszył do ogrodu.

Orhii dał Jansonowi znak, żeby przysunął się bliżej.

- Jeśli chce się pan czegoś dowiedzieć na temat eksploracji złóż głębinowych, niech pan spyta Pedra o łapówki, które brał od GRA.

- Co to jest GRA? Orhii wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. Niestety nigdy nie odwiedzali mojego biura. Podejrzewam jednak, że dogadywali się bezpośrednio z moimi przełożonymi.

- Mimi?

Księżniczka pokręciła głową.

- Mój radar niczego nie pokazuje. Spytaj Pedra. Uwielbia gadać. Nudzi się w Londynie. Marzy mu się powrót na Isle de Foree i objęcie teki ministra, ale do tego nigdy nie dojdzie. Ferdinand Poe utworzy gabinet z samych weteranów wojennych.

Gospodyni wzięła telefon i wyszła do ogrodu, po drodze mijając wracającego Pedra Menezesa.

- Co to jest GRA? - zapytał Janson, kiedy eksminister usiadł i przystąpił do konsumpcji resztek omleta.

- Ach, oni - uśmiechnął się. - Od lat nie mam z nimi kontaktu. Bo niby jak, skoro tkwię w Londynie.

- Kim oni są?

- Są bardzo hojni.

- To znaczy?

- To znaczy - wtrącił Everest Orhii - że to GRA płaciło mu mnóstwo pieniędzy za zgodę na cichą eksplorację złóż głębinowych na południe od terenów roponośnych, które Isle de Foree miała dzielić z Nigerią.

- To było bez znaczenia - pogardliwie oznajmił Menezes. - Nigeryjczycy nie dysponowali żadnymi prawami do tych złóż. - Wyniki badań geologicznych są jednoznaczne. To jest to samo złożo.

- Wyniki badań są oczywiste tak samo, jak historia i nasza suwerenność. Te wody należą do nas. Nie do Nigerii! - Sąd tego nie potwierdził. - Już nie musi. - Zwyczajnie nas okradacie.

Janson położył wielkie dłonie na ramionach dyskutantów i zapytał:

- Panowie, co oznacza skrót GRA?

- Chyba Ground Resource Access - odparł Menezes. - Udostępnianie złóż podziemnych.

- Chyba? - parsknął Everest Orhii. - Nie udawaj, że nie wiesz, kto dał ci te wszystkie pieniądze.

- Na ich wizytówkach było napisane „Ground Resource Access”. Nigdy jednak nie natknąłem się na tę nazwę w doniesieniach giełdowych czy dokumentach jakiegokolwiek stowarzyszenia zawodowego.

- Ground Resource Access?

- Dzień wcześniej Janson słuchał Helmsa mówiącego: „Jeśli chodzi o ekonomię podaży ropy, problemem jest dostępność złóż zalegających w ziemi”. Zbieg okoliczności? Sam jednak powiedział Helmsowi, że podobne stwierdzenia padają z ust wielu nacierzy. To powszechnie stosowana nomenklatura.

- Czy to była spółka amerykańska?

- Nie wiem.

- A ludzie, z którymi miał pan do czynienia, czy byli Amerykanami? - cierpliwie drażył Janson. - Spotykający się ze mną człowiek robił wrażenie Amerykanina.

- Jak wyglądał? - Mniej więcej jak pan. Wysportowany, jak ekszołnierz.

- Mógł być żołnierzem? - dopytywał Janson, myśląc że GRA reprezentowało interesy amerykańskich tajnych służb. Menezes wzruszył ramionami.

- Czy na jego wizytówce przy nazwie firmy widniał dopisek „Limited”, czy „Incorporated”? „Z o.o.” czy „S.A.”?

- „Inc...”. I był Amerykaninem. Nie mam co do tego wątpliwości.

- Kiedy się pan z nim widział?

- Pięć lat temu. Gdy wróciła gospodyni, Janson nieznacznie skinął jej głową. Pora ruszać. Więcej już się tutaj nie dowie. Nazwisko tego Amerykanina mogą ustalić współpracownicy CatsPaw.

- Kończcie śniadanie, przyjaciele - powiedziała Mimi. - Dziękuję za odwiedziny.

Kilka minut później bezceremonialnie odprowadziła gości do drzwi.

- Niewiele ci pomogli, tak?

- Liczy się każdy bit informacji. Dzięki. - Janson spojrział na zegarek.

- Nie spiesz się tak.

- Mam bardzo napięte terminy.

- Ale mam dla ciebie jeszcze jednego gościa.

- Kogo?

- Pewnego rozsierzonego policjanta. Paul powściągnął odruch kładący mu natychmiast odejść. Księżniczka manipulowała nim, ale jej uśmiech sugerował, że ma coś specjalnego w zanadrzu.

- Kogo masz na myśli?

- Jest Francuzem. Zajmował wysokie stanowisko w służbie bezpieczeństwa. Podpadł francuskiemu prezydentowi, znanemu ze złego traktowania swoich ochroniarzy. Zdegradowano go. Bez wystarczającego powodu.

- Myślisz, że wie coś o Sécurité Referral?

- Nie... To znaczy, o ile wiem, to możliwe, ale nie dlatego do niego zadzwoniłam.

- A dlaczego?

- Zgadnij, gdzie piastował to swoje wysokie stanowisko?

- Księżniczko!
- Na Korsyce. Janson z uśmiechem spojrzał na jej rozpromienioną twarz.
- Niech Bozia cię błogosławi, Mimi.
- Będzie tu za godzinę. Chcesz wziąć prysznic czy coś w tym rodzaju?
- Prysznic dobrze by mi zrobił.

Przez cały niemal okres pracy w policji Dominique Ondine służył na Korsyce, w wyspiarskiej francuskiej prowincji, gdzie zwalczał nacjonalistycznych separatystów i mafię Union Corse oraz godził zwaśnione klany, bez ustanku toczące wojny z powodu sobie tylko znanych uraz, zniewag i nieprzedawniających się wendet. Z powodu bladej karnacji wyglądał na kogoś, kto pracuje zwykle za biurkiem lub w nocy.

- Oddałem swoje życie ojczyźnie. A potem zrujnował mi je jakiś tam polityk.

Nie było jeszcze południa, a Ondine, sądząc po zapachu, wychylił już kilka koniaków. Mimi naląła mu następny kieliszek. Zamknął go w masywnej pięści o poznaczonych bliznami kostkach. Janson zaopiekował się swoim. Rozmawiali, siedząc przy kuchennym stole gospodyni, na którym teraz piętrzyła się góra sera, chleba i kiełbasy. Wszystkie te produkty zostały dostarczone z pobliskiego Harrods Food Hall.

- Madam Princess mówi, że wybiera się pan na Korsykę.
- Tak. Jestem tam umówiony ze współnikiem.
- Mam nadzieję, że nie jest pan deweloperem.
- Dlaczego?

- Korsyka balansuje na krawędzi anarchii. Nacjonałiści gwałtownie protestują przeciw „kolonizacji” wyspy przez bogatych turystów. Nienawidzą deweloperów przejmujących nadbrzeżne posiadłości pod budowę hoteli.

- Z tym nie powinno być problemu. Jestem korporacyjnym konsultantem do spraw bezpieczeństwa.

Ondine uniósł krzaczaste brwi, zamrugał, by pozbyć się z oczu alkoholowej mgiełki, i uważniej przyjrzał się Jansonowi. Wykąpany, ogolony, w świeżej koszuli z

kolekcji Mimi, ten miły w obejściu Amerykanin robił na nim wrażenie bankiera, lekarza albo prawnika na urlopie w Londynie. Teraz Francuz musiał się zastanowić.

- Podpalenie i dynamit - powiedział Jansonowi - to Korsykanina broń z wyboru. Wendeta to jego „sąd karny”.

Korsykanie nie oglądają się na innych, są ostrożni, myślą o swoich interesach. Przy takim ich nastawieniu bardzo trudno zapewnić bezpieczeństwo ludziom z zewnątrz, którzy ich obrażają. Będzie miał pan pełne ręce roboty.

Paul odpowiadał zdawkowo, choć przy okazji sprawdzania wcześniejszych doniesień o pojawieniu się Ibogi, nie tak wiarygodnych i dokładnych jak te pochodzące od Daniela, byłego żołnierza Navy SEAL, zdążył opracować legendę maskującą operację na wyspie. Kincaid już tam była, robiła rozpoznanie, przekazując zebrane informacje do CatsPaw. Protocolo de Seguridad, firma Freddy’ego Ramireza, rekrutowała ludzi do oddziału, który miał osłaniać ich odwrót. Quintisha Upchurch postawiła w stan gotowości pośredników, żeby wynająć helikoptery, łodzie oraz frachtowiec.

- Na szczęście - ciągnął Janson - podjęliśmy się tylko sprawdzenia wiarygodności zagranicznych inwestorów. Za ich fizyczne bezpieczeństwo odpowiadają inni.

- Nie rozumiem.

- Wasz rząd nie chce łamać praw Unii Europejskiej dotyczących prania pieniędzy. Moim zadaniem jest prześwietlenie potencjalnych inwestorów uczestniczących w projekcie budowy nieruchomości wspieranym przez rząd francuski. Inaczej mówiąc, jeśli przemytnik narkotyków zechce zainwestować nielegalne zyski z tego procederu w budowę hotelu na wybrzeżu, nasza lustracja mu to uniemożliwi.

- Aaa, jest pan kimś w rodzaju księgowego.

- No właśnie - mruknął Janson, zakładając druczane okulary.

- Powtarzam: Korsyka balansuje na krawędzi. Jeśli separatyści zaatakują, a pan znajdzie się wśród milionerów popijających szampana w letnim pałacu w Punta d’Oro, mogą nie zważać na to, kto jest kto.

- Dziękuję za ostrzeżenie. - Paul uniósł kieliszek i przechylił go w stronę Ondine.

- Będę unikał bąbelków i trzymał się ucziwego koniaku. Ondine w końcu się uśmiechnął.

- Proszę mi powiedzieć - zapytał Amerykanin - czy w swojej praktyce, od Księżniczki Mimi wiem, że była bardzo rozległa, natknął się pan na organizację o nazwie Sécurité Referral?

- Non. - Ondine ukroił sobie kawałek kielbasy, rzucił na kromkę chleba i odgryzł potężny kęs. Janson zauważył, że Mimi uważnie wpatruje się we Francuza. Kłamię, pomyślał.

- Czy mówi coś panu nazwisko Bloch, Emil Bloch? Przypuszczalnie to jeden z ich ludzi.

- Był najemnik o takim nazwisku - odparł Ondine.

- To ekslegionista.

- Ale nie słyszał pan o jego powiązaniach z Sécurité Referral?

- Non!

- Jest jeszcze jeden człowiek, którego, jak słyszałem, łączy się z Sécurité Referral. To Korsykanin, Andria Giudicelli.

- Merde.

- Ondine miał taką minę, jakby chciał splunąć na podłogę i zrobiłby to, gdyby nie znajdował się w kuchni Mimi.

- Zna go pan?

- Czy go znam? Aresztowałem go dwadzieścia lat temu.

- Pod jakim zarzutem?

- Korsykańskiego recyklingu.

- Co proszę? Recyklingu? Ondine wykrzywił usta w uśmiechu.

Ondine wykrzywił usta w uśmiechu.

- Recyklingiem Korsykanie nazywają podpalenie. Spalił fabrykę konkurencji. Przyjaciele udzielili mu pomocy i uciekł z więzienia. Od tej pory nie bywa na Korsyce.

- Czy pańskim zdaniem miał jakieś powiązania z Sécurité Referral?

- Nie wiem, co to jest to Securit  Referral, jak wi c mog  odpowiedziec panu na to pytanie?

- Je li dobrze zrozumia em, jest pan na emeryturze. Ondine skończył prze zuwa  kanapk  i wytar  d onie w serwetk .

- Okazjonalnie zajmuj  si  tym co pan, udzielam konsultacji. To lepsze ni  siedzenie w domu. Paul si gn ł po portfel i wr czy ł mu wizyt wk  Janson Associates.

- Gdyby da  mi pan swoj  wizyt wk , m g bym skorzysta  z pańskich us ug.

- Ale  oczywi cie. - Ondine poda  wizyt wk  i podni s  si  od sto u. - Merci, Ksi żniczko. Mi o by o pana pozna , panie Janson.

- Mam nadziej  niebawem si  z panem skontaktowa  - rzek  Janson.

Podali sobie d onie. Mimi odprowadzi a Francuza do drzwi. Kiedy wr ci a, Paul kończył zak ada  kurtk .

- Dok ad teraz?

- Tak jak mu powiedzia em, na Korsyk .

- K ama  o Securit  Referral.

- Te  tak s dz .

- Ale dlaczego?

- Albo s ysza  o nich i si  boi, albo dla nich pracuje. Wygl da na takiego, jakich oni szukaj : bystry, profesjonalista, z powi zaniaми i wkurzony. Z drugiej strony, nie jest ju  m ody.

- Dlaczego dok adniej go nie wypyta s ?

- Bo nie spodziewa  si  takiego wypytywania po „ksi gowym”.

- B dziesz jednak dalej bada  t  spraw ? Janson poca owa  j  w policzek.

- By a  wspania a. Jak zawsze.

Rozdzia  31

W Porto-Vecchio, dokąd przyplłynął wynajętym na pobliskiej Sardynii jachtem motorowym, powitał Paula widok spalonego hotelu. Turystyczne, chętnie odwiedzane przez żeglarzy miasteczko rozłożyło się w głębokim wcięciu w skalistym południowo-wschodnim wybrzeżu Korsyki. Wybite okna hotelu patrzyły na przybysza jak oczy trupa, ściany szerniały od dymu. Wypalona dwunastopiętrowa budowla niczym ponury wartownik stała nad portem pełnym kolorowych łodzi. Wykonane sprayem napisy „Resistanza” i „Corse pour Corsicans” nie pozostawiały wątpliwości, kto wzniecił pożar.

Zostawił jacht pod opieką kapitana i ruszył do miasta. Przyglądał się odbiciu wąskich uliczek w oknach luksusowych sklepów, nieznacznie skinął głową muskularnemu właścicielowi sklepu ze sprzętem nurkowym i na chwilę przystanął obok motorówki należącej do firmy oferującej turystom pełne wrażeń loty na latającym skrzydle nad wodami zatoki. Opuściwszy nabrzeże, zatrzymał się przed spalonym hotelem. Robotnicy zabijali deskami okna na najniższym piętrze. Ale ci z nich, którym polecono usunąć graffiti, nieznacznie przykładali się do pracy i wymieniali konspiracyjne uśmiechy.

Janson złapał taksówkę i pojechał w góry. Była to kraina maleńkich wiosek, kamieniołomów, gajów oliwnych i opuszczonych domów. Francuskie napisy na dwujęzycznych znakach drogowych zamalowano. Na domu, przez wybuch pozbawionym dachu, ktoś nagryzmolił: „Front Narodowego Wyzwolenia Korsyki”. SR nie najgorzej wybrało, tutaj właśnie ukrywając Iboę. Korsykanie nie należeli do ludzi, którzy donoszą policji na uciekinierów.

Wysiadł z taksówki przed wiejską kawiarnią mieszczącą się w wiekowym, kamiennym budynku i polecił kierowcy wrócić za godzinę. Z ocienionego płóciennym dachem patio miał na wschodzie widok na morze, na zachodzie zaś - na góry. Daleko, daleko w dole zobaczył port wychodzący na Morze Tyrreńskie, stumilowy pas wody oddzielający Korsykę od Włoch. Patrząc w przeciwnym kierunku, widział zbiegającą z gór wąską, krętą drogę. Od spalonych słońcem zarośli napływał zapach lawendy i mirtu. O tej wczesnopopołudniowej porze kawiarnia była prawie pusta i Paul miał całe patio dla siebie. Zamówił pizzę quatre fromage oraz szklanekę czerwonego ajaccio i

właśnie kończył posiłek, kiedy posłyszał przeraźliwy, chrapliwy odgłos pracującego na maksymalnych obrotach potężnego silnika.

W dół górskiej drogi pędził czerwony sportowy motocykl ducati 848.

Nietrudno zgadnąć, ponuro pomyślał Janson, kto to tak goni na złamanie karku, choć nie mógł nie podziwiać jej umiejętności. Kincaid stopami, kolanami i udami przywarła do maszyny, ruchami tułowia przesuwając jej środek ciężkości. Hamując silnikiem, zwalniała przed zakrętami, by po wyjściu z łuku natychmiast gładko przyspieszyć. Paul jednak wiedział, że umiejętności umiejętnościami, ale dziewczyna ewidentnie nadużywa praw fizyki i swojego szczęścia. Wystarczy jeden błąd i koziołkując, polecą w przydrożne krzaki. Zastanawiał się, czy za tą niemal samobójczą jazdą nie kryła się desperacka próba pogodzenia się z dręczącym wspomnieniem australijskiej katastrofy.

Motocykl wyszedł z ostatniego zakrętu i zahamował przed kawiarnią. Kincaid, cała w skórach, z przewieszoną przez ramię potężną lornetką od Swarovskiego i cyfrowym canonem z trzydziestocentymetrowym obiektywem, ustawiła motocykl na nóżkach i rozkołysanym krokiem weszła na patio. Wymiętoszony egzemplarz Ptaków Korsyki w wydaniu Brytyjskiego Stowarzyszenia Ornitologów, który rzuciła na stolik przylegający do stolika Jansona, tłumaczył jej ekwipunek.

Zdjęła kask, przeczesła palcami włosy i spojrzała na Paula - ot, jeden turysta szacujący wzrokiem drugiego turystę. Ten grał swoją rolę z wyrazem twarzy świadczącym o szczerym zainteresowaniu. Zamówił pizzę i szklankę wina, tak udatnie naśladując miejscowy, u Corsu, dialekt, że kelnerka obdarzyła go pełnym uznania uśmiechem.

Kiedy już zostali na patio sami, Kincaid powiedziała:

- Paul, przestań patrzeć na mnie w ten sposób. Nic mi nie jest, po prostu spuszczam parę.

- Z radością to słyszę i czuję głęboką ulgę w związku z zawieszeniem prawa powszechnego ciążenia... I co sądzisz o Korsyce?

- Czuję się tu jak w domu. Jakbym wróciła do Red Creek z wszystkimi tamtejszymi sporami i awanturami. Jeśli ich, oczywiście, nie wnerwiasz, ludzie tu są bardzo mili. Zwłaszcza w górach. A góry piękne. Potem mijasz zakręt drogi i nagle

widzisz to turkusowobłękitne morze i białe, piaszczyste plaże jak okiem sięgnąć. Mogłoby być zabawnie wrócić tu kiedyś, kiedy nie będziemy pracować.

- Jakoś trudno mi sobie wyobrazić ciebie wylegującą się na plaży.

- Oczywiście miałam na myśli wspinaczkę skałkową.

- Iboga jest tutaj?

- Na to wygląda. Ale często zmienia miejsce pobytu.

- Otworzyła przewodnik ornitologiczny na czystej, przeznaczonej na notatki stronie i pospiesznie naszkicowała mapę Korsyki. Wyspa przypominała zaciśniętą w pięść dłoń z palcem wskazującym wyciągniętym na północ.

- Najpierw trzymali go tutaj, na przylądku Capo Corso. Freddy uważa, że przyплыnęli łodzią z Włoch. Potem przewieźli go chyba w te góry, blisko centrum wyspy, ale ich zgubiłam. Zdaniem chłopaków Freddy'ego przebywa na prywatnym półwyspie niedaleko Vallicone. Tutaj, w górę wybrzeża od Porto-Vecchio. Freddy jest absolutnie pewien, że właśnie tam.

- Dlaczego? - Bo to cholerna forteca.

Rozdział 32

Jessica Kincaid przewróciła kartkę klucza do oznaczania ptaków i narysowała mapę półwyspu wybiegającego w Morze Tyrreńskie.

- Wszędzie dwudziestometrowy klif, nie da się więc podплыnąć łodzią, po prostu nie ma gdzie wylądować. Moglibyśmy niewielkim pontonem wplynąć do maleńkiej zatoczki odwiedzanej przez rybaków. Któryś z nich musiałby nas poprowadzić. Potem trzeba by było wspiąć się na klif, ale jak sprowadzilibyśmy na dół Ibogę bez jakiegoś cholernego żurawia? Helikopter odpada, mają radar.

- Radar?

- Ci, którzy tam siedzą, boją się, że miejscowi wezmą ich za deweloperów inwestujących w hotele. Jeśli to SR, można za ironię uznać fakt, że ukrywają Ibogę na wyspie będącej beczką prochu, gdzie wszyscy obcy są podejrzani. Chodzą plotki, że SR zamierza zmienić cały półwysep w gigantyczny kompleks wypoczynkowy. To wkurza korsykańskich separatystów, mafię Union Corse, biednych rybaków

pozbawionych dostępu do wody, a także ekologów, a ci we Francji wykazują skłonność do używania ostatecznych argumentów. Słyszałam, że wypowiedzieli wojnę francuskiemu rządowi i superbogaczom. Widziałam ten półwysep i wcale im się nie dziwię. Pieniądze niszczą miejsca tego rodzaju.

- Z tego wynika, że rząd nie zamierza pozbawiać właścicieli półwyspu prawa do obrony.

- Mogą odeprzeć całą armię, ale na wszelki wypadek mają też helikoptery dalekiego zasięgu z dodatkowymi zbiornikami paliwa. Jeśli to SR i jeśli ukrywają Ibogę, zmuszeni do ucieczki bez trudu przedostaną się do Francji lub Włoch.

- A gdyby spróbować drogą?

- Bez czołgów nie da rady. - Narysowała linię biegnącą środkiem półwyspu. - To jedyna droga. Tu i tu obstawili ją kamiennymi wartowniami. W jednej z nich, najbliższej głównej drogi, wypatrzyłam Duszkę.

- Duszkę? Wygląda na to, że dość poważnie traktują separatystów. - „Duszka”, DSzK, Diegtariewa-Szpagina Krupnokalibriowyj, czyli wielkokalibrowy karabin maszynowy kalibru 12,7 mm, groźny dla wszelkiego rodzaju celów naziemnych i powietrznych z wyjątkiem pojazdów pancernych.

- Założę się, że zdaniem SR separatyści stwarzają dla nich większe zagrożenie niż my. Tak w każdym razie uważa Freddy.

- To pasuje do metod działania SR - zgodził się Janson. - Zająć umocnioną pozycję, ale zachować gotowość do odskoku. Kincaid położyła palec na linii południowo-wschodniego wybrzeża.

- Stąd łatwo odskoczą, dokąd zechcą. Za cieśniną Bonifacio leży Sardynia, gdzie wycarterowałeś łódź. Jak długo tutaj płynąłeś?

- Przez cieśninę dwadzieścia minut. Do tego miejsca kilka godzin.

- Sardynia należy do Włoch, stamtąd bez trudu przedostaną się do kilku innych krajów. Niewykluczone, że teraz udadzą się właśnie na Sardinie. Cieśninę przepływa codziennie piętnaście statków. Mogliby wsadzić Ibogę na jeden z nich. Mogli też albo zatrzymać się na półwyspie Vallicone, albo tu, w Porto-Vecchio. Spójrz na te łodzie w porcie.

W licznych przystaniach jachtowych tłoczyły się setki jachtów motorowych i żaglowych. Przy zewnętrznych pirsach cumowało kilka statków. Do Porto-Vecchio przyływały promy z Neapolu i Marsylii.

- Jeżeli zechcą, zapakują Ibogę na jeden z tych luksusowych jachtów i wywiozą go w dowolne miejsce nad Morzem Śródziemnym. Który jest twój?

- Mały trzydziestometrowiec na końcu tego szeregu dużych.

- Tak, cóż, sam widzisz, że to przytulne schronienie dla bogatych Europejczyków.

- Iboga jest bogaty.

- Zastanawiam się, czy oni od początku nie kierowali się na Korsykę, tylko się z tym kryli. W górach pełno tu ogrodzonych posiadłości, w porcie - wielkich jachtów pełnomorskich. Nieopodal cieśniny Bonifacio leży kilka wysepek stanowiących prywatną własność, przynajmniej o jednej wiadomo, że należy do mafii. Jeśli ktoś szuka luksusu, tu się zatrzyma.

Znad Morza Tyrreńskiego dobiegł huk ciężkich silników. Janson dostrzegł znajome sylwetki turbośmigłowych transportowców Transall C - 160 zbliżające się do wybrzeża na wysokości siedmiuset metrów.

- Francuscy legionieści - wyjaśniła Kincaid. - Na północy, w Calvi, skoszarowane są oddziały szybkiego reagowania Drugiego Cudzoziemskiego Pułku Spadochronowego.

Z odpalonej na plaży świecy dymnej buchnął pomarańczowy dym. Kincaid skierowała w tę stronę lornetkę.

- To ćwiczenia. Obserwowane przez dowództwo. Patrzyli, jak legionieści wyskakują z samolotów, rozciągając się za nimi w wąski klin. Nurkowali niemal do samej ziemi. Kilka sekund po otwarciu spadochronów lądowali na piasku.

- Bardzo ładnie - pochwalił Janson. Dziewczyna podała mu lornetkę.

- Spójrz, jak zgrupowali się na plaży.

Legionieści uwolnili się od spadochronów i wymierzili broń w cel pozorowanego ataku, ciężarówkę, na której stał sierżant wpatrując się w coś, co trzymał w dłoni. Janson nie widział co to, ale był pewien, że sierżant trzyma stoper.

- „Ciężki trening - łatwa wojna” - powiedziała Kincaid.

- Motto Legii.

- Gdzie to słyszałaś? - Poszłam na winko z ich pułkownikiem.

- Doprawdy? Czy pułkownik wypowiadał się na temat półwyspu Vallicone?

- Nie sądzę, by Iboga stanowił temat nadający się do poruszenia w rozmowie z francuskim oficerem.

- Słusznie - przyznał Janson. Spojrzał na zegarek i przez chwilę wpatrywał się w narysowane przez dziewczynę mapy.

- Freddy i jego chłopcy czekają na półwyspie na twoje rozkazy.

- Mam gotowe do startu helikoptery i szybkie łodzie na frachtowcu stojącym w cieśninie Bonifacio. Brakuje mi tylko dowodu, że Iboga znajduje się na tym półwyspie.

Jessica postukała palcem w mapę.

- Moim zdaniem te karabiny maszynowe dowodzą, że Iboga tam jest. Podobnie radar i helikoptery. Musimy szybko uderzyć, zanim go przeniosą.

- Jeśli zaatakujemy półwysep, a okaże się, że jego tam nie ma, skończy się na strzelaninie z jakimiś pewnymi siebie bandziorami, zaopatrzonymi w karabiny maszynowe, radar i helikoptery.

- Nie możemy beczynnie czekać, aż wywiozą go nam sprzed nosa.

- Chcę wiedzieć więcej, nim zdecyduję się na akcję, która okaże się paskudnym błędem.

- Trzeba coś zrobić.

- Zaczniemy od zdjęcia z ciebie tych skór. Zejdź do Porto-Vecchio i kup sobie jakieś ciuchy.

- To miasto to śmietnik Europy. W sklepach mają tylko kiecki dla dziwek.

- Właśnie takie kiecki będą najlepsze

Możesz powtórzyć? - zapytała z niebezpiecznym błyskiem w oczach. Otworzył portfel i pokazał jej zaproszenie wypisane tłoczonymi literami. - Ministerstwo Gospodarki, Przemysłu i Zatrudnienia oraz Agencja Rozwoju Gospodarczego Korsyki

mają przyjemność zaprosić przedstawicieli Janson Associates na lampkę szampana w ramach spotkania inwestorów konsorcjum hotelowo-mieszkaniowego.

- Skąd to wzięłeś?

- Od przyjaciela z Paryża. Na spotkaniu pojawi się wielu nadzianych deweloperów i część elity francuskich przedsiębiorców. Ktoś powinien dysponować poufnymi informacjami na temat tak wartościowej posiadłości jak półwysep Vallicone. Zagramy swoje role i zdobędziemy trochę informacji, pewnych informacji.

- Jakie role?

- Starego, bogatego konsultanta do spraw bezpieczeństwa zatrudnionego do ochrony Agencji Rozwoju Gospodarczego Korsyki przed przestępcami piorącymi brudne pieniądze. Będzie mu towarzyszyła wystrzałowa przyjaciółeczka, udająca osobistą asystentkę.

- Którą rolę ty zagrasz?

- Spotkamy się na jachcie. Nazywa się Tax Free. Jessica skinęła głową, wciąż zniecierpliwiona, choć cieszyła się na nowe wyzwanie.

- Gdzie jest samolot? - zapytała.

Janson ponownie spojrzał na zegarek.

- Mniej więcej w tej chwili Ed i Mike powinni wylatywać z Zurychu. Za dwie godziny wylądują na lotnisku Figari.

- Wiedział, że bynajmniej nie chodziło jej o embraera. Interesowało ją jedynie, gdzie jest jej ulubiony karabin.

Paul zaanektował górny mostek Tax Free, chcąc w spokoju zadzwonić do kilku osób. Zewnętrzne stanowisko nawigacyjne jachtu na dachu sterówki wznosiło się wysoko nad powierzchnię wody. Janson miał stamtąd dobry widok na zatłoczoną przystań jachtową, port i zalane słonecznym blaskiem miasto. Pod nim załoga szorowała pokład, polerowała i malowała metalowe części wyposażenia, odkurzała dywany.

Quintisha Upchurch zapewniała, że wszystkie zamówione przez Jansona rzeczy znajdują się już w miejscu przeznaczenia.

- Łącznie z wabikiem, choć muszę przyznać, że Rosjanie strasznie grymasili. Łatwiej by było kupić prawdziwy od któregoś z pańskich handlarzy bronią.

Paul potwierdził prawidłowość przekazanych mu nazwisk, numerów telefonów i innych szczegółów. Kończąc rozmowę, Quintisha powiedziała:

- Dzwonił pan Case. Prosił, żeby panu przekazać, że rozpoczął działalność „podziemną” i że będzie pan wiedział, co ma na myśli.

- Dziękuję, Quintisho, niebawem do ciebie zadzwonię. Janson skwapliwie oddzwonił do Douga.

- Co się dzieje? - zapytał, kiedy dawny kumpel odebrał telefon.

- Nie bardzo wiem, co to znaczy, ale Kingsman Helms wygaduje straszne rzeczy na temat tymczasowego prezydenta Poego. Mam wrażenie, że wytwarza w spółce wrogą atmosferę wokół niego.

- W jakim celu? - dociekał Paul.

- Chcesz, żebym zgadywał?

- To ty jesteś w centrali ASC w Houston - powiedział Janson. - Nie ja.

- Moje domysły, tak? Helms przygotowuje grunt pod zwrócenie ASC przeciw Ferdinandowi Poemu.

-Po co?

- Żeby usunąć go ze stanowiska.

- Ciekawe - mruknął Janson. - Trzeba to będzie przemyśleć. Co poza tym?

- Korci mnie, żeby się stąd wynieść.

- Jeszcze poczekaj. Niech się to wszystko rozegra do końca. Jakież postępy w sprawie reaperów?

- Nie. I żadnych się nie spodziewam. To musiało być załatwiane w trakcie spotkania w cztery oczy: emerytowany oficer zatrudniony w prywatnej firmie płaci wór dolców albo obiecuje świetlaną przyszłość oficerowi w czynnej służbie.

- To oczywiste - stwierdził Janson.

- Kop dalej. Co wiesz o GRA?

- Jakby mi to coś mówiło. Nie potrafię sobie przypomnieć. Co znaczy ten skrót?

- Ground Resource Access.

- Ropa.

- Tak, ale czy może to być nazwa spółki?

- Kto wie?

- Pytam ciebie.

- Zorientuję się i dam ci znać. Gdzie jesteś?

- W Londynie. Ale dzwoń do Quintishy. Prawdopodobnie się stąd ruszę.

- Odezwę się.

Doug Case pożegnał się i z uśmiechem odłożył słuchawkę.

W OPKON-ie nauczono go kłamać. Gładko. Bez wysiłku. Nie wynaleziono jeszcze wykrywacza kłamstw czy analizatora głosu, którego nie byłby w stanie wykiwać. Należał do najlepszych. Janson, jak zwykle, był najlepszy. Tak cholernie dobry, że Doug Case niemal uwierzył w ten Londyn, choć wiedział ponad wszelką wątpliwość, iż jego rozmówca jest w Porto-Vecchio na Korsyce.

Rozdział 33

Jessica Kincaid wkroczyła do salonu Tax Free w piętnastocentymetrowych szpilkach i klasycznych rybackach zapiętych nisko na biodrach. Trzymała kopertową torebkę tak małą, że ledwie mieściła telefon komórkowy i nóż. Dla Jansona miało pozostać tajemnicą, jakim sposobem jedwabną chusteczkę do nosa zdołano przerobić na top trzymający się na cienkim paseczku wokół szyi.

- Jak wyglądam?

- Na tyle młodo, że wylegitymowałby cię każdy odpowiedzialny barman... Nie, czekaj! A gdzie jest tłuszczyczek wylewający się z portek? Kincaid chłodno spojrzała na wygięcie swoich odsłoniętych bioder.

- Nie mam tłuszczyku.

- Ale nastolatki mają. Nie jesteś dość pulchna, żeby uchodzić za moją nastoletnią dziewczynę.

- W tym mieście o względy bogatych faciów rywalizują głównie młode Rosjanki. Nie zobaczymy tłuszczu na przyjęciu. Zamierzali już wychodzić, kiedy zadzwoniła komórka Paula.

- Sekundę. Facet odpowiada na mój telefon.

Odebrał, słuchał przez chwilę i złożył aparat.

- Co się dzieje? - zapytała Kincaid.

- Czy nie mówiłaś, że podczas tej awantury w Kartagenie Van Pelt biegał w szortach?

- Udawał portowego majsterklepkę.

- Czy miał na nodze tatuaż?

-Nie. A co?

- Policja wodna znalazła w Sydney Harbour odgryzioną przez rekina nogę. Ale był na niej tatuaż, wijący się duży wąż.

- Jezu... W dół nogi, czy w górę?

- A wiesz, nie spytałem.

- Wszystko jedno, to nie jego noga.

- Możliwe więc, że twój chłopiec nadal działa.

Przyjęcie odbywało się na stutrzydziestometrowym megajachcie Main Chance z Hongkongu, przycumowanym rufą do najbardziej wysuniętego w morze pirsu maryny. Sala balowa wychodziła na rozległy pokład i tam zgromadziła się większość z setki gości, jako że wieczór był gorący, niebo czyste, a grająca wewnątrz kapela - zbyt głośna. Zachodzące słońce oświetlało kamienne i tynkowane ściany domów rozrzuconych na otaczających port wzgórzach. Wspaniały widok szpeciło tylko szerniałe truchło wypalonego hotelu.

Zgodnie z oczekiwaniami Jansona, nie był on jedynym mężczyzną, któremu towarzyszyła młoda dziewczyna, rzeczniczka prasowa albo osobista asystentka. Wzięli

po kieliszku szampana od przechodzącej kelnerki, ubranej jeszcze bardziej skąpo niż Kincaid, udali, że wypijają po łyku i przystąpili do pracy. Jessica służyła za wabia, przyciągając uwagę przesadnie opalonych, obwieszonych złotem mężczyzn w średnim wieku. W odpowiednim momencie wkraczał Janson, przedstawiając się słowami: „Paul Janson, Janson Associates. Moja koleżanka, pani Kincaid”. Jeśli mężczyzna mówił tylko po francusku, Jessica tłumaczyła, choć Janson prawie wszystko rozumiał.

Spalony budynek stanowił dobry temat na początek rozmowy. Słowa „konsultant do spraw bezpieczeństwa” witano uwagami, które mieściły się pomiędzy: „Sam pan widzi, że czeka tu pana mnóstwo pracy”, a „Oni tu, na Korsyce, mają przesadnie ekologiczny stosunek do wybrzeża”.

Jessica wmieszała się w grupkę bogatych, obwieszonych biżuterią starszych panów i wciągnęła ich w rozmowę. Paul, krążąc po pokładzie, kilkakrotnie usłyszał, że sprzedaż zaczyna się rozkręcać.

- Duże wille idą za milion, dwa miliony euro. Tu, w Porto-Vecchio, cena jest dwukrotnie wyższa.

- To właściwy moment do robienia wielkich interesów - zapewniał Jansona deweloper z Atlanty w stanie Georgia. Jessica napatoczyła się na starszawego Francuza. Opalony, o skórze pokrytej starczymi plamami, miał żółte zęby i pół kilo złota na szyi oraz czterokaratowy szmaragd zawieszony u lewego ucha.

- Monsieur Lebris - przedstawiła go Jansonowi - jest pod wrażeniem faktu, że przybyłam na przyjęcie razem z ojcem. Skinieniem głowy odpowiedział na ukłon Lebrisa i odrzekł: - Monsieur Lebris ma nadzieję, że jesteś moją córką.

- Monsieur Lebris inwestuje w tereny wokół Vallicone.

- Cudownie - zachwycił się Janson. - Użyj swojej pięknej francuszczyzny i wyjaśnij mi, że kilku naszych klientów wyraziło zainteresowanie tym obszarem. Niestety półwysep nie jest na sprzedaż. Kincaid przetłumaczyła.

Kincaid przetłumaczyła.

Francuz energicznie pokręcił głową i odpowiedział potokiem słów tak gwałtownym, że Janson nic nie zrozumiał.

- Co powiedział?

- Półwysep niekoniecznie nie jest na sprzedaż. Aktualnie został na krótko wynajęty, ale właściciele, należący do starego paryskiego rodu, mogliby go sprzedać za przyzwoitą cenę.

- Wynajęty?

- To pasuje do schematu działania SR - półgłosem zauważyła Kincaid.

- Pozostawać w ruchu. To Cyganie. Bez stałej siedziby. Zupełnie jak my. Lebris zaklął nagle i ze złością wskazał na brzeg. Grupa separatystów rozwijała właśnie olbrzymi transparent. Zawisł na dachu spalonego hotelu. Wypisano na nim czerwonymi, ociekającymi farbą literami:

Uczestnicy przyjęcia zamilkli, słychać było tylko dobiegającą z sali balowej muzykę.

- Terroriste! - Lebris podbiegł do relingu i potrząsnął pięścią.

- Cudzoziemcy precz! - Przetłumaczyła Kincaid. - FLNC to Front Wyzwolenia Narodowego Korsyki.

- Podoba mi się ich styl. Ci ludzie mogliby nam bardzo pomóc.

- Dokonać dywersji?

- Jeśli znajdziemy sposób dotarcia do nich bez wyciągania broni.

- Wyglądają na takich, którzy potrafią o siebie zadbać. Separatyści okazali się bardzo sprawni. Trzej zamaskowani mężczyźni błyskawicznie zjechali z budynku po linach niczym zawodowi alpinieści. Oddziały szybkiego reagowania żandarmerii i agenci Direction de la Surveillance du Territoire natknęli się w wąskich uliczkach na blokujące przejazd trzy porzucone ciężarówki. W zamieszaniu czarny jak smoła ślizgacz z rykiem silnika podpłynął do przystani. Separatyści wskoczyli na pokład i szybka łódź pomknęła w kierunku ciemniejącego horyzontu na wschodzie, zostawiając daleko za sobą łodzie patrolowe.

- Wielki pożar załatwiłby sprawę - mruknęła Kincaid. - Pułkownik z Legii mówił, że krzaki są tak łatwopalne, iż jego żołnierzom podczas szkolenia zakazano używać amunicji”.

- Pewien francuski gliniarz powiedział mi, że na Korsyce podpalenia to narodowa rozrywka. Masz pomysł, jak nawiązać kontakt z FLNC? Wątpię, czy twój kumpel pułkownik utrzymuje przyjacielskie stosunki z podpalaczami.

Dziewczyna rozejrzała się po pokładzie. Goście odwrócili się plecami do spalonego hotelu, przyjęcie toczyło się dalej, jakby nic się nie stało.

- Wątpię, czy ci ludzie znają jakichś podpalaczy. Janson spojrzał wzdłuż trapu, po którym wciąż wchodzili nowi goście, i zrobił zdziwioną minę.

- O wilku mowa...

- Gdzie? Janson wskazał przeciwległy skraj pokładu.

- Tamten blady Francuz.

- Ten, który wygląda na bogacza, czy ten o wyglądzie gliny?

- Eksgliny - uściślił Janson. - Spotkałem go w Londynie. Nazywa się Dominique Ondine.

- Co tu robi?

- Nie wiem. Był tutaj szefem służby bezpieczeństwa. Przeniesiono go po tym, jak wkurzył prezydenta Francji. Ondine rozglądał się dookoła z pewnością człowieka zaopatrzonego w nakaz sądowy i broń.

- Czego on chce? - zapytała Kincaid.

- Pieniądzy?

- Miejmy nadzieję.

Wymienili z Ondine półukłony, kiedy ten podszedł bliżej. Francuz od góry do dołu przesunął wzrokiem po dziewczynie, zerknął na inną skąpo odzianą młodą kobietę i zwrócił się do Paula:

- Widzę, że przyjął pan miejscowy zwyczaj.

- Moja współpracownica, pani Kincaid. Ondine pochylił się nad dłonią Jessiki.

- Mademoiselle.

- Nie spodziewałem się spotkać pana tak szybko - stwierdził Janson. - Nie dziwię się.

- Szuka pan pracy? - kontynuował i wyjaśnił Kincaid:

- Monsieur Ondine jest prywatnym konsultantem do spraw bezpieczeństwa. -
Podobnie jak pan.

- Czyżby kontrola księgowości? - zapytała Kincaid. Francuz uśmiechnął się. Nie pił koniaku, pomyślał Paul, nie dzisiaj.

- Moja praca nie stawia przede mną aż takich intelektualnych wyzwań - powiedział Ondine. - Raczej coś w rodzaju staroświeckiej umiejętności posługiwania się bronią.

- To nie nasza działka - pokręcił głową Janson. - Proszę pana, przemyślałem pańskie pytanie o Sécurité Referral.

- Dlaczego? - zdziwiony Paul przyglądał mu się z uwagą. Kincaid tymczasem obserwowała uczestników przyjęcia, szukając wsparcia Ondine'a.

- Dlaczego? Jeśli istnieje takie zwierzę, jak uczciwy policjant, to jestem nim ja.

- Chcę wiedzieć - rzekł Paul Janson - dlaczego człowiek, który nazywa siebie „uczciwym policjantem”, a jest emerytowanym uczciwym policjantem, na własny koszt podążał za mną aż na Korsykę. Dominique Ondine wskazał spalony hotel ze zwisającym z dachu transparentem.

- Spalił się w zeszłym tygodniu. To tylko ostatni incydent. Puste wille są ostrzeliwane, mercedesy właścicieli wysadzane w powietrze, łodzie zatapiane.

- Wspominał mi pan o tym w Londynie. Korsyka to beczka prochu. Separatyści, mafia Union Corse, biedni rybacy i obrońcy środowiska.

Nic o Sécurité Referral.

- Oczywiście - zgodził się Ondine.

- Podpalenia i wendeta to na Korsyce zjawiska endemiczne. Korsykanie mają zwyczaj brać sprawy w swoje ręce.

- To także powiedział mi pan w Londynie. I to, że nigdy nie słyszał pan o SR. Czy mogę zapytać jeszcze raz? Czy Sécurité Referral to korsykańska organizacja?

- Non.

- Gdzie tu więc związek? Zwodzi mnie pan, Monsieur Ondine.

- Sécurité Referral rozkwitła właśnie w takich warunkach. W warunkach bezprawia. Janson i Kincaid wymienili tylko dla siebie zauważalne uśmiechy. SR rozkwitła pośród bezprawia? CatsPaw też.

- Proszę kontynuować, Monsieur - szorstko powiedział Janson. - Czego pan ode mnie oczekuje?

- Pracy. Konsultacje to marny interes.

- Czy może mi pan udzielić informacji, które pomogą nam pokonać Sécurité Referral?

- Czyżby księgowi ruszyli do walki? - uśmiechnął się Ondine.

- Niech pan nie będzie za sprytny - wtrąciła Jessica.

Ekspolicjant spojrział na nią ostro. Wytrzymała jego spojrzenie. Spuścił wzrok.

- Nie mogę udzielić panu takich informacji.

- Nie mogę czy nie chcę? - zapytał Janson.

- Nie mogę. Nie mam ich. Gdybym jednak nawet je posiadał, nic bym panu nie przekazał. Nie mam skłonności samobójczych.

- Przynajmniej zgadzamy się co do tego, że coś pan wie.

- Niewiele. Sécurité Referral to organizacja międzynarodowa, ale założona przez oficerów francuskiego wywiadu, służących ojczyźnie, nim przeistoczyli się w kryminalistów. Nauczyli się swojego rzemiosła, szpiegując w Rosji. Teraz są tam wszyscy: Rosjanie, Serbowie, Chorwaci, Afrykanie, Chińczycy. To wszystko, co mam do powiedzenia.

- Może pan dla mnie zrobić coś jeszcze.

- Słucham. Ruchem głowy Janson wskazał spalony hotel.

- Widzi pan transparent zwisający z dachu?

- Oczywiście.

- Dziś o północy chcę się w bezpiecznych warunkach spotkać z ludźmi, którzy go tam zawiesili.

- Nie mówi pan poważnie. Separatyści są moimi wrogami. Jako policjant ścigałem ich.

- Jest całkowicie poważny, niech pan w to lepiej uwierzy - odezwała się Kincaid.

- U nas, jeśli jest coś do zrobienia, to się to robi. Trzeba załatwić spotkanie. To leży w pańskich kompetencjach. A więc proszę nie tracić czasu. Ondine głośno przełknął ślinę.

- Co mogę im zaproponować za przyjście na to spotkanie?

- Pieniądze.

- Ile?

- Milion euro. Francuz gwałtownie wciągnął powietrze.

- Milion euro za zgodę na spotkanie?

- Nie. Za wykonanie zadania.

- Jakiego? - Dowiedzą się tego podczas spotkania.

- Jaka jest moja działka? - Dziesięć procent znaleźnego. Po tym, jak oni wykonają robotę.

- Zrobię, co będę mógł.

- O północy - przypomniał Janson.

- A kiedy będziemy wychodzić z przyjęcia - wtrąciła Kincaid - niech pan powie tym dwu gliniarzom udającym kelnerów, żeby nas nie śledzili.

Rozdział 34

Z heroiną jest tylko jeden problem. Trzeba ją zdobyć. Przy regularnych dostawach to pierwszorzędny narkotyk. Wciągasz i nic ci już nie dolega. To ważne, zwłaszcza jeśli co dzień twój mózg kręci się jak turbina, na najwyższych obrotach, zużywając umysł i duszę szybciej, niż czołg Abrams spala kerozynę. Heroina na chwilę włącza hamulce i to wystarczy, żeby naładować akumulatory i znów stanąć do walki. Dobrze, jeśli nie miało się skłonności do uzależnień, ale najważniejsza jest

wiara, że tylko przegrani strzelają sobie w żyłę. W szpitalu dla weteranów niejedyn amator miękkich narkotyków stoczył się w heroinizm. On się wzniósł.

Zapadła noc. Prawie.

Doug Case bez chwili przerwy korzystał z telefonu satelitarnego. Pierwszą rozmowę przeprowadził, gdy słońce stało jeszcze wysoko na niebie. Siedział w swoim fotelu na kółkach zapatrzony w widoczne za oknami gabinetu morze świateł Houston, rozciągające się od jednego końca horyzontu po drugi. Nie czuł ani bólu, ani strachu, miał za to coraz silniejsze poczucie panowania nad tym, co zaczęło się tak niepomyślnie.

Zadzwoił telefon. Case odebrał, pytając bez wstępów:

- Zdobyłeś samolot?

- Transall C sto sześćdziesiąt, dwusilnikowy turbośmigłowiec.

- Jakiego koloru?

- Cóż, z tym jest mały kłopot. Ma kamuflaż, jak chciałeś, ale niebieski.

- Mówiłem: zielony.

- Tak, ale... - Zielony! Nie obchodzi mnie, jak to zrobisz. Przemaluj albo zdobądź inny. Z zielonym kamuflażem. Czekam do jutra. Case wcisnął END. Rozważał możliwość zrelaksowania się, wciągnięcia kreski czy dwóch, ale z drugiej strony w decydującym momencie nie chciał zapaść w drzemkę. Postanowił zrezygnować. Narkotyki nie uzależniają. To przegrani popadają w uzależnienie. Wytrzymał pełne dziesięć minut ciszy i spokoju i już zaczynało go mdlić od beczynności, kiedy wreszcie telefon znów zadzwonił. Odgadł, kto dzwoni, jeszcze zanim sprawdził numer na ekranie wyświetlacza. Zgadza się. Głos. Co pięć dni, z regularnością zegara. Odebrał telefon.

- Witaj, Dziwny Głosie. Jak zdrowie dzisiejszego wieczoru? Jeżeli tam, gdzie się znajdujesz, jest wieczór.

- Robisz wrażenie bardzo rzeźkiego, Douglasie. Jak się miewasz? Głos dzwoniącego był zmieniony. Dźwięk emitowany przez jego telefon został cyfrowo przetworzony przez system transformacji głosu, pierwotnie stworzony na potrzeby wojny psychologicznej. Służył też do wprowadzania w błąd systemów identyfikacji

głosu. Case pamiętał to urządzenie z czasu początków swojej służby w OPKON-ie. Cyfryzacja, miniaturyzacja, nowe rozumienie procesu wytwarzania głosek i rozwój oprogramowania od VTS1 do VTS14.8 pozwoliły na znaczne jego udoskonalenie. Teraz umożliwiała ono dzwoniącemu zmienianie timbru głosu i jego tonu, dodawanie mylącego vibrato czy tremolo, a nawet generowanie przechwyconych sygnałów i tym sposobem podszywanie się pod inną osobę. Głos mógł mówić jak robot. Albo jak mała dziewczynka. Mógł brzmieć jak głos Jona Stewarta lub Hillary Clinton. Tego wieczoru przypominał trochę Jona Stewarta i trochę robota WALL-E.

Głos korzystał z bezpiecznej linii. Case nie wiedział nic na temat jego tożsamości ani miejsca pobytu. Przypuszczał, że dzwoniący też niekoniecznie orientował się, gdzie on przebywa, tak wyglądała specyfika połączeń komórkowych i satelitarnych. Różnica polegała na tym, że gdy Głos pytał o miejsce pobytu Case'a, ten natychmiast mu je wyjawiał. On sam nie mógł nawet marzyć o zadaniu takiego pytania.

Doug sądził, że dzwoniącym jest ktoś z American Synergy Corporation, któryś z dyrektorów lub członków zarządu, może sam tajemniczy Budda. Jeśli nawet ten ktoś nie pracował w korporacji, doskonale wiedział, co się tam dzieje. Pierwszy telefon Case odebrał przed dwoma laty.

- Byłeś najbardziej utalentowanym tajnym agentem, jaki kiedykolwiek służył swojemu krajowi - kadził Głos. - Służ mnie, a zostaniesz nagrodzony.

Dzięki układom z Głosem Case stał się najbogatszym człowiekiem, jakiego znał. Podejrzewał też, że czeka go wspaniała przyszłość, jeśli pozostanie lojalny, posłuszny, użyteczny i dyskretny.

- Jestem rzeński, dziękuję, proszę pana. Co mogę dla pana zrobić?

- Chcę, by kimś zastąpiono jednego ze współpracowników Ferdinanda Poego.

- Kim?

- Najpierw trzeba stworzyć wakat.

- Kiedy?

- Wkrótce. Bądź gotów.

- O kogo chodzi? Głos wymienił szefa sztabu Ferdinanda Poego, Maria Margarida.

Głos wymienił szefa sztabu Ferdinanda Poego, Maria Margarida.

Niezawodny Margarido stanowił spoiwo, łączące w jedną całość żalosny rząd Ferdinanda Poego borykający się z odbudową infrastruktury i przywracaniem równowagi gospodarce zrujnowanego przez wojnę kraju. Gdyby Margarido nagle odszedł, tymczasowemu prezydentowi zostałby tylko dawny szpieg, a obecnie szef bezpieczeństwa, Patrice da Costa, i jego własna imponująco silna wola. Case zastanawiał się, czy może Głos szykuje zamach stanu. Pytanie go o to byłoby poczytane za arogancję. Lepiej pozostać lojalnym, użytecznym, posłusznym i dyskretnym.

- Ma pan jakieś preferencje, jeśli chodzi o sposób pozbycia się Margarida?

- Lepiej, żeby nie został zastrzelony w miejscu publicznym. Doug znał to wyrafinowane, kryjące się za zasłoną powagi poczucie humoru obliczone na polechtanie próżności inteligentnego słuchacza przez stworzenie mu sposobności do odkrycia, iż dysponuje pokładami finezji. Ważne było też przekazanie dodatkowych informacji bez wypowiedzania ich na głos.

- Miej więc na uwadze to ograniczenie, ale poza tym decyduj sam. Im mniej podejrzeń, tym lepiej, choć szczypta wątpliwości każe się innym zastanawiać.

Zdecydowanie wyglądało to na przygotowania do zamachu stanu. - Zajmę się tym. Kiedy pan zechce.

- Jak przyjdzie właściwa pora, dam ci znać. Czy zlecisz to SR? Case zawahał się.

- Nie jestem pewien. Wydarzenia nabrały tempa. Zaskakująco.

- Czy wyczuwasz jakiś problem z SR? Tym razem się nie wahał. Istniała wyraźna linia między posłuszeństwem a partnerstwem. Partnerstwo rodzi się z zaufania, a niezależnie od tego, kim był Głos, Case miał nadzieję w dłuższej perspektywie zostać jego partnerem. Pieniądze to jedno, ale jest coś innego, coś z wyższej półki - władza. Odpowiedział więc uczciwie, przyznając się do najgorszych obaw związanych ze zlecaniem Sécurité Referral czarnej roboty.

- Początkowo SR robiło na mnie wrażenie przestępczego kartelu złożonego z byłych agentów najwyższej klasy potrafiących docenić korzyści płynące z podporządkowania się wymogom niezależnej, samodzielnie prowadzonej operacji, za której przebieg odpowiada się tylko przed sobą.

Aby wzmocnić atmosferę partnerstwa, Doug Case przerwał, pozwalając Głosowi przejąć kierowanie rozmową. Ten nie omieszkał skorzystać z okazji, raz jeszcze pozwalając sobie na żart wypowiedziany śmiertelnie poważnym tonem.

- To kwalifikacje, jakich wymagają tylko najlepsze korporacje. SR wypada wspaniale. W czym problem?

- Obawiam się, między innymi, że mogą widzieć w Isle de Foree bazę tranzytową dla południowoamerykańskich narkotyków przemycanych do Europy. Czy nie skorzystają z okazji do stworzenia narkopaństwa?

- Zrozumiała troska. Działanie w oderwaniu od struktur państwowych to oczywiście przyszłość. Wysła się flotę wydzierżawionych starych boeingów 727 nad Atlantyk, by kursowały między Ameryką Łacińską a Isle de Foree, przetrzuca kokainę i broń do Afryki Zachodniej, a potem przez Saharę do Europy. Jest tylko kwestią czasu, kiedy zorganizowana przestępczość zorganizuje się w państwo.

- Spodziewałem się jednak, że kiedy ASC przejmie kontrolę nad Isle de Foree, nie będziemy mieć kłopotów z powstrzymaniem SR od działania.

- Premią za zdominowanie suwerennego kraju jest eliminacja konkurencji. Ten, kto pierwszy zacznie dominować, wygrywa. Co się zmieniło?

- SR się zmieniło. Stali się bardziej ambitni.

- A może ich nie doceniałeś? - Głos, Doug wiedział o tym z poprzednich rozmów, potrafił posługiwać się językiem jak nożem.

- Szczerze mówiąc, istotnie, nie doceniłem SR. Nie ustaliłem, jak to się stało, że weszli do gry. Sądziłem, że po prostu zajmują się szkoleniem najemników.

- Kiedy - zapytał Głos - uświadomiłeś sobie, że ich nie doceniłeś?

- Gdy uratowali Ibogę.

- Byłem pod wrażeniem, kiedy dowiedziałem się, że do ratowania Ibogi najęliśmy, ty najęłeś, SR. Uznałem, że dokonałeś raczej zręcznego posunięcia.

- Chciałbym móc sobie przypisać sukces tej akcji, ale tego nie zrobię. Teraz stało się jasne, że SR już wcześniej przekonało Ibogę, że może potrzebować ratunku. Jest również jasne, że przez cały czas SR upatrywało w Ibodze najlepsze narzędzie do zawładnięcia wyspą. Uratowali go, żeby w przyszłości dokonać zamachu stanu i przywrócić go do władzy.

- Zaczynam rozumieć - oznajmił Głos - dlaczego czujesz, że Sécurité Referral stanowi pewien problem.

- Obawiam się, że wyczuli potencjał złóż ropy naftowej Isle de Foree.

- Jasne, że wyczuli! Czy nigdy do ciebie nie dotarło, że SR przeprowadziło akcję na Amber Dawn, bo także oni zainteresowani byli zachowaniem w tajemnicy faktu odkrycia nowych złóż?

- Z pewnym opóźnieniem, proszę pana.

- Ropa naftowa jest o wiele cenniejsza niż narkotyki. To fundament legitymizacji państwa. Państwa utrzymujące się z produkcji i sprzedaży narkotyków są pariasem narodów, sypcha się je na margines, nakłada na nie sankcje, potępia. Ale żaden suwerenny kraj, eksporter ropy naftowej, nigdy nie będzie traktowany jak parias. Nieważne, ile państw, jak to mówią, uznanych przez społeczność międzynarodową narzeka i skarży się Narodom Zjednoczonym.

Doug Case nie odpowiedział. W tym momencie mógł tylko mieć nadzieję, że milczenie wywoła odpowiedni efekt.

- Jeśli zaangażujesz SR do usunięcia szefa sztabu Ferdinanda Poego, będą przed czasem wiedzieli, kiedy nadejdzie najlepszy moment do przejęcia wyspy.

- Sprzątnięcia nam jej sprzed nosa - zgodził się Case, wykorzystując okazję do wtrącenia słówka „nam”.

- Ostatnie, czego potrzebujemy, to jakiś cholerny zamach stanu nie przez nas zorganizowany. Lepiej do usunięcia szefa sztabu najmij kogoś innego.

- Oczywiście, ma pan całkowitą rację - rzekł Case.

Grając fair, przyznając się do swoich błędów, ustępując, zachęcając, prowokując Głos do popisywania się wyższym intelektem, wytargował „my”.

- Przypuszczam, że były tajny agent z twoim życiorysem, podtrzymujący dawne kontakty, ma na podorzędziu inną ekipę. - W pełnej gotowości.

Rozdział 35

Paul Janson unosił się trzydzieści metrów nad powierzchnią Morza Tyrreńskiego. Noc była bezksiężycowa, toteż nie widział liny łączącej jego spadochron z łodzią typu RIB, pneumatyczną łodzią o sztywnym dnie, pędzącą w kierunku półwyspu Vallicone, ani też samej łodzi, choć dostrzegał białą smugę piany spod śruby napędzanej przez wyciszony silnik.

Łodzią sterował Daniel, były żołnierz oddziałów SEAL. Przy omijaniu skał pomagał mu Adolfo, korsykański rybak w połatanych dżinsach i zdartych tenisówkach. Założył też na siebie pierwszą w życiu kosztowną, całkowicie nową sztukę odzieży - absorbującą światło wiatrówkę Gore-Tex, czarną jak noc, prezent od CatsPaw Associates. Adolfo wiedział, gdzie tuż pod powierzchnią wody kryją się skały, co obecnie czyniło go najcenniejszym z całej dwudziestki ludzi zwerbowanych przez Jansona do odbicia Ibogi z rąk Securité Referral.

Paul nie miał wątpliwości, że obalony dyktator ukrywany jest na półwyspie. Nacjonalistyczni separatyści, którzy już wcześniej planowali atak na półwysep w błędnym przekonaniu, że jego nowi mieszkańcy budują tam zamknięty ośrodek wypoczynkowy, podczas wczorajszego spotkania o północy zakomunikowali, że widzieli eksprezydenta Isle de Foree przemierzającego nerwowo podwórze głównego budynku. Opisując go, użyli słów *sangler gigantesque*. Gigantyczny odyniec.

Janson ułożył prosty plan ataku. Zamierzał wywołać klasyczną zadymę, by solidnie zmotywować najemników SR, strzegących Ibogi, do odwrotu. Najpierw zniszczyć zewnętrzną linię obrony, stanowiska karabinów maszynowych zamykające drogę. Następnie pozbawić przeciwnika możliwości ucieczki z Ibogą niszcząc helikopter. I na koniec, nim zerwą się do walki niczym zapędzone w ślepy zaułek szczury, wlać trwogę w ich serca, tak by opuścili Ibogę, rzucając się do chaotycznej, ratuj-się-kto-może, ucieczki.

Do zwisającej obok Jansona uprząży pasażera umocowany był głęboki wiklinowy kosz mieszczący jego broń: powtarzalną strzelbę, piękny, matowoczarny karabinek systemu AR firmy Bushmaster pożyczony od jednej z rodzin Union Corse z

Porto-Vecchio i dwa granatniki przeciwpancerne dostarczone przez operującego na wyspie człowieka Neala Krugera.

Ciche „pst” w słuchawkach oznaczało, że Kincaid dotarła na pozycję, skąd w zasięgu wzroku miała zewnętrzną wartownię i czekała na pierwszy wybuch.

U nasady półwyspu Vallicone, wybiegającego w morze na półtora kilometra, dwaj silni Korsykanie wlekli przez gęste krzaki duży, czarny worek na narzędzia. Połamane gałązki rozsiewały wkoło woń lawendy, rozmarynu i tymianku. W ciemności kierowali się łoskotem fal rozbijających się o klif po ich lewej stronie i stałym wiatrem od lądu. Modlili się przy tym, by szum wiatru i morza skutecznie zagłuszył odgłosy przedzierania się przez zarośla, tak żeby nie usłyszeli ich wartownicy ze swoimi wielkimi karabinami maszynowymi.

Ci dwaj Korsykanie znali każdy hektar półwyspu, od miejsca, w którym się znajdowali, po wyżej położony przylądek, gdzie wznosiły się zabudowania otoczone sięgającymi klifu trawnikami. Urodzeni i dorastający w okolicy od dziecka, polowali na terenie półwyspu z tymi samymi strzelbami, które teraz mieli przewieszane przez plecy.

W odległości trzystu metrów przed sobą ujrzeli niewyraźny zarys pierwszej kamiennej chaty strzegącej wąskiej drogi. Rozpięli torbę i wypakowali jej zawartość: wysokowydajną sprężarkę spalinową i zwiniętą wielką plastikową płachtę wyglądającą jak płótno namiotowe, a w rzeczywistości będącą nadmuchiwanym wabikiem.

- Jazda! - rzucił Janson do mikrofonu.

Daniel otworzył przepustnicę i łódź przyspieszyła. Spadochron wzniosł się, przenosząc Paula ponad skrajem lądu. Pociągnął za linki połączone ze szczelinami sterującymi w tyle czaszy i wystrzelił jeszcze trzydzieści metrów w górę.

Zsunął na oczy panoramiczne gogle noktowizyjne. Powierzchnia półwyspu miała teraz zieloną barwę, talerz radaru wyglądał jak szary okrąg, jaśniejszy nieco niż dom i helikopter. Dostrzegł ruch maleńkich, jasnych figurek - odwzorowanych w podczerwieni żywych istot.

Najemnicy SR biegli od strony domu w kierunku helikoptera.

Jansonowi nie chciało się wierzyć, że radar Sécurité Referral był tak czuły, że wykrył niemal nieistniejący dla niego cel, jaki stanowiło latające skrzydło z jednym człowiekiem. Bardziej prawdopodobne, że któryś z wartowników wyszedł z domu i usłyszał odgłos silnika łodzi. Tak czy inaczej, w dole wszczęto alarm.

Paul wyciągnął z kosza granatnik. Uderzające o klif fale rzucały łodzią, jej ruchy przenosiły się na linkę holowniczą i spadochron. Wycelował w helikopter i odpalił pocisk. Błysk zapłonu rakiety oświetlił dziesięciometrową czaszę spadochronu. Głowica odłamkowa pocisku o włos minęła maszynę i eksplodowała, uderzywszy w ziemię.

Nie trafił bezpośrednio w cel i teraz mógł tylko mieć nadzieję, że odłamki solidnie podziurawiły helikopter. Upuścił pustą wyrzutnię do morza i sięgnął po drugą. Najemnicy opanowali chwilową panikę. Spoglądali teraz w niebo, tam gdzie dostrzegli błysk wystrzału. Po chwili otworzyli w tym kierunku ogień z pistoletów i strzelb.

Korsykanie, zajmujący się nadmuchiwanym wabikiem, usłyszeli odgłos eksplozji pierwszego granatu. Bez wahania przystąpili do dzieła, choć właśnie nadchodził najniebezpieczniejszy moment akcji, mianowicie uruchomienie hałaśliwej sprężarki benzynowej. Skierowali rurę wydechową silnika w stronę przeciwną niż wartownia, sami ustawili się przed nią, by dodatkowo tłumić hałas, i zdjęli strzelby z pleców.

Silnik zaskoczył po pierwszym szarpnięciu linki startowej. Nie pracował tak głośno, jak się obawiali. Plastikowy balon zaczął się wypełniać. W niewiele sekund przybrał kształt czołgu T-90 naturalnych rozmiarów. Wynalezione przez armię rosyjską plastikowe wabiki, przeznaczone do wprowadzania w błąd satelitów szpiegowskich i wrogich agentów, miały powłokę ze sztucznego tworzywa impregnowaną chemikaliami odbijającymi promieniowanie zarówno radarów, jak i urządzeń termowizyjnych.

Przymocowawszy balon linami do krzewów, Korsykanie oddalili się pospiesznie. Byle dalej od wabika.

Serbscy najemnicy, pełniący wartę na pierwszym stanowisku obrony Security Referral, nie mieli do dyspozycji radaru, mieli jednak lornetki noktowizyjne, na Duszce zaś zamontowany był nocny celownik.

I oto w odległości trzystu metrów ujrzeli przerażającą sylwetkę rosyjskiego T-90 ze 125-milimetrowym, gładkolufowym działem zamontowanym w wieży. Mniej doświadczeni żołnierze rzuciliby się do ucieczki. Ci Serbowie jednak mieli za sobą lata krwawych walk w ciężko przez historię doświadczonej Jugosławii i otworzyli ogień w złudnej nadziei trafienia w szczelinę obserwacyjną. Wiedzieli, że nie na wiele to się zda, a nawet naraża ich na dodatkowe niebezpieczeństwo.

Potok przeciwpancernych pocisków kalibru 12,7 milimetra śmignął poprzez gąszcz krzewów w kierunku czołgu. Ku zdumieniu Serbów „czołg” nagle wyskoczył w powietrze, dziwacznie zapadł się w sobie i rozpląszczył na ziemi. Przez sekundę nie wierzyli własnym oczom. Potem przez nocne szkła dostrzegli łopocący na wietrze plastik.

- Balon! Wybuchnęli śmiechem, szybko jednak spoważnieli. Ktoś tam był i teraz drogo im zapłaci za ten kawał. Wyciągnęli wkm z kamiennej chaty, tak by móc kierować jego lufę we wszystkie strony, i zaczęli przeczesywać ciemność.

- Dzięki, panowie - szepnęła Jessica Kincaid.

Z odległości pięciuset metrów nawet dziecko mogłoby uszkodzić karabin maszynowy za pomocą jej karabinu wyborowego M110 opartego na dwójnogu. Wycelowała w komorę zamkową Duszki i dotknęła spustu. Najemnicy podskoczyli niczym cyrkowi clowni i rozejrzeli się dookoła. Jessica, aby mieć pewność, że udało jej się zamienić karabin maszynowy w kupę złomu, strzeliła ponownie, rozwalając mechanizm spustowy.

Teraz Serbowie już wiedzieli, że znajdują się w polu ostrzału strzelca wyborowego. Byli odważni, ale nie głupi, toteż wbiegli do kamiennej wartowni. Kincaid także puściła się biegiem. Dźwigając ośmiokilogramowy karabin i obserwując teren przed sobą przez gogle noktowizyjne, kierowała się w głąb półwyspu, ku następnemu posterunkowi SR.

Paul Janson odpalił drugi granat. Ponownie oświetlił go błysk zapłonu, ale nim najemnicy zdążyli przenieść ogień, pocisk uderzył w helikopter i eksplodował z gromkim hukiem. Podmuch gazów podrzucił spadochron o kilka metrów, a wybuch granatu wybił wszystkie okna w budynku. Janson porwał z kosza bushmastera i strzelbę i nacisnął przycisk uwalniający go od uprzęży spadochronu.

Opadając, szarpnął linkę systemu otwarcia spadochronu zapasowego przytroczonego do pleców. Czasza otworzyła się z trzaskiem; w miarę możliwości starał się oddalić od gromadki najemników, którzy w blasku płomieni pożerających helikopter mogli zauważyć nowy spadochron.

Kincaid przedarła się przez kolczaste zarośla na szczyt niewielkiego wzniesienia. Miała przed sobą drugą wartownię, kamienną chatę podobną do pierwszej. Wyciągnęła się na ziemi i ustawiła dwójnog karabinu. Zsunęła gogle na czoło i pochwyciła chatę w obiektyw celownika. Nim jednak namierzyła sam wkm, ten namierzył ją; usłyszała charakterystyczny, ogłuszający grzechot strumienia ciężkich pocisków uderzających tuż nad jej głową.

- Kurwa!

Zaalarmowani przez odgłosy dobiegające z siostrzanego posterunku, najemnicy SR niewątpliwie pilnie wypatrywali w polu swojego rażenia tego, kto rozpętał tamtą strzelaninę. Jessica zsunęła się poniżej szczytu wzniesienia, wlokąc snajperkę za sobą. Tymczasem Duszka zdążyła się wstrzelać w cel i jej pociski dziurawiły grunt w miejscu, gdzie jeszcze przed sekundą znajdowała się dziewczyna.

Mogła rozprawić się z najemnikami na dwa sposoby. Zostawić knighta i ruszyć przez krzaki z pistoletem i nożem. To jednak zajęłoby zbyt wiele czasu. Musiała znaleźć nowe stanowisko strzeleckie, i to szybko. Dobiegające z oddali odgłosy strzelaniny świadczyły o tym, że Janson ma pełne ręce roboty w budynku. Natomiast cisza za plecami mówiła Kincaid, iż oddziały korsykańskie spokojnie czekają, aż sytuacja się wyklaruje.

Zsunęła na nos panoramiczne gogle i zlustrowała rozciągający się przed nią fragment terenu. Nie było tu tak płasko jak u podstawy półwyspu i znalazłoby się więcej stanowisk ogniowych, ale wszystkie one pozostawały w zasięgu wzroku

obsługi Duszki. Poczłgała się w prawo, ostrożnie, żeby nie poruszyć krzaków. Przed nią wyrosło drzewo, jedno z nielicznych w okolicy. Podpełzła do niego i zanim wysunęła głowę zza pnia, ustawiła karabin w przybliżonym położeniu do strzału.

Seria karabinu maszynowego przecięła drzewo na pół. Posypały się drzazgi, korona runęła na ziemię. Kurza twarz! Oczywiście obserwowali najbliżiej rosnące drzewa, tylko czekali, aż zbliży się jakiś przygłup. Na przykład ona. Tym razem nie ruszyła się z miejsca, odczekała tylko dwadzieścia sekund, bo tyle czasu zajęłoby jej doczołganie się do najbliższej ewentualnej pozycji. Delikatnie wsunęła lufę M110 pod zwalone drzewo, szybko odszukała Duszkę celownikiem i strzeliła raz, roztrzaskując komorę zamkową wkm-u.

Musiła oddać sprawiedliwość facetom z SR. Mieli jaja. Pozbawieni najcięższej broni obydwaj wybiegli w zarośla, gotowi ścigać ją i atakować. Byli też dobrze wyszkoleni. Natychmiast się rozdzielili. Ten podręcznikowy chwyt taktyczny stawiał snajpera w trudnym położeniu. Zmuszona szybko zatoczyć szeroki łuk lufą, by pochwycić w nocny celownik dwa odległe cele, mogła chybić obydwu. Przeskakiwali przez krzaki, zbliżając się szybko, wyższy z nich wysforował się nieco do przodu.

Kincaid najpierw zastrzeliła biegnącego w tyle. Zajęło jej to kilka cennych sekund. Prowadzący zorientował się, że jego towarzysz padł. Zanim rzucił się za najbliższą osłonę, pochwyciła jego sylwetkę w siatkę celowniczą.

Ostre „Pst!” w słuchawce Kincaid.

- Co?

- Przydałoby mi się jakieś małe wsparcie. Janson nigdy nie wypowiedział czegoś, co byłoby bliższe prośby o pomoc.

- Urządza cię francuska Legia Cudzoziemska? - zapytała. - Jak tylko droga będzie czysta.

- Jest. - Dzielna dziewczyna! Dawaj ich.

Nisko zawieszony transporter Sherpa firmy Renault z napędem na obie osie pędził wąską drogą wiodącą ku wierzchołkowi półwyspu. Tuż za nim, kołysząc się na

zakrętach, podążała sześciokołowa ciężarówka Renault TRM 10000. Konwój zatrzymał się nieopodal domu. Dogasający helikopter oświetlał stratowane klomby i pozbawione szyb okna.

Z transportera wyskoczył krąglógłowy sierżant, wykrzykując rozkazy. Uniosła się brezentowa plandeka osłaniająca boki skrzyni ciężarówki i z obydwu pojazdów wysypali się żołnierze w zielonych beretach, brych kombinezonach i butach spadochroniarskich. W biegu nakładali bagnety na lufy karabinów FAMAS-1.

Niektórzy z broniących budynku najemników mieli już do czynienia z budzącymi postrach legionistami oddziałów szybkiego reagowania Drugiego Cudzoziemskiego Pułku Spadochronowego w Afryce Północnej i na Wybrzeżu Kości Słoniowej. Żaden z nich nie zamierzał powtórzyć tego doświadczenia. Pospieszenie wyrzucili broń przez okna. Pozostali zaprotestowali wściekłym, wielojęzycznym chórem:

- Walczcie, tchórze! - zabrzmiało po francusku, rosyjsku, chińsku, afrykanersku i angielsku.

- Za mało mi płacicie - oświadczył jeden z najemników, rosły Australijczyk, wychodząc przed dom z uniesionymi rękami. Inny najemnik, Rosjanin, podniósł pistolet i starannie wycelował w plecy zdrajcy. Stojący obok Chińczyk uderzeniem karabinu wytrącił mu broń, łamiąc przy okazji przedramię.

Najemnicy SR strzegący Ibogi zostali rozbrojeni i zapędzeni na ciężarówkę. Dopiero wtedy usłyszeli dobiegające od strony głównego łądu wycie policyjnych syren. Wymieniając zdziwione spojrzenia przyglądali się, jak legionieści rozlewają benzynę po nawietrznej budynku i podpalają trawę i krzaki. Rzucali granaty zapalające, wrzeszcząc przy tym radośnie niczym demony. Dopiero jednak kiedy zaczęli ciskać w płomienie zielone berety, jeńcy zorientowali się, że zostali pokonani przez bandę separatystów, bezrobotnych rybaków, Union Corse, złodziei, ekologów i podpalaczy przebranych za żołnierzy francuskiej Legii Cudzoziemskiej.

Jessica Kincaid biegła drogą w kierunku domu, kiedy ujrzała ogień zagradzający jej drogę. Zarośla były suche, a silny wiatr podsycił ogień, tworząc dwie

ściany płomieni przedzielone wąskim pasem drogi. Zorientowała się, że ogień rozszerza się zbyt szybko, żeby go ominąć. Wylała wodę z manierki na rękaw koszuli i oddychając przez moką tkaninę, ze snajperką w ramionach, puściła się biegiem pomiędzy ognistymi ścianami.

U celu, krztusząc się i kaszłąc, wpadła prosto w potężne ramiona Freddy'ego Ramireza. Kilkoma klepięciami okrytych rękawicami dłoni zgasił płonący na niej plecak.

- W porządku?

- Super. Gdzie Janson?

- W budynku. Powiedz mu, że wyciągarka jest zamontowana. Zastała partnera grzebiącego w broni pozostawionej przez ludzi SR w bibliotece.

- Skończyły się granaty. Wszystko gra?

- Byłoby miło, gdyby ktoś mnie uprzedził, że plan przewiduje także spalenie posiadłości.

- Przepraszam. Korsykanie wykorzystali okazję.

- Gdzie Iboga?

- Zabarykadował się w piwnicy na wino z kimś ze starszyny Sécurité Referral. Właśnie rozmawiałem z Ondine. Mamy około dziesięciu minut na spuszczenie Ibogi do łodzi, zanim żandarmeria przyśle tu helikopter. Złapał granat hukowy i poprowadził Kincaid schodami w dół do kamiennej piwnicy. Za dębowymi drzwiami mieściło się pomieszczenie do przechowywania wina. W drewnie widniały otwory po pociskach.

- Strzelają, kiedy się do nich odezwać - wyjaśnił Janson. - Prezydencie Iboga!

Pocisk przebił drzwi i trzasnął w przeciwległą ścianę.

- Kto strzela? Iboga czy facet z SR?

- Trudno powiedzieć.

- Prezydencie! - zawołała Kincaid. Nie spodziewał się kobiecego głosu.

- Kto tam? - Głos dyktatora miał niskie, brzuszne, bełkotliwe brzmienie.

- Kim jesteś? Co się dzieje?

- Chyba jest pijany.

- No cóż, siedzi w piwnicy na wino.

- Kto? Kto? Mów, kobieto!

- Właściwie nie jesteśmy przyjaciółmi! - zawołała w odpowiedzi Kincaid. - Ale gwarantujemy panu bezpieczny przejazd do siedziby

Międzynarodowego Trybunału w Hadze! Agenci odskoczyli od drzwi, gdy następna kula sypnęła drzazgami z przestrelonego drewna. Paul podał partnerce granat hukowy, wycelował bushmastera w gałkę drzwi i ustawił przełącznik rodzaju ognia na ogień ciągły. Nie zdążył jednak odstrzelić zamka, bo z piwniczki dobiegły podniesione, gniewne krzyki, potem kolejny strzał, tym razem niewymierzony w drzwi, i ciężkie lupnięcie.

- Biją się - mruknęła Jessica. - Potrzebujemy Ibogi żywego, inaczej Isle de Foree nigdy nie zobaczy swoich pieniędzy. Gotowa?

- Jazda! Janson wpakował w zamek cały, dwudziestonabojowy magazynek. Mimo tłumika na lufie karabinka w zamkniętym pomieszczeniu rozległ się ogłuszający huk. Kincaid kopnięciem otworzyła drzwi i zamachnęła się ręką z granatem.

- Czekaj! - zawołał Janson. Na posadzce leżeli spleceni w walce dwaj mężczyźni. Stupięćdziesięciokilogramowy, olbrzymi Iboga na wierzchu, z dłońmi na gardle mężczyzny pod nim i zaostrozonymi zębami wbitymi w jego twarz. Przeciwnik okładał potężnymi ciosami brzuch i pachwinę eksprezydenta. Wyglądali na równie zapamiętałych w brutalności i wprawnych w walce wręcz, toteż trudno byłoby powiedzieć, który zwycięża. Iboga był cięższy, ale starszy, wyglądał na mniej więcej pięćdziesiąt lat. Mocno zbudowany mężczyzna pod nim nie miał jeszcze trzydziestu.

- Spójrz na jego rękę - rzucił Janson. Dziewczyna dostrzegła bandaż i zdumiona gwałtownie wciągnęła powietrze.

- Jezu... - Wyciągnęła pistolet i przyłożyła lufę do głowy leżącego.

- Koniec walki, Van Pelt. Skończcie z tym. Janson szturchnął Ibogę lufą bushmastera.

- Puść go! Rozłączyli się gwałtownie. Puszczając szyję najemnika, Iboga zdzielił go wierzchem dłoni w nos. Van Pelt wyturlał się spod niego, wymierzając przy okazji kopniaka w krocze, po którym olbrzym złożył się wpół, z trudem łapiąc oddech. Paul przewrócił Ibogę na brzuch, założył mu kajdanki, postawił na nogi.

- Idziemy stąd.

- Stać! - zawołał Afrykaner. Krew spływała mu po policzku.

- Spróbuj nas śledzić, a będziesz trupem - zagroził Janson. Rzucił Kincaid wyjętą z kieszeni wiatrówki drugą parę stalowych kajdanek i wskazując wmurowany w posadzkę masywny, żelazny pierścień, rzucił:

- Przykuj go do tego.

- Wycelował bushmastera w najemnika.

Van Pelt pospiesznie cofnął ręce. Szybka jak błyskawica Kincaid zatrzęsnęła mu jedną połówkę kajdanek na kostce, drugą na pierścieniu. Jego spojrzenie prześliznęło się ku pistoletowi, upuszczonemu przez niego lub Ibogę podczas walki. Jessica kopnięciem posłała broń poza zasięg jego rąk.

Afrykaner wycelował palec w jej twarz. Trząśił się z wściekłości.

- Ostrzegam cię. Nie wchodź w drogę SR.

- Ostrzegasz mnie? Ty mnie ostrzegasz?

- Jess!

- Słusznie. Idziemy stąd. Chodźmy, dożywotni prezydencie. Czeka nas morska wycieczka.

- Ostrzegam cię! - powtórzył Van Pelt.

- Ostrzeż francuską policję - powiedział Janson. - Zaraz tu będą.

- Wiem, kim jesteś.

- Nie wiesz - odparł Amerykanin, popychając Ibogę w stronę drzwi. Były dyktator kulał, wciąż zgięty wpół sapał ciężko.

- Wiem, kim jesteś!

- To ci się tylko tak wydaje.

- Wiem o twojej działalności dobroczynnej.

- Co?! - Paul zatrzymał się w drzwiach.

- Iboga jest moim klientem - ciągnął najemnik. - Natychmiast mi go oddaj! Kincaid wpadła na powrót do piwnicy, jej oczy płonęły, nozdrza pulsowały gniewem.

- A jeśli nie?

- Zajmij się Ibogą - rozkazującym tonem rzucił Janson. - Obszukaj go. W tej swojej olbrzymiej kurtce ma tysiąc kieszeni. Zabierz mu wszystko, co ma przy sobie: broń, telefon, pieniądze, paszport. Ja zajmę się tym tutaj... Rób, co mówię!

- Tak jest. - Wycofała się ku drzwiom.

- Odpowiedz na pytanie - polecił Janson. - Co, jeśli nie oddamy ci klienta? Co zrobisz? Doniesiesz na nas policji? Oskarżysz nas o dowieszenie krwiożerczego dyktatora przed oblicze Trybunału Międzynarodowego, by odpowiedział za zbrodnie przeciw ludzkości? Proszę bardzo. Czeka nas długa podróż. A ty wciąż będziesz tu tkwił przykuty do podłogi.

Hadrian Van Pelt wstał, wyprostował się na całą wysokość. Zakrwawiony policzek nadal drgał mu z wściekłości, ale była to już kontrolowana wściekłość.

- Ostrzegam cię po raz ostatni - oświadczył z głębokim przekonaniem.

- Jeżeli w tej chwili nie oddasz klienta Securité Referral, złapiemy cię choćby na końcu świata. Przez resztę twoich dni będziesz się oglądał przez ramię. Będziesz tak zajęty utrzymywaniem się przy życiu, że nie wystarczy ci czasu na działalność dobroczynną.

- Kto pokieruje tym pościgiem? Ty?

- Na pewno. Możesz mi wierzyć.

- Wierzę ci - oznajmił Amerykanin.

- Nie pozostawiasz mi wyboru.

- Uniósł z posadzki upuszczony tam pistolet i wycelował w głowę Van Pelta. Ten wybuchnął śmiechem.

- Naciśniesz spust, mierząc do człowieka przykutego do posadzki?

- Dwukrotnie. Najemnik przestał się śmiać. Usta mu zbieleły.

- Dwukrotnie?

- Jak to robią wyszkoleni zabójcy - rzekł Paul Janson. Zrobił to tak szybko, że dwa strzały zlały się niemal w jeden.

CZEŚĆ CZWARTA

Zasadzka

Wieczór 29°45' N, 95°22' W Houston, Teksas

Rozdział 36

Doug Case prowadził „Wieczór wózkowy” w schronisku dla nieletnich Fundacji Feniks w południowym Houston, drugim domu nastoletnich gangsterów, którzy nabawili się kalectwa podczas ulicznych strzelanin. Zabrzęczał telefon, sygnalizując to jedno połączenie, którego Case nigdy nie odrzucał, nawet kiedy odwiedzał chłopców. Dzwonił Głos, choć od ich ostatniej rozmowy nie minęło jeszcze pięć dni. Najprawdopodobniej wydarzenia zmierzały do jakiegoś przełomu, skoro nawet chłodny, beznamiętny, mądry i cyniczny Głos zaczynał się niepokoić.

- Panowie, bardzo przepraszam - usprawiedliwił się Case - ale muszę odebrać ten telefon. Kto mnie zastąpi?

Wybrał dwóch spośród wielu chętnych i wycofując się wózkiem ku drzwiom, z dumą przyglądał się podopiecznym. Ci, którzy już dostali swoje superwózki, przedstawili nowego; chłopak na swój pojazd zasłużył ciężką pracą nad opanowaniem sztuki posługiwania się licznymi sterownikami za pomocą jednej dłoni. Sparaliżowany wskutek urazu kręgosłupa, był ofiarą strzelaniny podczas nieudanej obrony narkotykowej meliny w opuszczonym domu na Higgins Street.

Pielęgniarka dźwignęła skurczoną postać - bo tyle zostało z krzepkiego niegdyś nastolatka - ze zwykłego fotela i posadził na przystosowanym do potrzeb chorego superwózku.

Case wjechał do holu. W recepcji siedział uzbrojony ochroniarz, w małych oknach znajdowała się druciana siatka, wszystko celem zapobieżenia napaści ze strony jeszcze całkowicie sprawnych młodocianych gangsterów strzelających do siebie na

podwórkach pobliskiego osiedla Sunnyside. Case spojrział przez okno na swojego escalade stojącego przy krawężniku. Kierowca czuwał za kierownicą z pistoletem w dłoni.

Doug zatrzymał wózek przed szklaną gablotą mieszczącą sportowe trofea wychowanków schroniska, uczestników kwalifikacji do paraolimpiady w takich dyscyplinach, jak koszykówka i szermierka na wózkach, tenis na wózkach, podnoszenie ciężarów, judo i łucznictwo.

- George! - zawołał pod adresem ochroniarza.

- Tak, panie Case?

- Nadal oddajesz się wbijaniu gwoździ do swojej trumny?

- Obawiam się, że tak - odparł z uśmiechem George. - To idź na zewnątrz i zapal sobie. Popilnuję interesu. Ochroniarz skwapliwie wymaszerował z budynku. Case odebrał niestrudzenie wibrujący telefon.

- Witaj, Dziwny Głosie.

- Nie spieszysz się z odbieraniem.

- Musiałem znaleźć ustronne miejsce. Przepraszam.

- Jak ci idzie z Jansonem? Case nie miał nic przeciwko rozmowie na ten akurat temat.

- Połknął przynętę razem z żyłką i spławikiem.

- Naprawdę wierzy, że odchodzisz z ASC?

- Więcej.

- Jak to?

- Wierzy, że przeszedłem na jego stronę, że jestem jego kretem w ASC.

- Kretem? - Przetworzony cyfrowo śmiech zabrzmiał jak skrzywienie ślizgającego się paska klinowego.

- Skąd wpadł na ten pomysł?

- Pozwoliłem mu się zwerbować. Głos śmiał się coraz bardziej skrzypliwie.

- Dobra robota! Bardzo, bardzo dobra, Douglasie. Sam bym tego lepiej nie rozegrał.

- Dziękuję, to dla mnie wielki komplement.

- Czego Janson chce od swojego kreta?

- Jak dotąd, niczego konkretnego - skłamał Case. - Ogólnych spostrzeżeń.

- Pozwól, że dam ci jedną radę.

- Proszę - odparł szybko. Nawet cyfrowe zniekształcenie głosu jego rozmówcy nie mogło ukryć zmiany tonu na zimny ton pogroźki.

- Nie zaangażuj się w odgrywanie swojego przedstawienia aż tak, by uwierzyć w jego realność.

- Nie zrobię tego.

- Skąd ta pewność? Paul Janson jest w stanie oczarować człowieka mnóstwem pokus.

- Nie zostałem kretem z pobudek materialnych. Głos nie był przekonany.

- Nie zaangażuj się tak, by uwierzyć, iż zostanie kretem z pobudek materialnych leżałoby w twoim interesie. Nie leżałoby. Prowadziłoby do nieznośnego bólu i cierpienia.

Fakt, że ktoś śmiał mu grozić, doprowadzał Case'a do wściekłości. Gdyby mógł, sięgnąłby przez telefon i wydusił z tamtego życie. Kiedy jednak spojrzął na swoje odbicie w szkle gabloty, zobaczył mężczyznę na wózku inwalidzkim. Nieszczęśnik uśmiechał się pełnym skruchy i żalu uśmiechem. Minęły czasy, kiedy to wyduszał życie z tych, którzy rzucili mu wyzwanie. Brutalność fizyczną zastąpiła teraz brutalność umysłu.

Trząśnięty z tłumionego gniewu i z najwyższym trudem udało mu się odpowiedzieć łagodnym tonem.

- Nie ma obawy. Wiem, dzięki komu nie muszę jeść suchego chleba. I jestem wdzięczny.

- Będę w kontakcie. Połączenie zostało przerwane.

Case spojrzął badawczo na swoje odbicie.

Ta groźba nie była typowa dla Głosu. Nigdy nie groził w tak otwarty sposób. Nawet kiedy zaryzykował nawiązanie kontaktu, nie starał się zapanować nad Case'em, terroryzując go. Miał zabawne uczucie - za którym stało doświadczenie wytrawnego

intryganta - że Głos popełnił nieostrożność, że w jakiś sposób wyjawiał, iż nie jest człowiekiem z zewnątrz i tkwi głęboko w strukturach ASC. Głęboko i bardzo, bardzo wysoko. Inaczej nie przyszedłby mu do głowy ten paranoiczny pomysł, że Case mógłby zdradzić strategię ASC Paulowi Jansonowi.

Po chwili doznał jeszcze zabawniejszego uczucia. A może to ujawnienie się nie było nieostrożnością, lecz celowym działaniem? Może Głos delikatnie dawał Case'owi do zrozumienia, że ufa mu jak nigdy i dlatego wyjawia mu coś o sobie? Czy nie zbliża się chwila, gdy zaczną działać, stojąc twarzą w twarz, jak równy z równym?

Był sposób, aby się upewnić. Szybko zatelefonował w dwa miejsca i zapatrzony w swoje odbicie czekał, aż zadzwoni jego aparat. Zadzwonił. Głos.

- Słucham?

- Właśnie otrzymałem wiadomość, że Iboga został uprowadzony z siedziby Securité Referral. W lustrze gabloty odbijała się szeroko uśmiechnięta twarz.

- Przewidywałem, że SR okaże się wielkim rozczarowaniem.

- Ale straciliśmy Ibogę właśnie teraz, kiedy najbardziej go potrzebujemy.

- Nie powiedziałbym, że go straciliśmy - odparł Case, ponownie uśmiechając się do swojego odbicia.

- Co więc byś, do cholery, powiedział?

- Że tymczasowo zmienił miejsce pobytu.

- To brzmi tak, jakbyś był piekielnie pewny swego.

- W tym przypadku jestem. Proszę się nie obawiać.

- Nie uważasz, że powinieneś jak najszybciej udać się na Isle de Foree?

- Na lotnisku Hobby stoi zatankowany gulfstream ASC. Za dwadzieścia minut znajdę się na jego pokładzie.

- Uważam, że powinieneś przybyć tam na czele swego rodzaju armii.

- Wzmocniłem już oddział ochrony Vulcan Queen.

- Na wszelki wypadek? Doug Case postanowił zaryzykować. Pora upomnieć się o należną mu pozycję. Nim zada ostateczny cios.

- Nie, w przewidywaniu chwili, gdy każe mi pan usunąć szefa sztabu Ferdinanda Poego, tego Margarida. Dźwięk dobywający się z głośniczka telefonu był prawdopodobnie chichotem.

- Podziwiam cię, Douglasie. Panujesz nad całokształtem przedsięwzięcia.

- Dziękuję.

- Jesteś gotów usunąć Margarida?

- Oczywiście, tak jak obiecałem. Wszystko gotowe.

- Zrób to!

- Może pan uznać sprawę za załatwioną.

- A kiedy przybędziesz na Isle de Foree...

- Tak? -...zrób wszystko, co w twojej mocy, by wesprzeć Kingsmana Helmsa. Tak nieodwracalny i rozstrzygający jest cios rozpalonym do czerwoności mieczem w brzuch. Doug przebiegł myślą listę pojawiających się możliwości: Głosem mógł być sam Kingsman Helms, w ten sposób zapewniający sobie poparcie Case'a; Głosem był Budda, który wybrał Helmsa na swego następcę; albo też Głos to ktoś z zewnątrz, członek zarządu lub jeden z szefów jakiejś konkurencyjnej firmy, pragnący, by na czele ASC stanął jego człowiek, Helms.

Miecz w brzuch, tak to widział Case.

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby wesprzeć Kingsmana Helmsa.

- Świetnie. Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć.

Rozdział 37

Świt 39°55' N, 09°41 ' E Lotnisko Tortoli, Sardynia, 1300 kilometrów na południe od Hagi

Iboga cierpiał na chorobę morską. Mdłości złapały go już podczas krótkiej przeprawy pontonem od podnóża klifu półwyspu Vallicone na pokład czekającego nieopodal ślizgacza. Ślizgaczem dopłynął do frachtowca, krążącego w cieśninie Bonifacio. Wydawał z siebie w tym czasie głośne, pijackie jęki. Wciągnięty na pokład w siatce załadunkowej, zwymiotował winem na pokład.

W dobrze oświetlonym, pachnącym oliwą i kawą kambuzie statku, Janson i Kincaid przeglądali rzeczy zabrane dyktatorowi. Gruby, nowiutki portfel podróżny z jaszczurczej skóry mieścił trzy wyglądające na autentyczne paszporty: francuski, rosyjski i nigeryjski, międzynarodowe prawo jazdy oraz karty kredytowe Visa i American Express na nazwisko N. Kwame Johnson. W kieszeniach Ibogi Kincaid znalazła także gruby plik euro spięty złotym spinaczem, staroświecką zapalniczkę zippo, najnowszy model iPhone'a, z pamięcią pękającą w szwach od numerów kontaktowych; był także francuski składany nóż pasterski o pięknie rzeźbionej rękojeści, złoty, wysadzany diamentami rolex i plastikową torebkę na leki, zawierającą między innymi oksykodon, aspirynę i viagrę. Dziewczyna odkryła również kilka maleńkich torebeczek, a w każdej z nich pół grama czarnego proszku. Janson przypuszczał, że to halucynogen otrzymywany z korzenia rosnącego w lasach deszczowych krzewu *Tabernanthe iboga*. Przekazał dane zawarte na karcie SIM iPhone'a oraz numery kart kredytowych i paszportów swoim biegłym księgowym z poleceniem, by wszystko, co nie przyda się im w poszukiwaniu pieniędzy Ibogi, przekazali analitykom.

Iboga był zbyt chory, by dało się go przesłuchać. Co rusz wstrząsały nim odruchy wymiotne. Janson zmusił go do wypicia odrobiny wody, żeby nie uległ niebezpiecznemu odwodnieniu. O pieniądzach będzie czas porozmawiać z nim w samolocie. Podczas lotu albo na lotnisku w jakimś przyjaznym kraju.

Nieopodal wschodniego wybrzeża Sardynii jeńca znów opuszczono do pontonu, który miał go przerzucić na brzeg, w okolicy lotniska Tortoli. Zbliżał się świt. Ponton z cichym warkotem silnika zmierzał ku brzegowi, prowadzony przez Daniela. Iboga, wychylony za burtę, próbował zwymiotować.

- Niezbadane są wyroki boskiej sprawiedliwości - rzekł Janson.

Siedzieli z Kincaid na dziobie pontonu. W mroku nie widziała jego twarzy, ale usłyszała w jego głosie słaby uśmiech i przepełniło ją to głęboką ulgą. Od chwili opuszczenia Korsyki po raz pierwszy normalnie z nią rozmawiał. Przedtem słyszała tylko rzucane przyciszonym głosem rozkazy.

- Jak się czujesz?

- Robię swoje.

- Uprzedziłeś go, Paul. Nie pozostawił ci możliwości wyboru.

- Co nie znaczy, że mnie to bawi. Dziewczyna ujęła jego dłoń. Była w niej pewna delikatność, która zawsze ją zaskakiwała.

- Przypomnij sobie zasady Jansona - powiedziała. - „Nie zabijamy nikogo, kto nie próbuje zabić nas”. On zabiłby ciebie i wszystko, do czego dążysz.

- Nadal mnie to nie bawi. Ale dzięki za tę koncepcję.

- Nie odpychaj mnie! To nie żadna przeklęta koncepcja. Próbuję na powrót wykręcić ci głowę oczyma do przodu.

- Cóż, w takim razie dzięki za wykręcanie głowy. Poważnie. Dziękuję.

- Niemal bezwiednie poklepał ją po ramieniu, wybrał jakiś numer na klawiaturze telefonu komórkowego, przez chwilę, osłaniając dłonią świecący ekran, wsłuchiwał się w sygnał, w końcu przerwał połączenie.

- Nadal nie mogę złapać chłopaków.

Wcześniej tej nocy Ed i Mike zawiadomili, że wylądowali embraerem na lotnisku Tortoli. Było to małe lądowisko pod miastem o tej samej nazwie. Jak wyraził się Ed, wokół wieży kontrolnej rosły tam drzewa. Lotnisko obsługiwało kilka turystycznych samolotów czarterowych dziennie. Pojedynczy pas startowy biegł od prymitywnego terminalu w kierunku plaży, do której zbliżał się ponton.

Słyszeli, jak Iboga krztusi się, męczony nudnościami.

- Dobrze, że zabraliśmy wózek. Dno pontonu zaszurało o piasek. Daniel pomógł im przeprowadzić jeńca przez plażę i wrócił po wózek. Przywiązali do niego Ibogę w pozycji stojącej. Tego typu ręczne, dwukołowe wózki transportowe miały szerokie opony gładko toczące się po asfaltowym pasie startowym.

- Dobra robota - podziękował Janson Danielowi. Uścisnęli sobie dłonie.

- Wracajcie bezpiecznie do domu.

Paul i Kincaid, każde trzymając jeden uchwyt wózka, powieźli nietypowy bagaż w kierunku odległej wieży kontrolnej, niewidocznej na tle ciemnych wzgórz. Janson założył gogle noktowizyjne. Teraz widział wieżę, niski budynek usytuowany pośród kępy drzew. Obok stał samolot, ale nie embraer. Ten miał silniki zamontowane pod skrzydłami. Janson zbadał wzrokiem teren wokół zabudowań lotniska. To tam

parkował embraer. Z wyłączonymi światłami pozycyjnymi, ale zwrócony dziobem w kierunku pasa startowego, z otwartymi na ich przyjęcie drzwiami i wysuniętymi schodkami.

- Widzę samolot.

Czujniki podczerwieni noktowizora ujawniły, że silniki zamontowane w ogonie ich samolotu dają jaśniejszy obraz niż budynki i obca maszyna. Znaczyło to, że Ed i Mike grzeją silniki i embraer jest gotów do natychmiastowego startu.

Iboga przestał jęczeć. Jak to zwykle bywa z chorobą morską, uzdrowicielski efekt znalezienia się na stałym lądzie był natychmiastowy. Nagle przemówił.

- Dokąd mnie zabieracie?

- Do Holandii. Do Hagi. Przed Trybunał Międzynarodowy.

- Zapłacę. Puśćcie mnie.

- Ile? - zapytał Janson, nie zwalniając kroku.

- Dziesięć milionów euro.

- Skąd weźmiesz dziesięć milionów? - pogardliwym tonem spytała Kincaid.

- Wezmę.

- Sto milionów - rzucił Janson.

- Siedemdziesiąt - odpalił Iboga.

Janson poczuł przypływ nadziei. Iboga targował się jak ktoś, kto nie ma wątpliwości, że może zdobyć pieniądze. Nie robił też wrażenia przejmującego się wysokością kwoty, jakby bez trudu mógł sobie pozwolić na taki wydatek, tak czy inaczej lwią część majątku zachowując dla siebie. O ile nie robił z nich idiotów, chcąc im zamieszać w głowach i poszukać okazji do ucieczki.

- Gdzie? - dociekała Jessica.

- Jak odbierzemy pieniądze?

- Weźmiecie mnie. Ja odbiorę.

- Gdzie?

- Najpierw przyjmijcie propozycję. I oddajcie mi moje rzeczy.

- Nie powiem „tak”, dopóki ty nie powiesz gdzie. I za cholerę niczego ci nie oddam, póki nie zobaczę siedemdziesięciu milionów. Po chwili jazdy w milczeniu Iboga skapitulował.

- W Zagrzebiu.

To ma sens, pomyślał Janson. W Zagrzebiu, stolicy leżącej na Bałkanach Chorwacji, korupcja była powszechnym zjawiskiem. Międzynarodowe organizacje przestępcze w rodzaju Securité Referral miały tam pole do działania. Wyobrażał sobie, jakim ciosem byłaby dla SR informacja z chorwackiego banku, może nawet od jakiegoś skorumpowanego polityka, że Iboga przekazał mu ukradzione pieniądze.

- Co to? - szepnęła nagle Kincaid.

Janson też słyszał ten dźwięk, dochodzący od strony morza - dudnienie ciężkich silników. Zsunął gogle panoramiczne na nos. W świetle przedświt wyraziście widział teraz wieżę kontrolną.

- Samolot turbośmigłowy.

Maszyna z hukiem silników przeleciała nad ich głowami i oddaliła się w kierunku wzgórz. Tam zawróciła i charakterystyczny odgłos pracy jej motorów zaczął narastać.

- Podchodzi do lądowania.

Okna wieży pozostawały ciemne, lotnisko zamykano na noc. Schodzący samolot nie zamierzał liczyć na pomoc kontrolera lotów. Janson i Kincaid przyspieszyli kroku, nie chcąc, by pochwyciły ich światła lądującego samolotu. Szukali go wzrokiem, kierując się odgłosem silników. Niespodziewanie na tle szarzejącego nieba ujrzeli sylwetkę transportowego, dwusilnikowego górnopłatu.

- Dziwne - mruknął Janson.

Kincaid musiała się z nim zgodzić. Szybko rozpoznali samolot jako C-160 Transall. Identycznymi maszynami na ćwiczenia na Korsyce przylecieli żołnierze oddziału szybkiego reagowania Drugiego Cudzoziemskiego Pułku Spadochronowego. Podchodził do lądowania szybko i pewnie. Przez chwilę dostrzegli na kadłubie zielone plamy kamuflażu. Masywne podwozie przyjęło uderzenie o grunt. Ryknęły silniki po przestawieniu śmigieł na odwrócony ciąg. Transall zwolnił tak szybko, że po pokonaniu ledwie jednej trzeciej pasa skręcił i ruszył prosto na nich.

- Co?! - wrzasnął Iboga. Mrużył oczy, szarpał się, chcąc uniknąć rażącego światła. Janson i Kincaid śpiesznie zdjęli gogle noktowizyjne, by nie oślepiły ich reflektory transportowca.

Kiedy z tylnych wrót ładowni maszyny zaczęli wysypywać się żołnierze, zostało im jeszcze kilka sekund na ucieczkę. Oznaczałoby to jednak pozostawienie więźnia i ściągnięcie ognia na Eda i Mike'a w embraerze.

- To cholerna francuska Legia Cudzoziemska.

- Tu są Włochy. Nie wolno im tu lądować.

- Wygląda na to, że nikt im o tym nie powiedział. Donośny głos wzmocniony przez megafon ryknął coś po francusku.

- Mówi: „Ręce do góry”.

- To zrozumiałem.

- Unieśli ręce nad głowę.

- A teraz co?

- Eeee... „Aresztujemy Ibogę... został nielegalnie wywieziony z Francji...”. Podbiegli do nich dwaj żołnierze, złapali za uchwyty wózka i powieźli dyktatora w kierunku samolotu.

- Nadjeżdżają gliny. Zza terminalu wypadł z piskiem opon radiowóz włoskiej policji, okrążył wieżę kontrolną i pomknął w ich kierunku pasem startowym, błyskając niebieskimi światłami. Po chwili wyskoczyli z niego dwaj karabinierzy, poprawili czarne peleryny i godnie pomaszzerowali w stronę transportowca. Jeden z francuskich spadochroniarzy wystąpił z grupy i oddał długą serię z karabinu szturmowego. Kule świsnęły obok policjantów i wybiły szyby w ich radiowozie.

- Od kiedy to armia francuska używa kałasznikowów? - zdziwiła się Kincaid. Kolejna seria świsnęła nad głowami policjantów i Włosi pobiegli w ciemność. Paul policzył spadochroniarzy.

- Ten transall zabiera osiemdziesięciu żołnierzy. Widzę dziesięciu.

- To nie są żadni legioniści. Są lewi, tak jak nasi. Jezu, kto to może być?

- Miej nadzieję, że dalej będą grać swoje role i nie zaczną strzelać do nas. Te kałasznikowy nie wyglądają na lewe.

- I po prostu pozwolimy im zabrać Ibogę?

- Polecimy za nimi - powiedział Janson bez specjalnego przekonania.

- Jeśli nie przestrzelą nam kół. Najemnicy w spadochroniarskim rynsztunku odwiązali Ibogę od wózka i pomogli mu wejść po schodni transportowca. U jej szczytu nieufny dotąd dyktator nagle wyszczerzył w paskudnym uśmiechu spiłowane zęby.

- Co tu się dzieje? - mruknęła Kincaid.

- Wygląda na cholernie uszczęśliwionego.

- Zaczekaj. Będzie gorzej. Jeden z fałszywych legionistów podał Ibodze jasnożółtą chustę, jego arabską kefię. Zręcznie owinał nią ogromną czaszkę. Przez długą chwilę stał w dumnej pozie niczym król. Następnie władczy gestem rozkazał żołnierzowi zastrzelić Jansona i Kincaid, którzy nadal stali na pasie z rękami do góry.

Żołnierz jednak nie posłuchał. Z pomocą kolegów próbował nakłonić dyktatora do wejścia na pokład transportowca. Iboga spierał się, co rusz wskazując swych byłych prześladowców. Trzeba było czterech ludzi, by przepchnąć go do środka. Ku zdziwieniu Jansona, ostatni człowiek wbiegający po rampie do samolotu nie ostrzelał podwozia embraera. Kiedy maszyna zaczęła się toczyć po pasie startowym, zasalutował z ironicznym uśmiechem i zamknął drzwi.

Janson wbiegł po schodach embraera z Kincaid depczącą mu po piętach.

- Startujemy, chłopcy! Za tym samolotem... O Boże! Pasy przytrzymały ciała Eda i Mike'a w fotelach kapitana i drugiego pilota. Poderżnięto im gardła. W kokpicie unosiła się woń krwi.

Rozdział 38

- Ohydne, bezsensowne... - Jessica mówiła rwącym się głosem, jej usta drżały.

- Dlaczego zamiast nich po prostu nie zabili nas?

- Z nimi poszło im łatwiej. Zdarzało się, myślał Janson, że było mu wstyd, iż jest ludzką istotą. Ci dwaj ludzie, łagodni, tak skrupulatni w wykonywaniu swoich obowiązków, nieobnoszący się z dumą z partnerskimi więziami łączącymi ich z firmą,

której służyli z niezmienną lojalnością. Zawsze byli gotowi przerzucić Jansona w dowolne miejsce na świecie, bez wahania zmienić kurs, zaryzykować nawet utratę licencji, by mu pomóc - ci ludzie nie zasłużyli na to, co ich spotkało.

- Bezsensowne - powtórzyła Kincaid. - Przecież to tylko piloci. Oni nie... Boże, zawsze byli dla mnie tacy mili.

Niezupełnie bezsensowne, pomyślał Janson. Te morderstwa miały pewien cel. Fałszywi legionieści zostawili jego i Kincaid w bardzo podejrzanej sytuacji, unieruchomionych, na obcej ziemi, do tego z dwoma trupami. Będą tu tkwili tygodniami, tłumacząc się włoskim władzom. Zgodnie z tutejszym prawem mogli być przetrzymywani bez postawienia zarzutów nawet dwa lata.

Czuł się przybity. CatsPaw i Fundację Feniks tworzyła w zasadzie niewielka grupa ludzi. Jego rodzina. Jesse, Quintisha, piloci. Zapatrzył się w przednie okno. Ile tysięcy kilometrów przelecieli Ed i Mike, patrząc przez to okno podczas ich wspólnych podróży? Embraer skierowany był dziobem w kierunku pasa startowego, na wschód. Niebo nad morzem jaśniało. Zaraz karabinierzy wezwą przez radio posiłki.

- Przyniosę ręczniki i koce - powiedział. - Położymy ich w ogonie samolotu.

Kincaid poszła za nim na tył maszyny. Zataczała się, jak ktoś nagle wyrwany ze snu. Z ręcznikami i kocami wrócili do kokpitu, Janson zaczął się spieszyć. Po drodze na dziób wciągnął schodki i zaryglował drzwi. W kabinie pilotów Jessica na kolanach ścierała krew z pokładu. Owinęli zwłoki w koce, zanieśli na tył kabiny i przywiązali do rozłożonych koi.

- Iboga wyglądał na zaskoczonego. Nie spodziewał się pomocy.

- Tak. Widziałam. Pieprzone SR.

- Ci ludzie niekoniecznie byli z SR. Ci zabiliby wszystkich. Gliniarzy, nas.

- Zabili Eda i Mike'a.

- Zrobili minimum tego, czego wymagało wpakowanie nas w taką sytuację. Teraz Włosi będą ścigać nie ich, ale nas. Możemy utknąć tu nawet na rok. Możemy też spróbować wydostać się stąd i ruszyć za Ibogą i jego pieniędzmi.

- I dowiedzieć się, kto zabił Eda i Mike'a.

- Czy ćwiczyłaś starty na symulatorze? Oderwała wzrok od spowitych w koce ciał.

- Tak, Ed to załatwił. Mike prowadził instruktaż.

- Jak ci szło?

- Żadnych problemów. Powiodła się druga próba.

- Dość dawno nie latałem, spodziewam się, że jesteś w tym lepsza ode mnie.

- Pewnie tak.

- Ja postawię zasłonę dymną, a ty zabierz nas stąd.

Kincaid starła krew Mike'a z lewego fotela, usiadła i przesunęła fotel do przodu, tak by bez trudu sięgnąć stopami do pedałów steru kierunku. Ed przykleił do dźwigni przepustnicy karteczkę, na której napisał: „V1 114” i „Vr 130”.

V1 była to niezwykle dla niej ważna prędkość decyzji, którą Ed wyliczał, uwzględniając wagę samolotu, długość pasa startowego, temperaturę i prędkość wiatru. Kincaid wiedziała zatem, że dopóki ważący blisko dwadzieścia pięć ton odrzutowiec nie rozpędzi się do prędkości 114 węzłów - 209 kilometrów na godzinę - nie wolno jej decydować się na start. Gdyby przy niższej prędkości straciła jeden silnik, powinna zrezygnować. Przekroczywszy 114 węzłów, powinna podjąć próbę startu. Pokazała Paulowi znaczek, jaki Ed zrobił na tarczy prędkościomierza przy wskazaniu 114 węzłów. Zadaniem Jansona, jako pełniącego z konieczności obowiązki drugiego pilota, będzie zawołanie w odpowiednim momencie „V1”. Przy prędkości VR, prędkości rotacji, ustalonej przez Eda na 130 węzłów, Janson miał po prostu zawołać „Rotacja”, by Kincaid wiedziała, kiedy ściągnąć na siebie wolant, odrywając kółko nosowe od pasa startowego.

Janson zajął miejsce w fotelu drugiego pilota, założył słuchawki i skupił swoją uwagę na elektronice samolotu. „Stawianie zasłony dymnej” oznaczało użycie modułowego systemu samoobrony embraera do przekonania kontroli ruchu powietrznego, że dwusilnikowa maszyna pasażerska znajduje się gdzie indziej niż w rzeczywistości albo że w ogóle jej nie ma.

Na początek jednak wyłączył transponder odpowiadający na sygnały z ziemi i z innych samolotów oraz system automatycznego przekazywania parametrów lotu

AFIRS, który niedawno zastąpił przestarzałe „czarne skrzynki”. Teraz nie pozostawiali na niebie przekazywania parametrów lotu AFIRS, który niedawno zastąpił przestarzałe „czarne skrzynki”. Teraz nie pozostawiali na niebie elektronicznie wzmocnionych śladów. Przejrzał zapisany w komputerze plan lotu. Ed wypełnił go dla rejsu do Hagi, tysiąc trzysta kilometrów kursem na północ. Teraz ten plan do niczego się już nie nadawał. - Skręcimy w prawo, jak najszybciej i jak najniżej przelecimy wzdłuż wybrzeża Sardynii, opuścimy terytorium Włoch i znajdziemy się w międzynarodowej przestrzeni powietrznej. - Sprawdźmy najpierw, czy uda mi się oderwać od ziemi. Jessica dotknęła głównego wyłącznika lewego silnika, przesunęła dźwignię startową. Zadziałał zasilany z akumulatorów kompresor „jedyński” i po chwili silnik kaszlnął i odpalił. Kincaid posłużyła się jego generatorem, by uruchomić kompresor numer dwa. Prawy silnik odmawiał jednak współpracy. Nie następował zapłon paliwa.

Poprzez gałęzie drzew otaczających wieżę kontrolną Janson dostrzegł migające światło.

- Jeśli mamy ruszyć, to już najwyższa pora. Silnik numer dwa nadal milczał, ale Jessica bez wahania zwolniła hamulce i otworzyła przepustnicę numeru jeden. Samolot zaczął się toczyć po pasie. Zza wieży kontrolnej wypadł radiowóz. Jego kierowca zamierzał przeciąć drogę ruszającemu embraerowi, ale w tej chwili z wyciem ożył prawy silnik i policjant skręcił, oddalając się od samolotu. Całkowicie autonomiczny cyfrowy system sterowania silnika FADEC zsynchronizował obroty obydwu jednostek napędowych.

- Dobra wiadomość jest taka - mruknęła Kincaid, sprawdzając klapy, lotki i ster kierunku - że Ed i Mike przygotowali maszynę do lotu. Sprawdzili listę startową i rozgrzali silniki. Przekonamy się zaraz, na ile im się to udało. Druga dobra wiadomość: te silniki Rolls-Royce'a szybko dają ciąg wystarczający do startu.

- A złe wiadomości? - Pas startowy jest krótki. Muszę zawrócić i cofnąć się na początek. Paul niechętnie skinął głową, wyrażając zgodę. Samolot przeleciał już dobre kilkaset metrów i morze u krańca pasa startowego wydawało się w świetle poranka nadzwyczaj bliskie. Kincaid skręciła kółko nosowe, obróciła maszynę o sto

osiemdziesiąt stopni i ruszyła z powrotem w kierunku radiowozu. Janson włączył potężne światła lądowania, oślepiając policjantów. Radiowóz pospiesznie skrył się za terminalem.

Na początku pasa startowego Kincaid ponownie odwróciła samolot, przytrzymała hamulce i zaczęła delikatnie przesuwając do przodu dźwignie przepustnic, aż zatrzymały się w pozycji „start/powtórzenie”. Silniki zawyły, zwiększając obroty celem uzyskania mocy startowej. Samolot zaczął drżeć. Kincaid wyciągnęła rękę ku dźwigni zwalniania hamulców, ale jeszcze zerknęła na tablicę przyrządów, by sprawdzić, czy obie turbiny obracają się z jednakową prędkością. Janson wiedział, że nie musiała tego robić, bo komputer synchronizował je automatycznie. Od Mike’a i Eda przejęła jednak nawyk ostrożności; oni rozpoczęli swoją lotniczą karierę jeszcze przed erą automatyzacji.

Jessica zwolniła hamulce.

Dziewięcotonowy ciąg pchnął embraera do przodu. Janson poczuł, że oparcie fotela napiera na jego plecy. Cyfry na tarczy prędkościomierza zmieniały się jak symbole na ekranie automatu do gry. Z niepokojem wypatrywał małego znacznika 114 węzłów. Embraer ciężko balansował na kołach podwozia, dudniących na zniszczonym asfalcie. Od przodu zbliżała się ku nim plaża, wylaniająca się zza horyzontu słońce czerwieniło morską pianę. Jego dłoń sama powędrowała w kierunku przełącznika wypuszczenia i chowania podwozia.

- Jeszcze nie - rzuciła surowo Kincaid.

- Vjeden - oznajmił Janson. Musieli wystartować. Paul wypatrywał odczytu VR. Doczekał się: prędkość przyrządowa 130 węzłów.

- Rotacja.

Kincaid ściągnęła wolant.

- Lecimy, przyjacielu. Embraer uniósł nos w chwili, gdy jego koła znajdowały się ledwie centymetry od skraju plaży. Przechylone skrzydła złapały wiatr, wytwarzając siłę nośną. Za kołami podwozia głównego ciągnął się przez chwilę ogon piasku i piany, ale skrzydła już niosły, a ciąg silników zapewniał mu bezpieczną prędkość.

- Wciągnąć podwozie.

Po raz kolejny wywoływała ich włoska kontrola ruchu powietrznego i po raz kolejny Janson zignorował wezwanie.

- Zejdź niżej - zwrócił się do dziewczyny. Radary naziemne o obrotowych antenach mogły ich wyśledzić, choćby znajdowali się trzysta mil od lądu. Musieli lecieć poniżej zasięgu radaru.

- Trzydzieści metrów ci pasuje? - Dumna z udanego startu, Kincaid siedziała w fotelu z wypiekami na twarzy i rozognionymi oczyma.

- Postaraj się nie zawadzić o jakiś statek. Mknęli na południe, dziesięć mil od wybrzeża, siedemdziesiąt metrów nad falami, strasząc rybaków i kapitanów jachtów.

Janson miał nadzieję, że wczesna pora, terytorialne zawiści i ogólne zamieszanie sprawią, że kontrola ruchu powietrznego zawaha się, nim zażąda od włoskich sił powietrznych wysłania myśliwców przechwytyjących panavia tornado. Przyszła pora na zwiększenie chaosu. Wystukał na klawiaturze drugiego pilota osobiste hasło, otwierające możliwość wyboru alternatywnego transpondera. Normalnie przeznaczeniem transpondera było przesyłanie danych na temat embraera, jego wysokości i planu lotu w odpowiedzi na zapytanie radaru kontroli ruchu powietrznego. Transpondery alternatywne - gwałcąc wszelkie przepisy dotyczące lotnictwa cywilnego - miały w takiej sytuacji przesyłać fałszywe dane widmowego embraera realizującego iluzoryczny plan lotu.

Dwadzieścia minut później okrążyli południowy cypel Sardynii i skręcili na zachód, nad Morze Śródziemne.

- Teraz w górę - polecił Janson.

Jessica ustawiła automatyczną regulację przepustnic i autopilota na wznoszenie.

- Powyżej czy poniżej sześciu tysięcy metrów? - zapytała.

Lecący powyżej sześciu tysięcy metrów zobowiązani byli do przestrzegania przepisów dla lotów według wskazań przyrządów.

- Powyżej. - Janson bardzo liczył na skuteczność alternatywnego transpondera. Miał też nadzieję, że w zamieszaniu panującym na lotnisku w Tortoli

policja mogła nie dostrzec różnicy między samolotem fałszywych legionistów a embraerem. Policjanci, których samochód posiekały kule, na pewno zameldowali już o pojawieniu się transalla C-160 Legii Cudzoziemskiej we francuskich barwach.

Niebo było błękitne i puste. Za nimi wschodziło słońce, przed nimi rozpościerał się bezmiar Morza Śródziemnego. Nadal znajdowali się jednak na obszarze Unii Europejskiej, gdzie jak się zdawało, połowa dorosłych obywateli pracowała w którejś z nadzorczych agend rządowych. Janson niewiele mógł na to poradzić, ale modlił się, by najbliższe trzy godziny rząd włoski poświęcił na wyrażanie kanałami dyplomatycznymi swego niezadowolenia Francuzom. Pora przeprowić się przez Cieśninę Gibraltarską nad Atlantyck.

- Dokąd lecimy? - Jedyne miejsce, w którym przyjmą nas bez zadawania pytań, jest Isle de Foree. Jak stoimy z paliwem?

- Ed i Mike zatankowali w Rzymie do pełna, ale nie dolecimy na tym, co zostało, nawet w pobliżu Isle de Foree. Według wskazań wielofunkcyjnego urządzenia kontrolnego istotnie nie mieli paliwa. Janson spróbował sklecić coś na kształt planu lotu.

- Wychodzi na to, że zostały trzy tysiące dwieście kilometrów lotu na Wyspy Kanaryjskie. Jeśli zdołamy pokonać Cieśninę Gibraltarską.

- Duże „jeśli”. Wąskiej cieśniny dzielącej Maroko i Hiszpanię strzegły hiszpańskie, marokańskie, amerykańskie i brytyjskie bazy wojskowe.

- Dopóki nikt nas tak naprawdę nie ściga, jestem w stanie wykombinować jakiś sposób przedostania się nad Atlantyck. W końcu to nie to samo, co przemknąć się niepostrzeżenie przez kanał La Manche, robiąc uniki przed chmarą rejsowych odrzutowców kursujących między Europą Północną a Ameryką. Tak więc zatankujemy na Wyspach Kanaryjskich, a potem, lecąc wokół Afryki, spokojnie dotrzemy do Isle de Foree.

- Pięć tysięcy siedemset kilometrów. To spore ryzyko. Kiedy lecieliśmy w tę stronę, Mike sprytnie wykorzystywał wiatry boczne.

- Jeśli to zbyt ryzykowne, możemy spróbować w Praia albo w Dakarze, ale wolałbym nie. Na Wyspach Kanaryjskich pomogą nam ludzie Freddy'ego, ale na Wyspach Zielonego Przylądka czy w Senegalu właściwie nie mamy przyjaciół.

Janson wprowadził do komputera kolejne hasło, otwierając instrukcję użytkownika dipoli odbijających i flar. Ich wyrzutnik ukryty pod kadłubem uważał za ostatnią linię obrony embraera. Głównym przeznaczeniem elektronicznych środków przeciwdziałania i celów pozorowanych było odciążenie wrogich pocisków rakietowych. Z taką sytuacją nie mieli na razie do czynienia. Trudno zresztą, by elegancki służbowy odrzutowiec wdawał się w awanturę z myśliwcami. Jansonowi chodziło o zakłócenie pracy radaru kontroli ruchu powietrznego lub, gdyby sprawy wzięły zły obrót, wprowadzenie w błąd myśliwca wysłanego z zadaniem przechwycenia niezidentyfikowanego celu. Nim jednak użyje środków przeciwdziałania, dobrze, gdyby nikt ich nie rozpoznał. Należało więc wyłączyć transponder i bardzo uważać na inne samoloty. Przy niewielkim natężeniu ruchu lotniczego znalezienie się na kursie kolizyjnym z inną maszyną nie było zbyt prawdopodobne.

- Coś mi mówi, że nie myliłeś się, mówiąc, że ci lewi legioniści nie byli z SR - powiedziała Kincaid.

- Ale tak sprawnie przeprowadzona operacja nie mogła być improwizowana. To wyglądało prawie tak, jakby ktoś spodziewał się, że zabierzemy SR Ibogę.

- Ten ktoś nie chciał, żeby Iboga stanął przed sądem w Hadze - zgodził się Janson. - A więc trzeba brać pod uwagę nigeryjski dyktoriat wywiadu wojskowego, tajemnicze GRA i American Synergy Corporation.

- Może powinieneś popytać swojego kumpla Douga?

- Jeszcze nie. Przez telefon satelitarny Janson połączył się z analitykiem CatsPaw.

- Co z GRA? Dowiedziałeś się czegoś?

- Niczego. Taka spółka nie figuruje w żadnych rejestrach.

- Czy może to być spółka zależna kontrolowana przez American Synergy?

- Myślałem o tym. Nie znalazłem żadnych powiązań z ASC. Paul zamyślił się na chwilę.

- A jeśli kryje się za nimi rząd? Albo CIA lub... - Pozwolił, by rozmówca dokończył jego myśl. - OPKON?

- No?

- Niewykluczone. Ale nie ma żadnych potwierdzających to dokumentów. Żadnych śladów na papierze. I, rzecz jasna, żadnych śladów cyfrowych.

- Wiem tylko o jednym kawałku papieru, o pewnej wizytówce.

- Jak wyglądała?

- Nie widziałem jej. Tylko mi o niej mówiono. Co powiesz na wycieczkę do Londynu?

- Mógłbym lecieć w klasie biznesowej?

- Możesz. Znajdź gościa nazwiskiem Menezes, Pedro Menezes. To eksminister górnictwa naftowego Isle de Foree. Twierdzi, że brał pieniądze od GRA. Kincaid wyciągnęła rękę i poklepała Jansona w ramię.

- Amber Dawn. Czy ktoś nie mówił, że właścicielem statku byli Holendrzy?

- Sprawdź trop holenderski. Wypytaj pana Menezesa o holenderskie spółki niezależne. Rozłączyli się. Kincaid znów klepnęła partnera w ramię. Nagłaco.

- Paul?

- Tak?

- Gdzie są jego papierosy?

- Czyje? - Ibogi. Miał zapalniczkę, ale nie znalazłam papierosów. Ani cygar.

- Może palił ten swój narkotyk?

- Nie, ibogainę się łyka, nie pali. Popatrzyli na siebie z zaskoczeniem i niedowierzaniem. Co takiego przegapili?

- Gdzie są jego rzeczy?

- W moim plecaku. Janson znalazł plecak, z siatki mieszczącej wszystkie rzeczy zabrane dyktatorowi wygrzebał zapalniczkę i wrócił z nią na swój fotel.

Wyglądała jak zwykła zapalniczka. Nazwa marki Zippo wytłoczona została na denku obudowy, z płomykiem zastępującym kropkę w literze „i”. Otworzył ją. Wewnątrz to samo: zapalniczka jak zapalniczka. Szorstkie kółko krzesiwa, szerniały knot. Powąchał. Pachniała benzyną do zapalniczek. Zakręcił krzesiwkiem. Ku rozczerowaniu Jansona, knot zapłonął. Paul zdmuchnął płomyk, wyjął mechanizm z obudowy, odwrócił. Zobaczył zwitek waty do nasączenia łatwopalnym płynem i główkę niewielkiej śrubki. Odkręcił ją. Na dłoń wypadł mu zwykły kamień do zapalniczek. Szpikulcem swojego scyzoryka wydłubał watę. Pod spodem niczego nie znalazł. Ścisnął w palcach zwitek waty.

- Aha.

Rozwinął watę na klawiaturze Eda, wyjął ze środka coś twardego i obskubał z resztek waty. Podniósł to coś do góry, pokazując dziewczynie.

- Co to jest? Klucz? Wygląda jak klucz do sejfu.

Kincaid spojrzała nań z politowaniem, spojrzeniem zarezerwowanym dla tajnych agentów, którzy rozpoczynali służbę w dwudziestym wieku.

- Paul, to nie żaden klucz. To pamięć USB, flashdrive, wygląda jak klucz. Można go sobie zawiesić na kółku od kluczy. Janson wetknął urządzenie do najbliższego gniazda USB i spojrzał na ekran.

- Numery. Numery kierunkowe. Cała lista.

- Z telefonu satelitarnego zadzwonił do biegłej księgowej CatsPaw.

- Spróbuj tego - powiedział i odczytał listę numerów. Oddzwoniła po kilku minutach.

- Cztery banki w Zagrzebiu.

- Możesz się do nich dostać?

- Według jakich zasad miałabym to rozegrać?

- Według zasad skorumpowanego dyktatora.

- Spróbujmy to załatwić, korzystając z pomocy pewnej trzeciej strony. Napomknęliśmy im o gratyfikacji w wysokości miliona euro. Jeśli zostanie zatwierdzona.

- Możesz przyjąć, że została.

Na wysokości czternastu tysięcy metrów zbliżali się do Cieśniny Gibraltarskiej. Janson wyłączył radar, by nie sygnalizował ich obecności, i teraz mogli polegać tylko na obserwacji wzrokowej. Przeszukiwał właśnie wzrokiem niebo, gdy z bazy marokańskich królewskich sił powietrznych wystartował mirage F1.

Dopadłby ich, gdyby Janson nie zauważył błysku słońca na jego skrzydłach. Znajdowali się trzysta dwadzieścia kilometrów od Gibraltaru,

Dopadłby ich, gdyby Janson nie zauważył błysku słońca na jego skrzydłach. Znajdowali się trzysta dwadzieścia kilometrów od Gibraltaru, toteż bez wahania uruchomił wyrzutnik celów pozornych. Pojemnik z ostrym trzaskiem odłączył się od kadłuba i po chwili wewnętrzny napęd raketowy pchnął go poza ogon maszyny. W odległości kilku kilometrów od embraera eksplodował, otwierając się niczym kwiat i wyrzucając w powietrze chmurę odbijających fale elektromagnetyczne dipoli i płonących flar, które na ekranie radaru pokładowego mirage'a wyglądały jak tysiąc nowych celów.

- W górę czy w dół? - zapytała Kincaid.

Janson przez chwilę rozważał ponowne zejście na minimalną wysokość, ale w ten sposób, zanim znaleźliby się poniżej zasięgu radaru, niepotrzebnie zwróciliby na siebie uwagę kontroli ruchu powietrznego.

- W górę. Szybko. Kincaid pokazała, co to znaczy wcisnąć gaz do dechy. Ogłupiali i wściekli kontrolerzy wywoływali ich przez radio z narastającą natarczywością. Janson ignorował tych, którzy dobrze mówili po angielsku, resztę obrzucając obelgami. Minęło pięć długich minut. Nie mieli pojęcia, czy mirage zrezygnował, czy właśnie po nich wracał. Obszar za ogonem embraera stanowił ich martwe pole.

Wyglądało jednak na to, że umknęli niezauważeni, a mirage w końcu zrezygnował. Nie pojawiły się też kolejne myśliwce przechwytyjące. Przed sobą, z prawej i z lewej, widzieli tylko błękit północnego Atlantyku. Tysiąc siedemset kilometrów na południowy zachód od nich leżały Wyspy Kanaryjskie. Dwie godziny lotu.

- Mike byłby dumny ze swojej uczennicy - powiedział Janson.

- Jeśli akcję zorganizowała SR, nie rozumiem, dlaczego nas nie wykończyli. Ibodge na pewno cholernie na tym zależało.

- Może Iboga nie miał nic do gadania i ta niby akcja ratunkowa tak naprawdę była porwaniem.

- Żeby zgarnąć jego kasę? Ale zanim wpadł w nasze ręce, siedział u nich przez kilka tygodni. Gdyby chcieli jego pieniędzy, wydusiliby je z niego. Odezwwał się telefon satelitarny Jansona. Dźwięk przypominał bicie dzwonu, co znaczyło, że dzwoni Quintisha Upchurch.

- Tak, Quintisho?

- Chce z panem rozmawiać prezydent Poe. Pilnie. Paul zadzwonił do prezydenta.

- Ma pan Ibogę?! - zawołał niespokojnie starzec. Mówił nieco piskliwym głosem.

- Miałem. Niestety już nie mam. Pracuję nad ponownym ujęciem go.

- Mówiłem panu, że ucieknie.

- Tak, wiem i...

- Nic pan nie rozumie. Zabili Maria Margarida.

- Kto go zabił?

- Któż to może wiedzieć - odparł Poe i dodał z goryczą:

- Rzekomo utopił się we własnym basenie.

- Gdzie jest szef bezpieczeństwa da Costa?

- Nie mam pojęcia.

- Będę na Isle de Foree za trzynaście godzin.

- Iboga wraca. Wiem to.

- Będę przed nim. Obiecuję to panu.

Rozdział 39

Janson zadzwonił do Douga Case'a.

- Coś nowego w podziemiu?

- Skąd mam wiedzieć? Jestem trzynaście tysięcy metrów nad ziemią w odrzutowcu spółki, piję szampana i trzydziestoletnie bordeaux, zakąszając befsztykiem wellington.

- Na rządowej posadce będzie ci brakowało tych luksusów.

- Było świetnie przez pierwszą godzinę. Potem wszyscy ci faceci oraz nieliczne, niestety, kobitki zaczęli wysyłać SMS-y do domów, do dzieciaków. Ludziska nie umieją już zabalować.

- Dokąd zmierzasz?

- Na Isle de Foree. Na pokładzie Vulcan Queen ma się odbyć wielka medialna feta. Gdzie jesteś?

- We Włoszech.

- A co ty robisz we Włoszech?

- Próbuję wybrnąć z kłopotów. Co to za medialna impreza?

- Ma to być publiczne podpisanie umowy eksploracyjnej między ASC a prezydentem Ferdinandem Poem. ASC i nowy tymczasowy prezydent podadzą sobie rękę, a cały świat będzie na to patrzył. Tyle że podobno zmarł Mario Margarido. Bóg wie, jak to wpłynie na sytuację. Mario uważany był powszechnie za głos rozsądku w rebelianckim reżimie... Słuchaj, muszę kończyć. Mam od cholery telefonów do załatwienia.

- Doug, coś nowego na temat GRA?

- Ground Resource Access? Nie. Janson odłożył telefon i ponad panelem sterowania silnikami spojrzął na Kincaid.

- Co u starego kumpla Douga? - zapytała.

- Nie chce gadać. Może byś się przespała? Popilnuję autopilota. I tak muszę podzwonić.

- Nie jestem zmęczona.

- Chcę, żebyś odpoczęła.

- Dlaczego?

- Dasz radę posadzić ten samolot na Kanarach, sekundę po zatankowaniu wystartować i ponownie wylądować na Isle de Foree?

- Właśnie nauczyłam się startować. Przy odrobinie szczęścia nauczę się też lądować. Ale start jest dziesięć razy łatwiejszy od lądowania.

Siadasz za wolno - masz niedolot, za szybko - przyziemiasz za daleko. Zmiana kierunku wiatru może zepchnąć cię z drogi lądowania, jego nagłe ucichnięcie zaś - sprawić, że spadasz jak kamień. Chcę powiedzieć, Paul, że Mike nie bez powodu ani razu nie pozwolił mi samodzielnie wylądować. Te dwa lądowania to będzie trochę igranie z losem.

- Jak ci szło na symulatorze?

- Dwa udane lądowania na trzy próby.

- A więc nie najgorzej.

- Dlaczego pytasz?

- Nielatwo będzie w tak krótkim czasie znaleźć pilota godnego zaufania. Poza tym przy całym tym dodatkowym wyposażeniu, jeśli nie chcemy spalać zbyt dużo paliwa, na Isle de Foree możemy zabrać góra ośmiu ludzi łącznie z pilotem.

- Więc?

- Wolałbym, żeby tym dodatkowym obciążeniem był ktoś zdatny do walki, a nie pilot, który potrafi tylko latać. Zwłaszcza jeśli nie będę mógł mu ufać.

- Idziemy na wojnę?

- Zważywszy na okoliczności... Szef sztabu prezydenta Poego utopiony we własnym basenie; kierownictwo ASC leci na Isle de Foree, by wziąć udział w „wydarzeniu medialnym”; Iboga jest na wolności, bo ja schrzaniłem robotę. Kiedy pojawi się na wyspie, będę zobligowany stawić mu czoło.

- Nie cierpisz takich akcji. Wszystko na łapu-capu, bez przygotowania, na nosa.

- To nie ty dałaś plamę. Nie musisz w tym uczestniczyć.

- Co do jednego masz rację.

- Co do czego?

- Powinna się przespać.

- Podniosła się z fotela.

- Samolot jest twój.

Janson zajął jej miejsce.

- Teraz jest mój - powiedział. - Śpij dobrze.

Mike, ekspilot marynarki wojennej, przywykły lądować na lotniskowcach, siadał zawsze na początku pasa startowego, ale to on wielokrotnie ostrzegał Jessicę przed używaniem hamulców. Krótkie lądowanie było po prostu zbyt niebezpieczne.

Tak więc, lądując na Fuertaventura, jednej z Wysp Kanaryjskich, pozwoliła siedmiuset metrom asfaltu przemknąć pod skrzydłami maszyny, nim całkowicie zamknęła przepustnice. Embraer opadł ciężko, podskoczył i nagle skręcił.

Ten skręt to było niebezpieczne zaproszenie do zbyt daleko idącej, a zbędnej interwencji. Tymczasem Kincaid pewną dłońią kierowcy rajdowego zapanowała nad maszyną, przekonana, że pas startowy długości prawie czterech kilometrów, przeznaczony dla wylądowanych turystami boeingów 747, gwarantuje jej więcej miejsca, niż potrzebowała.

W terminalu także obyło się bez kłopotów. Pracownicy Protocolo de Seguridad Freddy'ego Ramireza dokonywali cudów, pertraktując z wicedyrektorem lotniska do spraw operacji lotniczych. Pieniądze przeszły z rąk do rąk i samolot był zatankowany i gotów do lotu, jeszcze zanim zjawił się sam Freddy. Przyjechał furgonetką ochrony lotniska w towarzystwie czwórki mężczyzn w średnim wieku dźwigających futerały na puzon, podwójny bas, keyboard i gitarę. Nie bardzo wyglądali na muzyków i faktycznie okazali się emerytowanymi oficerami jednostki specjalnej hiszpańskiej marynarki wojennej.

Freddy Ramirez przeproszał, że nie znalazł piątego człowieka, ale zabrakło mu na wszystko czasu. Janson doskonale to rozumiał i pocieszył go, mówiąc, że zmniejszenie wagi samolotu o ciężar jednego człowieka przekłada się na kilka kilometrów lotu więcej na posiadanym paliwie. Podziękował gorąco za podjęcie działania bezpośrednio po akcji na Korsyce.

Jak przewidział, nie udało się znaleźć godnego zaufania pilota.

Kincaid wyliczyła V_1 i prędkość rotacji - wyższe ze względu na dłuższy pas startowy i większy ciężar samolotu - i uzyskała zgodę na start, posługując się

prawdziwym numerem rejestracyjnym embraera, NE22RP, i przedstawiając plan lotu do Prai na Wyspach Zielonego Przylądka. Zarówno transponder, jak i AFIRS pracowały normalnie, dopóki Janson nie wyłączył ich, gdy znaleźli się w międzynarodowej przestrzeni powietrznej nad oceanem, prawie pięćset kilometrów na południe od Kanarów i na zachód od wybrzeża afrykańskiego, poza zasięgiem radarów naziemnych.

Janson dzwonił. Rozmawiał z handlarzem bronią Hagopianem z Paryża; z portugalsko-angolskim agentem doktora Hagopiana z Luandy; z Nealem Krugerem, którego wytropił w Kapsztadzie, gdzie rzekomo przebywał „na urlopie”; z Agostinho Kiluanji i Augustusem Heinzem, czyli „Podwójnym Asem”. Agent przemytników desperacko próbował wrócić do łask Hagopiana po tym, jak zmusił Jansona do gonięcia frachtowca helikopterem. Po kilku próbach Jansonowi udało się połączyć z pilotami, właścicielami LibreLift z Port-Gentil w Gabonie.

- Dobra, to już ostatni - oznajmił Kincaid, zadowolony, że nawiązał wszystkie możliwe w tej chwili kontakty. Zdawał sobie jednak sprawę z tego, że z powodu niedostatku czasu nie z każdej z odbytych właśnie rozmów coś wyniknie.

- Prześpij się. Wyglądasz sto lat starzej.

Położył się na koi oddzielony tylko wąskim korytarzykiem od owiniętych w koce ciał obu pilotów i zamknął oczy. Jak mu to w Houston przypomniał Doug: Oddani uczniowie mają zwyczaj ginąć, pomagając nam w pracy.

Co się stało z zasadami Jansona? Powinien lepiej zadbać o swoich ludzi. Czyż zasady nie mówiły o niewinnych cywilach? Powinien ostrzec pilotów, że służąc słusznej sprawie Paula Jansona, narażają się na śmierć, a to z powodu paradoksu, jakim było okupowanie przemocy przemocą. Czy zamordowanie Eda i Mike'a stanowiło „karę” za to, że on zamordował Van Pelta? Jak miał to naprawić?

- Wyglądasz jeszcze gorzej - powiedziała Kincaid, kiedy zmieniał ją w kokpicie. Sama była zmęczona. - Jak stoimy z paliwem? Miała dobrą wiadomość. System kierowania lotem, który monitorował zużycie paliwa i więcej ostatnio na ich trasie wiatry, znalazł drogę wiodącą bezpośrednio na Isle de Foree, powyżej podzwrotnikowych prądów strumieniowych, co oznaczało oszczędność paliwa. -

Dobra robota. Usiadł w fotelu drugiego pilota, i mając oko na autopilota, zaczął studiować wyszukane w sieci informacje na temat statków wiertniczych klasy Vulcan.

Rozdział 40

- W Porto Clarence szykuje się gorąca noc - zauważyła Kincaid.

Kołowali w stronę terminalu po lądowaniu na krótkim pasie Międzynarodowego Portu Lotniczego Isle de Foree. Ten manewr przyprawił o gwałtowną błądź wszystkich obecnych na pokładzie.

Janson obiegnął wzrokiem płytę lotniska, szukając samolotu, którym mógł przybyć Iboga.

Istotnie w Porto Clarence sporo się działo. Kiedy opuszczali wyspę po przyjęciu zlecenia schwytania dyktatora, samolot Jansona był jedyną maszyną na lotnisku. Tej nocy przed zbudowanym przez Ibogę wystawnym terminalem stały trzy złoto-białe gulfstreamy American Synergy Corporation. Boeing 777 należący do euroAtlantic Airways szykował się do odlotu, natomiast boeing 737 angolskich TAAG kołował w kierunku pasa startowego. Obecność rejsowych samolotów pasażerskich, zdaniem Jansona, wskazywała na to, iż Ferdinandowi Poemu udało się przekonać linie lotnicze, że sytuacja na wyspie jest już dość stabilna. Pozwoliło to na uruchomienie komercyjnych połączeń z Lizboną i Luandą, co stanowiło niemałe osiągnięcie.

Spostrzegł, że z lotniska startuje nowy helikopter S-76D w barwach ASC. Do drugiego wsiadali obładowani bagażem pasażerowie w samych koszulach. Prawdopodobnie byli to ludzie ASC, których przierzucano na Vulcan Queen w związku z „medialną fetą”. Janson poszukał wzrokiem wózka Douga Case’a, ale nie znalazł. Może poleciał pierwszym lotem.

Funkcjonariusz urzędu imigracyjnego, który za ich ostatniej bytności na wyspie odprawiał embraera, gorąco powitał Jansona. Na pytanie o szefa bezpieczeństwa da Costę, odparł:

- Właśnie się minęliście. Wsiada do samolotu do Lizbony.

- Da Costa wyjeżdża?

- Teraz, kiedy Iboga jest na wolności?

- Samolot do Lizbony jeszcze nie wystartował. Muszę się z nim zobaczyć.

- Chodźmy! Biegiem! Może zdążymy go złapać. Papierkami zajmiemy się później. Weszli do terminalu. Olbrzymi budynek świecił pustkami. Wyglądało na to, że nowe połączenia nie cieszyły się wielkim wzięciem. Paliły się wszystkie światła, ale czynnych było tylko kilka stanowisk. Przy bramce na lot euroAtlantic do Lizbony zgromadziła się ledwie garstka pasażerów.

- Tam! Janson biegiem przeciął halę odlotów. Da Costa, ze swetrem przewieszonym przez ramię i niewielką walizką na kółkach, na jego widok zrobił zdziwioną minę.

- Co pan tu robi, panie Janson?

- Dokąd pan leci?

- Do Lizbony. A właściwie na urlop.

- O ile wiem, odszedł szef sztabu, Mario Margarido.

- Prawdziwa tragedia! Był taki młody.

- Czy to nie dziwna pora na urlop, tuż po nagłej śmierci szefa sztabu prezydenta Poego?

- To dawno planowany wyjazd. Żegnam - beztrosko, z nieznacznym uśmiechem odparł da Costa.

- Czy pan wie, że Iboga może wrócić?

- Wiem, że pan go nie złapał. Żegnam, panie Janson. Muszę iść.

- Niech pan mi da pożegnalny prezent.

- Prezent? - Da Costa z zaciekawieniem spojrzał na Amerykanina.

- Nie jestem człowiekiem bogatym, Janson.

- Nie chodzi o łapówkę. Ten prezent przypuszczalnie sprawi, że będzie się pan czuł lepiej, wyjeżdżając w takiej akurat chwili.

- Jaki znów prezent?

- Nim pan odleci, proszę rozkazać żołnierzom gwardii prezydenckiej obsadzić pałac.

- Nie mogę tego zrobić. Są na manewrach w interiorze.

- Nikt nie chroni pałacu?

- Kilku zostało.

- Niech więc im pan rozkaże, by pozwolili mi wylądować na terenie pałacu helikopterem. Nie zadając żadnych pytań, da Costa wyjął z kieszeni telefon komórkowy. Wyglądało na to, że odczuł ulgę, mogąc pomóc Jansonowi.

Rzucił kilka słów do mikrofonu i obwieścił:

- Załatwione.

- Dziękuję. Jest pan pewien, że nie chce pan odłożyć urlopu? Da Costa spojrzał Paulowi w oczy. Drżał mu jakiś mięsień w policzku.

- Jako szpieg w twierdzy Ibogi przeżyłem dzięki zaufaniu do mojego instynktu. Teraz instynkt każe mi wejść na pokład samolotu do Lizbony, być może ostatniego. Niech pan nie patrzy na mnie z taką pogardą. Nie jest łatwo odwrócić się plecami.

- Wiem - odparł Janson. - Jest prawie tak trudno, jak się nie odwrócić.

Eksszpieg poczerwieniał. Jego głos przeszedł w szept.

- Ludzie, którzy dali mi łapówkę za opuszczenie wyspy, myślą, że robię to dla pieniędzy. A ja robię to, żeby ratować życie. To koniec. Będzie rządził Iboga. Jeśli zostanę, zginę.

- Kto dał panu pieniądze? Da Costa ruszył w stronę wyjścia. Przy samej bramce przystanął i zawrócił.

- Zmienił pan zdanie?

- Nie.

Ale mam dla pana jeszcze jeden prezent. Na pańskim miejscu przeczytałbym rozkład przylotów. Wzrok Jansona pobiegł ku najbliższemu monitorowi. Na wieczór zaplanowany był jeszcze jeden przylot, samolotu TAAG z Luandy, lot numer 224. Pierwotnie jego przylot zaplanowano o dwudziestej pierwszej, ale przy numerze lotu widniała adnotacja „Opóźniony”. Teraz spodziewano się go o północy.

Smutny uśmiech szefa bezpieczeństwa powiedział Jansonowi wszystko, co musiał wiedzieć. Przyjaciele Ibogi, który był pół-Angolczykiem i weteranem wojen

domowych w Angoli, pomogli obalonemu dyktatorowi zorganizować przelot na Isle de Foree.

Do pałacu prezydenckiego udali się taksówkami. Dwie zajęli hiszpańscy komandosi ze swoimi „instrumentami”, jedną Janson i Kincaid z torbami podróżnymi.

- Pierwszy raz jadę na wojnę taksówką - mruknęła Jessica. - Gdzie się wszyscy podziiali? Ulice są puste.

Sam pałac też był niesamowicie cichy. Jedyne umundurowany wartownik z karabinkiem i pistoletem u pasa dał znak, by wjechali, i podał Paulowi zatłuszczoną smarem wizytówkę z napisem „LibreLift”.

Janson wysłał dziewczynę, by porozmawiała z anorektycznym Francuzem, pilotem helikoptera, a sam ruszył na poszukiwanie tymczasowego prezydenta. Znalazł go w gabinecie w towarzystwie kilku starszych mężczyzn i czternastoletniego chłopca. Poe miał na sobie biały lniany garnitur, jego towarzysze - maskujące kombinezony. Wszyscy nosili broń. Na biurku samego prezydenta leżał futurystycznie wyglądający kompaktowy pistolet maszynowy FN P90 z zapasem magazynków. Był to dość niezwykły widok, jeśli się nie pamiętało, że ledwie przed miesiącem Poe dowodził obroną obozu rebeliantów w jaskiniach Pico Clarence.

- Gdzie moje wojsko? - Poe z goryczą powtórzył pytanie Jansona. - Niektóre jednostki niespodziewanie udały się na tak zwane manewry, w tym moja gwardia. Kilka pozostałych siedzi w koszarach i czeka na rozwój wydarzeń.

- Czy zachowują neutralność?

- Jak na razie. Ale bardziej się boją Ibogi niż mnie. Nie zaryzykują rozgniewania go, dopóki się nie zorientują, w którą stronę wieją wiatry. A szybko zauważą, że mi nie sprzyjają.

- Gdzie są oficerowie Ibogi? Odpowiedź zaskoczyła Jansona.

- W więzieniu Black Sand, tam gdzie ich miejsce.

- Nadal w więzieniu? Kto ich tam pilnuje?

- Kilku lojalnych wobec mnie ludzi.

- A więc, to cholernie dobry początek - stwierdził Janson.

- Dopóki siedzą pod kluczem, nie mogą zwrócić wojska przeciw panu.
- Obawiam się, że Iboga przybędzie z siłami wystarczającymi do zdobycia więzienia i uwolni oficerów. Ściągną jego byłych żołnierzy.
- Kiedy to nastąpi, klamka zapadnie. Zacznie się zabijanie.
- Obawiam się, że jest na pokładzie maszyny angolskich linii lotniczych. Przybędzie tu około południa.
- Przekłęci Angolczycy! Prawdopodobnie dali Ibodze samolot w nadziei, że to państwo się zawali i nasze złoza nie będą konkurować z ich własnymi.
- Domyślam się, że tak właśnie było.
- I prawdopodobnie pozwolili mu zabrać ładunek broni.
- Ferdinand Poe podniósł z biurka swój peem, zważył w pokrytej bliznami dłoni jego znajomy ciężar i powiedział w zamyśleniu:
 - Nigdy nie sądziłem, że stanę się żołnierzem. Albo umrę żołnierską śmiercią.
 - Ta druga myśl jest nieco przedwczesna - pocieszył go Janson. - Ma pan dobrych ludzi w więzieniu i kilku tutaj. A ja dysponuję małym, ale silnym oddziałem, i mogę im pomóc. Iboga nic nie wskóra, dopóki nie uwolni swoich oficerów.
 - Jak długo zdołam utrzymać mój pałac? Godzinę? Dwie? Może trzy. Nieraz dowiodłem, że jestem twardszy, niż sądziłem.
 - Niech pan nawet nie próbuje bronić pałacu. Niech pan zbierze swoich ludzi i broni więzienia Black Sand. Poe pokręcił siwą głową.
 - Zbiorę swoich ludzi tutaj.
 - W ten sposób pójdzie pan Ibodze na rękę. Jeśli będzie pan bronić pałacu zamiast więzienia, jego oficerowie uciekną i podburzą wojsko.
 - Mamy więc dylemat. Nawet z pańską pomocą brak nam ludzi do obrony i pałacu, i więzienia.
 - Ależ tu nie ma żadnego dylematu. Musi pan tylko utrzymać więzienie, dopóki ja nie unieszkodliwię Ibogi.
 - Nie. Nie mogę wejść do więzienia.
 - Dlaczego?

- Nie mogę. Nie wejdę i już.

- Nie rozumiem - zdziwił się Janson.

Do rozmowy wtrącił się jeden ze starszych współpracowników.

- Pan prezydent cierpiał w Black Sand. Czuł strach i ból, jakiego nie może pan sobie wyobrazić.

- Myślę, że mogę sobie wyobrazić - odparł Janson.

- Wie pan zatem, że każdy człowiek ma swoją granicę wytrzymałości. To moja granica. Nie zdołam tam wejść. Będę walczył tu, w pałacu prezydenckim.

- W pałacu prezydenckim pan umrze.

- Jeśli będzie trzeba. Nie boję się śmierci.

- Umierając, nie pomoże pan swemu krajowi, panie prezydencie. Jessica Kincaid, która od drzwi przysłuchiwała się tej rozmowie, weszła do gabinetu.

- A może zabralibyśmy pana do Lizbony albo Londynu? A my w tym czasie obronimy więzienie i złowimy Ibozę.

- Dobry pomysł - przyznał Janson.

- Nie - odrzekł Poe.

- Opuściwszy Isle de Foree staję się tylko pretendentem do tronu. Muszę pozostać przywódcą suwerennego terytorium.

- Wracamy w góry - oznajmił jeden z weteranów.

- Nie, przyjacielu, jesteśmy za słabi, by kryć się w górach. W najlepszym razie zostałbym odizolowany od naszych ludzi. W najgorszym - polowano by na mnie jak na zwierzę.

- Robiliśmy to przedtem.

- Przedtem wszyscy razem poszliśmy w góry - cierpliwie tłumaczył prezydent. - Przykro mi. Wtedy mieliśmy czas na zorganizowanie obrony, na zdobycie poparcia z zewnątrz, pieniędzy, znalezienie przemytników broni. Poprzednim razem Iboża nas nie docenił. Tym razem nie da nam czasu.

Kincaid gestem przywołała partnera na słowo. Stał blisko niej, ona zaś szepnęła:

- On mówi o obronie czegoś nie do obronienia, Paul. Nie chcę umrzeć, broniąc czegoś nie do obronienia.

- Racja.

Chłopiec wpadł na inny pomysł.

- A nie moglibyśmy poprosić Nigerii, żeby przysłała nam na pomoc żołnierzy?
- zapiszczał.

- Tylko nie Nigerii! - zawołali chórem wszyscy obecni w gabinecie mieszkańcy Isle de Foree, co wywołało zbiorowy wybuch śmiechu. Na chwilę napięcie opadło.

- Jest inny sposób - zaczął Janson.

Poe wszedł mu w słowo.

- Mieć jakąś wartość dla olbrzymów to przekleństwo - stwierdził gorzko.

- Jest inny sposób - powtórzył Janson.

- Jaki?

Poczuł, że Kincaid przygląda mu się z napięciem.

- Czy helikopter jest zatankowany? - zapytał.

- Do pełna.

- Freddy, jesteś tam?

Freddy Ramirez wyłonił się z holu, wypełniając framugę drzwi niczym byk. Paul zwrócił się do obecnych:

- Posłuchajcie! Wszyscy zdolni do walki - do więzienia. Utrzymajcie je za wszelką cenę. Biegiem. - Odwrócił się do Kincaid. - Weź swój karabin.

- Tak jest.

- Panie prezydencie, wsiadamy do helikoptera.

- Nie - zaprotestował Poe.

- Dokąd mnie pan zabiera?

- Pan i ja zajmiemy się powalaniem olbrzymów.

- Ale gdzie?

- W jedynym miejscu - odrzekł Paul Janson - w którym prezydent Isle de Foree będzie bezpieczny, widoczny i gdzie będzie sprawował najwyższą władzę.

Rozdział 41

Anorektyczny francuski pilot starego S-76 LibreLift od czasu wyprawy na statek przemytników nabawił się ciężkiego kaszlu. Ten człowiek brzmi, jakby umierał na raka gardła, pomyślał Janson. Ostra woń wyciekającego paliwa drażniła błony śluzowe. Krzepki angielski drugi pilot co rusz z troską popatrywał na partnera, ten zaś kasłał i kasłał.

W tym stanie Francuz nie mógł pilotować z właściwą mu lekkością i helikopter leciał niezgrabnie, jakby skakał na falach. Paul położył dłoń na ramieniu Ferdinanda Poego, chcąc dodać mu otuchy. Światła Porto Clarence nikły w równikowej mgiele. Ocean przed nimi był ciemny i bezkształtny.

Janson wsłuchiwał się w szum odbiornika VHF nastawionego na żeglugowy kanał 16, czekając na wywołanie ich przez oficera wachtowego statku, widzącego niezidentyfikowany cel na ekranie radaru. Po piętnastu minutach lotu w ciemnościach z prędkością dwustu kilometrów na godzinę - tyle mogła z siebie dać wiekowa maszyna, nie gubiąc wirników - dostrzegł na horyzoncie słaby poblask.

Powoli stawał się coraz jaśniejszy. Znajdowali się tylko osiem kilometrów od źródła światła, kiedy nagle przemówiło radio:

- Statek powietrzny lecący jeden-trzy-pięć węzłów kursem jeden-dziewięć-cztery, tu Vulcan Queen. Czy mnie słyszysz? Rutynowe wywołanie. Radar statku wiertniczego wyliczył ich prędkość i kurs, ale nie był w stanie określić wysokości, nie odbierając sygnału transpondera. Oficer wachtowy dostrzegł to i w logiczny sposób przypisał awarii urządzenia lub błędowi obsługi. Janson spojrzał na zegarek. Dwudziesta trzecia czterdzieści. Jak się spodziewał, przybyli na miejsce przed północą. Trzeci oficer Vulcan Queen, najmłodszy, najmniej doświadczony oficer statku, będzie pełnił wachtę do dwudziestej czwartej. Dzisiejszej nocy helikoptery ASC wykonały już tyle kursów, że oficer powinien dojść do wniosku, iż ma do

czynienia z kolejnym rutynowym przelotem. Chodziło o to, by grając na zwłokę, dotrzeć jak najbliżej statku, nie ryzykując jednak, że wachtowy się zdenerwuje i wezwie kapitana śpiącego w swojej kajucie pod mostkiem. Janson umocował linę do zjazdu w bocznych drzwiach.

- Statek powietrzny lecący jeden-trzy-pięć węzłów kursem jeden-dziewięć-cztery, tu Vulcan Queen. Proszę określić swoją tożsamość i zamiary.

- To jakiś obłąd! - wykrzyknął Poe. - Wezmą nas za piratów i zestrzelą.

- Piraci nie latają helikopterami.

Z odległości niespełna siedmiu kilometrów statek świecił niczym niewielkie miasto. Gęsto rozmieszczone lampy oświetlały wysokie, kwadratowe kominy na rufie, wieże wiertnicze wysokości czterdziestu pięter i olbrzymią nadbudówkę na dziobie. Długi na ponad trzysta metrów i wysoki na dwadzieścia siedem metrów kadłub był tak wielki, że skutecznie zasłaniał przed wiatrem. Po nawietrznej spienione fale uderzały o burtę. Po zawietrznej woda ledwie falowała. Cumował tam statek dostawczy, dokładnie pod bomem ładunkowym, skąpany w świetle lamp umożliwiających pracę w nocy.

Obok czekały na swoją kolej jeszcze dwa statki serwisowe. Wszystkie trzy wyposażono w liczne hydromonitory, bo w końcu przeznaczeniem tej pływającej fabryki było wydobywanie lotnych, łatwopalnych węglowodorów. Sama Vulcan Queen obwieszona została jasnopomarańczowymi, ognioodpornymi tratwami ratunkowymi, które po stromych pochylniach spychało się bezpośrednio do wody.

Dach sześciopiętrowej nadbudówki pokrywały białe kopuły osłaniające anteny satelitarne odbierające dane GPS-u dla systemu DP, dynamicznego pozycjonowania sterującego silnikami i sterami strumieniowymi utrzymującymi statek w miejscu. Pod wpływem wiatru i fal Vulcan Queen ani się nie kołysała, ani nie dryfowała. System DP nie pozwalał jej na najmniejszą zmianę pozycji.

- Statek powietrzny lecący jeden-trzy-pięć węzłów kursem jeden-dziewięć-cztery, tu Vulcan Queen. Janson odpowiedział, nonszalancko cedząc słowa jak przystało na nafciarza.

- ASC 44 Crew Bird schodzi z ładunkiem robaków.

- Słowo „robaki” oznaczało nowicjuszy, nowych pracowników. Helikopter znajdował się już tak blisko statku, że Janson rozróżniał poszczególne żurawie i dźwigi pokładowe. Statek prowadził wiercenia siedem dni w tygodniu przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Na liście zawodów związanych z przemysłem wydobywczym wiertacze zajmowali wysoką pozycję. Jego uwagę przyciągnął jakiś ruch na głównym pokładzie. Grupa ochroniarzy zdejmowała pokrowce z działa akustycznego i armatek wodnych, choć trudno było sobie wyobrazić, by jacyś grasujący w Zatoce Gwinejskiej piraci poważyli się na samobójczy atak na tak olbrzymią jednostkę.

- ASC czterdzieści cztery, nadal nie odbieram twojego transpondera.

- Miałem z nim kłopoty przez cały dzień - usprawiedliwiająco rzucił Janson i klepnął pilota w ramię. Francuz skierował helikopter prosto na lądowisko, zamontowane na wspornikach nad dziobem statku. Strefa lądowania znajdowała się ledwie kilka metrów od centrum kontroli systemu DP, najwrażliwszego punktu Vulcan Queen. W młodzieńczym głosie dobiegającym z radia zabrzmiała nagle panika.

- Odmawiam! Odmawiam! Nie możesz lądować bez upoważnienia.

- Mam całą ekipę robaków - zaprotestował Janson. - Co ja zrobię z tymi gośćmi? Zerwał z głowy słuchawki i włożył rękawice do schodzenia po linie. Wstrząsany napadami kaszlu Francuz zawiesił maszynę kilkanaście metrów nad lądowiskiem. Janson spuścił linę i zsunął się po niej.

Cztery sekundy po tym, jak jego buty zetknęły się z powierzchnią lądowiska, zbiegał już ze stalowych schodów prowadzących na mostek. Pokonał pierwszy odcinek, na podejście zakręcił w kierunku drugiego. Wtedy spostrzegli go dwaj wbiegający po schodach ochroniarze.

Unieśli strzelby o krótkich lufach, by omieść stopnie gradem loftek. Janson wystrzelił pierwszy. Odgłos wystrzałów zaopatrzonego w tłumik MP5 utonął w dudnieniu wirnika i wyciu turbiny ulatującego w nocne niebo helikoptera.

Janson przeskoczył ciała ochroniarzy i przez boczne drzwi wpadł do sterówki. Ciche, ciemne pomieszczenie rozjaśniały jedynie ekrany monitorów i wskaźniki urządzeń pokładowych. W sterówce przebywało tylko dwóch ludzi, bez

żadnych ochroniarzy. Prywatne odrzutowce, flota helikopterów, olbrzymi statek - wszystko to sprawiało, że ludzie korporacji czuli się bezpieczni, nawet kiedy bezpieczni nie byli. Pracownik obsługi systemu DP i oficer wachtowy, którego Janson zagadywał przez radio, w osłupieniu wpatrywali się w jego broń i osłoniętą kominiarką twarz. Technik DP został przy swojej klawiaturze i monitorach. Przerażony trzeci oficer o wyglądzie dwudziestolatka rzucił się do przeciwległego wyjścia.

Paul był tam pierwszy, z bronią skierowaną w pierś młodzika.

- Spokojnie, synu. Nikt nie zrobi ci krzywdy.

- Zaprowadził trzeciego do pulpitu technika, który nie odrywał się od przyrządów.

- Rób swoje - powiedział Janson. - Statek ma utrzymać pozycję. Nie pozwól mu dryfować. Jasne?

- Tak jest.

- Zadzwoń do kapitana Titusa - polecił trzeciemu oficerowi. - Kiedy odbierze, podasz mi słuchawkę.

Oficer wykonał polecenie i drżącą dłonią podał Paulowi słuchawkę.

- Kapitanie Titus, zapraszam na mostek. Musi pan powitać prezydenta Isle de Foree.

- Kto, do cholery, mówi? - Zajęliśmy mostek pańskiego statku - z naciskiem na „zajęliśmy” oznajmił Janson. Niech się kapitan głowi, z jak licznym przeciwnikiem ma do czynienia. - Proszę nikomu nic nie mówić i niech panu nie przyjdzie do głowy zabrać ze sobą ochroniarzy. Na widok pierwszego uzbrojonego człowieka zaczynamy strzelać w komputery DP.

- Czyś pan oszalał? Statek...

- Statek natychmiast zacznie zmieniać pozycję. Będzie dryfował w niekontrolowany sposób. Pozrywa dziesięć kilometrów rur i przewodów wiertniczych, umieszczonych przez American Synergy Corporation w dnie morskim kosztem stu milionów dolarów. Proszę przyjść. Sam. Schodami, bez korzystania z windy. Natychmiast!

Janson oparł się o przepierzenie w miejscu, z którego mógł kontrolować wyjście z windy, schody i drzwi.

- Otworzyć drzwi kapitanowi - rozkazał. Trzeci oficer wykonał rozkaz. Na schodach zadudniły kroki jednego człowieka i na mostek wpadł kapitan w mundurze khaki. Krótco ostrzyżony, z grubym karkiem, wyglądał na choleryka. Jeśli przestraszył się uzbrojonego, zamaskowanego komandosa, to nie dał tego po sobie poznać.

- Kim, do diabła, jesteście? Co robicie na moim statku?

- Zajęliśmy pański statek - powtórzył Janson. - Nikogo nie zabijemy i nie wyrządzimy żadnych szkód, jeśli zrobi pan dokładnie to, co powiem. Jeśli nie, zniszczę DP.

- Skinął na trzeciego oficera. - Wywołaj helikopter; przekaż zgodę na lądowanie.

Trzeci spojrział na dowódcę.

- Wykonać! - krzyknął kapitan. S-76 z hukiem spłynął z nieba. Po nieznośnie długiej chwili w drzwiach sterówki pojawił się Ferdinand Poe, ciężko wsparty na ramieniu drugiego pilota helikoptera. Angolczyk pomógł mu wejść, podał pistolet maszynowy i wyszedł.

- Jak pan się czuje? - zapytał Janson. Polityk złapał oddech i oznajmił: - Doskonale.

- Kapitanie Titus - Janson najwyraźniej próbował przestrzegać etykiety - oto pański gospodarz, tymczasowy prezydent Isle de Foree, pan Ferdinand Poe.

- Za kogo wy się uważacie - ryknął Titus - włącząc na mój statek na pełnym morzu! Przekłęci piraci! Prezydent najeżył się. - Nie znajdujemy się na pełnym morzu, kapitanie.

- Co?

- Znajdujemy się na suwerennym terytorium Isle de Foree. A pan jest gościem mojego kraju.

- Prawo morskie...

- Prawo morskie zezwala na przepłynięcie przez nasze wody terytorialne. Ale dopóki pańskie przewody wiertnicze i rury tkwią w naszym

- Niech to diabli, rozumiem. Czego chcecie?

- Kto z kierownictwa ASC znajduje się na pokładzie?

- Wszyscy. Pół cholernego Teksasu.

- Jaką mają ochronę? Kapitan Titus zawahał się.

- To nie miejsce na strzelaninę - chłodno rzekł Janson. - Ma pan na statku dwustu ludzi, kapitanie. Marynarzy, techników, wiertaczy, pomocników, stewardów i kucharzy. Niech pan się dobrze zastanowi nad odpowiedzią na moje pytanie.

- Mam czterech ludzi z ochrony ASC.

- Ilu poza tym przywiózł z sobą pan Case?

Kapitan zgarbił się, jakby zrezygnowany.

- Dziesięciu.

- Co to za jedni?

- Milicja.

Janson i Poe wymienili szybkie spojrzenia. Kapitan Titus na powrót wyprostował się, spojrzał intruzowi w oczy i przemówił tonem oficera, który zwykł opierać swój autorytet na zdrowym rozsądku:

- Panie, zostawili pana bez ludzi i bez dział. Może oszczędziłbyś pan zmartwień wielu niewinnym ludziom i odłożył broń?

Rozdział 42

Trzy pokłady poniżej mostka Vulcan Queen piętnastu mężczyzn i trzy kobiety, którzy po niemal dobowym locie przybyli z Houston, posilali się przy długim stole w sali konferencyjnej. Stół nakryty był białym obrusem i zastawiony srebrnymi naczyniami. Podawali sprawni, czarni stewardzi.

Doug Case ze skrywanym uśmiechem rozbawienia przyglądał się ziemistym twarzom i tłustym włosom biesiadników. Zgodnie z tradycją ASC panowało przekonanie, że nikt w biznesie naftowym nie pracuje ciężiej niż tak zwany korpus ołciarski spółki. Po najdłuższej nawet podróży członkowie kierownictwa ASC w chwilę po wylądowaniu podwijali rękawy i z miejsca brali się do roboty. Udając, że

bynajmniej nie marzą tylko o tym, by splukać z siebie szesnaście godzin lotu samolotem i twarzą w dół zwalić się na łóżko.

Tego wieczoru mieli wziąć udział w medialnej manipulacji mającej na celu poinformowanie świata o nawiązaniu partnerskich stosunków przez znaną z dobroczynności American Synergy Corporation z wdzięcznym, stabilnym, wyspiarskim krajem, Isle de Foree. „Branie się z miejsca do roboty” oznaczało wspólny obiad z jajogłowymi reporterami NPR, PBS, BBS i „New York Timesa”, na którym serwowano świeżutkie ryby. „Podwijanie rękawów” polegało na rozpowszechnianiu poufnych informacji o odkryciu podwodnych złóż ropy naftowej o wartości handlowej. Jak dużych? Matki wszystkich złóż. „Och, a przy okazji, nasz stary przyjaciel, dożywotni prezydent Iboga wrócił, by ustabilizować swój kraj”.

Sam legendarny, wiekowy i rzadko widywany Budda, dyrektor generalny Bruce Danforth, kierował ofensywą czarowania, demonstrując szacunek dla mediów swą bezpośredniością i przeproszającym tonem. Mimo iż Doug Case piastował stanowisko prezesa do spraw bezpieczeństwa globalnego, po raz pierwszy znalazł się w towarzystwie dyrektora generalnego i był pod wielkim wrażeniem. Budda dobiegał dziewięćdziesiątki, ale wyglądało, że jest to cholernie bystra dziewięćdziesiątka.

- Węgiel - zwrócił się do obecnych, odpowiadając na pytanie dziennikarza NPR - przez najbliższe sto lat pozostanie na świecie źródłem energii numer jeden. Na drugim miejscu znajdzie się ropa naftowa, na trzecim gaz ziemny. Czy nam się to podoba, czy nie, metody przemiany energii ustanowione przez wynalazców silnika parowego i turbiny parowej, Jamesa Watta i Charlesa Parsonsa, nie straciły nic ze swej aktualności. Ciepło to potęga. Udoskonalone, oczyszczone, wzmocnione - ciepło nadal jest potęgą. I będziemy wytwarzać osiemdziesiąt pięć procent tego ciepła, tej potęgi, spalając paliwa kopalne.

Case zerknął na wiceprezesa ASC do spraw kontaktów z mediami. Biedny głupek, który większość czasu poświęcał na przekonywanie niechętnych mu dziennikarzy, że ASC jest dbającą o środowisko korporacją oddaną sprawie odnawialnych źródeł energii, puścił do niego oko.

Danforth zauważył to i wcale mu się nie spodobało.

- Młody człowieku - rzekł tonem wykluczającym wszelką dyskusję - wygląda pan na zmęczonego podróżą. Powinien pan udać się do swojej kabiny i odpocząć. Natychmiast.

Spec od PR odszedł od stołu z poszarzałą twarzą. Danforth uniósł pomarszczony palec, a gdy już wszyscy skupili na nim uwagę, powtórzył pytanie dziennikarza NPR. - Czy American Synergy będzie blokować rozwój technik wykorzystania odnawialnych źródeł energii? Oczywiście, że nie. Nie musimy. Nie musimy ograniczać potencjału energii ze źródeł odnawialnych. Zrobi to za nas fizyka. - Fizyka czy wolny rynek? - padło z drugiego krańca stołu. Telefon Case'a zaczął wibrować. Wieści z więzienia Black Sand. Miejmy nadzieję, że zaraz będzie po wszystkim. Wycofał wózek od stołu, żeby odebrać telefon, a tymczasem Budda posłał autorce pytania uśmiech, który łamał kobiece serca kilka dziesiątków lat przed jej narodzinami, ale na pytanie nie odpowiedział. - ASC inwestuje grube miliony w rozwój technik wykorzystania źródeł odnawialnych. Korzystamy ze zwolnień od podatku. A jeśli naukowcy ASC przypadkiem wykroczą poza aktualnie obowiązujące prawa fizyki, zachowamy patenty. Najwyraźniej Bruce Danforth uwielbiał kierować największą naftową korporacją w Ameryce i nie zrezygnuje z tego, dopóki nie wyniosą go w trumnie. Doug Case zdąży nawiązać z nim trwałe stosunki. Zwłaszcza jeśli to Budda, nie Helms, był jego osobistym mentorem, Głosem. Case schował telefon i wjechał wózkiem między krzesła Danforth'a i Helmsa.

- Ludzie Ferdinanda Poego walczą jak diabli w obronie więzienia. Odparli atak sił Ibogi. Starcze, żółtawe oczy Buddy spoczęły na Dougu. Nie było to przyjemne. Siedzący w pobliżu dyrektorzy i dziennikarze nadstawili ucha, udając, rzecz jasna, że wcale nie podsłuchują. Budda jednak mruknął prawie niesłyszalnie:

- Nie przewidziałeś tego, Douglasie.

- Nie, panie Danforth - przyznał z zamierającym sercem. Plan nie uwzględniał możliwości podjęcia przez tymczasowego prezydenta zawziętej walki o więzienie. W tej chwili uwolnieni oficerowie Ibogi mieli witać go na lotnisku i triumfalnym pochodem odprowadzić do pałacu.

- Ani ty, Kingsman.

- Nie, proszę pana. Wyschnięte, pomarszczone usta Buddy prawie się nie poruszały.

- Co więc, do kurwy nędzy, zamierzacie teraz zrobić? Kingsman Helms wyglądał na rażonego piorunem. I powinien tak wyglądać, pomyślał Case. Szef pionu naftowego nigdy nie trzymał broni w ręku. Ale on tak. Przejął inicjatywę. - Miałem nadzieję, że awangarda sił Ibogi opanuje sytuację przed jego lądowaniem, panie Danforth. Ale gwarantuję, że jak tylko sam

Iboga wyjdzie z samolotu, ze świeżymi ludźmi i bronią, bieg spraw się odwróci.

Rozdział 43

Iboga wykupił wszystkie miejsca w przedziale biznesowym lotu TAAG 224 z Luandy. Teraz rozłożył mapę topograficzną Porto Clarence, by raz jeszcze przejrzeć drogę z lotniska do więzienia Black Sand. Wokół niego siedzieli najemnicy w liczbie dziewięciu, z uwagą skupioną na powracającym dyktatorze. Zwycięstwo, uwolnienie ośrodków Ibogi, zależało od zdyscyplinowanego trzymania się jego śmiałego planu. Żaden z członków tego małego oddziału nie wątpił, że plan wypali. Niezależnie od plotek o aktach kanibalizmu, których miał się dopuszczać w narkotykowym szale, i niemal komicznego widoku wałków tłuszczu na karku, wylewających się spod żółtej kefirki, widziało się już na pierwszy rzut oka, że Iboga był przede wszystkim znającym się na swoim rzemiośle żołnierzem.

Po wylądowaniu pierwsi opuścili samolot strzelcy wyborowi.

Ich zadanie polegało na neutralizacji punktów kontrolnych i ewentualnych zasadzek ogniem broni o dalekim zasięgu. Pracownicy obsługi naziemnej, popędzani wrzaskiem komandosów, wyladowywali z luku bagażowego ręczne wyrzutnie rakiet, a tymczasem podstawiona wcześniej taksówka powiozła snajperów pustymi ulicami. Jeden z nich wysiadł na kluczowym skrzyżowaniu nadmorskiej promenady z ulicą wiodącą do budynku parlamentu. Była to neoklasycystyczna budowla z wysoką, smukłą wieżą zegarową. Zegar wskazywał dziesięć minut do północy. Jakiś lojalny wobec Ibogi przechodzień wskazał snajperowi drogę ku krętym schodom. Z otwartej

dzwonnicy strzelec mógł pokryć ogniem ostatnie półtora kilometra promenady, którą Iboga zamierzał jechać do więzienia Black Sand.

Wieża liczyła ponad trzydzieści metrów wysokości, na szczyt prowadziły strome schody. Dotarłszy na poziom zegara z cyferblatami na cztery strony świata, snajper spływał potem, a futerał z bronią ciążył mu nieznośnie. Jeszcze jedna kondygnacja i wreszcie znalazł się na otwartej przestrzeni. Dzwonnica tonęła w całkowitych ciemnościach. W oddali widział front więzienia Black Sand zalany ostrym światłem reflektorów. Przyjrzał mu się przez lornetkę. Martwi żołnierze leżeli na ziemi pod murami. Same mury były posiekane setkami pocisków z broni automatycznej, nadkruszone wybuchami granatów. Bramy pozostawały jednak zamknięte.

Obrońcy na pewno ponieśli straty, odpierając pierwsze natarcie i pewnie już ich opuścił duch walki. Przeżyją prawdziwy szok, kiedy oddział Ibogi zaatakuje ich raketami. Snajper zsunął na oczy gogle noktowizyjne i klęknął, by otworzyć futerał z karabinem.

- To miejsce jest zajęte.

Błyskawicznie odwrócił się w stronę miejsca, z którego dobiegł go kobiecy głos, jednocześnie chwytając rękojęść pistoletu tkwiącego w kaburze na udzie.

- Nie - powiedziała.

Przed założeniem noktowizora nie zauważył jej w ciemności. Skulona niczym elf, znajdowała się na wyciągnięcie ręki od niego, niesamowita zjawa, świecąca fosforyczną zielenią. Też miała gogle noktowizyjne, panoramiczne, zasłaniające większą część jej twarzy. Trzymała pistolet z tłumikiem dźwięku, obok na dwójnogu stał samopowtarzalny knight M110 SASS. Jego lufa wskazywała więzienie.

Głupia baba. W co, do diabła, zamierzała trafić z tysiąca metrów? Niemniej broń świetna, lepsza niż jego. Gogle też świetne, dużo lepsze niż jego. Pojawiła się niespodziewana okazja podniesienia sobie stopy. Udał, że rzuca się ku niej, żeby wybić ją z równowagi, i skoczył w bok, wyciągając pistolet. Ostatnim, co zobaczył na tym świecie, był błysk z lufy jej pistoletu.

Jessica Kincaid zaczekała chwilę, żeby się upewnić, że nikt więcej nie wchodzi po schodach, następnie rozciągnęła się na kamiennej posadzce dzwonnicy i wycelowała karabin w stalową bramę więzienia. Pięć minut później usłyszała warkot samochodu jadącego ze znaczną prędkością wzdłuż plaży. Jego światła zamigotały między porastającymi pobocze palmami. Tuż za nim jechał drugi pojazd, dalej trzeci. Minęły jej stanowisko i pojechały dalej.

- Daj im się zbliżyć - mruknęła, ale Freddy i jego chłopcy, napompowani adrenaliną po pierwszej potyczce w obronie więzienia, zbyt wcześnie otworzyli ogień do prowadzącego wozu.

Samochód, oczywiście, natychmiast się zatrzymał. Wyskoczyli z niego trzech mężczyźni z bronią, nietknięci, i ukryli się między drzewami. Pozostałe samochody zatrzymały się za pierwszym, z każdego wysypało się po trzech ludzi, zawodowców, poruszających się szybko, nisko przy ziemi.

Widziany przez panoramiczne gogle noktowizyjne Iboga świecił jaśniej niż otaczający go komandosi. Grubas emitował więcej ciepła. Kefa była ciemniejsza niż jego czaszka i niż wyrzutnia raketowa, którą wymachiwał niczym tamburmajor buławą, zbierając swoich ludzi i koordynując ich atak.

Dwaj z nich, ukryci za pierwszym samochodem, wycelowali wyrzutnie w bramę. Inni przemykali między drzewami, żeby otworzyć ogień ze skrzydeł. Kincaid wiedziała już, na czym polegał plan Ibogi. Był akuratny, czysty i zuchwały. Freddy, jego czterej pracownicy i weterani Ferdinanda Poego zostali wzięci w dwa ognie, między oddział nacierający z zewnątrz a bandę opancerów wewnątrz, gotowych zaatakować swoich dozorców na odgłos rozpoczynającego się salwami granatników szturm.

Rozdział 44

Odezwał się telefon. Doug Case spojrzął na wyświetlacz. Paul Janson. Wyłączył w swoim telefonie funkcję identyfikacji numeru dzwoniącego, jeśli dzwonicz z włoskiego więzienia z prośbą o pomoc.

- Lepiej odbiorę - rzekł Case.

- Nie rozgaduj się za bardzo - polecił Budda.

- I zostań tutaj.

- Cześć, Paul. Co słychać w słonecznej Italii?

- Przyślij dziennikarzy na mostek, na spotkanie z prezydentem Poem.

- Jaki mostek... Co? Jesteś na tym statku?

- Przyślij tu prasę albo zniszczę zespoły dynamicznego pozycjonowania.

Obydwa. Wiesz, co by to oznaczało? Case miał trudności ze złapaniem oddechu.

- Tak.

- Wiesz także, jak krwawą katastrofą zakończyłoby się wysłanie tutaj twoich najemników?

- Tak.

- I wiesz, że czuję się zdradzony? Doug wziął się w garść. Trzeba poradzić sobie z tą sytuacją.

- Tak - potwierdził. - Wiem, że czujesz się zdradzony, tylko nie wiesz przez kogo.

- Nie ma świadków, nie ma zbrodni?

- To nie ja jestem tym złym.

- Jest tam Helms?

- Jest.

- Dawaj go. Doug Case nie zadał sobie trudu zasłaniania telefonu, kiedy szeptał:

- To Paul Janson. Jest tutaj! Na Vulcan Queen. Żąda przyprowadzenia dziennikarzy na mostek, na spotkanie z Ferdinandem Poem.

- Na mostek? Tam w sterówce jest DP.

- Wie o tym. Proszę! - Podał prezesowi telefon. - Postaraj się go nie wkurzyć.

- Janson - gładko zagadał Helms - mam nadzieję, że jest pan przy zdrowych zmysłach i nie zamierza pan zrobić niczego nierozważnego.

- Utrzymuję się przy życiu dzięki brakowi rozwagi. Jeszcze nie wiem, kto za tym wszystkim stoi. Ale się dowiem. Na razie cię powstrzymałem. - Na pewno możemy jakoś rozwiązać ten problem.

- Jest tam Budda? Prezes wcisnął telefon w pomarszczoną dłoń dyrektora generalnego.

Bruce Danforth słyszał dudnienie lądującego przed chwilą helikoptera i zastanawiał się, kto nim przyleciał. Teraz już wiedział. Rozciągnął usta w uśmiechu na użytek dziennikarzy i dyrektorów. Żeby go nie słyszeli, mówił bardzo cicho.

- Tu Bruce Danforth, Janson. Wie pan, w tamtych czasach zawsze chciałem uścisnąć pańską dłoń. Ale dawny pański szef, Derek Collins, powiedział mi, że zdaniem prawników lepiej, żebym trzymał się z daleka i nigdy ręki panu nie podawał. Musiałem przyjąć, że pan nie istnieje.

- Nauczyłem się ufać Derekowi - chłodno odparł Janson. - Byłem jego szefem.

- To dla mnie nowina.

- To dawne czasy. Nim pan się pojawił, ja odszedłem do sektora prywatnego. Ale pozostaję w kontakcie z ludźmi z najwyższej półki, z najlepszymi. Może dzisiejszej nocy zrobię to, co wtedy chciałem zrobić.

- Nie mogę podać panu ręki, trzymam broń.

- Mógłby ją pan odłożyć.

- Nie sądzę.

- Proszę podać cenę za ciche zniknięcie ze statku.

- Proszę podać nazwiska morderców moich pilotów i doktora Terry'ego Flannigana.

- Nie wiem, o czym pan mówi.

- Proszę mi też powiedzieć, kto wezwał reapersy, które zaatakowały Pico Clarence.

- Teraz czuję się całkowicie skołowany - gładko oznajmił Budda.

Paul Janson wiedział, że tym razem poniósł porażkę. Nie udało mu się powiązać zbrodni popełnionych przez bezimiennych sługusów z ich ukrytymi organizatorami z wyżyn. Dowiódł właśnie, że prywatne odrzutowce, flota helikopterów i gigantyczne statki dawały ludziom korporacji poczucie bezpieczeństwa, nawet gdy bezpieczni nie byli. Ale poczucie uprzywilejowania wytworzone przez wielowarstwową izolację od zwykłych ludzi umacniało korporację, przydawało siły jej grzecznemu wypieraniu się wszystkiego. Janson mógł wymyślać dyrektorowi generalnemu ASC aż do utraty tchu, ale Bruce Danforth, Kingsman Helms i Doug Case byli w stanie przez lata chronić się w zamku zbudowanym z pokładów ukrytych prawd, półprawd i kłamstw nie do udowodnienia. Przez całe lata. Ale nie na zawsze, obiecał sobie Janson. Żeby zaatakować tych z samej góry, musiał kamień po kamieniu zdemontować ich zamek.

- Sprowadźcie tu media - polecił Danforthowi. - Tylko pan, Helms, Case i dziennikarze. Nikt więcej.

Kincaid przyłożyła policzek do kolby M110 i obiektywem nocnego celownika odszukała Ibogę.

Najemnicy podczołgali się na odległość stu metrów od bramy. Iboga prowadził. Zastanawiała się, dlaczego tak długo zwlekają z odpaleniem rakiet. Dyktator wymachiwał swoją wyrzutnią, pchał ludzi do przodu i Kincaid uświadomiła sobie, że chce podejść tak blisko, by w chwili wybuchu rakiet rzucić komandosów do szturm na bramę.

Olbrzym dowodził jak urodzony przywódca. W utworzonym ad hoc oddziale panowała imponująca dyscyplina. Dopiero ujrawszy jego trupa, komandosi zrezygnowaliby z natarcia.

Iboga przykucnął za palmą osiemdziesiąt metrów od bramy. Nareszcie przestał się ruszać. Dziewięćset metrów. Bardzo długi strzał. Kincaid naprowadziła karabin na cel. Przesunęła nieznacznie stopy, żeby leżeć dokładnie w linii broni. Podniosła głowę. Prawym okiem popatrzyła poza celownik. Zamknęła oczy, kilka razy odetchnęła. Otworzyła oczy. Przecięcie linii siatki celowniczej wypadło na drzewie, kilka centymetrów od głowy Ibogi. O pół centymetra przesunęła obcasy, ułożyła się w

linii i znieruchomiła. Znalazła swój punkt celowania siedem centymetrów poniżej sznura agal, który przytrzymał kefię na jego głowie.

Wdech. Wydech. Dotknęła spustu. Krzyż siatki przesunął się odrobinę w prawo. Zwolniła nacisk na spust. Wdech. Wydech. Wróciła do punktu celowania. Ponownie dotknęła spustu i ściągała go równomiernie do tyłu, do tyłu...

Dzwon zegara zaczął wybijać północ. Zabrzmiało pierwsze gromkie uderzenie, kamienna posadzka zadrzała. Pudło! Słyszała śmiech taty, jakby ten siedział jej na ramieniu. Miała osiem lat, ćwiczyła i ćwiczyła, żeby pokazać mu, że umie strzelać nie gorzej niż jakikolwiek przeklęty syn, którego nigdy się nie doczekał. Wiewiórka na dębie! Cholerna wiewiórka zrobiła zyg, kiedy powinna zrobić zag. Pudło. Tata się śmiał.

Ćwiczyła też ładowanie - szybko przeładować i błyskawicznie oddać strzał, aż ramię bolało ją od tych manipulacji. Dwudziestkadwójka z czterotaktowym zamkiem. Wsunęła nowy nabój do komory tak szybko, że ta mała zaraza nie zdążyła wspiąć się wyżej i przynajmniej tego jednego dnia zdobyła sobie serce ojca.

- Drugi strzał - powiedział wieczorem, dumny z niej, smażąc jajecznicę z mózdzkiem z wiewiórek na kolację - strzał po tym, jak spudłujesz, ten strzał oddziela mężczyzn od chłopców.

Iboga musiał czuć podmuch kuli. Nie wiedział jednak, skąd strzelano. Przypuszczał, że z więzienia, nie z tyłu, z odległości prawie kilometra, i został za swoim drzewem. Zegar na wieży budynku parlamentu wybił północ, Kincaid składała się do drugiego strzału.

Janson przykucnął w cieniu na przedzie mostka, oparty plecami o stalowe przepierzenie. Obserwował drzwi i okna, na wypadek gdyby któryś z ochroniarzy ASC planował coś głupiego. Panele kontrolne systemu DP, stojące obok tablicy sterowniczej, miały decydujące znaczenie dla powodzenia głębinowej operacji wiertniczej, toteż na wypadek awarii zaopatrzone statek w ich duplikaty. Janson wycelował MP5 w ten po lewej, aktualnie wyłączony. Ruch lufą i w polu ostrzału pojawił się ten po prawej.

Helms pierwszy wbiegł po schodach. Zgodnie z instrukcją Jansona kapitan zaprowadził go do wind. Obydwa wyjścia z wind otwierały się jednocześnie. Z pierwszej wysiadł stary mężczyzna, zapewne Bruce Danforth, za nim Doug Case na swoim wózku natychmiast podniesionym na całą wysokość. Drugą windą wjechali dziennikarze. Janson naliczył trzech mężczyzn i dwie kobiety. Jedną z nich była odważna i piękna reporterka NPR, z którą spał przed laty w Afganistanie.

Ze sterówki wyłonił się Ferdinand Poe i wszystkie kamery skierowały się na niego. Szedł wolno, wyglądał na zmęczonego i zbyt starego, by nosić pod pachą FN P90.

- Jest pan, panie prezydencie. Wszyscy chcą pana poznać.

Kingsman Helms wyciągnął rękę, chcąc po przyjacielsku objąć prezydenta. Starzec uchylił się i stanął pełen rezerwy, czekając, aż zostanie przedstawiony. Helms skrócił prezentację do minimum.

- Panie i panowie, przedstawiam dzielnego patriotę, tymczasowego prezydenta Isle de Foree, Ferdinanda Poego.

- Dobry wieczór - przywitał się Poe. - Czy może raczej noc, jest już całkiem późno. Wiem, że wszyscy macie za sobą długą podróż na naszą wyspę, więc ograniczę się do dwóch krótkich uwag. Po pierwsze, odkrycie komercyjnych złóż ropy naftowej pod wodami Isle de Foree zostało potwierdzone przez ten oto statek wiertniczy. To dobra wiadomość dla ludu Isle de Foree i dla krajów konsumenckich, dotąd zależnych od kurczących się zasobów Nigerii.

Utkwił wzrok gdzieś za dziennikarzami, jakby zbierał myśli. Tymczasem patrzył w miejsce, gdzie krył się Janson, czekając na wieści na temat Ibogi. Spojrzenie jednego z dziennikarzy, wysokiego mężczyzny w białej koszuli, powędrowało za wzrokiem prezydenta.

Pst. Słuchawki Jansona podłączone były do telefonu satelitarnego. Podniósł aparat do ust.

- Mów.

- Już po wszystkim. - Kincaid mówiła jak człowiek skrajnie wyczerpany.

- Dobra robota.

- Możemy już wracać do domu? Paul Janson wstał i pokazał Ferdinandowi Poemu uniesione kciuki. W tym samym momencie reporter w białej koszuli upuścił kamerę. Schylił się, jakby chciał ją podnieść, z kabury na kostce wyciągnął pistolet i rzucił się w stronę Jansona, w biegu przeładowując broń ze zręcznością wyszkolonego zawodowca. Paul ledwie miał czas przesunąć przełącznik rodzaju ognia z ciągłego na pojedynczy, ale na linii strzału znajdowali się inni dziennikarze. Strzelając, ryzykowałby zabicie postronnej osoby.

Janson upuścił broń i postąpił krok naprzód, unosząc zarazem ręce.

- Żadnych jeńców - rzucił jednak mężczyzna z bronią. Paul widział po oczach, że facet zamierza go zabić. Rozległ się krzyk jakiejś kobiety. Mężczyźni rzucali się na pokład. Ale ten krok do przodu sprawił, że napastnik znalazł się w zasięgu ciężkich buciorów Jansona. Trzask pękającej kości był niemal tak głośny, jak strzał z pistoletu fałszywego reportera, który padając, zdołał nacisnąć spust.

Kula drasnęła Paula w nogę i uderzyła w podłączone do sieci urządzenie sterownicze systemu DP. Zabrzmiał alarm i automatycznie włączyło się urządzenie zapasowe.

Janson jeszcze dwa razy kopnął napastnika. Gdy ten znieruchomiał, krzyknął:

- Case! Wycofaj swoich chłopców. Został wam tylko jeden DP. Nim tamten zdążył odpowiedzieć, Bruce Danforth wyrzekł podniesionym głosem:

- Ochrona, pozostać na miejscach. Nikt się nie rusza. Nikt.

- I z nieznacznym uśmiechem dodał:

- Z wyjątkiem zamaskowanego agenta z bronią. Pański ruch. Czego pan żąda? Janson cofnął się w cień.

- Chcę, żeby prezydent Poe dokończył swoją wypowiedź, a reporterzy uważnie go wysłuchali. Proszę kontynuować, panie prezydencie.

- Po drugie - rzekł Ferdinand Poe - z przyjemnością mogę zawiadomić, że niezdarna próba obalenia mojego rządu podjęta przez byłego dyktatora Ibogę została udaremniona. Doszło do niewielkiego rozlewu krwi. Jak widzicie, stoję przed wami zdrów i cały. Były dyktator został ujęty.

- Zabity - poprawił Janson.

- Przepraszam. Został zabity - powtórzył prezydent.

Schylił się, położył swojego P90 na pokładzie i stanął wyprostowany, pokazując puste dłonie. Janson uśmiechnął się. Poparł lepszego.

- Mówię do moich żołnierzy i ich oficerów, do wszystkich ich oficerów. Brutalny czas rządów Ibogi odszedł w przeszłość. Iboga odszedł w przeszłość. Na zawsze. Mam też przyjemność ogłosić, że znaczna część skarbu państwa, skradzionego przez Ibogę, została odzyskana. To dobry dzień dla Isle de Foree... Czy są jakieś pytania?

Dziennikarze rozglądali się oszołomieni. Tam Janson, tu leżący zamachowiec, z nogą skręconą pod niesamowitym kątem. Z otwartymi ustami gapili się na polityka.

Pierwsza pozbierała się znajoma Paula z Afganistanu.

- Czy nazwałby to pan szczęśliwym zbiegiem okoliczności, że znajdował się pan na pokładzie Vulcan Queen w chwili zamachu stanu?

- Faktycznie, szczęśliwym, bo nie było mnie tam, gdzie by mnie zabito. Na mostku rozległy się śmiechy.

- A szczęśliwym zbiegiem okoliczności, bo kiedy nadeszła wiadomość o klęsce Ibogi, już świętowaliśmy ustalenie nowych warunków kontraktu dzierżawnego z American Synergy Corporation, która zgodziła się dopuścić inne spółki do udziału w eksploatacji nowych złóż Isle de Foree. Powstanie konsorcjum, a w jego zarządzie zasiądą ministrowie mojego rządu. Ferdinand Poe wyciągnął poznaczoną bliznami dłoń ku Kingsmanowi Helmsowi. Prezes uściśnął ją z upiornym uśmiechem. Janson przyglądał się Case'owi. Dziennikarze przepychali się obok jego wózka, by zbliżyć się do prezydenta i Helmsa. Mimo usilnych starań nie potrafił odczytać jego myśli.

W embraerze zagnieździło się zbyt wiele duchów. Polecieli rejsowym samolotem do Lizbony, przespali dobę w przyzwoitym hotelu i odlecieli do Nowego Jorku. Paul czytał książkę o zwycięstwie cara Aleksandra nad Napoleonem, Kincaid oglądała □lmy, wyglądała przez okno i przechadzała się między fotelami. Złapali taksówkę do Midtown i dalej ruszyli na piechotę, żeby rozruszać się po podróży.

- Nadal nie uznajesz zemsty? - zapytała Kincaid.

Zawahał się.

- Generalnie nie wierzę. Chciałbym powiedzieć, że w żadnym przypadku, ale nie tym razem.

- Jednak ich nie zabiłeś.

- Nie wiem, kogo miałbym zabić. Nie wiem, który jest tym złym. Jeden z nich? Dwaj? Wszyscy? Przynajmniej zabrałem im to, czego pragnęli. - Isle de Foree.

- I zostawiłem ich przy życiu, żeby rozpamiętywali swoją klęskę.

- Co każe ci przypuszczać, że nie spróbują ponownie? Paul Janson uśmiechnął się szeroko, nagle pełen optymizmu, nadziei, że może naprawić to, co zostało zniszczone.

- A co każe im przypuszczać, że ponownie ich nie powstrzymam?

- Dlaczego Doug Case jest twoim słabym punktem? Nieco zbity z tropu, zapytał:

- W jakim sensie? Co masz na myśli?

- Tak chętnie mu wierzysz. Ta historia, którą mi opowiedziałeś. O tym, jak zastrzelił agenta torturującego podejrzanego. Skąd wiesz, że to prawda? Kto wie, co naprawdę się zdarzyło i dlaczego go zastrzelił?

- Historia Douga jest prawdziwa.

- Skąd ta pewność?

- Byłem tam.

- Byłeś tam? Nie wiedziałam... Dziwię się, że sam go nie zastrzeliłeś.

- To nie wchodziło w grę.

- Dlaczego?

- Miałem związane ręce.

Kincaid spojrzała na niego, a jej duże oczy zrobiły się całkiem okrągłe.

- To ciebie torturował agent zastrzelony przez Case'a?

- Ten agent okazał się sadystycznym świrem, jednym z tych ludzi, którzy szukają poczucia własnej wartości przez zadawanie innym bólu.

Wmówił sobie, że zdradziłem. Ale się mylił. Doug interweniował w mojej obronie. Ale to było traumatyczne przeżycie. Dobrze znał tego faceta, razem wojowali. To go poniekąd zniszczyło.

Kincaid przez dłuższą chwilę kiwała głową, w końcu mruknęła:

- No, no.

- Ta historia sprawiła, że żywię wobec Douga ciepłe uczucia. Przecięli Broadway i w tłumie turystów oraz wychodzących z teatrów widzów przeszli jeszcze pół przecznicy. Z niewidocznego głośnika dobiegały donośne dźwięki Shake That Thing.

- Czy możemy się zgodzić w pewnej kwestii?

- W każdej - rzekł Janson.

- Czy możemy się zgodzić, że jeśli chodzi o szefa ochrony American Synergy Corporation, nie myślisz całkiem trzeźwo?

- Zgadzam się. Weszli do hotelu Edison i po stromych schodach zeszli do sutereny. Nighthawks grali Blue Skies. Kędzierzawa brunetka, która pobierała opłaty za wstęp, nigdy nie zapominała twarzy.

- Witam ponownie - zwróciła się do Jessiki.

- Miło znów panią zobaczyć. Paula Jansona zaś obdarzyła olśniewającym uśmiechem, zarezerwowanym dla nowych klientów.